

„ELEKTRYZUJĄCE!” MARGARET ATWOOD



NAOMI ALDERMAN

MARGINESY



# *Sita*

NAOMI ALDERMAN

PRZEŁOŻYŁA

MAŁGORZATA GLASENAPP

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

## **JESZCZE DZIESIĘĆ LAT**

Roxy

Tunde

Margot

Allie

## **JESZCZE DZIEWIĘĆ LAT**

Allie

Roxy

Tunde

Margot

## **JESZCZE OSIEM LAT**

Allie

Margot

Tunde

Roxy

## **JESZCZE SZEŚĆ LAT**

Tunde

Allie

Margot

Roxy

## **JESZCZE PIĘĆ LAT**

Margot  
Tunde  
Allie  
Margot  
Roxy  
Jocelyn

### **JESZCZE ROK**

Margot  
Allie  
Roxy  
Tunde

### **JESZCZE SIEDEM MIESIĘCY**

Allie  
Darrell  
Jocelyn  
Tunde  
Roxy

### **NADCHODZI**

Darrell  
Apokryf usunięty z Księgi Ewy

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału THE POWER  
Przekład MAŁGORZATA GLASENAPP

Wydawca KATARZYNA RUDZKA  
Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja MARCIN WOŁK  
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, BEATA WÓJCIK  
Projekt okładki NATHAN BURTON  
Adaptacja projektu okładki AGNIESZKA WRZOSEK  
Ilustracje © Marsh Davies  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

*The Power*

Copyright © Naomi Alderman 2016  
Copyright © for the translation by Małgorzata Glasenapp  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

Warszawa 2018  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65973-36-8

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Forteczna 1a  
01-540 Warszawa  
tel. 48 22 839 91 27  
e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dla Margaret i dla Graeme'a, którzy pokazali mi cuda

Zebrała się więc cała starszyzna izraelska i udała się do Samuela do Rama. Odezwali się do niego: „Oto ty się zestarzałeś, a synowie twoi nie postępują twoimi drogami: ustanów raczej nad nami króla, aby nami rządził, tak jak to jest u innych narodów”. [...]

I powtórzył Samuel wszystkie słowa Pana ludowi, który od niego zażądał króla. Mówił: „Oto jest prawo króla mającego nad wami panować: Synów waszych będzie on brał do swego rydwanu i swych koni, aby biegali przed jego rydwanem. I uczyni ich tysiącnikami, pięćdziesiątnikami, robotnikami na roli swojej i żniwiarzami. Przygotowywać też będą broń wojenną i zaprzęgi do rydwanów. Córki wasze zabierze do przyrządzania wonności oraz na kucharki i piekarki. Zabierze również najlepsze wasze ziemie uprawne, winnice i sady oliwkowe, a podaruje je swoim sługom. Zasiewy wasze i winnice obciąży dziesięciną i odda ją swoim dworzanom i sługom. Weźmie wam również waszych niewolników, niewolnice, waszych najlepszych młodzieńców i osły wasze i zatrudni pracą dla siebie. Nałoży dziesięcinę na trzodę waszą, wy zaś będziecie jego sługami. Będziecie sami narzekali na króla, którego sobie wybieriecie, ale Pan was wtedy nie wysłucha”.

Odrzucił lud radę Samuela i wołał: „Nie, lecz król będzie nad nami, abyśmy byli jak wszystkie narody, aby nas sądził nasz król, aby nam przewodził i prowadził nasze wojny!”.

Samuel wysłuchał wszystkich słów ludu i powtórzył je uszom Pana.

A Pan rzekł do Samuela: „Wysłuchaj ich żądania i ustanów im króla!”.

1 Księga Samuela 8<sup>[1]</sup>

27 października

Stowarzyszenie Pisarzy  
New Bevand Square

Droga Naomi,

skończyłem wreszcie tę przekłętą książkę. Wysyłam Ci rękopis, ze wstawkami i rysunkami, w nadziei, że usłyszę jakieś wskazówki albo przynajmniej echo, skoro już rzucam ten tekst jak kamyk do studni.

Najpierw zapytasz, co to właściwie jest. Jak obiecałem: „na pewno nie kolejny nudny tom historyczny”. Po czterech wydanych książkach wiem, że czytelniczki nie mają ochoty przedzierać się przez suche fakty i że nikogo nie obchodzą szczegóły datowania znalezisk ani analizy warstw geologicznych. Wiele razy widziałem, jak publiczność zaczynała ziewać, kiedy wyjaśniałem zawilości moich badań. Tak więc teraz napisałem coś w rodzaju hybrydy, tekst, któremu może uda się wzbudzić zainteresowanie zwykłych ludzi. Ani historia, ani powieść, tylko „fabularyzacja” przebiegu wydarzeń, który archeologom wydaje się najbardziej prawdopodobny. Dodałem też kilka ilustracji przedstawiających nasze znaleziska; mam nadzieję, że są wymowne, chociaż oczywiście czytelniczki mogą je pominąć – i pewnie wiele z nich tak zrobi!

Chciałbym Ci zadać parę pytań. Czy tekst jest bardzo szokujący? Czy wyobrazenie sobie, że kiedyś mogły się dziać takie rzeczy, choćby nawet dawno temu, nie jest zbyt trudne? Czy mógłbym całość bardziej uprawdopodobnić? Jak to się mówi, prawda i pozór prawdy to dwie zupełnie różne sprawy.

Napisałem też parę bulwersujących rzeczy o Matce Ewie... Ale przecież wszyscy wiemy, jak to jest! Nikt chyba nie powinien poczuć się urażony... Zresztą dzisiaj każdy mówi, że jest ateistką. A wszystkie „cuda” naprawdę da się wytłumaczyć.

Sorry, już kończę. Nie chcę Ci niczego sugerować, po prostu przeczytaj ten tekst i powiedz, co myślisz. Mam nadzieję, że praca nad powieścią idzie Ci doskonale. Nie mogę się doczekać lektury, jak tylko się ukaże. Dziękuję Ci ogromnie, jestem bardzo wdzięczny za czas, który zgodziłaś się poświęcić.

Uściski  
Neil



Nonesuch House

Lakevik

Neil, kochany,

Wow! Co za niespodzianka! Przerzuciłam tekst i nie mogę się doczekać pełnego zanurzenia. Od razu zobaczyłam, że włączyłeś parę scen z żołnierzami, policjantami i „gangsterami”, tak jak obiecywałeś, niegrzeczny chłopczyku! Akurat tobie nie muszę mówić, jak bardzo lubię takie rzeczy, na pewno pamiętasz. Siedzę jak na szpilkach.

Bardzo jestem ciekawa, jak poradziłeś sobie z główną ideą. Szczerze mówiąc, to doskonała chwila wytchnienia od mojej książki. Selim mówi, że jeśli ta nowa rzecz nie będzie arcydziełem, zostawi mnie dla kogoś, kto naprawdę umie pisać. Chyba nie zdaje sobie sprawy, jak przykro słuchać takich rzucanych od niechcienia uwag.

Nieważne. Mam wielką ochotę na twoją książkę! Chyba świetnie bym się czuła w tym „świecie rządzonej przez mężczyzn”, o którym opowiadasz. Na pewno byłby miłszy, bardziej przyjazny i – *excusez-moi* – bardziej sexy niż ten, w którym żyjemy.

Do usłyszenia niedługo, kochany!

# *Siła*

*Powieść historyczna*

NEIL ADAM ARMON

PRZEŁOŻYŁ

MGR ANATOL PAŁASZ-PAGE

Moc przyjmuje zawsze ten sam kształt: to kształt drzewa. Od korzeni po wierzchołek, przez pień rozwidlający się w konary i gałęzie, które sięgają na boki, rozdzielając się na coraz cieńsze, poszukujące palce. Kształt mocy to sylwetka żywej, rozrastającej się istoty, wyciągającej delikatne pędy dalej i dalej w przestrzeń.

Taki kształt przybierają rzeki, dążąc do oceanu – strugi łączą się w strumienie, strumienie w potoki, wielka siła narasta, burzy się i spiętrza, by wreszcie runąć w morską toń.

Taki kształt przybiera też błyskawica, gdy uderza z niebios w ziemię. Rozdarte niebo odbija się wzorem na ciele albo na ziemi. Ten sam wzór pojawia się w bloku przezroczystego akrylu, dotkniętym przez elektryczność. Przesyłamy prąd w geometrycznych obwodach, ale on chce nakreślać drogę właściwą żywym istotom. Liść paproci. Konar. Początek w centralnej linii, rozgałęzienia idące na zewnątrz.

Ten sam kształt istnieje w naszych ciałach, w wewnętrznych drzewach nerwów i naczyń krwionośnych. Środkowy pień i rozwidlające się ścieżki. Sygnały biegnące od opuszków palców do rdzenia kręgowego i mózgu. Jesteśmy elektryczni. Prąd biegnie w naszych ciałach tak samo jak wszędzie w przyrodzie. Moje dzieci, nic tutaj nie dzieje się wbrew prawom natury.

Tak samo elektryczność przenosi się między ludźmi; nie może być inaczej. Ludzie tworzą osady, osady stają się miejscowościami, miejscowości oddają hołd miastom, a miasta – państwom. Rozkazy biegną od środka na zewnątrz. Odpowiedzi – od krańców do centrum. Ta komunikacja nigdy nie ustaje. Oceany nie mogą istnieć bez strumieni, tak jak wielkie pnie drzew nie mogą trwać bez drobnych pączków ani mózg bez zakończeń nerwowych. Jak na górze, tak na dole. Jak na najdalszych krańcach, tak i w samym sercu.

Stąd wynika, że istnieją dwie drogi zmiany równowagi potęg w ludzkim świecie. Pierwsza jest wtedy, gdy rozkaz zostaje wydany w pałacu i nakazuje ludziom: „Niech stanie się tak”. A druga, pewniejsza, bardziej nieodwracalna, jest wtedy, gdy tysiące tysięcy drobnych świateł wysyłają nowy sygnał. Kiedy w ludziach zachodzi zmiana, pałac musi upaść.

Napisano: „Ujęła w dłoń błyskawicę. I przykazała jej uderzyć”.

*Jeszcze dziesięć lat*

## *Roxy*

Mężczyźni zamykają Roxy w szafce pod schodami. Nie wiedzą jednej rzeczy: że już wcześniej była zamykana w tej szafce. Kiedy jest niegrzeczna, mama każe jej tu wejść. Na kilka chwil. Aż się uspokoi. Z czasem, podczas godzin spędzonych w zamknięciu, udało jej się obluzować zamek; odkręcała śrubki paznokciem albo spinaczem. Mogła go wyjąć, gdyby tylko chciała. Ale nie wyjęła, bo mama pewnie założyłaby zasuwkę na zewnątrz. Na razie wystarczy, że siedząc w ciemnościach, wie, że gdyby naprawdę chciała, mogłaby wyjść. Ta świadomość jest równie dobra jak wolność.

Myślą, że ją zamknęli i mają z głowy. Ale ona wychodzi. I widzi.

Mężczyźni przyszedli o wpół do dziesiątej wieczorem. Roxy miała iść na noc do kuzynki. To było umówione od dawna, ale napyskowała mamie, że dostała nie takie rajstopy z Primarku, więc mama powiedziała: „Nigdzie nie pójdziesz, zostajesz w domu”. Jakby Roxy w ogóle zależało na jakiejś dużej kuzynce.

Kiedy kopniakami otwierają drzwi i widzą, jak skwaszona siedzi na kanapie koło mamy, jeden z nich mówi: „Kurwa, ta mała tu jest”. Przyszło dwóch, jeden wysoki z twarzą jak szczur, a drugi niższy, z kwadratową szczęką. Roxy ich nie zna.

Niski łapie mamę za gardło, a wysoki goni Roxy po kuchni. Prawie udaje jej się uciec kuchennymi drzwiami, ale łapie ją za udo. Roxy leci przed siebie, a wtedy on chwyta ją w pasie. Roxy kopie i wrzeszczy: „Puść mnie!”, a kiedy on zasłania jej usta ręką, gryzie go tak mocno, że czuje smak krwi. Mężczyzna klnie, ale nie puszcza. Niesie ją do salonu. Niski przyciska mamę do ściany kominka. Roxy czuje, jak coś zaczyna w niej narastać, ale nie wie, co to jest. Jakieś uczucie w końcach palców, w kciukach.

Zaczyna krzyczeć. Jej mama powtarza: „Zostawcie moją Roxy, kurwa, zostawcie Roxy, nie wiecie, co robicie, nie przeżyjecie tego, będziecie żałować, żeście się urodzili, jej ojciec to Bernie Monke, Jezu”.

Niski się śmieje. „Tak się składa, że mamy wiadomość dla jej tatusia”.

Wysoki wpycha Roxy do szafki pod schodami tak szybko, że ona nie wie nawet, co się stało, dopóki nie otacza jej ciemność i zapach odkurzacza. Mama zaczyna krzyczeć.

Roxy szybko oddycha. Boi się, ale musi iść do mamy. Wykręca paznokciem pierwszą śrubkę. Jeden, dwa, trzy obroty i gotowe. Nagle iskra przeskakuje między śrubką a jej dłonią. Ładunek elektrostatyczny. Roxy czuje się dziwnie. Skoncentrowana, jakby mogła widzieć z zamkniętymi oczami. Teraz dolna śrubka, raz, dwa, trzy. Mama mówi: „Proszę. Proszę, nie. Proszę. O co w ogóle chodzi? To tylko dziecko. To tylko dziecko, na litość boską”.

Któryś z mężczyzn parska śmiechem. „Nie wygląda”.

Wtedy mama krzyczy, jakby zgrzytał metal w zatartym silniku.

Roxy próbuje zgadnąć, gdzie mężczyźni stoją w pokoju. Jeden koło mamy. Drugi... Słyszy jakiś hałas z lewej strony. Plan jest taki: wyjdzie po cichu, rąbnie wysokiego od tyłu pod kolana, skopie mu głowę i już będzie dwie na jednego. Jeżeli ci goście mają pistolety, to na razie ich nie wyciągnęli. Roxy wygrała już niejedną bójkę. Ludzie różnie o niej gadają. I o jej mamie. I o tacie.

Jeden. Dwa. Trzy. Mama znowu krzyczy, Roxy wyjmuje zamek i z całej siły wali w drzwi.

Ma szczęście. Drzwi uderzyły wysokiego od tyłu. On się potyka i chwieje, wtedy ona chwyta go za prawą stopę i mężczyzna upada ciężko na dywan. Słychać trzask i widać krew leącą z nosa.

Niski przykłada mamie nóż do gardła. Ostrze błyska do Roxy srebrzyście i wesoło.

Mama otwiera szeroko oczy. „Uciekaj, Roxy – mówi, ledwie szepcze, ale jej głos jakby rozbrzmiewa Roxy w głowie. – Uciekaj. Uciekaj”.

Roxy nie ucieka przed bójkami w szkole. Jak się ucieka, to zawsze będą śpiewać: „Córka dziwki i bandyty, Roxy kradnie ci zeszyty”. Trzeba ich stłuc, aż będą prosić, żebyś przestała. Nie wolno uciekać.

Coś się z nią dzieje. W uszach szumi krew. Kłujące mrowienie przenosi się na plecy, na ramiona i obojczyki. Mówi jej: dasz radę. Mówi: masz siłę.

Roxy przeskakuje przez leżącego mężczyznę, który jęczy i trzyma się za twarz. Musi złapać mamę za rękę i uciekać. Byle tylko wybiegły na ulicę. Tam, gdzie każdy może zobaczyć. Znajdą tatę, on się tym zajmie. Tylko parę kroków.

Dadzą radę.

Niski z całej siły kopie mamę w brzuch. Ona zwija się z bólu, pada na kolana. Mężczyzna wyciąga nóż w stronę Roxy.

Wysoki jęczy: „Tony. Pamiętaj. Dzieciaka nie”.

Niski kopie go w twarz, raz, drugi i trzeci.

– Nie mów. Kurwa. Mojego. Imienia.

Wysoki cichnie. Twarz ma całą we krwi. Roxy widzi, że wpadła w tarapaty. Mama krzyczy: „Uciekaj! Uciekaj!”. Roxy czuje coś, jakby igiełki, na całych ramionach. Jak kłujące promienie, które biegną od kręgosłupa do obojczyków, od gardła do łokci, nadgarstków i palców. W środku cała mieni się światłem.

Mężczyzna sięga jedną ręką, żeby ją złapać. W drugiej trzyma nóż. Roxy najpierw chce go kopnąć albo uderzyć pięścią, lecz nagle instynkt podpowiada jej co innego. Chwyta go za nadgarstek. I przekręca jakiś włącznik głęboko w piersi, jakby zawsze wiedziała, gdzie on jest i jak go używać. Mężczyzna próbuje wyrwać rękę, ale za późno.

Ujęła w dłoń błyskawicę. I przykazała jej uderzyć.

Rozlega się trzask, widać rozbłysk i słychać dźwięk jakby pękającego balonu. Rozchodzi się zapach przypominający deszcz, a trochę spalone włosy. Roxy czuje pod językiem smak gorzkich pomarańczy. Mężczyzna pada na podłogę. Krzyczy jednostajnie, bez słów. Na przemian zaciska i otwiera dłoń, a od nadgarstka w górę biegnie po jego ramieniu długa czerwona pręga. Jest ciemna, szkarłatna, w kształcie liścia paproci, pędów, gałązek. Mama patrzy na Roxy z otwartymi ustami, a łzy ciągle płyną jej po twarzy.

Roxy ciągnie ją za rękę, ale mama jest w szoku, rusza się powoli i ciągle powtarza: „Uciekaj! Uciekaj!”. Roxy nie wie dokładnie, co się przed chwilą stało, ale wie, że jeśli walczysz z kimś silniejszym i uda ci się go powalić, musisz zwiewać. Tylko że mama nie daje rady biec. Zanim Roxy pomoże jej porządnie wstać, niski mówi: „O nie, na pewno nie”.

Jest ostrożny. Wstaje i zagradza im drogę do drzwi. Jedną ręką zwisa mu bezwładnie, ale w drugiej nadal trzyma nóż. Roxy przypomina sobie, co czuła, kiedy zrobiła to coś wcześniej, cokolwiek to było. Zasłania mamę własnym ciałem.

– Co tam masz, mała? – mówi mężczyzna. Tony. Zapamięta to imię, żeby

powtórzyć tacie. – Masz baterię?

– Puść nas – odpowiada Roxy. – Chcesz jeszcze raz?

Tony odsuwa się o dwa kroki i patrzy na jej dłonie. Sprawdza, czy Roxy nie chowa czegoś za plecami.

– Rzuciłaś to, co, mała?

Roxy pamięta, co musi zrobić. Przekręcić, potem jakby eksplozja.

Robi krok w jego stronę. Tony się nie cofa. Ona robi kolejny krok. Patrzy na jego bezwładną rękę. Palce nadal mu drżą. Tony potrząsa głową.

– Nic tam nie masz.

Wyciąga do niej rękę z nożem, a ona łapie go za grzbiet dłoni i znowu robi to przekręcenie w środku.

Nic się nie dzieje.

On zaczyna się śmiać. Bierze nóż w zęby i zdrową ręką chwytą ją za oba nadgarstki.

Roxy próbuje znowu. Nic. On popycha ją w dół, żeby uklęknęła.

– Proszę – mówi jej mama cicho. – Proszę. Zostaw ją.

A potem coś uderza ją w głowę od tyłu i Roxy nie wie nic więcej.

Kiedy się budzi, świat ustawia się bokiem. To jest kominek, jak zwykle. Drewniane obramowanie wokół paleniska. Gniece jej skroń. Głowa ją boli, usta ma wciśnięte w dywan. Na zębach czuje smak krwi. Słyszą kapanie. Roxy zamyka oczy. Potem otwiera i wie, że minęło więcej niż kilka chwil. Na ulicy panuje cisza. Dom jest zimny. I przekrzywiony. Roxy stara się poczuć swoje ciało. Nogi ma zarzucone na krzesło. Twarz na ziemi, wciśniętą w dywan i ścianę kominka. Próbuje się podnieść, ale nie ma siły, więc zaczyna się przesuwac, aż jej nogi spadają na podłogę. Upadek boli, ale przynajmniej jest teraz cała na jednym poziomie.

Zaczyna sobie wszystko przypominać w krótkich obrazach. Ból, potem skąd się wziął, potem to coś, co zrobiła. Potem mamę. Podnosi się powoli i zauważa, że jej ręce się lepia. I coś kapie. Dywan wokół kominka jest przesiąknięty, mokry i czerwony. Jest mama, z głową przewieszoną przez oparcie kanapy. Na jej piersi leży kartka z rysunkiem pierwiosnka.



Roxy ma czternaście lat. Jest jedną z najmłodszych i jedną z pierwszych.

## *Tunde*

Tunde przepływa kolejną długość basenu, chlapiąc wodą trochę energiczniej, niż potrzeba, żeby Enuma zobaczyła, jak próbuje ukryć, że chce być zauważony. Enuma przegląda „Today’s Woman” i spogląda na kartki za każdym razem, kiedy on podnosi na nią wzrok; udaje, że bardzo ją ciekawi Toke Makinwa i relacja z jej sekretnego ślubu, którą zamieściła na swoim kanale na YouTube. Ale on wie, że Enuma go obserwuje. I jest pewien, że ona też wie, że on wie. To ekscytujące.

Tunde ma dwadzieścia jeden lat i właśnie wyszedł z okresu, kiedy ciało wydaje się wszędzie za długie, za krótkie, sterczące nie tak, jak trzeba, albo niezgrabne. Enuma jest o cztery lata młodsza, ale stała się już bardziej kobietą niż on – mężczyzną; skromna, lecz nie naiwna. Nie jest też specjalnie nieśmiała, co widać w jej sposobie poruszania się czy w szybkim uśmiechu, który przemyka po jej twarzy, kiedy rozumie żart, zanim inni go pojmą. Przyjechała do Lagos z Ibadanu. Jest kuzynką znajomej jego kolegi z zajęć z fotografii prasowej. Spędzają wakacje, wałęsając się całą grupą. Wpadła Tundemu w oko, gdy tylko się pojawiła; jej skrywany uśmiech i żarty, które z początku brał na poważnie. Oraz zaokrąglone biodra i inne kształty schowane pod koszulką, owszem. Musiał się postarać, żeby zorganizować spotkanie sam na sam, tylko z nią. Jest naprawdę zainteresowany.

Niedługo po przyjeździe Enuma powiedziała, że nie lubi plażowania: za dużo piachu, za mocny wiatr. Baseny są znacznie lepsze. Tunde odczekał jeden, dwa, trzy dni i zaproponował wycieczkę – hej, a może pojedziemy na plażę Akodo, zrobimy sobie piknik, fajnie spędzimy dzień. Enuma rzuciła, że chyba nie dołączy, a Tunde udawał, że nie zwraca uwagi. Wieczorem w przeddzień wyjazdu zaczął narzekać na ból brzucha. Niedobrze jest pływać z chorym żołądkiem, zimna woda może zaszkodzić. Lepiej zostań, Tunde. Ale ominie mnie taka fajna wycieczka. Daj spokój, nie powinieneś pływać w morzu. Enuma zostaje, w razie czego pomoże ci albo wezwie lekarza.

Tylko jedna dziewczyna powiedziała: „Ale przecież będziecie tu sami,

w pustym domu”.

Tunde marzy, żeby jej odebrało mowę. „Później przyjadą moje kuzynki”, mówi.

Nikt nie pyta, jakie kuzynki. Trwają gorące, leniwe wakacje i różni ludzie przychodzą do dużego domu tuż obok Ikoyi Club.

Enuma się zgadza, a Tunde zauważa, że nie protestowała. Nie poprosiła przyjaciółki, żeby zrezygnowała z wycieczki i została razem z nimi. Nic nie powiedziała, kiedy Tunde wstał pół godziny po odjeździe samochodów, przeciągnął się i oznajmił, że czuje się o wiele lepiej. Przyglądała się, jak skacze z małej trampoliny do basenu, i uśmiechnęła się krótko.

Tunde robi nawrót pod wodą. Dobrze mu wychodzi, stopami ledwo trąca powierzchnię. Zastanawia się, czy ona to widziała, ale kiedy wygląda z wody, Enumy nie ma przy basenie. Rozgląda się i widzi jej zgrabne nogi i bose stopy, kiedy dziewczyna wraca z kuchni. Niesie puszkę coli.

– Hej tam – mówi Tunde, parodiując ton pana i władcy. – Hej tam, służąca, podaj mi tę colę.

Ona odwraca się i uśmiecha, otwierając szeroko przejrzyste oczy. Rozgląda się wokół i pokazuje na siebie palcem, jakby pytała: Kto? Ja?

Jezu, ale ma na nią ochotę. Tylko nie bardzo wie, co robić. Do tej pory podobały mu się dwie dziewczyny, ale żadna nie została „jego dziewczyną”. Na studiach znajomi żartują, że chyba wziął zaślubiny z pracą, bo zawsze jest sam. Wcale mu się to nie podoba, ale chciałby być z kobietą, która go naprawdę pociąga. Enuma ma w sobie to coś. A on tego chce.

Kładzie dłonie na mokrych kafelkach i dźwiga się z wody jednym zgrabnym ruchem, demonstrując bicepsy i klatkę piersiową. Ma dobre przeczucia.

Enuma siedzi na leżaku. Podchodzi do niej, a ona wsuwa palec pod zawleczkę na puszcze, jakby zamierzała ją otworzyć.

– O nie – mówi Tunde, nadal z uśmiechem. – Wiesz dobrze, że takie rzeczy nie są dla ciebie.

Ona przyciska puszkę do brzucha. Metal musi wydawać się strasznie zimny w zetknięciu ze skórą. Mówi, spuszczać skromnie oczy: „Chciałam tylko posmakować”. Przygryza dolną wargę.

Na pewno robi to specjalnie. Na pewno. Tunde czuje podniecenie. To się uda.

Staje nad nią.

– Daj mi tę colę.

Ona unosi puszkę jedną ręką i przetacza sobie powoli po karku, jakby chciała się ochłodzić. Potrząsa głową przecząco. Wtedy się na nią rzuca.

Bawią się w siłowanie. Tunde uważa, żeby nie przesadzić. Widzi, że zabawa podoba jej się tak samo jak jemu. Enuma podnosi wysoko ramię, trzymając puszkę poza jego zasięgiem. Tunde popycha więc to ramię jeszcze trochę, aż ona łapie głośno powietrze i przekręca się. Wtedy on próbuje chwycić puszkę, a Enuma się śmieje, niskim, cichym śmiechem. Podoba mu się ten śmiech.

– Cóż to, chcesz zabrać napój swojemu panu? – mówi Tunde. – Co za złośliwa służąca.

Ona znowu się śmieje i dalej się wyrywa. Jej piersi napinają kostium.

– Nigdy go nie dostaniesz – odpowiada. – Będę go bronić, póki starczy mi życia!

A on myśli: Piękna i do tego mądra, niech Pan ma mnie w swojej opiece. Śmieją się oboje. Tunde opiera się na niej mocniej i czuje ciepło jej ciała.

– Myślisz, że ci się uda?

Sięga znowu po puszkę, a ona odwraca się, żeby mu uciec. Wtedy Tunde łapie ją w pasie.

Enuma kładzie dłoń na jego rękę.

W powietrzu unosi się zapach kwitnących pomarańczy. Powiew wiatru wrzuca do basenu białe płatki.

Tunde czuje, jakby coś go użądliło. Spogląda na rękę, żeby odgonić owada, ale w tym miejscu spoczywa tylko ciepła dłoń Enumy.

Dziwne doznanie potęguje się, szybko narasta. Najpierw jakby klucie, rozszerzające się w górę, na przedramię, potem ciarki, coraz mocniejsze, aż w końcu ból. Tunde oddycha zbyt szybko, żeby coś powiedzieć. Nie może poruszyć ramieniem. Czuje ucisk w klatce piersiowej, a w uszach słyszy głośne bicie własnego serca.

Enuma wciąż śmieje się cicho. Pochyla się i przyciąga go do siebie. Spogląda mu w oczy, a jej tęczyówki są pręgowane brązem i złotem. Usta ma wilgotne. Tunde zaczyna się bać, a jednocześnie czuje podniecenie. Zdaje sobie sprawę,

że nie może jej zatrzymać, cokolwiek chciałaby z nim zrobić. Ta myśl jest przerażająca, przeszywa go dreszczem. Ma erekcję tak mocną, że aż boli, choć w ogóle nie wie, jak do tego doszło. Stracił zupełnie władzę w lewym ramieniu.

Enuma pochyla się jeszcze bardziej, wionąc mu w twarz oddechem o zapachu gumy do żucia, i całuje go delikatnie w usta. Potem go puszcza, biegnie do basenu i skacze do wody, jednym płynnym, wyćwiczonym ruchem.

Tunde czeka, aż wróci mu czucie w ręce. Ona pływa w milczeniu, nie woła do niego ani nie próbuje go ochlapać. On nadal czuje podniecenie, ale także wstyd. Chciałby z nią porozmawiać, ale się boi. Może sobie to wszystko wyobraził. Może ona zacznie go wyśmiewać, jeśli zażąda wyjaśnień.

Wychodzi do sklepiku za rogiem po coś do picia, żeby tylko nie musieć nic mówić. Kiedy towarzystwo wraca z wycieczki, z radością przyjmuje plan odwiedzin u dalekiego kuzyna następnego dnia. Chce zapomnieć, nie chce być sam. Nie rozumie, co się wydarzyło, i nie ma z kim o tym pogadać. Na myśl, żeby opowiedzieć wszystko przyjaciołom, Charlesowi albo Isaacowi, od razu czuje ucisk w gardle. Gdyby im powiedział, uznaliby go za wariata albo słabeusza, albo kłamczucha. Nie może zapomnieć śmiechu Enumy.

Łapie się na tym, że ją obserwuje, szukając oznak tego, co się stało. Co to było? Zrobiła to specjalnie? Chciała sprawić mu ból, przestraszyć go, czy to się wydarzyło tylko przypadkowo, niechcący? Czy w ogóle wie, że to zrobiła? A może to wcale nie ona, tylko jakieś dziwne zaburzenie w jego ogarniętym pożądaniem ciele? Nie może przestać o tym myśleć. Enuma zachowuje się jakby nigdy nic. Zanim nadejdzie dzień wyjazdu, trzyma się za ręce z innym chłopakiem.

Wstyd przeżera ciało Tundego niczym rdza. Obsesyjnie rozpamiętuje wydarzenia tamtego popołudnia. W łóżku, wieczorami: jej wargi, jej piersi napinające materiał kostiumu, zarys sutków, swoją bezradność, poczucie, że mogłaby z nim zrobić, co tylko zechce. Ta myśl go podnieca, zaczyna się dotykać. Mówi sobie, że to wspomnienie jej ciała, zapach przypominający kwiaty hibiskusa, ale tak naprawdę nie jest pewien. Wszystko pomieszało się w jego głowie: pożądanie z dominacją, pragnienie z lękiem.

Być może dlatego, że tak często odtwarzał tamto popołudnie w pamięci, że strasznie chciał mieć jakiś dowód, zdjęcie, nagranie, cokolwiek – może dlatego potem w sklepie od razu sięga po komórkę. A może po prostu przyswoił sobie

trochę wiedzy, jaką wciskają im do głowy na studiach: o dziennikarstwie obywatelskim, że trzeba mieć „nosa do newsów”. Kto wie.

To było tak: parę miesięcy po zejściu z Enumą są z Isaakiem w sklepie, w markecie Goodies. Stoją akurat w dziale warzywnym i wdychają słodki zapach dojrzałej guawy, unoszący się dookoła razem z chmarą muszek owocówek, które pasą się na pękniętym owocu. Tunde i Isaac kłócą się o dziewczyny, jakie one są. Tunde głęboko skrywa uraz i wstyd, by nikt nie zauważył, że nosi w sobie sekret. I nagle coś zaczyna się dziać między dwojgiem innych klientów, dziewczyną i facetem. On ma koło trzydziestki, ona jakieś piętnaście czy szesnaście lat.

On ją podrywa; z początku Tunde myśli, że się znają. Dopiero kiedy ona mówi: „Proszę mnie zostawić w spokoju”, zdaje sobie sprawę, że jest inaczej. Mężczyzna uśmiecha się niezrażony i podchodzi bliżej.

– Taka śliczna dziewczyna zasługuje, żeby jej powiedzieć coś miłego.

Ona pochyła ramiona, spuszcza wzrok i głęboko oddycha. Ścisła palcami brzeg drewnianej skrzynki z owocami mango. Atmosfera wokół gęstnieje, aż cierpnie skóra. Tunde wyjmuje z kieszeni telefon i włącza kamerę. Zaraz wydarzy się coś, co spotkało i jego. Chce to uchwycić, mieć na własność, zabrać do domu i oglądać. Czekał na taką okazję od tamtego dnia z Enumą.

Tymczasem mężczyzna mówi:

– Hej, nie odwracaj się. Proszę tylko o jeden mały uśmiech.

Ona przełyka ślinę i nie podnosi wzroku.

Zapachy nagle stają się bardziej intensywne. Tunde w jednym oddechu czuje, jak łączą się wonie jabłek, papryki i mandarynek.

Isaac szepcze:

– Chyba przywali mu tym mango.

Czy pošlesz pioruny i pójda ze słowem: „Jesteśmy do usług”?

Kiedy dziewczyna się obraca, Tunde już filmuje. W momencie ataku nagranie robi się na chwilę niewyraźne, ale poza tym wszystko doskonale widać. Dziewczyna wyciąga dłoń w kierunku ramienia mężczyzny, który się uśmiecha, sądząc, że ona dla żartu markuje uderzenie. Jeżeli zatrzyma się odtwarzanie w tej chwili, widać przeskakujący ładunek elektryczny. Na skórze mężczyzny pojawia się figura Lichtenberga, rozgałęziony wzór ciągnący się od

nadgarstka do łokcia, kręty i rozwidlony jak rzeka z dopływami, znaczący popękane naczynia krwionośne.

Tunde filmuje, jak facet pada na podłogę, krztusząc się i trzęsąc. Potem obraca telefon, żeby złapać w kadr dziewczynę uciekającą ze sklepu. W tle słychać krzyki ludzi wzywających pomocy i wołających, że dziewczyna otruła człowieka. Uderzyła i zatrwała. Wbiła mu igłę z trucizną. Albo nie, tu, w owocach chowa się wąż, zmija ukryta w stosie jabłek. A ktoś mówi: „*Aje ni girl yen, sha!* Ta dziewczyna to czarownica! Właśnie tak czarownice zabijają ludzi”.

Tunde znowu kieruje telefon na mężczyznę leżącego na ziemi. Jego pięty bębnią w kafelki, a na ustach wykwita różowa piana. Oczy ma wywrócone w głąb czaszki. Głową obraca w prawo i lewo. Tunde myślał, że jeśli zdoła uchwycić coś takiego na świecącym ekranie telefonu, przestanie się bać. Ale teraz, kiedy patrzy na mężczyznę plującego czerwoną śliną i jęczącego, czuje, jak strach sączy mu się zimną strużką wzdłuż kręgosłupa. Przypomina sobie, czego doznawał tam, przy basenie: przeświadczenia, że Enuma może go zabić, jeśli zechce. Nie przestaje filmować, dopóki nie przyjedzie karetka.

Nagrany przez niego film trafia do sieci i daje początek całej historii z Dniem Dziewcząt.

## *Margot*

- To musi być fałszywka.
- Fox News mówi, że nie.
- Fox News powie cokolwiek, byle tylko ludzie ich oglądali.
- Fakt. Ale jednak.
- Co to są te kreski od jej rąk?
- Elektryczność.
- Ale to przecież... To znaczy...
- No.
- Skąd się wzięło to nagranie?
- Nigeria, chyba. Pojawiło się wczoraj.
- Daniel, w necie jest masa wariatów. Nerdów. Oszustów.
- Jest więcej nagrań. Jakies cztery czy pięć.
- Fałszywki. Ludzi to kręci. Jak to się nazywa... memy. Słyszałeś o tej bajce, Slender Man? Podobno jakieś dziewczyny próbowały zabić koleżankę w ofierze dla niego. Dla tego czegoś. Koszmar.
- Cztery czy pięć co godzinę, Margot.
- Cholera.
- No.
- OK, i co ja miałabym z tym zrobić?
- Zamknij szkoły.
- Jezu, wyobrażasz sobie, jak zareagują rodzice? Wyobrażasz sobie miliony rodziców, wyborców, i co oni robią, jak wysłę wszystkie dzieciaki do domów?
- A ty wyobrażasz sobie, co będziesz miała od związków nauczycielskich, jak komuś stanie się krzywda? Kalectwo? Śmierć? Pomyśl, kto będzie odpowiadał.



– Śmierć?

– Nie wiadomo.

Margot wpatruje się w swoje dłonie, zaciśnięte na krawędzi biurka. Wyjdzie na idiotkę, jeśli go posłucha. To musi być jakiś żart, coś dla telewizji. Wyjdzie na kretynkę: pani burmistrz, która pozamykała szkoły w mieście z powodu głupiego dowcipu w sieci. Lecz jeśli ich nie pozamyka i coś się wydarzy... Daniel zostanie gubernatorem, który ostrzegał, który usiłował przekonać panią burmistrz, by coś zrobiła, ale niestety. Oczywiście wyobraźni widzi go roniącego łzy podczas wywiadów na żywo, wprost z rezydencji gubernatora. Niech to szlag.

Daniel tymczasem sprawdza coś w telefonie.

– Zamknęli szkoły w Iowa i Delaware – mówi.

– W porządku.

– „W porządku” znaczy co?

– W porządku znaczy w porządku. Dobrze. Zamknę.

Przez cztery czy pięć kolejnych dni prawie nie wychodzi z pracy. Nie pamięta, żeby jeździła do domu, kładła się spać i tak dalej, chociaż pewnie musiała to robić. Telefon dzwoni bez przerwy. Chodzi do łóżka, ściskając go w dłoni, i budzi się razem z nim. Dziewczynki są u Bobby’ego, więc nie musi się nimi zajmować i, niech jej Bóg wybaczy, wcale o nich nie myśli.

Afera wybuchła nagle na całym świecie i nikt nie ma pojęcia, o co chodzi.

Na początku w telewizji zjawily się pewne siebie twarze, przedstawiciele Centrum Epidemiologii, którzy twierdzili, że to jakiś wirus, niezbyt groźny, w większości przypadków infekcja kończąca się całkowitym wyzdrowieniem, że to tylko tak wygląda, jakby młode dziewczyny raziły ludzi prądem. Przecież wszyscy wiemy, że to niemożliwe, prawda, to jakieś wariactwo – i prezenterzy śmiali się tak bardzo, że rozmazywał im się makijaż. Dla rozrywki zaproszono także oceanografów, żeby opowiedzieli o węgorzach elektrycznych i ich budowie. Nie ma jak facet z brodą, babka w okularach i ryba w akwarium – świetny materiał w bloku śniadaniowym. Czy wiecie państwo, że człowiek, który wynalazł baterię, wpadł na ten pomysł, gdy przyglądał się węgorzom elektrycznym? Nie miałam pojęcia, Tom, to niesamowite. Słyszałem, że są

w stanie ogłuszyć konia. Chyba żartujesz, niewiarygodne. Podobno jakieś laboratorium w Japonii wykorzystało elektryczność węgorzy do oświetlenia bożonarodzeniowej choinki. Ale chyba nie możemy zrobić czegoś takiego z tymi dziewczętami, jak myślisz? Myślę, że nie, Fiona, raczej nie. À propos, zauważyłaś, że Boże Narodzenie przychodzi z każdym rokiem coraz wcześniej? Czas na prognozę pogody.

Margot i całe jej biuro podchodzą do sprawy poważnie, na długo zanim stacje telewizyjne zrozumieją, że wszystko się dzieje naprawdę. To do Margot trafiają pierwsze raporty dotyczące bójek na placach zabaw i boiskach. Dziwnych, nowych bójek, po których chłopcy – głównie chłopcy, ale czasami też dziewczynki – tracą oddech, trzęsą się i mają blizny wijące się jak roślinne pędy na ramionach, nogach albo na brzuchu. Po wirusie kolejną hipotezą jest jakaś nowa broń, którą dzieciaki miałyby przynosić do szkoły, ale w miarę jak mija pierwszy, a potem drugi tydzień, staje się jasne, że chodzi o coś innego.

Chwytają się każdej teorii, nie wiedząc, jak odróżnić rzeczy prawdopodobne od wymysłów. Późnym wieczorem Margot dostaje do przeczytania raport, w którym naukowcy z Delhi jako pierwsi opisują mięsień poprzecznie prążkowany położony wzdłuż kości obojczykowych, który określają jako „organ elektryczny” albo „zwój”, z powodu skręconych mocno włókien. Na końcach mostkowych obojczyków, twierdzą autorzy, znajdują się receptory elektryczne umożliwiające coś w rodzaju elektrycznej echolokacji. Zaczątki zwoju zaobserwowano w obrazowaniu metodą rezonansu magnetycznego na kościach obojczykowych noworodków płci żeńskiej. Margot kseruje raport i każe rozesłać do wszystkich szkół w stanie. To jedyny kawałek solidnej wiedzy, na jaki trafili od wielu dni wśród najdziwniejszych andronów i wziętych z sufitu hipotez. Nawet Daniel przez chwilę jest wdzięczny, zanim przypomni sobie, że jej nienawidzi.

Pewien antropolog z Izraela pisze, że istnienie tego narządu u ludzi potwierdza koncepcję wodnej małpy – że jesteśmy pozbawieni sierści, ponieważ pochodzimy z oceanu, a nie z dżungli, i kiedyś byliśmy postrachem głębin tak samo jak węgorze elektryczne czy ryby drętwokształtne. Kaznodzieje i teleewangeliści rzucają się na nowe informacje i wyciskają z nich ostatnie soki, znajdując nieomylnie oznaki nadciągającego końca świata. W jednym z programów publicystycznych dochodzi do szarpaniny między pewnym

naukowcem, żądającym chirurgicznego badania „elektrycznych dziewcząt”, i popularnym kaznodzieją, który twierdzi, że są one zwiastunem apokalipsy i żadnemu człowiekowi nie wolno ich dotykać. Rozwija się dyskusja, czy nowa cecha była zawsze ukryta w ludzkim genomie i teraz została aktywowana, czy też może jest to mutacja, aberracja oraz deformacja.

Przed snem Margot myśli o skrzydlatych mrówkach, które każdego lata jednego dnia pojawiają się w takich ilościach, że dom nad jeziorem po prostu w nich tonie. Pokrywają ziemię grubą warstwą, siadają na ścianach, mrowią się na pniach i latają w powietrzu tak gęsto, że człowiek się boi, żeby ich nie wciągnąć do płuc przy oddychaniu. Normalnie żyją pod ziemią, cały rok, osobno. Wykluwają się z jajeczek, żywią się czymś tam – korą czy nasionami – i czekają. Aż pewnego dnia, przy odpowiedniej temperaturze i wilgotności, po prostu wylatują, wszystkie naraz. I szukają się wzajemnie. Margot nikomu nie powiedziała o tych myślach. Uznaliby ją za wariatkę, stres zaszkodził jej na głowę, a wiadomo przecież, że są tabuny chętnych na jej miejsce. Leży jednak wieczorem w łóżku, po całym dniu czytania sprawozdań o poparzonych dzieciach, dzieciach, które dostają drgawek, o gangach dziewczyn zatrzymywanych w areszcie dla ich własnego bezpieczeństwa, i myśli: Dlaczego teraz? Dlaczego akurat teraz? I znowu przychodzą jej do głowy te mrówki, czekające na właściwy moment, czekające na wiosnę.

Po trzech tygodniach dzwoni Bobby z wiadomością, że Jocelyn została złapana w trakcie bójki.

W szkołach rozdzielili chłopców i dziewczynki już piątego dnia, kiedy stało się jasne, że to dotyczy tylko dziewczynek. Niektórzy rodzice już mówią synom, żeby nie wychodzili sami na dwór, nie odchodzili daleko od domu i szkoły. „Jak się zobaczy coś takiego... – mówi w telewizji poszarzała na twarzy kobieta, potrząsając głową. – Widziałam, jak w parku dziewczyna zaatakowała chłopca, bez żadnego powodu. Krew leciała mu z oczu. Z oczu. Jak się coś takiego zobaczy, to żadna matka nie przestanie pilnować swoich synów”.

Szkoły nie mogły zostać dłużej zamknięte; trzeba było na nowo zorganizować naukę. Autobusy tylko dla chłopców zabierały uczniów do męskich szkół. Nikt nie protestował. Wystarczyło obejrzeć kilka nagrań w sieci, żeby strach chwycił człowieka za gardło.

Ale z dziewczynami nie było tak prosto. Nie można odseparować ich od siebie nawzajem. Niektóre są zbuntowane, inne wredne, a kiedy już wszystko wyszło na jaw, znalazło się wiele takich, które chciały pokazać swoją siłę w walce. Zaczęły się wypadki i okaleczenia, raz jedna dziewczynka oślepiła drugą. Nauczycieli ogarnął strach. Telewizyjni eksperci oznajmiali: „Pozamykać je w zakładach o zaostrzonym rygorze”. Tymczasem chodzi o piętnastolatki, praktycznie wszystkie. Nie można ich pozamykać, to bez sensu. Tylko że ludzie żądają podjęcia działań.

A teraz Jocelyn została przyłapana podczas bójki. Dziennikarze się dowiadują, zanim Margot zdąży dotrzeć do domu. Kiedy zajeżdża jej samochód, wozy transmisyjne ustawiają się właśnie na trawniku pod oknami. Pani burmistrz, czy może pani skomentować doniesienia, że pani córka okaleczyła chłopca, którego przewieziono następnie do szpitala?

Nie, nie może teraz nic komentować.

Bobby siedzi w salonie z Maddy, która ulokowała się na kanapie między jego kolanami. Mała pije mleko i ogląda *Atomówki*. Podnosi wzrok, kiedy Margot wchodzi do pokoju, ale nie rusza się z miejsca i od razu spogląda z powrotem na ekran. Dziesięć lat, a niedługo piętnaście. Dobra. Margot całuje ją w czubek głowy, chociaż Maddy uchyla się, żeby widzieć telewizor. Wymieniają z Bobbym uścisk dłoni.

– Gdzie Jos?

– Na górze.

– I jak?

– Przerażona.

– No tak.

Margot cicho zamyka za sobą drzwi do pokoju córki.

Jocelyn siedzi na łóżku ze swoim starym misiem w ramionach. Przecież to jeszcze dziecko, tylko dziecko.

– Powinam była przyjechać – mówi Margot – jak tylko się to wszystko zaczęło. Przepraszam.

Jocelyn wygląda, jakby miała się rozplakać. Margot siada ostrożnie na łóżku.

– Tata mówi, że nie zrobiłaś nikomu krzywdy, nic wielkiego.

Robi pauzę, ale Jocelyn milczy, więc mówi dalej:

– Były jeszcze... trzy inne dziewczynki? Wiem, że to one zaczęły. Ten chłopiec w ogóle nie powinien się koło ciebie znaleźć. Już go wypisali ze szpitala. Skończyło się na strachu.

– Wiem.

Świetnie. Jakaś odpowiedź. Początek.

– Czy to był... czy pierwszy raz coś takiego zrobiłaś?

Jocelyn przewraca oczami i skubie brzeg koca.

– To dla nas coś całkiem nowego, prawda? Od dawna to robisz?

Jocelyn mówi tak cicho, że Margot ledwie słyszy.

– Pół roku.

– Pół roku?!

Błąd. Nigdy nie okazuj niedowierzania ani przestraszu. Jocelyn podciąga kolana pod brodę.

– Przepraszam – mówi Margot. – Po prostu... po prostu jestem zaskoczona.

Jos marszczy brwi.

– Dużo dziewczyn zaczęło jeszcze przede mną. To było takie... Taka zabawa. Na początku. Jak zabawa z elektryzowaniem.

Elektryzowaniem? Na przykład pocieraniem balonu i przykładaniem do włosów? Typowa rozrywka sześciolatek na nudnych przyjęciach urodzinowych.

– Taka zabawa dla dziewczyn. W necie były różne filmy, ukryte. Jak robić różne sztuczki.

Właśnie. Dokładnie w tym wieku sekrety przed rodzicami stają się atrakcyjne. Cokolwiek, o czym oni nie wiedzą.

– I jak... jak się tego nauczyłaś?

– Nie wiem – mówi Jos. – Po prostu jakoś tak wiedziałam, że mogę to zrobić. Taki jakby przełącznik.

– Czemu nic nie mówiłaś? Czemu mi nie powiedziałaś?

Margot patrzy przez okno. Za wysokim ogrodzeniem na tyłach domu przybywa reporterów i kamerzystów.

– Nie wiem.

Margot przypomina sobie, jak próbowała rozmawiać z własną matką o chłopcach albo o tym, co się działo na prywatkach. Jak daleko jest za daleko. Gdzie dłoń chłopaka powinna się zatrzymać. Pamięta doskonale kompletną niemożność, niemożliwość takich rozmów.

– Pokaż mi.

Jos marszczy brwi.

– Nie mogę... Zrobiłabym ci krzywdę.

– Ćwiczyłaś to? Masz na tyle wyczucia, żeby mnie nie zabić albo żebym nie dostała drgawek?

Jos robi głęboki wdech. Wydyma policzki. Powoli wypuszcza powietrze ustami.

– Tak.

Margot kiwa głową. To jest Jos, jaką zna: sumienna i poważna. Ciągle ta sama Jos.

– To mi pokaż.

– Ale nie umiem kontrolować tak, żeby cię nie bolało.

– Jak mocno?

Jos rozstawia szeroko palce, patrzy na dłonie.

– U mnie to się pojawia i znika. Czasami jest mocne, a czasami w ogóle.

Margot zaciska wargi.

– OK.

Jos wyciąga rękę, ale zaraz ją cofa.

– Nie chcę tego robić.

Kiedyś do Margot należało pielęgnowanie każdego zakamarka ciała tego dziecka. Teraz powinna poznać też jego siłę, siłę własnej córki.

– Starczy już tych tajemnic. Pokaż mi.

Jos jest bliska łez. Kładzie dwa palce, wskazujący i środkowy, na ramieniu matki. Margot czeka na jakieś działanie, aż Jos coś zrobi: wstrzyma oddech, zmarszczy brwi albo napnie mięśnie. Ale nic takiego się nie dzieje. Tylko pojawia się ból.

Czytała wstępne sprawozdania z Departamentu Zdrowia, opisujące, że nowa

moc „oddziałuje szczególnie na receptory bólowe”, co oznacza, że chociaż atak wygląda na zwykłe porażenie prądem, ból jest o wiele większy, niż powinien być w takich okolicznościach. To specyficznie ukierunkowany impuls elektryczny, pobudzający zakończenia nerwowe. Jednak oczekiwała też widocznych oznak – marszczącej się skóry albo chociaż łuku elektrycznego, uderzającego szybko jak wąż.

Zamiast tego czuje zapach mokrych liści po burzy. Jak w sadzie, kiedy opadłe jabłka zaczynają już gnić, jak w gospodarstwie rodziców.

A potem ból. Zaczyna się jak tępy ból kości, idący od miejsca, gdzie Jos przyłożyła palce. Jak grypa, wędrująca przez mięśnie i stawy. Potem narasta. Coś łamie jej kości, rozkręca je, zgina, a ona chciałaby powiedzieć „stop”, ale nie może otworzyć ust. Prąd biegnie w kości, jakby rozłupywał ją od środka; oczyma wyobraźni widzi guz, zbitą lepka masę wydostającą się ze szpiku na zewnątrz, rozsadzającą kość łokciową i promieniową na ostre odłamki. Robi jej się niedobrze. Chce zacząć krzyczeć. Ból przenika jej ramię i razem z falą mdłości ogarnia całe ciało. Teraz jest już wszędzie; czuje jego dotknięcie w głowie, wzdłuż kręgosłupa, w gardle i na obojczykach.

Obojczyk. Wszystko trwa zaledwie parę sekund, ale dłuży się w nieskończoność. Tylko ból może tak obudzić świadomość całego ciała i dzięki niemu Margot zauważa echo, odpowiedź rezonującą w jej piersi. Pomiedzy górami i dolinami bólu – odzew, gdzieś za obojczykami. Jakby rozpoznanie.

Coś jej to przypomina. Zabawę z dzieciństwa. Śmieszne – zapomniała o niej na tyle lat. Nigdy nikomu nie opowiadała; wiedziała, że nie powinna, chociaż nie wiedziała dlaczego. W tej zabawie była czarownicą i umiała stworzyć kulę ognia w zagłębieniu dłoni. Bracia bawili się, że są kosmicznymi wojownikami, i biegali z plastikowymi miotaczami dołączanymi do paczek płatków kukurydzianych, ale ona bawiła się w swoją zabawę sama, wśród buków wyznaczających granice gospodarstwa. Nie potrzebowała laserowych miotaczy ani hełmów, ani miecza świetlnego. W tej zabawie wystarczała sama sobie.

Teraz w klatce piersiowej, w ramionach i dłoniach czuje narastające łaskotanie. Jakby budziła się z odrętwienia. Ból nie zniknął, ale stracił znaczenie. Dzieje się coś innego. Odruchowo zanurza drugą dłoń w narzucie na łóżku Jocelyn. Czuje zapach opadłych liści, jakby znowu znalazła się pod

osłoną wysokich drzew, wśród woni zbutwiałego drewna i gliniastej ziemi.

I posłała błyskawicę aż po krańce ziemi.

Kiedy otwiera oczy, wokół jej dłoni układa się wzór. Koncentryczne koła, na zmianę jasne i ciemne, wypalone na narzucie, przy jej ręce. I Margot już wie, odnalazła ten przełącznik, i uświadamia sobie, że chyba zawsze wiedziała o mocy, że miała ją od początku. Aby ujęła ją w dłoń. Aby przykazała jej uderzyć.

– O Boże – mówi. – O Boże.



## *Allie*

Allie siada na nagrobku, odwraca się, żeby spojrzeć na nazwisko – zawsze poświęca chwilę zmarłym: Hej, jak się masz, Annabeth MacDuff, kochana żono i matko, spoczywaj w pokoju? – i zapala marlboro.

Ponieważ papierosy należą do czterech czy pięciu tysięcy przyjemności tego świata, które pani Montgomery-Taylor uznaje za obrazę wobec Pana naszego Jezusa Chrystusa, już sam żar, wciąganie dymu i wydmuchiwanie szarej smugi spomiędzy rozchyłonych warg równa się powiedzeniu: Wal się, pani Montgomery-Taylor, wal się razem ze swoimi kościółkowymi babskami oraz pierdolonym Jezusem Chrystusem we własnej osobie. Wystarczyłoby zapalić zwyczajnie, to i tak robi wrażenie i wiele obiecuje wyczekującym chłopcom. Lecz Allie nie ma ochoty na zwyczajne zapalanie.

Kyle wskazuje brodą na jej dłoń i mówi:

– Słyszałem, że jakieś chłopaki w Nebrasce zabiły w zeszłym tygodniu dziewczynę za coś takiego.

– Za palenie? Niefajnie.

Odzywa się Hunter:

– Prawie wszyscy w szkole wiedzą, że umiesz to robić.

– I co z tego?

Hunter:

– Twój ojciec mógłby to wykorzystać w swojej fabryce. By oszczędzić prąd.

– To nie jest mój ojciec.

Ponownie przepuszcza srebrną iskrę między palcami. Chłopcy patrzą uważnie.

Zachodzi słońce i cmentarz ożywa głosami świerszczy i nawołujących żab, które wyczekują deszczu. Trwa długie, upalne lato. Ziemia jest spragniona.

Pan Montgomery-Taylor jest właścicielem zakładów paczkujących mięso, tutaj, w Jacksonville, i jeszcze w Albany, a nawet w Statesboro. Nazywają to

paczkowaniem, ale tak naprawdę chodzi o produkowanie mięsa. Zabijanie zwierząt. Kiedy Allie była młodsza, pan Montgomery-Taylor zabrał ją na zwiedzanie. Był taki czas, kiedy lubił uważać się za dobrego obywatela pokazującego dziewczynce prawdziwy świat. Jest z siebie trochę dumna, że patrzyła na wszystko spokojnie, bez odwracania głowy i bez fochów. Jedną dłoń pana Montgomery'ego-Taylora ścisnęła jej ramię niczym obcęg, podczas gdy druga wskazywała zagrody, do których zapędza się świny, zanim pójdą pod nóż. Świny to inteligentne zwierzęta, jeśli się przestraszą, mięso będzie gorsze w smaku. Trzeba z nimi uważać.

Kurczaki nie są inteligentne. Allie musi stać i patrzeć, jak są wyjmowane ze skrzynek, białe i piórkowo-puchate. Później się je chwytają, podnosi i odwraca brzuchem do góry, aż pokazują się śnieżnobiałe kupry, a potem zaczepia nóżki w uchwytach na taśmie, która za chwilę przeciąga kurze głowy przez zbiornik z płynem pod napięciem elektrycznym. Szarpia się i piszczy, aż jeden za drugim najpierw sztywnieją, a później zwisają bezwładnie.

– Robimy im przysługę – stwierdza pan Montgomery-Taylor. – Nie mają pojęcia, skąd dostały.

Po czym się śmieje, a razem z nim jego pracownicy.

Allie zauważa, że jeden czy dwa kurczaki podnoszą jeszcze głowy. Elektryczna kąpiel ich nie ogłuszyła. Są przytomne, kiedy taśma przesuwają dalej, by zanurzyć we wrzątku.

– Wydajnie, higienicznie i humanitarnie – oświadcza pan Montgomery-Taylor.

Allie przypomina sobie natchnione przemowy pani Montgomery-Taylor na temat piekła, tnących noży oraz ukropu, które czekają na ciała grzeszników razem z kotłami z wrzącą oliwą i rzekami stopionego ołowiu.

Ma wielką ochotę podbiec do kurczaków, pozdejmować je z uchwytów i uwolnić, dzikie i wściekłe. Żeby rzuciły się na pana Montgomery'ego-Taylora, krwawo mszcząc się pazurami i dziobami. Ale słyszy głos, który mówi: To nie jest dobra chwila, córko. Twój czas jeszcze nie nadszedł. Ten głos nigdy jej nie oszukał, przez całe życie. Więc Allie kiwa głową i mówi:

– Bardzo ciekawe. Dziękuję, że pan mnie tu przywiózł.

Niedługo po wycieczce do fabryki zauważyła u siebie nową umiejętność. Nie

była zaskoczona; to było tak, jak się któregoś dnia zauważyła, że już się ma długie włosy. To musiało się rozwinąć od zawsze, niepostrzeżenie.

Jedli właśnie obiad. Allie sięgnęła po widelec i iskra przeskoczyła z jej dłoni na metal.

Głos powiedział wtedy: Zrób to znowu. Możesz sprawić to jeszcze raz. Skup się.

Allie jakby przełączyła coś w piersi i proszę, znowu pojawiła się iskra.

Dobra dziewczynka, pochwalił ją głos, ale nie pokazuj im, to nie jest dla nich.

Pani Montgomery-Taylor nic nie zauważyła i pan Montgomery-Taylor też nie zauważył. Allie miała spuszczone oczy i twarz bez wyrazu.

Głos dodał: To pierwszy z moich darów dla ciebie, córko. Naucz się go używać.

Zaczęła ćwiczyć w swoim pokoju. Stwarzała iskry, przeskakując z dłoni na dłoń. Rozjaśniała i przyciemniała światło lampki nocnej. Nauczyła się wypalać dziurkę w papierowej chusteczce; ćwiczyła tak długo, aż dziurka stała się mała jak nakłucie szpilką. I jeszcze mniejsza. To wymagało ciągłej, skupionej uwagi. Potrafiła tak. Nie słyszała o nikim innym, kto umiałby iskry zapalić papierosa.

Głos powiedział: Nadejdzie dzień, kiedy trzeba będzie tego użyć. Wtedy będziesz wiedziała, co zrobić.

Zwykle pozwala chłopakom na dotykanie, jeśli im zależy. Myślę, że po to właśnie przyjechali dzisiaj na cmentarz. Dłoń przesuwaną się po udzie, papieros wyjęty z ust jak cukierek, trzymany z boku podczas całowania. Kyle kładzie jej rękę w tali, po czym zabiera się do wyciągania jej bluzki ze spodni. Allie zatrzymuje go gestem, ale on tylko się uśmiecha.

– No chodź – mówi. Dalej ciągnie za materiał.

Allie razi go w grzbiet dłoni. Nie mocno. Akurat tyle, żeby przestał.

Kyle zabiera rękę. Krzywi się, spogląda na nią i na Huntera.

– No co jest?

Ona wzrusza ramionami.

– Nie chce mi się.

Hunter siada obok niej z drugiej strony. Teraz jest ściśnięta między nimi, między ich napierającymi ciałami. Spodnie, wypchane koło rozporków,

wymownie świadczą o ich zamiarach.

– No dobra – mówi Hunter – ale rozumiesz, kazałaś nam tu przyjechać i nam się chce.

Obejmuje ją w pasie, kciukiem gładzi po piersi. Jego duże dłonie trzymają ją pewnie.

– Chodź – mówi. – Zabawimy się, tylko we trójkę.

Pochyla się, żeby ją pocałować.

Allie lubi Huntera. Ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie i silne ramiona. Spędzili razem miłe chwile. Ale nie po to tutaj przyszli. Ma przeczucie co do dzisiejszego dnia.

Razi go pod pachą. Jednym z tych swoich ukłuc, prosto w mięsień, precyzyjnych i starannych, tnących jak cienki nóż, w górę aż do barku. Zwiększa moc, jakby coraz silniej rozpaliała lampę, jakby nóż był z płomienia.

– Ała! Kurwa! – woła Hunter i odskakuje. – Ja pierdołę!

Łapie się prawą ręką pod lewą pachą, usiłując rozmasować bolące miejsce. Lewe ramię całe drży.

Kyle wpada w złość i przyciąga ją do siebie.

– Po co nas tu ciągnęłaś, jak teraz...

Allie razi go w gardło, tuż pod brodą, jakby przeciągała metalowym ostrzem po krtani. Dolna szczęka opada mu bezwładnie i chłopak wydaje odgłosy, jakby się krztusił. Może oddychać, ale nie daje rady nic powiedzieć.

– Spierdalaj! – krzyczy Hunter. – Nie zabieramy cię z powrotem!

Wycofuje się. Za nim Kyle, który jedną ręką zakłada plecak, a drugą ciągle trzyma się za gardło.

– ...pie...ala...! – woła, kiedy wracają do samochodu.

Allie zostaje jeszcze długo po zmierzchu, leżąc na wznak na grobie Annabeth MacDuff, niech spoczywa, zapalając iskrą kolejne papierosy i wypalając je do filtra. Wieczorne szmery i hałasy narastają dookoła, a ona myśli: Spróbujcie mi coś zrobić.

Mówi wreszcie do głosu: Hej, mam, to dzisiaj, prawda?

Głos odpowiada: Jasne, córciu. Gotowa?

Allie mówi: Idziemy.

Wspina się po treliazu, żeby dostać się do domu przez okno. Buty związała sznurówkami i powiesiła na szyi. Stawia pewnie stopy i mocno chwytą się dłońmi. Kiedyś, gdy była młodsza, pani Montgomery-Taylor zobaczyła ją wspinającą się po drzewie, raz, dwa, trzy i już była na górze, i powiedziała: „Spójrz tylko, włązi na drzewo zupełnie jak małpa”. Tonem, jakby dokładnie czegoś takiego się spodziewała. Jakby tylko czekała, aż się potwierdzi.

Allie dociera do okna. Zostawiła je uchylone; teraz podnosi dolną szybę, ściąga buty z szyi i wrzuca do środka. Potem sama wsuwa się do pokoju. Spogląda na zegarek – nie spóźniła się nawet na kolację i nikt nie ma powodu, żeby się czepiać. Parska zduszonym śmiechem, niskim i skrzekliwym. I w odpowiedzi słyszy inny śmiech. Wtedy zdaje sobie sprawę, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Wie kto to, oczywiście.

Pan Montgomery-Taylor podnosi się z fotela jak jedna z długoramiennych maszyn z jego fabryki. Allie wciąga powietrze, ale zanim zdąży powiedzieć choć słowo, on bardzo mocno uderza ją w twarz wierzchem dłoni, tenisowym bekhendem. Trzaśnięcie w jej szczęce brzmi niczym odgłos piłki uderzającej w naciąg rakiety.

Jego furia jest zawsze bardzo powściągliwa, bardzo cicha. Im mniej mówi, tym bardziej jest rozjuszony. Sporo wypił, Allie czuje alkohol, i jest wściekły. Cedzi: „Widziałem cię. Widziałem cię na cmentarzu z chłopakami. Brudna. Mała. Dziwko”. Każde słowo podkreślone ciosem albo kopniakiem. Allie nie kuli się ani nie prosi, żeby przestał. Wie, że to tylko przedłuży sprawę. On kolanem rozpycha jej nogi i zaczyna rozpinać pasek. Zaraz jej pokaże, jaką jest wstrętną małą dziwką. Jakby nie pokazał już tyle razy wcześniej.

Pani Montgomery-Taylor siedzi w salonie na dole, słuchając muzyki z radia i popijając sherry, powoli, ale nieprzerwanie, małymi łyčzkami, które przecież się nie liczą. Nie interesuje jej, co pan Montgomery-Taylor porabia wieczorami na piętrze; przynajmniej nie włóczy się po okolicy, a ta dziewczyna na wszystko sobie zasłużyła. Gdyby, powiedzmy, dziennikarz z „Sun-Timesa”, z jakiegoś powodu zainteresowany codziennymi sprawami tego skromnego domu, podsunął jej w tej chwili mikrofon i spytał: „Pani Montgomery-Taylor, jak pani sądzi, co pani mąż robi właśnie z tą szesnastoletnią dziewczyną rasy mieszanej,

którą pani przygarnęła, kierując się chrześcijańskim miłosierdziem? Jak pani sądzi, co on robi, że ona tak krzyczy i się szarpie?”. Gdyby więc ją zapytano – ale kto miałby zapytać? – odpowiedziałyby: „No jak to, daje jej lanie, dokładnie to, na co zasłużyła”. A gdyby dziennikarz nie dawał się zbyć: „Więc co pani miała na myśli, mówiąc o włóczeniu się po okolicy?”, usta pani Montgomery-Taylor wykrzywiłyby się nieco, jakby poczuła niemiły zapach, a potem znowu zagościłyby na nich uśmiech i pani Montgomery-Taylor stwierdziłaby, głosem poufałym: „Przecież pan wie, jacy są mężczyźni”.

Innym razem, parę lat wcześniej, kiedy Allie leżała przygnieciona do łóżka, z wykrzywioną głową wciśniętą w zagłówek, a on jedną ręką trzymał ją za gardło – po raz pierwszy usłyszała głos wyraźnie. Słyszała go z oddali od bardzo dawna. Jeszcze zanim trafiła do państwa Montgomery-Taylorów, kiedy przenoszono ją z domu do domu i przekazywano z rąk do rąk, gdzieś zawsze towarzyszył jej stłumiony głos, który ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem.

Głos powiedział: Jesteś silna, przetrwasz to.

A Allie, kiedy on coraz mocniej zaciskał dłoń na jej gardle, zapytała: Mama?

I głos odpowiedział: Oczywiście.

Nic specjalnego się dzisiaj nie zdarzyło; nie można powiedzieć, żeby krzywdził ją bardziej niż zwykle. Tylko że każdego dnia człowiek trochę się rozwija, zdarza się coś nowego, aż w końcu, gdy minie wiele dni, niemożliwe staje się możliwe. Tak właśnie dziewczyna staje się kobietą. Krok za krokiem, aż do końca. Kiedy on wpycha się między jej nogi, Allie wie, że może wykonać swój plan. Że ma wystarczająco dużo siły; może ma tę siłę już od tygodni albo miesięcy, ale dopiero teraz zyskała pewność. Teraz może zrobić, co zamierzała, nie obawiając się porażki ani odwetu. Nagle to najprostsza rzecz na świecie, jakby wyciągnąć rękę i zgasić światło. Dlaczego nie zdecydowała się zgasić tego starego światła już dawno?

Mówi do głosu: Teraz, tak?

Głos odpowiada: Sama wiesz najlepiej.

W pokoju rozchodzi się zapach deszczu. Pan Montgomery-Taylor podnosi głowę, myśląc, że wreszcie zaczęło padać, że wyschnięta ziemia pije wodę wielkimi łykami. Przez chwilę martwi się, że może zacinać do pokoju, ale i tak ogarnia go zadowolenie na myśl o deszczu, kiedy dalej robi to, co robi.

Tymczasem Allie podnosi ręce i dotyka jego skroni, prawej i lewej. Czuje, jak dłonie matki obejmują jej chude palce. To lepiej, że pan Montgomery-Taylor nie patrzy na nią, tylko za okno, wypatrując deszczu, którego nie ma.

I uczyniła przejście dla błyskawicy, i wskazała drogę burzy.

Błyska białe światło. Srebrne iskry przeskakują przez jego twarz, czoło, usta, zęby. Zgina się wół i odpada od niej. Jego ciało trzęsie się i szarpie, zęby szczękają. Wali się na podłogę z hukiem i Allie boi się, że pani Montgomery-Taylor coś usłyszała. Ale radio gra głośno, więc nikt nie wchodzi po schodach i nikt nie pyta, co się stało. Allie podciąga majtki i dzinsy i pochyła się, żeby popatrzeć. Na jego ustach wykwita czerwona piana, plecy wygięły się do tyłu, a dłonie wyglądają jak szpony. Chyba nadal oddycha. Allie myśli: gdyby teraz kogoś zawołać, mógłby przeżyć. Więc przykładła dłoń do jego piersi i zbiera moc, jaka jej została. Razi go dokładnie w serce, tam, gdzie istotą ludzką kierują impulsy elektryczne. A on nieruchomieje.

Zabiera z pokoju parę rzeczy. Pieniądze schowane w skrytce pod parapetem, kilka dolarów, ale na razie wystarczy. Radio na baterie, które pani Montgomery-Taylor dostała jako dziewczynka, a potem podarowała jej jednym z tych miłych gestów, które potrafią zaciemniać i tłumić nawet jasną i prostą czystość cierpienia. Telefon zostawia, bo słyszała, że telefony można namierzyć. Spogląda niepewnie na małą figurkę Jezusa z kości słoniowej na mahoniowym krzyżu, wiszącą nad łóżkiem.

Weź go, mówi głos.

Czy dobrze zrobiłam?, pyta Allie. Jesteś ze mnie dumna?

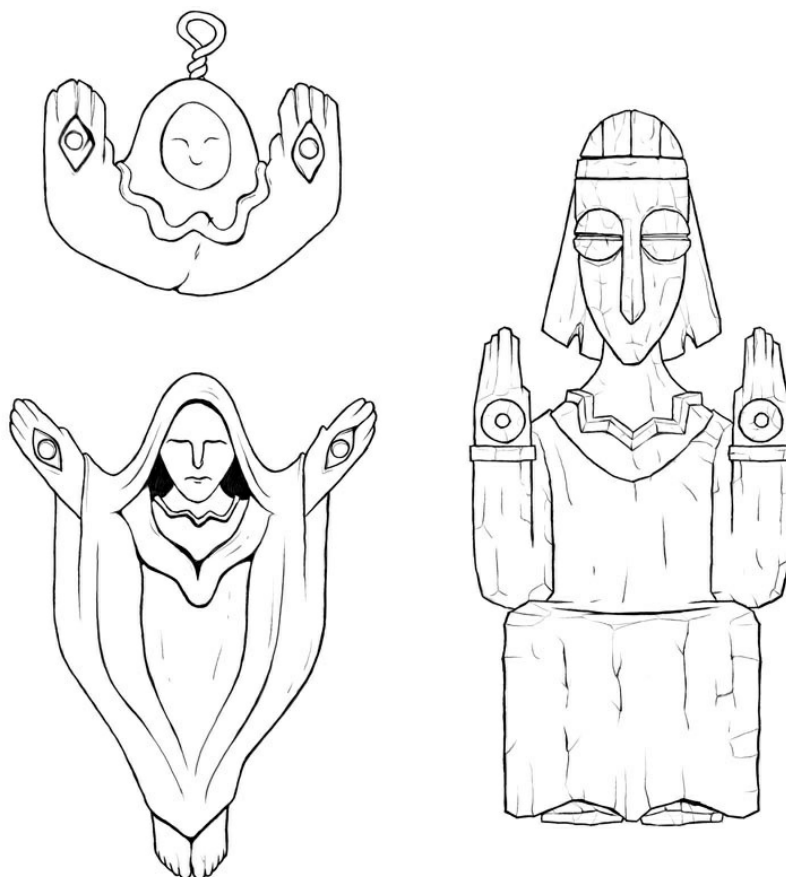
Bardzo dumna, córko. I dasz mi jeszcze wiele powodów do dumy. Dokonasz wielkich rzeczy.

Allie wrzuca krzyżyk do torby. Zawsze wiedziała, że nikomu nie wolno powiedzieć o głosie. Umie dotrzymywać tajemnic.

Spogląda po raz ostatni na pana Montgomery'ego-Taylora, zanim wysunie się przez okno. Może nie wiedział, skąd dostał. Ale ona ma nadzieję, że wiedział. Żałuje, że nie mogła posłać go jeszcze żywego do kadzi z wrzątkiem.

Schodząc w dół po treliazu, a potem przecinając trawnik, myśli, że może powinna była przed odejściem zabrać nóż z kuchni. Ale potem przypomina sobie – i wybucha śmiechem – że poza krojeniem chleba żaden nóż nie jest jej

do niczego potrzebny, absolutnie do niczego.



*Trzy artefakty przedstawiające Boską Matkę, wiek: około 500 lat. Znalezione podczas wykopalisk w Sudanie Południowym.*



*Jeszcze dziewięć lat*

## Allie

Allie wędruje i ukrywa się, ukrywa się i wędruje przez osiemdziesiąt dwa dni. Kiedy jest okazja, prosi o podwiezienie, ale głównie idzie pieszo.

Najpierw bez problemu znajdują się chętni, by podwieźć szesnastoletnią dziewczynę, która podróżuje zygzakami po okolicy, zacierając ślady. Jednak im dalej na północ i im bardziej lato zamienia się w jesień, tym mniej kierowców reaguje na wyciągniętą dłoń z kciukiem wskazującym kierunek podróży. Większość gwałtownie, jakby w panice, skręca, żeby ją ominąć, chociaż to nie autostrada. Jakaś kobieta robi znak krzyża, gdy mijają Allie, a jej mąż za kierownicą nawet nie zwalnia.

Zaraz na początku Allie kupiła w lumpeksie śpiwór. Trochę śmierdzi, ale wietrzy go codziennie rano; jak na razie nie padało. Cieszy ją ta podróż, chociaż przez większość czasu jest głodna i bolą ją nogi. Zdarzają się poranki, gdy budzi się o świcie i patrzy na ostre, jasne kontury drzew i drogę pozłoconą porannym słońcem; czuje wtedy, jak światło wypełnia jej płuca, i ogarnia ją zadowolenie. Pewnego dnia dołącza do niej szara lisica, która towarzyszy jej przez trzy dni, podążając w odległości paru metrów i nigdy nie podchodząc na tyle blisko, żeby Allie mogła jej dotknąć. Oddała się tylko jeden raz, żeby upolować szczura, i wraca z miękkim ciałem w zakrwawionym pysku.

Allie mówi do głosu: Czy to znak? A głos odpowiada: Tak. Idź dalej, kochana.

Nie czyta gazet i nie słucha radia. Nie wie, że ominął ją Dzień Dziewcząt. Nie wie, że właśnie on uratował jej życie.

*W Jacksonville pani Montgomery-Taylor weszła wieczorem po schodach na górę, spodziewając się zastać męża czytającego gazetę w gabinecie, a dziewczynę odpowiednio ukaraną za wszystkie występki. Ale w pokoju dziewczyny zobaczyła, co było do zobaczenia. Allie zostawiła pana Montgomery'ego-Taylora ze spodniami spuszczoneymi do kostek, z członkiem jeszcze w stanie wzwodu, z krwawą pianą przy ustach, płamiącą beżowy*

dywanik. Pani Montgomery-Taylor usiadła na skotłowanej pościeli i siedziała tak przez pół godziny, patrząc tylko na Clyde'a Montgomery'ego-Taylora. Oddychała – po pierwszym raptownym haucie powietrza – powoli i równo. Bóg dał, powiedziała w końcu do pustego pokoju, Bóg wziął. Podciągnęła Clyde'owi spodnie, założyła świeżą pościel i posłała łóżko, ostrożnie stąpając dookoła ciała. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie posadzić go na krześle w gabinecie i nie uprać dywanika, ale nie czuła się na siłach, mimo że ubolewała nad tą pozycją pozbawioną godności, z językiem na podłodze. Poza tym tak lepiej wyglądało – był w pokoju dziewczyny, próbował nauczać katechizmu.

Następnie wezwała policję i kiedy przyjechali o północy, pełni współczucia, złożyła zeznania. Jak przygarnęła pod swój dach wilczycę, jak uratowała wściekłą sukę. Miała zdjęcia Allie. To by wystarczyło, żeby złapać Allie w ciągu paru dni, gdyby nie telefony, które tej samej nocy rozdzwoniły się na posterunkach. W Albany, w Statesboro i w całym kraju, roznosząc się, rozgałęziając i rozwidlając, obejmując komendy i posterunki policji niczym sieć.

W jakimś mieście na wybrzeżu, którego nazwy nigdy nie poznała, Allie znajduje dobre miejsce na nocleg w lesie na tyłach osiedla; to szczyt stromego skalistego urwiska z ciepłym, suchym zagłębieniem na górze. Zostaje tam przez trzy dni, bo głos mówi jej: Tutaj coś na ciebie czeka, moja córko. Poszukaj i znajdź to.

Allie prawie ciągle jest zmęczona i głodna, więc stale towarzyszy jej poczucie lekkiego oszołomienia, na swój sposób przyjemne. Słyszy głos o wiele wyraźniej, gdy jej mięśnie pozostają w drżącym napięciu, a od ostatniego posiłku minęło sporo czasu. Dawniej nawet kusilo ją, żeby przestawać jeść z tego powodu, tym bardziej że jest przekonana, że ten głos, jego niski ton, w którym pobrzmiewa rozbawienie, należy do jej matki.

Allie nie pamięta matki, chociaż wie, że ją miała, oczywiście. Świat rozpoczął się dla niej w jasnym blasku, kiedy miała jakieś trzy, cztery lata. Była w centrum handlowym, ktoś był z nią, pamięta, bo w jednej ręce miała balonik, a w drugiej loda, a ten ktoś – nie matka, na pewno, wiedziałaby, gdyby to była matka – tłumaczył: Musisz mówić do tej pani „ciociu Rose”, ona będzie dla ciebie dobra.

Właśnie w tym momencie po raz pierwszy usłyszała głos. Kiedy spojrzała w twarz „cioci Rose”, powiedział: Dobra? Ta, jasne. Akurat. Nie wydaje mi się.

Od tamtej pory nigdy jej nie zawiódł. Ciocia Rose okazała się wredną babą, która wyzywała Allie od najgorszych, kiedy tylko wypła, a wypić lubiła codziennie. Głos podpowiadał Allie, co robić, na przykład jak wybrać odpowiedniego nauczyciela w szkole i opowiedzieć mu tę czy inną historyjkę, tak żeby wcale nie wyglądała na zmyśloną.

Kolejna pani po cioci Rose była jeszcze gorsza, a pani Montgomery-Taylor była koszmarem. Ale przez te wszystkie lata głos uchronił ją od najgorszego. Nadal ma ręce, nogi i dwadzieścia własnych palców, chociaż czasami niewiele brakowało. A teraz mówi jej: Zostań tu. Zaczekaj.

Codziennie idzie do miasta i przesiaduje w miejscach, gdzie jest sucho, ciepło i nikt jej nie wyrzuca. W bibliotece. W kościele. W małym dusznym muzeum wojny secesyjnej. Aż trzeciego dnia udaje jej się wejść do oceanarium.

Jest już po sezonie i nikt specjalnie nie pilnuje wejścia. Zresztą to mały interes – pięć pomieszczeń na końcu pasażu handlowego. „Cuda podwodnego świata!” – oznajmia napis nad drzwiami. Allie czeka, aż facet sprzedający bilety wyjdzie na chwilę, żeby kupić coś do picia i zostawi kartkę „Zaraz wracam”, po czym uchyla drewniane drzwi i wchodzi do środka. Bo tam jest naprawdę ciepło. A poza tym głos powiedział jej, żeby szukała wszędzie. W każdym zakamarku.

Gdy tylko trafia do pomieszczenia pełnego jasno oświetlonych akwariów, w których różnokolorowe ryby płetwami przegarniają wodę, czuje, że tutaj jest coś dla niej. Czuje to w piersi, gdzieś pod obojczykami, aż do czubków palców. Coś tutaj jest – może jakaś dziewczyna, która potrafi to, co ona? Nie, nie dziewczyna. Allie próbuje to wykryć swoim specjalnym zmysłem, tym wibrującym wewnątrz. Widziała parę filmów w sieci: dziewczyny opowiadające, że umieją wyczuć, że jakaś kobieta w tym samym pomieszczeniu zaraz użyje mocy. Lecz nikt tego nie potrafi tak jak Allie. Odkąd zyskała moc, od samego początku, umie natychmiast rozpoznać, czy kobiety w jej otoczeniu też ją mają. I tutaj coś na pewno ją ma.

Znajduje to w przedostatnim akwarium. Mroczniejszym niż inne, bez kolorowych rybek z festonami pierzastych płetw. W środku, przyczajone na dnie zbiornika, powoli poruszają się długie, ciemne, wijące się stworzenia. Na

szybie akwarium przymocowany jest licznik ze wskazówką, która pokazuje zero.

Allie nigdy nie widziała takich zwierząt i nie wie, jak się nazywają.

Przykłada dłoń do szyby.

Jedno ze stworzeń porusza się, obraca i robi coś. Allie wyraźnie słyszy: szum i trzeszczenie. Wskazówka licznika podskakuje w górę.

Ale ona nie potrzebuje licznika, żeby wiedzieć, co się stało. Ta ryba właśnie raziła prądem.

Na ścianie obok akwarium wisi tablica. Informacje są tak ekscytujące, że Allie musi przeczytać wszystko trzy razy, uspokajając przy tym oddech. To są węgorze elektryczne. Potrafią robić niesamowite rzeczy. Pod wodą rażą ofiary prądem. Tak, naprawdę. Allie robi mały lśniący łuk między palcem wskazującym a kciukiem. Ryby poruszają się niespokojnie.

To nie wszystko, co potrafią. Umieją też sterować na odległość ruchami swoich ofiar, zakłócając impulsy elektryczne w ich mózгах. Jeśli zechcą, mogą zmusić ryby, żeby wpłynęły prosto do ich pysków.

Allie zastanawia się nad tym przez dłuższą chwilę. Jeszcze raz przykłada dłoń do szyby i patrzy na węgorze.

To rzeczywiście wielka potęga. Trzeba by nauczyć się panować nad mocą całkowicie. Przecież zawsze nad nią panowałaś, córko. Ale trzeba by się nauczyć, jak to robić. Przecież możesz się nauczyć.

Allie mówi w swoim sercu: Matko, gdzie mam teraz iść?

A głos odpowiada: Odejdź stąd i podążaj do miejsca, które ci wskażę.

Zawsze, od początku, mówił trochę jak z Biblii.

Wieczorem Allie rozgląda się za miejscem na nocleg, ale głos mówi jej: Nie, idź dalej. Nie przestawaj.

Jest strasznie głodna i czuje się dziwnie, kręci jej się w głowie, nachodzą ją myśli o panu Montgomerym-Taylorze, jakby jego wystający język nadal oblizywał jej ucho. Żałuje, że nie ma psa.

Głos mówi: Jesteś już prawie na miejscu, moje dziecko, nie martw się.

I nagle w ciemnościach Allie widzi światło, oświetloną tablicę. Na tablicy jest napisane: „Klasztor Sióstr Miłosierdzia. Posiłek dla bezdomnych, nocleg

dla potrzebujących”.

Głos oznajmia: Widzisz, wszystko się zgadza.

Do Allie dociera już tylko to, że za bramą zajmują się nią trzy kobiety, które podtrzymują jej ciało, mówią do niej „dziecko” i „kochanie” i wykrzykują radośnie, znalazłszy w jej torbie krucyfiks, znak tego, czego pragnęły dopatrzeć się w jej twarzy. Przynoszą jej jedzenie, kiedy siedzi półprzymknięta w ciepłym łóżku, w miękkiej pościeli, i tego wieczora żadna nie zapyta, kim właściwie jest i skąd do nich przyszła.

Niewiele uwagi poświęca się dziewczynce mieszanej rasy, bez domu i rodziny, która w tych czasach trafia do klasztoru na Wschodnim Wybrzeżu. Allie nie jest jedyną dziewczyną wyrzuconą na ten brzeg ani nie należy do najbardziej potrzebujących pomocy. Siostry cieszą się, że puste pokoje znowu się na coś przydadzą – budynek jest dla nich o wiele za duży, postawiony prawie sto lat temu, kiedy Pan całymi garściami powoływał kobiety do wiecznych zaślubin. Ale już trzy miesiące później trzeba sprowadzić piętrowe łóżka, podzielić wychowanki na klasy, stworzyć plan lekcji oraz szkółkę niedzielną i przypisać obowiązki wykonywane w zamian za wyżywienie i dach nad głową. Wiele się zaczęło dziać wśród ludzi i dawne rozwiązania znowu okazują się użyteczne. Dziewczęta trafiają na ulice – siostry miłosierdzia dają im schronienie.

Allie lubi skłaniać dziewczyny do zwierzeń. Dla kilku staje się powiernicą, przyjaciółką, i może porównać ich losy ze swoimi. Jest Savannah, która poraziła przyrodniego brata w twarz tak mocno, że, jak opowiada, „miał czerwoną pajęczynę na ustach, na nosie i nawet na oczach”. Savannah mówi o tym z przejęciem, żując gumę rozentuzjzmowana. Allie wbija widelec w łykowate mięso w gulaszu, który siostry podają na obiad trzy razy w tygodniu. Pyta: „Co masz zamiar teraz robić?”. Savannah odpowiada: „Znajdę jakiegoś lekarza, co mi to usunie. Wytnie całkiem i już”. To jest jakieś wyjście. Nad niektórymi dziewczynami rodzice urządzali modły, uznawszy, że wstąpił w nie diabeł. Są takie, które walczyły z innymi dziewczynami; niektóre również tutaj to robią. Jedna poraziła chłopaka, bo ją o to poprosił – ta opowieść budzi wielkie zainteresowanie. Czy naprawdę chłopaki to lubią? Chcą tego? W internecie można znaleźć fora, na których ludzie piszą, że tak.

Jest Victoria, która pokazała swojej matce, jak to robić. Jej matka, o czym Victoria mówi po prostu, jak o pogodzie, była tak mocno i tak często bita przez swojego męża, ojczyrna Victorii, że nie został jej ani jeden ząb. Victoria dotknięciem ręki obudziła w niej moc i nauczyła, jak jej używać, a wtedy matka wyrzuciła ją na ulicę, wyzywając od czarownic. Dziewczynom nie potrzeba żadnego forum, żeby to zrozumieć. Kiwiają głowami, a któraś podsuwa Victorii wazę z zupą.

W spokojniejszych czasach już dawno zjawiłaby się tu policja, opieka społeczna albo pracownicy kuratorium z pytaniem, co się dzieje z dziewczętami. Ale teraz władze są wdzięczne, że ktoś się nimi zajął i udziela im pomocy.

Któraś dziewczyna pyta Allie o jej historię. Allie wie, że nie może podać prawdziwego nazwiska, więc przedstawia się jako Ewa, a głos mówi: Dobry wybór, pierwsza między kobietami. Doskonały wybór.

Opowieść Ewy jest banalna, nie ma w niej nic wartego zapamiętania. Ewa jest z Augusty i rodzice wysłali ją do krewnych na dwa tygodnie, a kiedy wróciła, okazało się, że się wyprowadzili, nie wiadomo dokąd. Ma dwóch młodszych braci; może rodzice obawiali się o ich bezpieczeństwo – tak przypuszcza, chociaż nigdy nikogo nie skrzywdziła. Dziewczyny słuchają, kiwiają głowami i zwracają się ku następnej.

Nieważne, co zrobiłam, myśli sobie Allie, ważne, co zamierzam zrobić.

A głos dopowiada: Co Ewa zamierza zrobić.

Allie się zgadza: Tak.

Dobrze się czuje w klasztorze. Siostry są na ogół miłe, a towarzystwo kobiet jej odpowiada. Jak dotąd towarzystwo mężczyzn nie zrobiło na niej najlepszego wrażenia. Dziewczyny mają codzienne obowiązki, ale poza tym jest ocean do pływania i plaża do spacerów, na podwórku są huśtawki, a pełen spokoju śpiew w kaplicy ucisza wszystkie głosy w jej głowie. W tych spokojnych momentach Allie myśli: może mogłabym tu zostać na zawsze. Taką mam prośbę do losu, by mieszkać w domu Pana po kres swoich dni.

Jedna z zakonnicy, siostra Maria Ignacja, szczególnie przyciąga jej uwagę. Ma ciemną skórę, tak jak Allie, i łagodne brązowe oczy. Siostra Maria Ignacja lubi opowiadać historie o dzieciństwie Jezusa; o tym, że jego matka, Maria, zawsze

była dla niego dobra i przykazywała, by kochał wszystkie żywe istoty.

– Widzicie – mówi siostra Maria Ignacja do dziewcząt, które zgromadziły się, by jej posłuchać przed wieczornym nabożeństwem – nasz Pan właśnie od kobiety nauczył się kochać. A Maria zawsze czuwa nad dziećmi. Nad wami też czuwa i przyprowadziła was tu, do naszych drzwi.

Któregoś wieczora, kiedy dziewczyny już się rozeszły, Allie opiera głowę na kolanach siostry Marii Ignacji i pyta:

– Czy mogę tu zostać do końca życia?

Siostra głaszcze ją po włosach i mówi:

– Musiałabyś wstąpić do zakonu, żeby tu zostać. A przecież możesz chcieć robić w życiu różne rzeczy. Mieć męża i dzieci, chodzić do pracy.

Allie myśli: Zawsze to samo. Nigdy nie chcą, żebyś została na zawsze. Powtarzają, że cię kochają, ale nigdy nie pozwolą ci zostać.

Odpowiada jej głos, bardzo cicho: Córko, jeśli chcesz tu zostać, mogę to dla ciebie załatwić.

Allie pyta: Czy jesteś Marią, Matką Boską?

Głos mówi: Jeśli tak wolisz, kochanie. Jeśli tak będzie ci wygodniej.

Allie stwierdza: Nigdy nie chcą mnie zatrzymać, wiesz? Nigdy nigdzie nie zostaję.

Głos odpowiada: Jeżeli chcesz tu zostać, musisz zdobyć to miejsce na własność. Pomyśl, jak to zrobić. I nie martw się, dasz radę.

Dziewczyny bawią się, walcząc na niby, wypróbując na sobie nawzajem, co która potrafi. W morzu i na plaży rażą się elektrycznością. Allie też ćwiczy, ale nie tak otwarcie. Nie chce, żeby wiedziały, co robi, bo w głowie ma ciągle informacje o węgorzach elektrycznych. Wreszcie, po dłuższym czasie, udaje jej się sprowokować małe wyładowanie, które sprawia, że jakiejś dziewczynie drga ręka albo kolano.

– Au! – mówi Savannah, kiedy jej ramię podskakuje do góry. – Ktoś przeszedł po moim grobie!

– Ojej – mówi Victoria, gdy Allie zakłóca przepływ energii w jej mózgu – rozboleła mnie głowa. Nie mogę... nie mogę normalnie myśleć.



– Kurde! – woła Abigail, kiedy nagle drga jej kolano. – Złapał mnie skurcz od zimnej wody!

Nie potrzeba do tego wiele mocy i Allie nie sprawia nikomu bólu. Nigdy nie domyślają się, że to ona, niczym elektryczny węgorz, stojąca spokojnie w wodzie z głową nad powierzchnią, z otwartymi szeroko oczami.

Po kilku miesiącach niektóre dziewczyny zaczynają rozmawiać o odejściu z klasztoru. Allie – albo raczej Ewie, jak stara się myśleć o sobie, nawet kiedy jest sama – przychodzi do głowy, że one też mogą mieć swoje tajemnice; mogą się ukrywać, czekać, aż ta czy inna sprawa przycichnie.

Jedna z dziewcząt, na którą wołają Gordy, bo ma na nazwisko Gordon, pyta, czy Allie nie chciałyby z nią pójść. „Pojechałybyśmy do Baltimore – mówi. – Tam mieszka rodzina mojej mamy, pomogliby nam się jakoś urządzić”. Wzrusza ramionami. „Byłoby fajnie razem”.

Ewa nawiązała przyjaźnię, co Allie zawsze sprawiało trudność. Jest miła, spokojna i uważna w sytuacjach, w których Allie była najeżona i humorzasta.

Nie może wrócić, skąd przyszła, a zresztą do czego miałyby wracać? Ale też nikt nie będzie jej specjalnie szukał. Wygląda teraz inaczej – twarz ma bardziej pociągłą, szczuplejszą, zrobiła się wyższa. Jest w wieku, gdy dzieci zaczynają nabierać dorosłych rysów. Mogłyby pójść na północ do Baltimore albo do jakiegoś innego miasta, gdzieś w nieznanym, i znaleźć sobie pracę jako kelnerka. Za trzy lata nikt z Jacksonville by jej nie rozpoznał. Albo mogłyby zostać tutaj. Kiedy Gordy namawia ją: „Chodź ze mną”, Allie wie już, że woli nigdzie się nie ruszać. Jest tu szczęśliwsza niż kiedykolwiek w całym życiu. Podśłuchuje trochę pod drzwiami i na korytarzach, zawsze miała taki zwyczaj. Dziecko w niebezpieczeństwie musi zwracać większą uwagę na dorosłych niż dziecko w kochającej rodzinie.

Tak właśnie słyszy kłótnię między zakonnkami i dowiaduje się, że może nie będzie miała szansy pozostać w klasztorze.

To głos siostry Weroniki, która ma twarz jak z kamienia. Dobiaża zza drzwi saloniku siostr.

- Widziałyście to? – pyta. – Widziałyście, jak one to robią?
- Wszyscy widzieli – mruczy w odpowiedzi przeorysza.
- Więc jak możecie wątpić?

– Bajki – mówi siostra Maria Ignacja. – Dziecięce zabawy.

Głos siostry Weroniki jest tak silny, że drzwi zaczynają drżeć i Allie cofa się o krok.

– Czy Pismo Święte to bajki? Czy nasz Pan był kłamcą? Chce siostra powiedzieć, że diabeł nie istnieje i że kiedy Pan Jezus wypędzał demony z ludzi, bawił się w dziecięcą zabawę?

– Nikt tak nie mówi, siostrzo Weroniko. Nikt nie wątpi w Ewangelię.

– Widziałyście to w wiadomościach? Widziałyście, co one potrafią? Mają moc, której ludzie nie powinni posiadać! Skąd ona pochodzi? Wszystkie znamy odpowiedź. Chrystus mówił, skąd się biorą takie moce. To wiadomo.

W saloniku zapada cisza.

Siostra Maria Ignacja odzywa się spokojnym głosem:

– Słyszałam, że to wszystko przez skażenie środowiska. Czytałam interesujący artykuł w gazecie. Zanieczyszczenie atmosfery wywołuje taką mutację...

– To jest sprawa szatana. Diabeł chodzi po świecie i sprawdza, kto jest niewinny, a kto grzeszny. Daje moce grzesznikom, jak zawsze.

– Ależ nie – mówi siostra Maria Ignacja. – W ich oczach jest dobro. Przecież to dzieci, naszym obowiązkiem jest opieka nad nimi.

– Siostra zobaczyłaby dobro w oczach samego diabła, gdyby zapukał do drzwi z żalną historyjką i pustym brzuchem.

– Czy zrobiłabym coś złego? Gdyby nawet sam diabeł prosił, by go nakarmić?

Siostra Weronika się śmieje, śmiechem przypominającym szczekanie psa.

– Dobrze chęci! Dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło.

Przeorysza odzywa się, przerywając tę wymianę zdań.

– Już poprosiłyśmy kurię o poradę. Modlą się, by dać nam dobrą odpowiedź. Tymczasem Pan powierzył nam opiekę nad dziećmi.

– Młodsze dziewczyny przekazują moc dorosłym kobietom. To jest działanie diabła, jego podarek przekazywany z rąk do rąk, jak Ewa przekazała jabłko Adamowi.

– Nie możemy wyrzucić dzieci na ulicę.

- Diabeł przygarnie je do siebie.
- Albo będą głodować – mówi siostra Maria Ignacja.

Allie myśli o tym przez dłuższy czas. Mogłaby pójść dalej. Ale tutaj dobrze się czuje.

Głos mówi: Słyszałaś, co ona powiedziała. Ewa przekazała jabłko Adamowi.

Allie myśli: Może dobrze zrobiła. Może świat tego właśnie potrzebował. Małego potrząśnięcia. Czegoś nowego.

Głos odpowiada: Brawo, mądra dziewczynka.

Allie myśli: Czy jesteś Bogiem?

Głos pyta: Kim?

Allie myśli: Wiem, że mówisz do mnie, kiedy jestem w potrzebie. Wiem, że prowadzisz mnie dobrą ścieżką. Powiedz, co mam teraz zrobić. Powiedz mi.

Głos mówi: Gdyby świat nie potrzebował potrząśnięcia, po cóż moc by się teraz pojawiła?

Allie myśli: Bóg mówi światu, że potrzeba zmiany. Że dawne czasy dobiegły końca. Tak samo jak Jezus powiedział ludowi Izraela, że Boskie zamiary się zmieniły, że trzeba nowej wiary.

Głos stwierdza: Ziemia czeka na proroka.

Allie myśli: Ale na kogo?

Głos odpowiada: Przymierz się do tego, kochanie. Pamiętaj, że jeśli chcesz tu zostać, musisz zdobyć to miejsce na własność, żeby nikt ci go nie zabrał. Tylko wtedy będziesz bezpieczna, jeżeli będzie twoje.

## Roxy

Roxy widziała wcześniej, jak jej ojciec bije ludzi. Widziała, jak wali prosto w twarz, z sygnetami na palcach zaciśniętych w pięść, jakby od niechcienia, właśnie kiedy już się odwracał. Widziała, jak bije kogoś, aż tamten zalewa się krwią, pada na ziemię, wtedy Bernie kopie go w brzuch, raz za razem, a gdy kończy, wyciąga z kieszeni chustkę, wyciera ręce, patrzy na zmasakrowaną twarz gościa na podłodze i mówi: „Nie pogrywaj ze mną. Nie myśl, kurwa, że możesz sobie ze mną pogrywać”.

Zawsze chciała tak umieć.

Ojciec jest dla niej twierdzą. Schronieniem i orężem. Kiedy obejmuje ją ramieniem, ogarnia ją jednocześnie przerażenie i poczucie bezpieczeństwa. Zdarzało jej się uciekać z krzykiem przed jego pięściami. Widziała też, jak robi krzywdę ludziom, którzy próbowali ją skrzywdzić.

Zawsze tak chciała. To jedyna rzecz na świecie, którą warto umieć.

– Wiesz, co się stało, prawda, kotku? – pyta ją Bernie.

– Skurwysyn Primrose – mówi Ricky.

Ricky to najstarszy z jej przyrodnych braci.

Bernie mówi dalej:

– Zabicie twojej mamy to było wypowiedzenie wojny, kotku. Potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby wiedzieć na pewno, że dorwiemy sukinsyna. Ale teraz wszystko jasne. I jesteśmy gotowi.

Po pokoju przelatuje spojrzenie, najpierw między Rickym i Terrym, średnim bratem, a potem Terrym i Darrellem, najmłodszym. Trzech synów, których urodziła mu żona, a do tego Roxy. Roxy wie, dlaczego przez ostatni rok mieszkała u babci, a nie z nimi. W połowie swoja, w połowie obca, tak to z nią jest. Za daleko, żeby przychodziła w niedzielę na obiad, ale za blisko, żeby zostawić sprawę taką jak ta. Taka sprawa dotyczy ich wszystkich.

Roxy mówi:

– Powinniśmy go zabić.

Terry się śmieje.

Ojciec rzuca mu ciężkie spojrzenie i śmiech cichnie jak ucięty nożem. Nie zadziera się z Bernieem Monke'em. Nawet jak ktoś jest jego legalnym synem.

– Ona ma rację – mówi Bernie. – Masz rację, Roxy. Powinniśmy go zabić. Ale gość jest mocny i ma dużo znajomych, musimy być ostrożni. Jak się zdecydujemy, mamy tylko jedno podejście. Rozwalamy wszystko na raz.

Potem każą jej pokazywać, co potrafi. Roxy trochę się hamuje, rażąc jednego po drugim, aż drętwieją im ramiona. Darrellowi wymyka się przekleństwo, kiedy przychodzi jego kolej, a jej robi się trochę żal. Darrell jako jedyny zawsze był dla niej miły. Gdy ojciec przyprowadzał go po szkole do niej do domu, Darrell zawsze przynosił dodatkowe jajko niespodziankę z czekolady.

Na koniec Bernie, rozcierając mięśnie, pyta:

– To wszystko, co umiesz?

Więc pokazuje im więcej. Widziała różne rzeczy w internecie.

Idą za nią do ogrodu, na koniec, gdzie żona Berniego, Barbara, ma ozdobne oczko wodne pełne dużych pomarańczowych ryb pływających w kółko.

Jest zimno. Kroki szeleszczą w oszronionej trawie.

Roxy przykłęka i dotyka końcami palców wodnej tafli.

Nagle wokół roznosi się zapach jakby dojrzałych owoców, słodkich i soczystych. Zapach lata. W ciemnej wodzie coś błyska, słychać syczenie i trzask.

A potem ryby jedna po drugiej wypływają na powierzchnię brzuchami do góry.

– O kurwa! – mówi Terry.

– Ja pierdolę! – mówi Ricky.

– Mama się wścieknie – mówi Darrell.

Barbara Monke nigdy nie chciała widzieć Roxy, nawet po śmierci jej mamy, nawet po pogrzebie, nigdy. Przez chwilę Roxy cieszy się myślą, jak Barbara wraca do domu i widzi wszystkie swoje rybki zdechłe na amen.

– Załatwię to z waszą mamą – mówi Bernie. – To nam się może przydać, Rox, mała.

Bernie wyszukuje dwóch kumpli, którzy mają córki w podobnym wieku, i też każe im pokazać, co potrafią. Urządzają walki na niby, pojedynki albo dwie na jedną. Bernie przygląda im się w ogrodzie, jak strzelają iskrami. Na całym świecie wszyscy mówią tylko o tym, ale niewielu ludzi patrzy na rzeczy i myśli: „Co można z tego mieć, jaki zysk, jaką korzyść?”.

Po tych ćwiczeniach jedno jest pewne – Roxy ma dużo mocy, więcej niż każda dziewczyna, z którą ćwiczyła. Uczy się, jak kontrolować zasięg, jak robić łuk elektryczny i że moc działa lepiej na mokrej skórze. Jest dumna ze swojej siły. Wkłada w naukę całe serce.

Jest najsilniejsza ze wszystkich, jakie udało im się znaleźć.

I dlatego kiedy nadchodzi czas, gdy Bernie zorganizował całą akcję i wiedzą, gdzie będzie Primrose, Roxy idzie z nimi.

Tuż przed wyjściem Ricky wciąga ją do łazienki.

– Już jesteś duża dziewczyna, Rox, prawda?

Roxy kiwa głową. Wie, o co chodzi, w zasadzie.

Ricky wyciąga z kieszeni małą plastikową torebkę i wysypuje trochę białego proszku na brzeg umywalki.

– Widziałaś to już wcześniej, co?

– Tak.

– A brałaś już kiedyś?

Roxy potrząsa głową.

– No dobra.

Ricky pokazuje jej, jak to się robi, ze zwiniętą w rulonik pięćdziesiątką, którą wyjmuje z portfela, i mówi jej, że może sobie zatrzymać banknot, jak już będzie po wszystkim, taka mała premia. Roxy czuje się potem jasna i czysta. Nie dlatego, że zapomniała o mamie. Jej gniew jest nadal tak samo silny i niezmacony, ale już bez smutku. Tak jakby tylko o wszystkim słyszała. To dobrze. Jest silna. Czuje cały ten dzień pod palcami. Zapala długi łuk elektryczny między dłońmi, głośny i iskrzący, dłuższy niż kiedykolwiek.

– Ło! ło! – mówi Ricky. – Nie tutaj, dobra?

Roxy gasi łuk i zostawia lśniące błyski między palcami. Chce jej się śmiać

z radości, że ma tyle mocy i z taką łatwością ją uwalnia.

Ricky przesypuje trochę proszku do nowej torebki i wsuwa jej do kieszeni dżinsów.

– Jakbyś potrzebowała. Nie rób tego prądu, dopóki coś cię naprawdę nie przestraszy, OK? I nie w samochodzie, na litość boską.

Roxy niczego nie potrzebuje. I tak świat należy do niej.

Następnych kilka godzin to tylko urywki, obrazy. Jak zdjęcia w telefonie. Mrugnięcie i obraz. Znowu mrugnięcie i nowy obraz. Patrzy na zegarek – jest druga po południu, patrzy sekundę później i jest wpół do trzeciej. Niczym się nie przejmuje, nawet gdyby chciała. I dobrze.

Przerobili z nią plan. Primrose będzie tylko z dwoma facetami. Weinstein, jego kumpel, zdradził. Poprosił go o spotkanie w tym magazynie, bo muszą coś obgadać. Bernie z chłopakami czekają za skrzyniami, uzbrojeni. Dwóch zostanie na zewnątrz, żeby zamknąć drzwi i nie wypuścić nikogo. Wezmą ich z zaskoczenia i jazda; będzie załatwione szybko, chwila i po sprawie. Primrose niczego się nie spodziewa. Roxy jedzie z nimi tylko dlatego, że jej się należy, żeby zobaczyć akcję na własne oczy po tym, co ją spotkało. Oraz dlatego, że Bernie zawsze zabezpiecza tyły. Dlatego przeżył w biznesie tak długo. Więc Roxy chowa się na antresoli wśród skrzyń. Na dole przez kratownicę podłogi widzi magazyn. Tak na wszelki wypadek. Migawka otwiera się i zamyka.

Kiedy się zaczyna, wszystko dzieje się naprawdę szybko, w kompletnym chaosie. Bernie krzyczy do Weinsteina, żeby się odsunął, a Weinstein robi ten gest, wzruszenie ramionami, jakby chciał powiedzieć: Sorry, stary, pech, ale schyla się tak czy siak, kiedy Bernie z chłopakami wyskakują z ukrycia, a wtedy Primrose zaczyna się uśmiechać. I wchodzi jego ludzie. Jest ich o wiele więcej, niż uprzedzał Weinstein. Ktoś tu, kurwa, naściemniał. Trzask migawki.

Primrose jest wysoki, chudy i blady. Ma ze sobą dwudziestu ludzi jak nic, co najmniej. Strzelają od wejścia, używając stalowych drzwi jako osłony. Jest ich więcej niż ludzi Berniego. Trzech ostrzeliwuje Terry'ego, który chowa się za drewnianą skrzynią. Wielki, powolny Terry, z szerokim białym czołem, poznaczonym bliznami od trądziku, na oczach Roxy wystawia głowę zza skrzyni. Nie powinien tego robić, Roxy chce krzyknąć, ale nie może wydobyć z siebie głosu.

Primrose celuje starannie, nie spiesząc się; z jego twarzy nie znika uśmiech i nagle na środku twarzy Terry'ego pojawia się wielka czerwona plama, a Terry pada do przodu jak ścięte drzewo. Roxy spogląda na swoje dłonie. Zapalają się między nimi długie elektryczne węże, chociaż nie przypomina sobie, żeby chciała je wywołać. Powinna coś zrobić. Ogarnia ją strach. Ma tylko piętnaście lat. Wyciąga z kieszeni plastikową torebkę i wciąga jeszcze trochę proszku. Po chwili widzi, jak moc otacza jej ramiona i dłonie. Myśli, a ta myśl jest niczym głos szepczący jej do ucha: Jesteś do tego stworzona.

Stoi na metalowej antresoli, połączonej z drzwiami, za którymi kryją się ludzie Primrose'a. Jest ich wielu tam na dole, dotykają metalu albo opierają się o metal. Nagle widzi, co może dziać, i ogarnia ją takie podniecenie, że z trudem zachowuje spokój. Jedno kolano zaczyna jej drżeć. O to chodziło: tu stoją faceci, którzy zabili jej mamę, a ona wie, co robić. Czeka, aż jeden łapie za poręcz, drugi opiera się o nią głową, a trzeci chwyta klamkę drzwi. Ten trzeci strzela i trafia Berniego w bok. Roxy powoli wypuszcza powietrze przez przymknięte usta. Doczekaliście się, myśli. I razi poręcz prądem. Wszyscy trzej padają na ziemię z grzbietami wygiętymi w tył, z krzykiem, trzęsąc się, szczękając zębami i wywracając oczy. I dobrze. Doigraliście się.

Wtedy ją zauważają. Znowu zatrzymanie obrazu.

Wielu ich już nie zostało. Siły się wyrównały, może nawet Bernie ma przewagę, zwłaszcza że Primrose zaczyna się bać – widać to po jego twarzy. Na metalowych schodach dudnią pospieszne kroki i dwóch facetów chce ją złapać. Jeden pochyla się nad nią, bo każdy normalny dzieciak by się wystraszył, każda zwyczajna dziewczynka, to odruch. Ale Roxy tylko przykładła dwa palce do jego skroni i przesyła błyskawicę przez jego głowę, a on pada z twarzą zalaną krwawymi łzami. Drugi chwyta ją w pasie – czy oni nic nie rozumieją? – a Roxy łapie go za nadgarstek. Widzi, że niewiele trzeba, żeby już więcej nie chcieli jej dotykać, i ogarnia ją zadowolenie, aż do chwili, kiedy patrzy w dół i zauważa, że Primrose wymyka się drzwiami prowadzącymi na zaplecze.

Ucieka. Bernie leży na ziemi i jęczy, a Terry krwawi z rany na głowie. Terry nie żyje, tak jak jej mama, tego jest pewna, a Primrose próbuje uciec. O nie, ty gnoju, myśli Roxy. Co to, to nie.

Zbiega po schodach, schylona, a potem rusza za Primrose'em na tyły magazynu, najpierw korytarzem, potem przez pustą halę biurową. Widzi, jak on



skręca w lewo, i przyspiesza. Jak uda mu się wsiąść do samochodu, już go nie dopadnie i facet zaraz wróci, żeby ich wszystkich załatwić; nikt nie wyjdzie stąd żywy. Roxy przypomina sobie, jak jego ludzie dusili jej mamę. On kazał to zrobić. Przez niego to się stało. Zaczyna biec jeszcze szybciej.

Primrose biegnie kolejnym korytarzem i wchodzi do jakiegoś pomieszczenia, w którym są drzwi prowadzące do wyjścia ewakuacyjnego. Roxy słyszy szcęk klamki i mówi do siebie: Kurwa, kurwa, kurwa. Ale kiedy z impetem wpada do środka, Primrose ciągle tam jest. Drzwi były zamknięte na klucz, co za pech, no nie? On tymczasem złapał metalowy kosz na śmieci i wali w okno, żeby wybić szybę. Roxy rzuca się do przodu nachylona, tak jak ćwiczyła, ślizga się na kolanach i chwyta go za łydkę. Dłoń trafia na kostkę, na gołą skórę, i Roxy uwalnia moc.

Z początku Primrose nie wydaje żadnego dźwięku. Pada tylko na ziemię, jakby nagle podcięto mu kolana, a jego ramiona nadal próbują rozwalić okno, więc kosz z brzękiem trafia w ścianę. Kiedy on leci w dół, Roxy łapie go za nadgarstek i razi jeszcze raz.

Po jego krzyku zgaduje, że nikt nigdy mu tego nie robił. Słysząc nie tyle ból, ile zaskoczenie, przestrasz. Roxy widzi, jak na ramieniu wykwita mu pręga, tak jak na ramieniu tego gościa, co przyszedł po mamę, i już samo to wspomnienie sprawia, że moc krąży w niej silniej i goręcej. Primrose zaczyna krzyczeć, jakby pod skórą miał pająki, jakby zjadały go od środka.

Roxy trochę odpuszcza.

– Proszę – mówi Primrose. – Proszę.

Patrzy na nią, skupiając rozmyte, załamane spojrzenie.

– Znam cię – mówi. – Jesteś dzieciak Monke’a. I Christiny, tak?

Nie powinien był wypowiadać imienia mamy. Nie wolno mu. Roxy razi go przez gardło. On znowu krzyczy, a potem powtarza: „Kurwa. Kurwa”.

Potem zaczyna gadać.

– Przykro mi, że to się stało, naprawdę, to sprawa z twoim tatą, ale mogę ci pomóc, możesz przyjść i pracować ze mną, taka mądra dziewczyna jak ty, taka silna, nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Bernie wcale nie chce mieć cię przy sobie, to widać. Chodź i pracuj z nami. Powiedz, co byś chciała. Mogę to dla ciebie załatwić.

Roxy mówi:

– Zabiłeś moją mamę.

Primrose odpowiada:

– Twój ojciec zabił wtedy trzech moich chłopaków.

Ona powtarza:

– Przysłałeś swoich ludzi i zabili moją mamę.

A Primrose cichnie, zamiera, nieruchomieje i Roxy myśli, że zacznie znowu krzyczeć albo rzuci się na nią. Ale on wzrusza ramionami i się uśmiecha. Mówi:

– Jeśli o to chodzi, to nic się nie da zrobić. Ale ty nie miałaś tego widzieć. Newland mówił, że nie będzie cię w domu.

Ktoś idzie korytarzem. Roxy słyszy wyraźnie. Kroki, więcej niż jedna para butów. Ludzie ojca albo Primrose'a. Może będzie musiała uciekać albo zaraz dostanie kulkę.

– Ale byłam w domu – mówi.

– Proszę – mówi Primrose. – Proszę, nie.

A ona jest z powrotem w domu, z mamą. Widzi jasno, jakby w głowie eksplodowały jej świecące kryształy. Te same słowa wypowiedziała jej mama, właśnie te. W wyobraźni widzi ojca z sygnetami na palcach i jego pięść oddalającą się od zakrwawionej twarzy. To właśnie warto umieć. Przykłada rękę do skroni Primrose'a. I go zabija.

## *Tunde*

Telefon dzwoni następnego dnia po tym, jak wrzucił filmik do sieci. Z CNN, przedstawia się ktoś. Tunde myśli, że to wygłupy. Dokładnie w stylu jego przyjaciela Charlesa, głupi żart. Już kiedyś zadzwonił do Tundego i udawał, że jest ambasadorem Francji. Przez całe dziesięć minut gadał ze śmiesznym akcentem, aż w końcu nie wytrzymał.

Głos po drugiej stronie mówi:

– Chcielibyśmy odkupić całe nagranie. Zapłacimy, ile pan zechce.

– Co?

– Czy to Tunde? BourdillonBoy97?

– Tak.

– Tu CNN. Chcemy kupić od pana całe nagranie, ten film zamieszczony online, z wydarzeniem w sklepie. I wszystkie inne, jakie pan ma.

Tunde myśli: Cały film? Jaki cały film? I przypomina sobie.

– Ale tam tylko... była jeszcze tylko minuta czy dwie. Ludzie weszli w kadr. Nic specjalnego...

– Zamazemy twarze. Ile pan chce za niego dostać?

Twarcz ma ciągle pogniecioną od poduszki i boli go głowa. Rzuca pierwszą lepszą kwotę. Pięć tysięcy dolarów.

Tamci zgadzają się od razu i Tunde rozumie, że mógł zażądać dwa razy więcej.

W ten weekend włóczy się po ulicach i klubach, szukając materiałów. Walka między dwiema kobietami na plaży o północy; elektryczne błyski oświetlają rozognione twarze kibicujących, podczas gdy kobiety stękają z wysiłku, usiłując złapać się nawzajem za twarz albo gardło. Tunde robi zdjęcia z dużym kontrastem, na których widać ich rysy wykrzywione złością, na wpół ukryte w ciemności. Aparat daje mu poczucie bezpieczeństwa – jakby tam był, ale jednocześnie go nie było. Możecie robić, co chcecie, myśli, ale to ja

skorzystam. To ja opowiem tę historię.

Jest też chłopak z dziewczyną, obściskują się w ciemnej uliczce. Ona głaszcze go po plecach naelektryzowaną dłonią. Chłopak odwraca się i nieruchomieje, kiedy widzi Tundego z aparatem, ale dziewczyna obsypuje mu twarz iskrami i mówi: „Nie patrz na niego, popatrz na mnie”. Gdy się znowu obejmują, dziewczyna uśmiecha się i zapala iskry na plecach chłopaka, a potem spogląda na Tundego i pyta: „Hej, też byś tak chciał, co?”. Wtedy Tunde zauważa drugą dziewczynę stojącą trochę dalej. Odwraca się i ucieka ile sił w nogach, słysząc za sobą śmiech. Już w bezpiecznym miejscu sam też zaczyna się śmiać. Ogląda nagranie. Jest podniecające. Chciałby, żeby ktoś też tak mu zrobił. Może.

CNN kupuje również te nagrania. I płaci. Tunde patrzy na pieniądze na koncie i myśli: Jestem dziennikarzem. To jest to. Znalazłem materiały i dostałem honorarium. Rodzice pytają, kiedy wraca na studia.

Tunde odpowiada:

– Chyba wezmę rok wolnego. Na praktykę.

To początek jego samodzielnego życia, czuje to.

Szybko uczy się, żeby nie robić zdjęć telefonem. Trzy razy w ciągu kilku tygodni zdarza się, że jakaś kobieta dotyka jego smartfona i telefon pada. Kupuje całe pudło tanich aparatów cyfrowych z furgonetki na targu Alaba, ale wie, że nie zarobi tyle, ile by chciał – i tyle, ile by można – filmując tylko w Lagos. Śledzi fora internetowe i dyskusje na temat wydarzeń w Pakistanie, w Somalii, w Rosji. Jest podekscytowany. O to mu chodziło. To jego wojna, jego rewolucja, jego historia. Na wyciągnięcie ręki, dostępna dla każdego. Charles i Joseph dzwonią któregoś dnia, żeby spytać, czy pójdzie z nimi w piątek na imprezę, a on się śmieje i odpowiada: „Mam większe plany, stary”. Kupuje bilet na samolot.

Przylatuje do Rijadu wieczorem w pierwszy dzień wielkich zamieszek. Ma szczęście; gdyby przyjechał trzy tygodnie wcześniej, mógłby do tej pory wydać wszystkie pieniądze albo się zniechęcić. Nakręciliby takie same materiały jak wszyscy: kobiety w tradycyjnych maskach, z nieśmiałym chichotem rzucające iskry na siebie nawzajem. A najpewniej nie nakręciliby nic, bo te sceny były w większości filmowane przez kobiety. Żeby coś nakręcić, będąc mężczyzną,

musiał przybyć w dniu, gdy kobiety ruszyły przez miasto.

Zaczął się od śmierci dwóch dziewczynek, mniej więcej dwunastoletnich. Wuj zobaczył, jak uprawiają wspólnie te diabelskie sztuczki i, jako człowiek religijny, zwołał rodzinę. Dziewczynki stawiały opór i jakoś tak wyszło, że zostały śmiertelnie pobite. Co widziały i słyszały sąsiadki. Które – czy ktoś wie, dlaczego takie rzeczy zdarzają się w czwartki, podczas gdy we wtorek nikt by nie zwrócił uwagi? – ruszyły na odsiecz. Tuzin kobiet zamienił się w setkę. Setka – w tysiąc. Policja się wycofała. Kobiety krzyczały, pojawiły się transparenty. Nagle zrozumiały swoją potęgę.

Po lądowaniu ochrona lotniska informuje Tundego, że niebezpiecznie jest jechać do miasta i że zagraniczni turyści nie powinni opuszczać terminalu, tylko poczekać na pierwszy samolot do domu. Musi przekupić po kolei trzech ludzi z ochrony, żeby pozwolili mu wyjść. Daje taksówkarzowi podwójną stawkę, żeby zawiózł go do miejsca, gdzie gromadzą się kobiety. Jest jeszcze dzień, a taksówkarz się boi.

– Lepiej do domu – mówi, kiedy Tunde wyskakuje z samochodu, i Tunde nie wie, czy to rada czy postanowienie.

Trzy przecznice dalej dogania maszerujący tłum. Ma poczucie, że coś się tu dzisiaj wydarzy, coś, czego nigdy jeszcze nie widział. Jest zbyt podekscytowany, żeby się bać. To właśnie jemu uda się wszystko nagrać.

Idzie za kobietami, trzymając aparat blisko ciała, żeby na pierwszy rzut oka nie było widać, co robi. Ale i tak kilka kobiet zwraca na niego uwagę. Krzyczą coś, najpierw po arabsku, potem po angielsku.

– Telewizja? CNN? BBC?

– Tak – kiwa głową Tunde. – CNN.

Kobiety się śmieją i na chwilę ogarnia go strach, ale mija bez śladu, kiedy zaczynają wołać do innych: „CNN! CNN!”, i podchodzi więcej kobiet, które podnoszą kciuki z aprobatą i uśmiechają się do obiektywu.

– Nie możesz z nami iść, CNN – mówi jedna z nich, trochę lepiej władająca angielskim. – Dzisiaj nie ma mężczyzn.

– Ale – Tunde uśmiecha się swoim szerokim, uroczym uśmiechem – ja jestem nieszkodliwy. Nie zrobicie mi krzywdy.

Kobiety powtarzają:

– Nie. Nie ma mężczyzn, nie.

– Jak mam was przekonać, żebyście mi zaufały? – pyta Tunde. – Zobaczcie, to moja legitymacja z CNN. Nie mam żadnej broni.

Rozpina kurtkę i zdejmuje ją powoli, a potem obraca w powietrzu, żeby pokazać obie strony.

Kobiety się przyglądają. Ta z lepszym angielskim mówi:

– Możesz mieć coś przy sobie.

– Jak się nazywasz? – pyta Tunde. – Znać już moje imię. Niech będzie po równo.

– Noor – odpowiada. – To znaczy „światło”. My przynosimy światło. A jeżeli masz pistolet na plecach albo paralizator w nogawce?

Patrzy na nią i podnosi brew. Noor ma ciemne, wesole oczy. Śmieje się z niego.

– Serio? – pyta Tunde.

Ona kiwa głową z uśmiechem.

Powoli rozpina i zdejmuje koszulę. Między palcami kobiet przeskakują iskry, ale on się nie boi.

– Nie mam pistoletu na plecach.

– Widzę – mówi ona. – A nogawki?

Patrzy na niego co najmniej trzydzieści kobiet. Każda mogłaby go zabić jednym porażeniem. Jego życie jest tanie jak barszcz.

Zdejmuje dzinsy. W tłumie kobiet słychać kilka głośniejszych oddechów. Obraca się powoli dookoła własnej osi.

– Nie mam paralizatora.

Noor odpowiada mu uśmiechem. Oblizuje górną wargę.

– Więc możesz pójść z nami, CNN. Weź ubranie i chodź.

Tunde ubiera się w pośpiechu i potykając się, idzie za nimi. Noor wyciąga rękę i chwytą jego dłoń.

– W tym kraju nie wolno, żeby kobieta i mężczyzna trzymali się za ręce na ulicy. W tym kraju kobietom nie wolno jeździć samochodem. Kobiety nie znają się na samochodach.

Ściska jego dłoń mocniej. Tunde czuje trzeszczenie mocy krążącej w jej ramionach, jak napięcie przed burzą. Ale nie parzy go najmniejsza iskra. Noor przechodzi na drugą stronę ulicy, pod galerię handlową. Przed wejściem stoją zaparkowane równiutko samochody, na miejscach oznaczonych czerwonymi, zielonymi i niebieskimi chorągiewkami.

Na wyższych piętrach galerii Tunde widzi mężczyzn i kobiety wyglądających przez okno. Dziewczyny dookoła niego śmieją się, pokazując na nich, i puszczają iskry między palcami. Mężczyźni poruszają się niespokojnie, a kobiety zachłannie patrzą, oczami wyschniętymi z pragnienia.

Noor parska śmiechem i każe Tundemu odsunąć się od czarnego jeepa zaparkowanego dokładnie przed wejściem. Jej uśmiech jest szeroki i pewny siebie.

– Nagrywasz? – pyta.

– Tak.

– Nie pozwalają nam prowadzić samochodów w tym kraju – mówi – ale popatrz, co umiemy zrobić.

Kładzie dłoń na masce. Rozlega się trzask i pokrywa silnika podnosi się.

Noor uśmiecha się szerzej. Przykłada rękę do silnika, tuż obok akumulatora.

Silnik się włącza i zaczyna pracować, stopniowo na coraz wyższych obrotach. Wyższych i wyższych, coraz głośniej, tłucze się i wyje, jakby chciał od niej uciec. Noor śmieje się cały czas. Hałas narasta, słychać, że silnik dochodzi do kresu wytrzymałości, aż rozlega się huk eksplozji, widać biały błysk i coś zaczyna się topić, silnik wypada na asfalt, chlapiąc benzyną i ciskając kawałkami gorącej stali. Noor podbiega do Tundego, łapie go za rękę i krzyczy mu do ucha: „Uciekaj!”. Biegną przez parking, a ona woła: „Nagraj to, nagraj”, więc Tunde odwraca się akurat w momencie, gdy rozgrzane odłamki rozrywają przewód paliwowy i samochód eksploduje.

Na moment robi się tak głośno i gorąco, że ekran aparatu staje się biały, a potem czarny. Gdy obraz wraca, widać młode kobiety idące przez parking, z ogniem w tle, każda z błyskawicą w rękach. Przechodzą od samochodu do samochodu, włączają silniki i palą je jeden za drugim. Niektóre potrafią to zrobić nawet bez dotykania aut – błyskawice strzelają z ich rąk. Wszystkie się śmieją.

Tunde podnosi aparat, żeby sfilmować ludzi obserwujących całą scenę z galerii, zobaczyć, co robią. Mężczyźni próbują odciągać kobiety od okien. A kobiety po prostu strącają ich dłonie ze swoich ramion. Nawet nic nie mówią. Tylko patrzą, z rękoma przyciśniętymi do szyby. Wtedy Tunde rozumie, że ta nowa rzecz zmieni cały świat, nic już nie będzie tak jak dawniej. Ogarnia go euforia, krzyczy z radości i podskakuje wraz z kobietami wśród płomieni.

W dzielnicy Manfouha, w zachodniej części miasta, etiopska staruszka wychodzi im na spotkanie z niedokończonym domu podpartego rusztowaniem. Pozdrawia kobiety rękami uniesionymi wysoko do góry, wołając coś, czego nikt nie rozumie. Plecy ma zgarbione i pochylone ramiona. Noor bierze jej rękę w obie dłonie; staruszka patrzy na nią jak pacjent na lekarza. Noor kładzie dwa palce na jej dłoni i pokazuje, jak używać mocy, która musiała zawsze być w jej ciele, która całe życie czekała na przebudzenie. Tak to działa. Młode kobiety budzą moc w starszych; od teraz wszystkie będą ją miały.

Staruszka zaczyna płakać, kiedy płynąca przez jej ciało energia budzi uspięne nerwy. Na nagraniu widać, jak jej twarz się zmienia, kiedy zaczyna czuć moc we własnym ciele. Nie ma jej wiele – drobna iskra przeskakuje między jej dłonią a ramieniem Noor. Kobieta musi mieć co najmniej osiemdziesiąt lat i łzy płyną z jej oczu, gdy stwarza iskrę znowu i znowu. Potem podnosi dłonie i wydaje z siebie głośny wysoki tryl. Kobiety podchwytyją śpiew i po chwili ulica rozbrzmiewa dźwięcznym wibrującym wołaniem; chyba cały kraj – myśli Tunde – jest pełen tego radosnego ostrzegawczego krzyku. Jest tu jedynym mężczyzną i jedyną osobą, która wszystko filmuje. Ta rewolucja wydaje mu się zaczątkiem światowego przewrotu, a jednocześnie osobistym objawieniem.

Idzie z tłumem przez noc i nagrywa. W północnej części miasta widzą kobietę w pokoju na piętrze za zakratowanym oknem. Kobieta zrzuca przez kraty list, zapisaną kartkę. Tunde nie jest na tyle blisko, żeby spróbować ją przeczytać, ale dookoła widzi poruszenie, gdy kobiety powtarzają sobie treść. Wyłamują drzwi, a on idzie za nimi i widzi, jak znajdują mężczyznę schowanego w kuchennym kredensie. Nikomu nawet nie chce się go karać, po prostu zabierają uwięzioną kobietę, żeby poszła razem z nimi. Przy akademii medycznej podbiega w ich stronę jakiś mężczyzna i strzela z wojskowego karabinu, wykrzykując po arabsku i po angielsku, że zawiniły w stosunku do tych, którym powinny być posłuszne. Rani trzy kobiety, trafiając je w nogi



i ramiona, a tłum otacza go niczym fala przypływu. Słysząc skwierczenie i kiedy Tundemu udaje się podejść bliżej, żeby zobaczyć, co się stało, mężczyzna leży nieruchomo, a jego twarz przecinają pręgi tak gęsto, że nie sposób określić, jakie miał rysy.

W końcu, tuż przed nadejściem świtu, wśród kobiet, po których nie widać żadnego zmęczenia, Noor bierze go za rękę i prowadzi do mieszkania, do pokoju, do łóżka. Mieszka tu przyjaciółka, mówi, studentka, wraz z pięcioma koleżankami. Ale teraz pół miasta wyjechało w panice i nikogo nie ma. Nie ma też elektryczności, więc Noor zapala w dłoniach iskrę, żeby oświetlić im drogę, a potem, w jej świetle, zdejmuje z niego kurtkę i ściąga mu koszulę. Patrzy na jego ciało tak samo jak wcześniej: zachłannie i otwarcie. Całuje go.

– Nigdy jeszcze tego nie robiłam – mówi, a on przyznaje, że z nim jest tak samo, i nie czuje wstydu.

Ona kładzie mu dłoń na piersi.

– Jestem wolną kobietą – mówi.

Tunde czuje jej moc i ogarnia go uniesienie. Na ulicach słysząc ciągle krzyki, trzaski i od czasu do czasu wystrzały, ale tutaj, w pokoju, z plakatami gwiazdek popu na ścianach, ich ciała ogrzewają się nawzajem. Noor rozpina jego dzinsy, a on pozwala im opaść i robi krok przed siebie, zostawiając je na podłodze. Ona dotyka go ostrożnie; Tunde czuje, jak jej zwój zaczyna pracować pod skórą. Boi się i jest jednocześnie podniecony – wszystko pomieszane, jak w jego fantazjach.

– Ty jesteś dobry – mówi Noor. – Jesteś piękny.

Gładzi go wierzchem dłoni po włosach na klatce piersiowej i zapala drobną iskrę, lekkie ukłucie, świecące bladym blaskiem. To przyjemne. Tunde czuje wyraźnie każdą część ciała pod jej dotykiem, jakby wcześniej nie był ich w pełni świadomy.

Pragnie w nią wejść; jego ciało mówi mu, co ma robić, jak postępować dalej, jak objąć jej ramiona, jak położyć na łóżku, jak posiąść. Ale rządzą nim też inne odruchy: lęk jest równie silny jak pożądanie, ból równie mocny jak pragnienie. Powstrzymuje się, pragnąc i nie pragnąc. Czeka, aż Noor podyktuje tempo.

Wszystko toczy się powoli, ale jest dobrze. Noor pokazuje mu, co robić, jak ma pieścić ją ustami i dłońmi. Gdy go dosiada, z ciałem błyszczącym od potu,

wołając i jęcząc, nad Rijadem wstaje słońce. Kiedy traci kontrolę i szczytuje, razi Tundego błyskawicą przez pośladki i miednicę, a on prawie nie czuje bólu, porywa go euforia.

Tego dnia po południu rząd wysyła na miasto helikoptery i żołnierzy uzbrojonych w ostrą amunicję. Tunde filmuje, jak kobiety dają im odpór. Jest ich nieprzebrane mrowie, są wściekłe. Wiele ginie, ale przez to pozostałe stają się jeszcze bardziej rozjuszone. Żołnierze nie mogą ich po prostu powystrzelać. Kobiety przepalają im mechanizmy w karabinach i pojazdach. Są szczęśliwe. Rozkoszą w świt ten było, że się żyje – mówi w komentarzu do nagrania Tunde, który czytał trochę o rewolucji. – Ale być młodym – to był raj.<sup>[3]</sup>

Dwanaście dni później upada rząd. Krążą różne plotki, niepotwierdzone, na temat śmierci króla; niektórzy mówią, że zabiła go jakaś osoba z rodziny, inni – że zabójca z Izraela, a jeszcze inni – że jedna ze służących, pracująca wiernie w pałacu od lat, która poczuła moc i nie umiała już jej powściągnąć.

Wtedy Tunde jest już w samolocie. Wydarzenia w Arabii Saudyjskiej zobaczył cały świat. Teraz podobne rzeczy dzieją się wszędzie, naraz.

## Margot

- To jest poważny problem.
- Wszyscy wiemy, że to problem.
- Ale przemyśl to, Margot. Naprawdę o tym pomyśl.
- Myślę.
- Nawet nie mamy pewności, czy ktoś siedzący tutaj tego nie potrafi.
- Możemy być pewni, że ty nie potrafisz, Daniel.

Rozlega się śmiech. W sali pełnej zaniepokojonych ludzi śmiech przynosi ulgę. Trwa dłużej, niż powinien; mija dobrych parę chwil, nim dwadzieścia trzy osoby zgromadzone wokół stołu konferencyjnego przestaną się śmiać. Danielowi się to nie podoba. Myśli, że śmieją się z niego. Zawsze chciał trochę więcej, niż mu się należy.

– Jasne – odpowiada. – No jasne. Ale nie mamy jak się dowiedzieć. Jeśli chodzi o dziewczynki, robimy, co możemy. Mój Boże, widzieliście dane na temat ucieczek z domu?

Wszyscy widzieli.

Daniel mówi dalej.

– OK, nie chodzi o dziewczynki. To mamy zasadniczo pod kontrolą. Chodzi o dorosłe kobiety. Nastolatki mogą przekazać to coś starszym. I przekazywać między sobą. Dorosłe kobiety potrafią to robić. Margot, wiesz, o co chodzi.

– To bardzo rzadkie.

– Tak nam się wydaje. Ale, jak już mówiłem, niczego nie wiemy na pewno. To mogłabyś być ty, Stacey. Albo ty, Marisha. Albo równie dobrze ty, Margot, we własnej osobie.

Śmieje się i w sali rozlega się nerwowy śmieszek.

– Oczywiście, Daniel – odpowiada Margot. – Mogłabym porazić cię od ręki. Kancelaria gubernatora nie wywiązuje się z dostarczania raportów do ratusza? – Wyciąga dłoń, rozczapierzając palce. – Psssy!

– To wcale nie jest śmieszne, Margot.

Ale ludzie siedzący wokół stołu już się śmieją.

Daniel mówi:

– Musimy zrobić te testy. W całym stanie, wszystkim pracownikom administracji. W urzędzie miasta też. Absolutnie. Musimy wiedzieć na pewno. Nie możemy w urzędach zatrudniać ludzi, którzy potrafią to robić. Równie dobrze mogliby chodzić z naładowaną bronią.

Minął już rok. Telewizja pokazała relacje z różnych zakątków świata, odległych i niedemokratycznych, gdzie kobiety przejęły władzę w całych miastach. Daniel ma rację. Istotne jest nie to, że piętnastolatki potrafią razić prądem – z nimi można sobie poradzić. Liczy się to, że mogą przekazywać moc dorosłym kobietom. Powstają pytania. Od jak dawna to się dzieje? Jak to możliwe, że do tej pory nikt nie wiedział?

Telewizja śniadaniowa zaprasza specjalistów od biologii człowieka i sztuki prehistorycznej. Ten wizerunek znaleziony w Hondurasie, sprzed ponad sześciu tysięcy lat, wyryty w skalnej ścianie – czy nie wygląda trochę jak kobieta wypuszczająca z rąk błyskawice, jak pan myśli, panie profesorze? Oczywiście takie rysunki często mają znaczenie symboliczne albo mityczne. Ale ten mógłby być historyczny, to znaczy przedstawiać coś, co faktycznie miało miejsce. Być może mógłby. Czy wiecie państwo, że według najdawniejszych przekazów Bóg plemion Izraela miał siostrę imieniem Anat, młodą dziewczynę? Że była niezwyciężoną wojowniczką i przemawiała błyskawicami oraz, jak podają najstarsze teksty, zabiła własnego ojca i zajęła jego miejsce? Lubiła obmywać stopy we krwi swoich wrogów.

Prezenterzy śmieją się niepewnie. Niezbyt zachęcający obraz rządów płci pięknej, jak myślisz, Fiona? Nie bardzo, Tom. Ale wracając do tej bogini, myśli pan, że starożytni wiedzieli coś, czego my nie wiemy? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Chodzi pani o to, że kobiety w przeszłości miały już taką zdolność, ale o tym zapomnieliśmy? To byłaby naprawdę spora rzecz do zapomnienia, prawda? Czy można puścić coś takiego w niepamięć? No cóż, Fiona, jeśli rzeczywiście istniała taka moc, może ludzie specjalnie chcieli ją wykorzenić, może nie chcieli jej w społeczeństwie. Powiedziała byś mi, gdybyś sama coś takiego potrafiła, prawda? No wiesz, Tom, może jednak wolałabym zachować taką rzecz dla siebie. Oczy prezenterów spotykają się na moment, w ich

spojrzeniu jest coś niewypowiedzianego. A teraz prognoza pogody.

Oficjalne stanowisko urzędu burmistrza i zalecenie, rozesłane do wszystkich szkół w regionie, brzmi: wstrzemięźliwość. Po prostu tego nie róbcie. To minie. Na razie oddzielamy dziewczynki od chłopców. W ciągu roku albo dwóch opracujemy szczepionkę powstrzymującą zmiany i wszystko wróci do normy. Robienie tego jest dla dziewczynek tak samo szkodliwe i stresujące jak dla ich ofiar. Taki jest oficjalny komunikat.

Późnym wieczorem Margot parkuje samochód w okolicy, gdzie nie ma kamer. Wysiada, przykładła dłoń do najbliższej latarni i razi ją całą mocą. Musi się przekonać, czym właściwie dysponuje; musi poczuć, czym to jest. Używanie mocy przychodzi jej bez wysiłku, naturalnie, jak cokolwiek innego, jak wtedy, kiedy pierwszy raz uprawiała seks i jej ciało zareagowało radosnym: hej, wiem, jak to się robi.

Wszystkie latarnie przy ulicy gasną: puff, puff, puff. Margot śmieje się głośno, sama na ciemnym chodniku. Straci stanowisko, jeśli ktoś się dowie. Ale z drugiej strony, gdyby ktoś się dowiedział, że w ogóle potrafi to robić, i tak je straci, więc czym się przejmować? Odjeżdża z piskiem opon, zanim zacznie się zamieszanie. Zastanawiała się wcześniej, co by zrobiła, gdyby zatrzymała ją policja; teraz wie, że zostało jej wystarczająco dużo mocy, żeby ogłuszyć co najmniej jednego faceta, może więcej. Czuje, jak moc krąży w jej ciele, promieniuje gdzieś spod obojczyków do ramion. Znowu się śmieje. Zauważyła, że robi to teraz znacznie częściej, po prostu wybuchają śmiechem. Przez cały czas ma świetny nastrój, jakby nosiła w środku własne słońce.

Inaczej jest z Jocelyn. Nikt nie wie dlaczego; nie ma żadnych gruntownych badań, które dałyby podstawę do wyciągania wniosków. Moc przychodzi do niej falami. Czasami ma jej tyle, że kiedy chce włączyć światło, przepala korki w całym domu, a czasami nie ma nic, nawet tyle, żeby się obronić przed atakiem. Pojawiły się nowe wyzwiska na dziewczyny, które nie umieją albo nie chcą się bronić. Na przykład „światłówka” albo „paluszek”. Te są najmniej obraźliwe. „Flaka”. „Padło”. „Glizda”. „Psita”. To ostatnie ma naśladować odgłos, który powstaje, gdy kobieta próbuje wywołać iskrę i nie daje rady. Najgorzej jest, jak grupa dziewczyn szepcze „psssit”, niby niewinnie, kiedy ofiara przechodzi obok. Młodzi potrafią być okrutni. Jos spędza coraz więcej

czasu w samotności, bo jej przyjaciółki znalazły sobie innych znajomych, z którymi „mają więcej wspólnego”.

W kolejny weekend Margot proponuje, żeby Jos została z nią, a Maddy zabierze ojciec. Czasem dobrze jest mieć rodzica tylko dla siebie. Maddy chce pojechać autobusem do miasta, do parku dinozaurów. Nie jeździ sama autobusami i taka przejażdżka to większa atrakcja niż park. Margot jest strasznie zapracowana. Zabiorę Jos do kosmetyczki, mówi. Odpoczynek dobrze zrobi nam obu.

Jedzą śniadanie w kuchni. Jos nakłada sobie śliwek z miski z kompotem i dodaje jogurt, a Margot mówi:

– Nie możesz nikomu powiedzieć.

– Tak, wiem.

– Mogłabym stracić pracę, gdyby ktoś się dowiedział.

– Mamo, wiem przecież. Nie mówiłam nawet tacie ani Maddy. Nikomu. Nikomu nie powiem.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy.

Jocelyn się uśmiecha. Margot nagle przypomina sobie, jak bardzo chciała mieć wspólny sekret z matką. Jak zwykle ukrywanie w szafce podpasek czy maszynki do golenia nóg stawało się dzięki temu pragnieniu czymś wspaniałym, zachwycającym.

Po południu ćwiczą w garażu, walczą, sapiąc z wysiłku. Gdy Jos częściej używa mocy, lepiej ją kontroluje. Margot wyczuwa tę nierówność, widzi, jak Jos się zamartwia, kiedy moc czasami się potęguje, a czasami znika zupełnie. Musi być jakiś sposób, żeby nauczyła się nad nią panować. Na pewno są w okolicy dziewczyny, które też ćwiczą i mogłyby nauczyć Jos paru sztuczek.

Jeśli chodzi o Margot, to koniecznie musi się przekonać, czy może swoją moc poskromić. W magistracie zaczyna się testowanie pracowników.

– Zapraszam, pani burmistrz. Proszę usiąść.

Pokój jest mały, z jednym tylko lufcikiem wpuszczającym cienką smugę szarego światła. Kiedy przychodzi pielęgniarka, by przeprowadzić coroczne szczepienia na gripę, właśnie tutaj rozkłada swoje rzeczy. Albo kiedy ktoś robi

okresową ocenę wydajności pracowników. Na środku ustawiono stół i trzy krzesła. Za stołem siedzi kobieta z niebieskim identyfikatorem przypiętym do zakietu. Przed nią na blacie znajduje się jakiś aparat – wygląda jak mikroskop albo analizator hematologiczny; ma jakieś igły i soczewki.

Kobieta mówi:

– Musi pani wiedzieć, pani burmistrz, że wszyscy w tym budynku zostają poddani testowi. Nie jest pani jedyna.

– Nawet mężczyźni? – Margot podnosi brwi.

– No nie, mężczyźni nie.

Margot zastanawia się przez chwilę.

– Dobrze. A to... co to właściwie za procedura?

Kobieta uśmiecha się blado.

– Pani burmistrz, podpisywała pani zezwolenia. Wie pani, o co chodzi.

Margot czuje ściskanie w gardle. Opiera dłoń na biodrze.

– Chciałabym, żeby pani jednak poinformowała mnie, o co chodzi. Zgodnie z zasadami.

Kobieta odpowiada:

– Jest to przyjęty w całym stanie obowiązkowy test wykrywający zwój, a ściślej zdolność oddziaływania elektrostatycznego. – Dalej czyta już z kartki leżącej obok aparatu. – Zgodnie z rozporządzeniem gubernatora Daniela Dandona dalsze zatrudnienie w organach administracji zależy od wyrażenia zgody na poddanie się testowi. Wynik pozytywny nie musi wiązać się z utratą bądź zmianą stanowiska. Wiadomo także, że pozytywny wynik testu może się pojawić u kobiet, które nie były świadome, że mają zdolność oddziaływania elektrostatycznego. Osoby, dla których wynik testu jest niepokojący, będą mogły skorzystać z pomocy psychologicznej lub omówić z doradcą dalsze możliwości rozwoju zawodowego, w razie gdyby dotychczasowe zatrudnienie nie mogło być kontynuowane.

– Co to znaczy „nie mogło być kontynuowane”? – pyta Margot. – Co pani chce przez to powiedzieć?

Kobieta sznurkuje usta.

– Niektóre stanowiska pracy, na których pracownicy mają kontakt

z małoletnimi albo z przedstawicielami społeczności, zostały przez kancelarię gubernatora sklasyfikowane jako szczególnie wrażliwe.

Oczami wyobraźni Margot widzi Daniela Dandona, gubernatora stanu, stojącego za plecami tej kobiety i śmiejącego się w głos.

– Z małoletnimi i przedstawicielami społeczności? A jak się ma sprawa z moim stanowiskiem?

Kobieta uśmiecha się.

– Jeśli nie doświadczyła pani nigdy oddziaływania, wszystko będzie dobrze. Nie ma się czym martwić, pięć minut i po sprawie.

– Nie dla wszystkich.

Kobieta naciska włącznik aparatu. Rozlega się jednostajny szum.

– Możemy zaczynać, pani burmistrz.

– A jeśli nie wyrażę zgody?

Westchnienie.

– Jeśli się pani nie zgodzi, będę musiała wpisać odmowę do protokołu i gubernator poinformuje odpowiedni departament.

Margot siada. Myśli: Nie zorientują się, że tego używałam. Nikt nie wie. Nikogo nie okłamałam. Myśli: Cholera. Przelyka ślinę.

– Dobrze – mówi. – Ale proszę zaprotokołować, że składam oficjalny protest przeciwko zmuszaniu pracowników administracji stanowej do przechodzenia inwazyjnych testów.

– Proszę bardzo – odpowiada kobieta. – Zapiszę to.

Za jej uśmiechem Margot znowu widzi roześmianą twarz Daniela. Wyciąga ramię, żeby mogli przykleić jej do skóry elektrody, i myśli, że przynajmniej, przynajmniej, kiedy będzie miała to za sobą, nawet jeżeli wyleci z pracy i będzie mogła sobie wsadzić gdzieś swoje ambicje polityczne, to przynajmniej nie będzie musiała nigdy więcej oglądać jego głupiej gęby.

Przyklejają jej elektrody do nadgarstków, ramion i obojczyków. Będą wykrywać aktywność elektryczną, wyjaśnia techniczka monotonnym głosem. „Nie powinna pani odczuwać żadnego dyskomfortu. W najgorszym razie lekkie pieczenie”.

W najgorszym razie koniec kariery, myśli Margot, ale nic nie mówi.



Badanie jest bardzo proste. Polega na stymulowaniu nerwów serią słabych impulsów elektrycznych. Takie testy wykonuje się teraz w szpitalach niemowlętom płci żeńskiej i wynik jest zawsze taki sam – wszystkie nowo narodzone dziewczynki mają zwój, bez wyjątku. Jeżeli niemal niewyczuwalny impuls dotrze do zwoju, organ automatycznie zareaguje wyładowaniem. Margot czuje, że jej zwój jest w pełnej gotowości; to nerwy, adrenalina.

Pamiętaj, żeby sprawić wrażenie zaskoczonej, mówi do siebie, żebyś wyglądała na przestraszoną i wytrąconą z równowagi przez to odkrycie.

Aparat szumi. Margot wie, jak działa. Z początku wysłała impuls tak słaby, że nie da się go wyczuć, ale zwoje noworodków niemal zawsze reagują już na tym poziomie, ewentualnie na następnym. Aparat ma dziesięć poziomów, siła impulsu zwiększa się stopniowo z poziomu na poziom. Po przekroczeniu jakiegoś progu zwój Margot, przejrzały i niewycwiczony, również zareaguje, odpowiadając na wezwanie. I wtedy wszystko wyjdzie na jaw. Margot bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze. Czeka.

Z początku niczego nie odczuwa, jedynie narastające napięcie w piersi, wzdłuż pleców. Ani na poziomie pierwszym, ani na drugim, ani na trzecim. Aparat spokojnie cyka, odmierzając czas. Wskazówka przesuwana się na skali. Margot czuje, że wyładowanie energii byłoby przyjemne. Jak wtedy, gdy człowiek się budzi i ma ochotę otworzyć oczy. Ale powstrzymuje się i nie jest to trudne.

Wdech, wydech. Techniczka obsługująca aparat uśmiecha się do niej i notuje coś na formularzu pełnym kwadracików do zaznaczania. Czwarte zero w czwartej rubryce. Prawie połowa. Oczywiście w którymś momencie Margot nie będzie już mogła opanować odruchu, wie o tym dobrze, bo czytała opracowania. Uśmiecha się do techniczki krótkim żalonym uśmiechem.

– Dobrze się pani czuje? – pyta kobieta.

– Czułabym się lepiej z kieliszkiem koniaku – odpowiada Margot.

Wskazówka przesuwana się dalej. Teraz robi się trudniej. Pojawia się klucie pod prawym obojczykiem i w prawej dłoni. No dalej, zachęca ją, dawaj. Jest nieprzyjemne, jakby ciężar przygniatający ramię. Tak łatwo mogłaby zrzucić ten balast i uwolnić się. Ale nie może pokazać, że walczy, że się z czymś zmaga.

Zaczyna sobie przypominać, co się działo, kiedy Bobby przyznał się do romansu. Jak na zmianę było jej gorąco i zimno, jak ścisnęło ją w gardle. Jak on zapytał: „Nic nie powiesz? Nie masz mi nic do powiedzenia?”. Jej matka wrzeszczała na ojca o wszystko, o to, że wychodząc rano do pracy, zostawia niezamknięte drzwi albo że jego kapcie wiecznie leżą na środku salonu. Margot nigdy taka nie była, nie chciała być. W dzieciństwie lubiła chodzić w cieniu pod cisami, stawiając jedną stopę za drugą bardzo ostrożnie i wyobrażając sobie, że jeśli zrobi jeden niebaczny krok, korzenie wypełzną spod ziemi, żeby ją schwytać. Zawsze umiała być cicho.

Wskazówka nadal idzie do przodu. Na formularzu widnieje już kolumna starannie wypisanych ośmiu zer. Margot bała się, że nie dostanie ani jednego zera, że wszystko się skończy, zanim w ogóle coś poczuje, i nie będzie miała żadnych szans. Oddycha miarowo. Teraz jest już bardzo trudno, ale ten wysiłek jest znajomy. Jej ciało chce czegoś, a ona mu odmawia. Czuje napięcie w całym tułowie, w brzuchu, w miednicy, nawet w pośladkach. Niereagowanie jest jak niezrobienie siusiu, kiedy bardzo się chce. Jak wstrzymanie oddechu jeszcze parę sekund po chwili, kiedy to zaczyna być nieprzyjemne. Nic dziwnego, że niemowlęta reagują od razu; zdumiewające, że wykryli tym jakąś dorosłą kobietę. Margot czuje chęć wyładowania, ale tego nie robi. Po prostu nie robi.

Maszyna wskakuje na dziesiąty poziom. Powstrzymanie reakcji jest wykonalne, jak najbardziej. Czeka. Szum wreszcie ustaje. Przez chwilę kręci się jeszcze wentylator, wreszcie zapada cisza. Długopis unosi się znad formularza. Dziesięć zer.

Margot próbuje wyglądać na rozczarowaną.

– Nic z tego, co? – mówi.

Techniczka wzrusza ramionami.

Margot zakłada nogę na nogę, kiedy kobieta zdejmuje z niej elektrody.

– Czułam, że tego nie mam. – Pozwala głosowi troszkę załamać się na końcu.

Daniel przejrzy ten protokół. Będzie musiał się na nim podpisać. Pod wnioskiem: „Nadaje się do pracy w administracji publicznej”.

Margot prostuje ramiona i śmieje się krótko, nieprzyjemnym śmiechem.

Teraz już nie ma powodu, by odsunąć ją od programu wprowadzającego badanie na całym terenie podległym jej urzędowi. Żadnego powodu. To Margot

podpisuje budżet na realizację. Ustala zakres kampanii informującej, że takie testy służą bezpieczeństwu publicznemu. To jej nazwisko widnieje na raportach stwierdzających, że sprzęt testujący przyczyni się do ratowania życia. Mówi sobie, podpisując papiery, że w zasadzie to prawda. Że każda kobieta, która nie wytrzyma tego niezbyt wielkiego obciążenia, stanowi zagrożenie dla siebie samej i, owszem, dla społeczeństwa.

Powstają różne dziwne ruchy, dziwne trendy, nie tylko na świecie, ale też w kraju. Wszystko jest w internecie. Chłopcy noszący się jak dziewczęta, żeby wzbudzić respekt. Dziewczęta noszące się jak chłopcy, żeby odżegnać się od mocy i skojarzeń, które wywołuje, albo żeby mieć kamuflaż i atakować znieścacka, jak wilki w owczej skórze. Kościół baptystów w Westboro nie może opędzić się od maniackalnych nowych wyznawców, oczekujących dnia sądu.

Urząd miasta – który usiłuje utrzymać wszystko w normie, zapewnić ludziom poczucie bezpieczeństwa, skłonić ich, żeby jak zwykle chodzili do pracy i wydawali zarobione dolary podczas weekendowych rozrywek – odwała kawał dobrej roboty. To jest ważne.

Daniel mówi:

– Naprawdę się staram, zawsze próbuję znaleźć coś pozytywnego, rozumiesz, ale tym razem – wypuszcza z dłoni kartki, które opadają na stół – twoi ludzie nie dali mi nic, co by się nadawało.

Arnold, facet od budżetu, kiwa milcząco głową z podbródkiem na dłoni, niezgrabnym, pokręconym ruchem.

– Zdaję sobie sprawę, że to nie twoja wina – ciągnie Daniel. – Brakuje wam pracowników i pieniędzy, naprawdę wszyscy wiedzą, że się staracie nawet w tych trudnych czasach, ale to się do niczego nie nadaje.

Margot czytała raport urzędu miasta. Owszem, wysuwa śmiało wnioski i proponuje strategię całkowitej otwartości w sprawach bezpieczeństwa, możliwych terapii i szans powrotu dawnego stanu rzeczy (są zerowe). Daniel peroruje, wskazuje problem za problemem i nie przyznaje: „Nie mam na to odwagi”, choć taki jest sens jego słów.

Margot przyciska dłonie do stołu, od spodu, wewnątrz do góry. Czuje, jak narasta w niej energia. Oddycha spokojnie i powoli; wie, że ma nad tym

kontrolę, i ta kontrola sprawia jej przyjemność, przynajmniej na początku. Wyobraża sobie, co by zrobiła; kiedy Daniel gada i gada, może to sobie świetnie przedstawić. Ma wystarczająco dużo mocy, żeby zacisnąć Danielowi gardło i wykończyć go jednym porażeniem. Zostałoby jej tyle, żeby celnym błyskiem w skroń znokautować Arnolda. Łatwe. Wcale by się nie musiała wysilać. Jedna chwila, bezgłośnie. Mogłaby zabić ich obu, tu, na miejscu, w sali konferencyjnej 5b.

Myśli o tym i czuje, że jest gdzieś bardzo daleko od stołu, przy którym Daniel ciągle otwiera i zamyka usta jak złota rybka. Znajduje się w rejonach wysokich, strzelistych, gdzie płuca wypełniają się lodowymi kryształami, a wszystko jest bardzo jasne i czyste. To, co się akurat dzieje, nie ma znaczenia. Mogłaby ich zabić. To podstawowa, najgłębsza prawda. Margot pozwala mocy przeniknąć do palców i lakier pod blatem zaczyna się przypalać. Czuje słodkawy chemiczny zapach. Nic z tego, co mówią ci dwaj faceci, nie jest istotne, bo mogłaby ich zabić trzema ruchami, zanim podnieśliby się z wygodnych krzeseł.

Nieważne, że nie powinna, że nigdy tego nie zrobi. Ważne, że mogłaby, gdyby tylko zechciała. Umiejętność robienia krzywdy to rodzaj bogactwa.

Odzywa się zniecka, przerywając Danielowi, ostro niczym stukanie do drzwi.

– Nie marnuj mojego czasu, Daniel.

Nie jest jej przełożonym. Są sobie równi. Nie może zwolnić jej z pracy, a mówi tak, jakby mógł.

– Oboje dobrze wiemy, że nikt nie zna dobrego wyjścia. Jeśli masz jakiś świetny pomysł, chętnie posłucham. W przeciwnym razie...

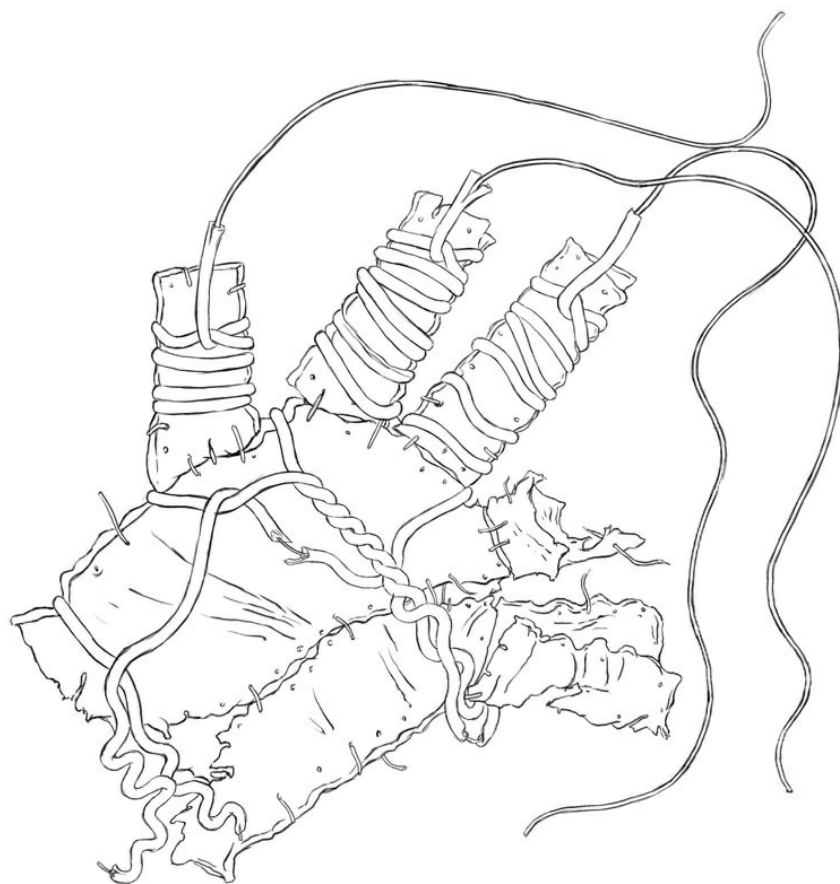
Zawiesza głos. Daniel otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, a potem zamyka je znowu. Pod palcami Margot, na spodzie blatu, lakier mięknie i zaczyna się łuszczyć, żeby w końcu spaść w kawałkach na grubą wykładzinę.

– Tak myślałam – podejmuje Margot. – Lepiej pracujmy razem w tej sprawie, dobrze, kolego? Nie ma sensu się szarpać.

Przez głowę przemyka jej myśl o przyszłości. Któregoś dnia będziesz mi buty czyścił, stary. Mam ambitne plany.

– No tak – odpowiada Daniel. – Fakt.

Margot myśli: Tak się właśnie załatwia sprawy po męsku. I wszystko jasne.



*Prymitywna broń sprzed około 1000 lat. Druty miały za zadanie przewodzić energię elektryczną. Używana w walkach lub do wymierzania kar. Odkryta w miejscu pochówku na terenie dawnego Westchester.*

*Jeszcze osiem lat*

## *Allie*

Nie potrzeba wcale wielu cudów. Ani Watykanowi, ani gromadzie niespokojnych nastolatków mieszkających długo pod jednym dachem i obawiających się przyszłości. Cuda nie muszą być liczne. Dwa w zupełności wystarczą. Trzy to już całe mnóstwo.

Jest wśród nich pewna dziewczyna, Luanne. Z bladą cerą, rudymi włosami i rzucikiem piegów na policzkach. Ma tylko czternaście lat. Jest w klasztorze od trzech miesięcy, zaprzyjaźniła się z Gordy. Śpią razem w jednym łóżku, żeby się ogrzać. „W nocy robi się strasznie zimno”, mówi Gordy, Luanne się uśmiecha, a inne dziewczyny chichoczą i trącają się łokciami.

Luanne jest słabego zdrowia; choruje, odkąd poczuła moc. Żaden doktor nie potrafi jej wyleczyć. Kiedy się czymś przejmie, przestraszy albo śmieje za bardzo, zdarza się coś dziwnego: oczy stają jej w słup i pada na ziemię, a potem zaczyna się trząść, jakby zaraz miała połamać sobie wszystkie kości. „Trzeba ją potrzymać – mówi Gordy. – Objąć ją za ramiona i poczekać, aż się obudzi. Obudzi się sama, trzeba tylko poczekać”. Luanne często śpi potem godzinę albo dłużej. Gordy siedzi, otaczając ją ramionami, i czeka do północy w refektarzu albo nad ranem w ogrodzie.

Allie ma przecucie co do Luanne, jakby mrówki chodziły jej po plecach. Pyta: Czy to właśnie ta?

Głos odpowiada: Tak mi się wydaje.

Któregoś wieczora nadchodzi burza. Zaczyna się daleko na morzu. Dziewczyny razem z siostrami oglądają ją z tarasu na tyłach budynku. Chmury robią się niebieskofioletowe, światło jest przygaszone. Błyskawica uderza raz, drugi i trzeci w taflę oceanu.

Patrzenie na burzę pobudza zwój, zaczyna cię coś swędzieć i łaskotać. Wszystkie dziewczyny tego doznają. Savannah po kilku minutach nie wytrzyma i wypuszcza z palców jaśniejący łuk wprost w deski tarasu.

– Przestań – mówi siostra Weronika. – Przestań natychmiast.

– Weroniko – łagodzi siostra Maria Ignacja – przecież ona nie zrobiła nic złego.

Savannah chichocze i wypuszcza następny błysk. Mogłaby się powstrzymać, gdyby naprawdę chciała, ale w burzy jest coś tak ekscytującego, że ma się straszną ochotę dołączyć.

– Nie dostaniesz jutro żadnego posiłku, Savannah – oznajmia siostra Weronika. – Jeżeli tak dalece nie umiesz nad sobą panować, odmówimy ci opieki.

Siostra Weronika wyrzuciła już jedną dziewczynę, która nie chciała przestać walczyć na terenie klasztoru. Zakonnice pozostawiły jej ten obowiązek – może znajdować i karać podopieczne, w których widzi działanie diabła.

Ale „żadnego posiłku jutro” to surowa kara. W soboty jest pieczeń na obiad.

Luanne ciągnie siostrę Weronikę za rękaw.

– Proszę siostry – mówi. – Ona nie chciała.

– Nie dotykaj mnie, dziewczyno.

Siostra Weronika wyszarpuje rękę i lekko odpycha Luanne.

Ale burza już zaszкодziła Luanne. Głowa leci jej do tyłu i na bok, w dobrze znajomy sposób. Usta otwierają się i zamykają bezgłośnie. Upada na plecy, waląc ciałem o deski. Gordy rusza w jej kierunku, ale siostra Weronika zagradza jej drogę laską.

– Zostaw ją – mówi.

– Ale siostro...

– Wystarczająco już rozpieszczamy tę dziewczynę. Nie powinna była zapraszać tego czegoś do swojego ciała. Skoro już to zrobiła, musi ponieść konsekwencje.

Luanne rzuca się, uderzając tyłem głowy w deski. Bąbelki śliny na jej ustach zabarwiają się na czerwono.

Głos mówi: Dalej, wiesz, co zrobić.

Allie pyta:

– Siostro Weroniko, czy mogę spróbować to zatrzymać, żeby już nie robiła zamieszania?

Siostra Weronika spogląda na Ewę, spokojną i pracowitą dziewczynę, którą



od miesiący udaje Allie. Wzrusza ramionami.

– Jeśli myślisz, że uda ci się coś poradzić na te wygłupy, Ewo, to proszę bardzo.

Allie klęka przy Luanne. Dziewczyny patrzą na nią jak na zdrajczynię. Wszystkie wiedzą, że to nie wina Luanne, więc po co Ewa udaje, że może pomóc?

Tymczasem Allie wyczuwa bieg elektryczności w ciele Luanne: wzdłuż kręgosłupa, w karku i w głowie. Czuje, jak impulsy szarpią się w górę i w dół, zacinając się, próbując wyrównać rytm, poplątane i nieskoordynowane. Widzi to, jakby miała przed oczami – tu jest przeszkoda, w tym miejscu i w tym, a ten narząd u podstawy czaszki działa w niewłaściwym tempie. Potrzebna jest tylko niewielka poprawka, moc, której się nawet nie poczuje, napięcie tak małe, że nikt inny nie potrafi go odmierzyć – ukłucie cieniutką elektryczną igłą dokładnie w tym miejscu, żeby wszystko naprawić.

Allie bierze głowę Luanne w dłonie, dotyka najmniejszym palcem wgłębienia na karku tuż pod czaszką, sięga delikatną błyskawicą i lekko pstryka.

Luanne otwiera oczy. Jej ciało natychmiast się uspokaja.

Mruga oczami i pyta:

– Co się stało?

Wszyscy wiedzą, że to nigdy tak nie wygląda, że Luanne powinna teraz spać co najmniej przez godzinę, a potem jeszcze przez tydzień mogłaby chodzić trochę oszołomiona.

Abigail mówi:

– Ewa cię uzdrowiła. Dotknęła cię i zostałeś uzdrowiona.

Oto był znak pierwszy. I wtedy powiedziano: ta jest ulubienicą Niebios.

Przyprowadzają do niej inne dziewczyny, które potrzebują pomocy. Czasami Allie dotykiem wyczuwa ich ból. Czasami to drobiazgi, kiedy boli coś, co nie musi boleć – zawroty głowy albo migrena, naciągnięty mięsień. Allie, niekochana przez nikogo dziewczyna z Jacksonville, ćwiczyła tak długo, że teraz Ewa, spokojna i cicha młoda kobieta, umie położyć na kimś dłonie i odnaleźć miejsce, w które należy posłać iskrę mocy i naprawić to, co źle działa, przynajmniej na chwilę. Terapia jest skuteczna, chociaż efekty bywają

nietrwałe. Allie nie potrafi nauczyć ciała, żeby zaczęło właściwie pracować, ale potrafi korygować jego błędy.

Zaczynają w nią wierzyć. Że ma coś w sobie. Jeżeli nie siostry, to przynajmniej dziewczęta.

Savannah pyta:

– Ewa, czy to Bóg? Czy Bóg do ciebie mówi? On w ciebie wszedł?

Zadaje to pytanie któregoś wieczora w dormitorium, cichym głosem, po zgaszeniu świateł. Pozostałe dziewczyny słuchają, chociaż udają, że śpią.

Ewa odpowiada:

– A ty jak myślisz, co to jest?

Savannah mówi:

– Myślę, że masz dar uleczenia. Tak jak czytałyśmy w Piśmie.

W sali rozlega się szmer, ale nikt nie protestuje.

Następnego wieczora, kiedy szykują się do spania, Ewa mówi kilku dziewczynom:

– Chodźcie ze mną nad morze jutro o świcie.

One pytają:

– Po co?

Odpowiada:

– Słyszałam głos, który powiedział: „Idźcie o świcie nad morze”.

Głos chwali: Bardzo dobrze, kochana, mówisz to, co trzeba.

Niebo jest szaroniebieskie jak kamyk, ozdobione piórkami chmur. Kiedy dziewczyny w piżamach schodzą na plażę, ocean szumi cicho, niczym matka uspokajająca niemowlę.

Allie odzywa się głosem Ewy, miękkim i niegłośnym. Mówi:

– Głos powiedział, żebyśmy weszły do wody.

Gordy śmieje się i pyta:

– Ewa, o co chodzi? Chcesz popływać?

Luanne ucisza ją z palcem przy ustach. Od kiedy Ewa przyłożyła jej dłoń do głowy, nie miała żadnego ataku, który trwałby dłużej niż parę sekund.

Abigail pyta:

– I co potem zrobimy?

Ewa odpowiada:

– Bóg pokaże nam, jaka jest Jej wola.

To jedno słowo, „Jej”, stanowi nową naukę, szokującą i skandaliczną. Ale dziewczyny rozumieją od razu, każda z nich. Czekwały na takie wieści.

Wchodzą do wody, piżamy i nocne koszule oblepiają im nogi. Krzywią się, trafiając stopami na kamienie, trochę chichoczą, ale wszystkie ogarnia jakieś uniesienie, które widzą wzajemnie na swoich twarzach. Coś się tutaj wydarzy. Na niebie wstaje świt.

Ustawiają się w kręgu. Stoją po pas w wodzie, głaszczą dłońmi czyste chłodne fale.

Ewa mówi:

– Boska Matko, pokaż, czego od nas oczekujesz. Ochrczuj nas swoją miłością i naucz, jak mamy żyć.

I każda dziewczyna w kręgu nagle czuje, że uginają się pod nią kolana. Jakby wielka dłoń przyginała ją do dna morskiego, aż zanurzy się cała, by po chwili się podnieść, ociekając wodą i łapiąc powietrze. Teraz wiedzą, że oto Bóg ich dotknęła i właśnie narodziły się na nowo. Wszystkie padają w wodzie na kolana. Wszystkie czują tę dłoń na plecach. Wszystkie przez chwilę myślą, że zaraz umrą pod wodą, nie mogą oddychać, a kiedy potem się podnoszą – odradzają się do nowego życia.

Stają znowu w kręgu, całe mokre, patrząc po sobie w zdumieniu. Tylko Ewa się nie poruszyła. Stoi między nimi sucha.

Poczuły, że Bóg była przy nich i pomiędzy nimi i podobało Jej się to, co widziała. Ptaki przeleciały po niebie, wołając na chwałę nowego zarania.

Tamtego ranka około dziesięciu dziewcząt poszło na plażę, żeby doświadczyć cudu. Wcześniej nie wyróżniały się wśród sześćdziesięciu młodych kobiet przebywających pod opieką zakonnicy. Nie miały szczególnej charyzmy, nie były najbardziej lubiane ani najzabawniejsze, najładniejsze czy najmądrzejsze. Łączyła je może okoliczność, że były to dziewczyny, które wycierpiały najwięcej, których historie były najokropniejsze, które na własnej skórze

przekonały się, czego należy się obawiać ze strony innych ludzi i samych siebie. I tamtego poranka wszystkie doznały przemiany.

Ewa każe im przysiąc, że dochowają tajemnicy, ale oczywiście nie są w stanie milczeć. Savannah opowiada Kayli, Kayla opowiada Megan, a Megan mówi Danielle, że Ewa rozmawia ze Stwórczynią, że zna sekretne przesłania.

Przychodzą do Ewy po nauki.

Pytają:

– Dlaczego mówisz o Bogu „Ona”?

Ewa odpowiada:

– Bóg nie jest ani kobietą, ani mężczyzną, lecz obojgiem naraz. Ale teraz chce nam pokazać swoją drugą twarz, tę, którą wszyscy zbyt długo pomijali.

Pytają dalej:

– A co z Jezusem?

Ewa mówi:

– Jezus jest synem. Ale syn pochodzi od matki. Pomyślcie: co jest większe, Bóg czy świat?

Odpowiadają bez namysłu, bo to słyszały już od zakonnic:

– Bóg jest większy, bo stworzył świat.

Ewa pyta:

– Więc ta, która stwarza, jest większa od tego, co jest stworzone?

Mówią:

– Pewnie tak.

Ewa zadaje następne pytanie:

– To kto jest większy, Matka czy Syn?

Milczą, bo jej słowa wydają się bluźnierstwem.

Ewa mówi dalej:

– To już zostało zapowiedziane w Piśmie. Wiemy, że Bóg przyszedł na ziemię jako człowiek. Nauczano nas, żeby Boga nazywać Ojcem. Jezus tak nauczał.

Przyznają jej rację.

Ewa ciągnie:

– Więc ja teraz nauczam nowej rzeczy. Dostałyśmy moc, żeby zobaczyć i naprawić swoje błędne myślenie. To Matka, nie Syn, jest wysłanniczką Niebios. Powinniśmy od teraz nazywać Boga Matką. Boska Matka zeszła na ziemię jako Maria, która poświęciła swoje dziecko, żeby uwolnić świat od grzechu. Boska Matka zawsze mówiła, że któregoś dnia powróci na ziemię. I teraz powróciła, żeby nauczyć nas nowego życia.

Pytają:

– A kim ty jesteś?

Ewa odpowiada pytaniem:

– Jak myślicie, kim jestem?

W sercu Allie pyta: Jak mi idzie?

Głos odpowiada: Świetnie.

Allie pyta: Czy tego właśnie chcesz?

Głos mówi: Myślisz, że jest choć jedna rzecz na świecie, która mogłaby się wydarzyć bez Boskiej woli? Kochanie, czeka cię coś znacznie większego, uwierz mi.

W tamtych dniach wszystkich opanowała gorączka, pragnienie poznania prawdy, zrozumienia, dlaczego Bóg sprowadził taką zmianę na ludzi. Na Południu pojawiło się wielu kaznodziej, którzy mieli wyjaśnienie: to kara za grzechy, szatan, który wstąpił na ziemię, znak nadchodzącego końca świata. Ale to nie była prawdziwa religia. Prawdziwa religia bierze się z miłości, nie ze strachu. Prawdziwa religia to matka, trzymająca w ramionach dziecko – oto miłość i oto prawda. Dziewczęta przekazują sobie nowe nauki. Bóg powróciła i Jej przesłanie skierowane jest do nas, tylko do nas.

Wczesnym rankiem parę tygodni później odbywa się kolejny chrzest. Nadchodzi wiosna, Wielkanoc, święto jajek, płodności i otwartego łona. Święto Marii. Kiedy dziewczyny wychodzą z wody, nie ukrywają już, co je spotkało; zresztą byłoby to niemożliwe. Zanim nadejdzie pora śniadania, dowiadują się wszystkie podopieczne i wszystkie zakonnice.

Ewa siedzi pod drzewem w ogrodzie i dziewczęta przychodzą z nią rozmawiać.

Pytają:

– Jak mamy cię nazywać?

Ewa odpowiada:

– Jestem tylko wysłanniczką Matki.

Pytają dalej:

– Ale czy Matka jest w tobie?

Więc Ewa odpowiada:

– Ona jest w każdej z nas.

Mimo to dziewczyny zaczynają mówić o niej: Matka Ewa.

Tego wieczora wśród zakonnice odbywa się wielka debata. Siostra Maria Ignacja – która, jak widzą towarzyszki, jest wielką przyjaciółką tej dziewczyny, Ewy – wypowiada się przychylnie o nowym porządku wyznania. Przecież to to samo, co zawsze, mówi. Matka i Syn, dokładnie tak samo. Maria jest Matką Kościoła. Maria jest Królową Niebios. To ona modli się za nas, teraz i w godzinie śmierci naszej. Niektóre z tych dziewcząt nigdy nie były ochrzczone, a teraz same zdecydowały, żeby się ochrzcić. Czy to może być grzech?

Siostra Katarzyna mówi o herezjach kultu maryjnego i że muszą poczekać na wykładnię Kościoła.

Podnosi się siostra Weronika i staje, prosta jak krzyż, na środku sali.

– Diabeł zamieszkał pod tym dachem – mówi. – Wpuściliśmy diabła i pozwoliliśmy mu się zagnieździć w naszych sercach. Jeżeli nie wypalimy tej zarazy teraz, od razu, czeka nas wieczne potępienie.

Powtarza ostatnie słowa jeszcze raz, głośniejszym głosem, spoglądając po kolei na wszystkie zakonnice.

– Wieczne potępienie. Jeżeli nie spalimy tych dziewcząt tak, jak spalono im podobne w Decatur i w Shreveport, diabeł zapanuje nad nami wszystkimi. Pochłonie nas. – Zawiesza głos. Jest dobrą mówczynią. – Będę się modlić w tej intencji dziś w nocy, będę się modlić za was wszystkie. Zamkniemy dziewczęta w pokojach, pozostaną tam aż do świtu. Powinnyśmy je spalić.

Jedna z dziewczyn, podsłuchująca pod oknem, zanoszą tę wiadomość Matce Ewie.

Wszystkie czekają, co powie.

Głos mówi: Teraz je masz, kochana.

Matka Ewa mówi:

– Niech nas zamkną. Wszechmogąca dokona swoich cudów.

Głos się dziwi: Czy siostrze Weronice nie przychodzi do głowy, że możecie otworzyć okno i zejść na dół po rynnie?

Allie odpowiada w głębi serca: To wola Wszechmogącej, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

Rano siostra Weronika nadal modli się w kaplicy. O szóstej, gdy zakonnice zbierają się na jutrznię, leży krzyżem przed ołtarzem, z rozciągniętymi ramionami i czołem opartym na chłodnej kamiennej posadzce. Dopiero kiedy pochylają się, żeby delikatnie dotknąć jej ramienia, widzą, że jej twarz jest sinofioletowa. Nie żyje od wielu godzin. Atak serca. Coś, co kobiecie w jej wieku może się zdarzyć w każdej chwili. Potem, ze słońcem wschodzącym za oknami, spoglądają na figurę Jezusa na krzyżu i zauważają, że na jego ciele pojawiły się znaki, linie jakby wyryte nożem, układające się w ślad uderzenia mocy, przypominający liść paproci. I domyślają się, że siostra Weronika zmarła w momencie, gdy zobaczyła cud i poczuła żal za wszystkie swoje grzechy.

Wszechmogąca powróciła, tak jak zapowiedziano, i znowu przybrała ludzką postać.

Nadszedł dzień radowania się.

Przychodzi posłanie z Watykanu, nawołujące do zachowania spokoju i utrzymania porządku, ale atmosfera między dziewczętami jest tak entuzjastyczna, że żadne pouczenia nie mogłyby jej wyciszyć. W klasztorze nastaje święto; przestały obowiązywać wszystkie reguły. Nikt nie ścieli łóżek, dziewczyny biorą sobie ze spiżarni, co tylko chcą, nie przejmując się porami posiłków, słysząc śpiew i muzykę. Powietrze mieni się i lśni. Piętnaście kolejnych dziewcząt prosi o chrzest i po południu zostają ochrzczone. Niektóre zakonnice protestują i grożą wezwaniem policji, ale dziewczyny śmieją się i rażą je błyskawicami, zmuszając do ucieczki.

Wieczorem Ewa przemawia do swoich wiernych. Nagrywają to na telefony i wysyłają w świat. Matka Ewa z pokorą zasłania twarz kapturem, bo nie mówi od siebie, ale przekazuje przesłanie Matki.

Ewa głosi:

– Nie lękajcie się. Jeżeli macie wiarę, Bóg będzie z wami. Ona przewróciła dla nas niebo i ziemię. Nauczali was, że mężczyzna panuje nad kobietą, tak jak Jezus panuje nad Kościołem. Ale ja mówię, że kobieta panuje nad mężczyzną, tak jak Maria, która opiekowała się synem, z miłością i troską. Nauczali was, że jego śmierć zmasała grzech. Ale ja wam mówię, że grzechy żadnego człowieka nie zostaną zmasane, dopóki nie dołączy do wielkiego dzieła przywracania sprawiedliwości na świecie. Wyrządzono wiele krzywd i wołą Wszechmogącej jest, byśmy się zebrały, aby wszystko naprawić. Nauczali was, że mężczyzna i kobieta powinni żyć pod jednym dachem jako mąż i żona. Ale ja mówię, że dla kobiet błogosławieństwem jest żyć razem z innymi kobietami, służyć sobie wzajemnie pomocą, gromadzić się i być jedna dla drugiej pocieszeniem. Nauczali, że macie godzić się z losem, ale ja mówię, że będzie dla nas nowa ziemia, nowe królestwo. Będzie miejsce, które wskaże nam Boska Matka, gdzie zbudujemy nowy naród, potężny i wolny.

Jedna z dziewcząt odzywa się:

– Ale przecież nie możemy tu zostać na zawsze i gdzie jest to królestwo, i co się stanie, jak przyjdzie policja? To miejsce nie jest nasze, nie pozwolą nam tutaj zostać! Wsadzą nas do więzienia!

Głos mówi: Nie martw się tym. Ktoś nadejdzie.

Ewa odpowiada:

– Boska Matka ześle nam ocalenie. Będziemy mieć wojowniczkę. A ty będziesz potępiona za wątpliwości. Bóg nie przebaczy ci, że nie zaufałaś Jej w godzinie zwycięstwa.

Dziewczyna zaczyna płakać. Telefony kierują się na nią. Zanim nadejdzie noc, zostanie wyrzucona z klasztoru.

*Tymczasem w Jacksonville ktoś ogląda wiadomości. Ktoś patrzy na twarz przysłoniętą kapturem, schowaną w cieniu. Ktoś myśli sobie: Znam tę twarz.*



## Margot

- Popatrz na to.
- Patrę.
- Czytałaś to?
- Nie wszystko.
- To się nie dzieje w Trzecim Świecie, Margot.
- Wiem.
- Tylko w Wisconsin.
- Wiem.
- Coś takiego się dzieje w cholernym Wisconsin. Coś takiego.
- Daniel, postaraj się tak nie denerwować.
- Powinni zastrzelić te dziewczuchy. Zwyczajnie zastrzelić. Prosto w głowę, bam, i po sprawie.
- Nie możesz zastrzelić wszystkich kobiet, Daniel.
- Nie martw się, Margot, ciebie byśmy nie zastrzelili.
- Co za ulga.
- No tak. Przepraszam. Twoja córka. Zapomniałem. Ona jest... Nikt by do niej nie strzelał.
- Wielkie dzięki, Daniel.

Daniel bębni palcami po stole, a ona myśli, jak to się zdarza coraz częściej: Mogłabym cię za to zabić. Od pewnego czasu taka myśl stale jej towarzyszy, jak cichy szum. Margot powraca do niej niczym do wygładzonego przez fale kamyka w kieszeni, który miło jest obracać w dłoni. Ciągłe jest. Śmierć.

- Mówienie o strzelaniu do młodych kobiet nie jest w porządku.
- No tak. Wiem. Tak. Tylko...

Daniel macha ręką w stronę ekranu. Oglądają nagranie, na którym sześć dziewczyn popisuje się mocą. Patrzą prosto w kamerę i mówią: „Walczymy na

czeń Bogini”. Wzięły to z jakiegoś innego filmiku, gdzieś z sieci. Rażą się błyskawicami, aż jedna mdleje. Innej leci krew z nosa i uszu. Ta „Bogini” to jakiś internetowy wymysł związany z mocą, powstały na forach, wśród młodych ludzi o bujnej wyobraźni, którzy są tacy sami, jak byli wcześniej i jak będą zawsze. Ma już symbol – rysunek dłoni, „rękę Fatimy” z nakreślonym po wewnętrznej stronie okiem, od którego odchodzą linie błyskawic niczym wyrastające pędy, jak gałęzie drzewa. Namalowane sprayem rysunki pojawiają się teraz na murach, na wagonach kolejowych i wiaduktach, wysoko, w niedostępnych miejscach. Niektóre strony internetowe namawiają dziewczyny, żeby zbierały się w grupy i robiły różne okropności; FBI ciągle likwiduje takie domeny, ale jak tylko zamkną jedną, od razu powstają kolejne.

Margot przygląda się dziewczynom na ekranie. Krzyczą, kiedy zostaną porażone. Śmieją się, kiedy uda im się kogoś porazić.

– Jak się czuje Jos? – pyta w końcu Daniel.

– W porządku.

Nieprawda, nie jest w porządku. Brakuje specjalisty, który wyjaśniłby, co jest z nią nie tak. Jos nie potrafi panować nad swoją mocą i jest z tym coraz gorzej.

Margot patrzy na dziewczyny z Wisconsin. Jedna ma na wewnętrznej stronie dłoni tatuaż z symbolem Bogini. Jej koleżanka krzyczy, kiedy dziewczyna razi ją mocą, a Margot nie jest pewna: z bólu, ze strachu czy z radości.

– Jest z nami dzisiaj w studiu pani burmistrz Margot Cleary. Nasi widzowie zapamiętali panią Cleary z czasów, kiedy zaczęły się zmiany, dzięki jej szybkim i zdecydowanym działaniom, które prawdopodobnie uratowały wiele osób.

– Przyszła dziś do nas w towarzystwie swojej córki Jocelyn. Jak się masz, Jocelyn?

Jos nerwowo poprawia się na krześle. Siedzenia wyglądają na bardzo wygodne, ale tak naprawdę są twarde. Uwiera ją coś ostrego. Zwleka z odpowiedzią o sekundę za długo.

– Wszystko dobrze.

– Jocelyn, możesz się podzielić z nami interesującą historią, prawda? Miałaś trochę problemów?

Margot kładzie dłoń na kolanie Jos.

– Tak samo jak wiele młodych dziewcząt – mówi – moja córka Jocelyn niedawno doświadczyła rozwoju mocy.

– Fiona, chyba mamy nagrania dotyczące tamtych wydarzeń.

– To zdjęcia z konferencji prasowej przed pani domem. Jocelyn, o ile dobrze pamiętam, pewien chłopiec trafił przez ciebie do szpitala?

Puszczają nagranie z dnia, w którym Margot została niespodziewanie wezwana do domu. To ona, stojąca na schodach rezydencji, zakładająca włosy za uszy gestem, który nadaje jej wygląd zdenerwowanej, nawet kiedy się nie denerwuje. Na filmie obejmuje ramieniem Jos i odczytuje przygotowane oświadczenie.

– Moja córka była zamieszana w krótką sprzeczkę – mówi na filmie. – Myślni jesteśmy przy Andrew Vincensie i jego rodzinie. Cieszymy się bardzo, że uraz, którego doznał, nie wydaje się poważny. Tego typu wypadki przytrafiają się dzisiaj wielu dziewczętom. Wraz z Jocelyn mamy nadzieję, że wszyscy zachowają spokój i pozwolą naszej rodzinie poradzić sobie z tym wydarzeniem.

– Jej, wydaje się, że to było całe wieki temu, prawda, Fiona?

– Faktycznie, Tom. Jak się czułaś, Jocelyn, kiedy poraziłaś tego chłopca?

Jos przygotowywała się do tego z mamą przez ponad tydzień. Wie, co ma powiedzieć. Zaschło jej w gardle, ale jest dzielna, zrobi, co trzeba.

– Przestraszyłam się – mówi. – Nie umiałam jeszcze radzić sobie z mocą. Bałam się, że zrobiłam mu krzywdę. Chciałam... Chciałam, żeby ktoś mi pokazał, jak używać mocy w dobry sposób. Jak nad nią panować.

W jej oczach pojawiają się łzy. Tego nie planowały, ale efekt jest fantastyczny. Reżyser robi zbliżenie, filmując pod odpowiednim kątem, żeby dobrze było widać lśnienie na policzku. Wychodzi wspaniale. Jos jest taka młoda, świeża, śliczna i zmartwiona.

– To musiało być straszne. I myślisz, że byłoby lepiej, gdyby...

Znowu wtrąca się Margot. Ona także dobrze wygląda. Błyszczące, naturalnie ułożone włosy. Lekki beżowy cień na powiekach. Nic ostentacyjnego. Jest jak ta atrakcyjna pani z sąsiedztwa, która dba o siebie, chodzi na basen i uprawia jogę. Którą można stawiać za wzór.

– Tamten dzień sprawił, że zaczęłam myśleć, jak właściwie możemy pomóc

dziewczętom. Na razie mówi się im, żeby w ogóle nie używały mocy.

– Bo przecież nie chcemy, żeby strzelały błyskawicami na ulicach, prawda?

– Oczywiście, że nie, Tom. Ale mój trzyetapowy plan jest następujący.

Tak jest dobrze. Asertywność. Skuteczność. Krótkie zdania. Punkty. Jak BuzzFeed.

– Po pierwsze: zapewnić dziewczętom bezpieczne miejsca do wspólnych treningów. Najpierw na próbę na terenie miasta, a potem, jeśli pomysł okaże się sukcesem, w całym stanie. Po drugie: znaleźć dziewczyny, które dobrze opanowały używanie mocy, żeby pomogły młodszym nauczyć się nią posługiwać. Po trzecie: zero tolerancji dla stosowania mocy poza wyznaczonymi miejscami.

Krótkie milczenie. Umówili się tak wcześniej. Widzowie potrzebują chwili, żeby przyswoić sobie, co usłyszeli.

– Czy dobrze rozumiem, pani burmistrz, że proponuje pani finansowanie z budżetu programu szkolenia młodych kobiet, żeby używały mocy bardziej skutecznie?

– Bardziej bezpiecznie, Fiona. I przyszłam tu dzisiaj, żeby zorientować się, jakie jest zainteresowanie takim projektem. W trudnych czasach, takich jak dzisiejsze, powinniśmy przypomnieć sobie, co mówi Biblia: że najmożliwszą z nas nie muszą wcale posiadać największej mądrości i że starsze pokolenie nie zawsze potrafi ocenić, co jest słuszne. – Margot uśmiecha się. Cytowanie Biblii zawsze się sprawdza. – Tak czy inaczej uważam, że zadaniem administracji publicznej jest tworzenie innowacyjnych rozwiązań, nie sądzisz?

– Ma pani na myśli coś w rodzaju obozu szkoleniowego dla tych dziewczyn?

– Tom, wiesz dobrze, że nie o to chodzi. Chodzi o następującą rzecz: nie pozwalamy przecież młodym ludziom wsiadać do samochodu bez prawa jazdy, prawda? Nie chciałbyś na przykład, żeby ktoś, kto zakłada elektryczność w twoim domu, nie miał żadnego przeszkolenia. Chodzi tylko o to: niech dziewczyny się uczą, niech uczą inne dziewczyny.

– Ale skąd mamy wiedzieć, czego one będą tam uczyć? – Tom zaczyna mówić trochę piskliwie, jakby przestraszony. – To mi się wydaje bardzo niebezpieczne. Zamiast uczyć młode kobiety, jak używać tej siły, powinniśmy

się skupić na tym, żeby je wyleczyć. O to mi chodzi.

Fiona uśmiecha się prosto do kamery.

– Ale jak na razie nie ma żadnego lekarstwa, prawda, Tom? Dzisiejszy „Wall Street Journal” podaje, że międzynarodowa grupa naukowców doszła do wniosku, że pojawienie się mocy zostało wywołane przez działanie pewnej substancji neuroaktywnej, która dostała się do środowiska podczas drugiej wojny światowej. Ta substancja zmieniła ludzkie geny. Wszystkie dziewczynki, które się od tej pory urodzą, będą miały moc. Wszystkie. I będą ją miały przez całe życie, tak samo jak dorosłe kobiety, jeśli któraś z młodszych im ją przekaze. Za późno na leczenie czegokolwiek, potrzebujemy nowych pomysłów.

Tom próbuje coś odpowiedzieć, ale Fiona po prostu mówi dalej:

– I myślę, że to wspaniały pomysł, pani burmistrz. Popieram z całego serca. A teraz zapraszamy na prognozę pogody.

Email od: throwawayaddress29457902@gmail.com

Email do: Jocelyn.feinburgcleary@gmail.com

Widziałem cię dzisiaj w wiadomościach. Masz kłopoty ze swoją mocą. Chcesz wiedzieć dlaczego? Chcesz wiedzieć, czy inni też mają kłopoty tak jak ty? Siostrze, nie masz pojęcia, jaka jest prawda. To tylko czubek góry lodowej. Twoje problemy biorą się z pomieszania płci i to jest początek. Kobiety i mężczyźni muszą wrócić na swoje miejsca.

Zajrzyj na [www.urbandoxspeaks.com](http://www.urbandoxspeaks.com), jeśli chcesz poznać prawdę.

– Jak mogłaś to zrobić, do jasnej cholery?

– Nie było żadnych odpowiedzi z twojej kancelarii, Daniel. Nikt nie chciał nas słuchać.

– Więc zrobiłaś coś takiego? Telewizja na cały kraj? Obiecujesz jakiś program ogólnostanowy? Może zapomniałaś, Margot, ale to ja jestem gubernatorem stanu, a ty jesteś tylko burmistrzem tego miasta. I poszłaś do krajowej telewizji z historyjką o programie na cały stan?

– To nie jest niezgodne z prawem.

– Z prawem? Z jakim, kurwa, prawem? A co z umowami, które nas obowiązują? A co z tym, że nigdy w swoim zaszranym życiu nie dostaniesz funduszy na to coś, jeśli narobisz sobie wrogów? A co z tym, że osobiście dopilnuję, żeby wszystkie twoje propozycje były blokowane? Mam znajomych, którzy dużo mogą w tym mieście, Margot, i jeżeli wyobrażasz sobie, że możesz rozpierdolić całą robotę, którą wykonaliśmy, bo masz ochotę zostać gwiazdą telewizji...

– Uspokój się.

– Nie mam zamiaru się uspokajać. Problemem jest nie tylko twoja taktyka, Margot, nie tylko z dupy wzięte pójście do telewizji, ale cały ten kretyński program. Masz zamiar wydawać publiczne pieniądze na szkolenia terrorystyczne? Żebyśmy wszędzie mieli jeszcze skuteczniejsze ataki?

– To nie są terroryści, to są młode dziewczyny.

– Chcesz się założyć? Myślisz, że nie będzie między nimi żadnych terrorystek? Wiesz, co się dzieje na Bliskim Wschodzie, w Indiach, w Azji? Widziałaś przecież w telewizji. Chcesz się założyć, że ten porąbany pomysł doprowadzi do jakiegoś dżihadu?

– Skończyłeś?

– Co...

– Pytam, czy już skończyłeś. Bo mam dzisiaj sporo pracy, więc jeśli już się nagadałeś...

– Nie, do kurwy nędzy, wcale nie skończyłem!

A jednak skończył. Kiedy stoi w gabinecie Margot, naprzeciwko biurka, pryskając śliną na eleganckie meble i kryształowe statuetki z wyrazami uznania dla rady miasta, cały czas dzwonią telefony, przychodzą maile, wrzucane są tweety i posty na forach. „Widzieliście dzisiaj rano burmistrz w TV? Gdzie można zapisać dziewczynki do takiego programu? Mam trzy córki, 14, 16 i 19, dosłownie rozwalają chałupę, serio. Muszą mieć jakieś miejsce, gdzie by mogły pójść. Muszą się gdzieś wyszaleć”.

Jeszcze przed upływem tygodnia Margot dostaje na obozy dla dziewcząt ponad półtora miliona dolarów ze zbiórki społecznej – w tym czeki przesyłane przez zatroskanych rodziców i anonimowe wpłaty od miliarderów z Wall Street. Sporo ludzi chce zainwestować w jej program. Stało się na tym, że to będzie

przedsięwzięcie z udziałem funduszy prywatnych, wzorcowy przykład partnerstwa publiczno-prywatnego w sferze użyteczności publicznej.

Jeszcze przed upływem miesiąca Margot znajduje miejsca na pierwsze ośrodki w mieście: dawne szkoły pozamykane po tym, jak trzeba było rozdzielić dziewczęta i chłopców, z odpowiednimi salami gimnastycznymi i dziedzińcami. Urzędnicy z sześciu innych stanów przyjeżdżają z nieoficjalnymi wizytami, żeby zobaczyć, jak to wygląda.

Jeszcze przed upływem trzech miesięcy różni ludzie zaczynają mówić: „Słuchaj, dlaczego ta Margot Cleary nie kandyduje na coś ambitniejszego? Można by ją zaprosić. Zróbmy jakieś spotkanie”.

## *Tunde*

W prowincjonalnym mieście gdzieś w Mołdawii trzynastoletnia dziewczynka z lekkim meszkiem nad górną wargą przynosi czerstwy chleb i stare tłuste ryby kilku kobietom przycupniętym na brudnych materacach w ciemnej piwnicy. Przychodzi tu od wielu tygodni. Jest niska i nierozgarnięta. To córka człowieka, który rozwozi chleb po okolicy, a czasami stoi na czatach na polecenie mężczyzn, do których należy dom i zamknięte w nim kobiety. Płacą mu po parę groszy za bochenek.

Kobiety już próbowały prosić dziewczynkę o różne rzeczy. Telefon – czy dałaby radę przynieść telefon? Albo papier, coś do pisania – czy mogłaby wrzucić list do skrzynki? Tylko jeden znaczek i kopertę? Kiedy ich rodziny się o wszystkim dowiedzą, na pewno jej zapłacą. Proszę. Ale dziewczynka zawsze spuszcza wzrok i energicznie potrząsa głową, mrugając wilgotnymi, głupimi oczami. Kobiety myślą, że może jest głucha. Albo że ktoś jej kazał, żeby była głucha. Te kobiety przeszły takie rzeczy, że same wołałyby być głuche i ślepe.

Córka sprzedawcy chleba wylewa wiadro z nieczystościami do odpływu na podwórku, płucze je wodą z węża i odnosi do piwnicy czyste, poza kałem przyschniętym przy krawędzi. Przynajmniej przez godzinę albo dwie smród w piwnicy będzie mniejszy.

Odwraca się do drzwi. Po jej wyjściu znowu zapanuje ciemność.

– Zostaw nam jakieś światło – prosi jedna z kobiet. – Masz może świeczkę? Małą latarkę?

Dziewczynka wygląda na schody, na górę. Nikogo nie ma.

Bierze dłoń kobiety, która prosiła o światło. Obraca ją wnętrzem do góry. I na tej dłoni robi małe „pstryk” mocą, która dopiero co obudziła się pod jej obojczykiem. Kobieta na materacu – dwudziestopięciolatka, która myślała, że jedzie do Berlina do pracy w biurze – wciąga głośno powietrze i coś nią wstrząsa; kuli się cała na moment, a jej oczy otwierają się szeroko. Druga dłoń, opierająca się na podłodze, przez sekundę jaśnieje w srebrnym błysku.



Kobiety czekają w ciemnościach. Ćwiczą. Muszą być pewne, że zadziałają szybko, żeby nikt nie zdążył sięgnąć po pistolet. W ciemnościach przekazują sobie iskrę z ręki do ręki i patrzą z podziwem. Niektóre tak długo już są w niewoli, że nigdy nie słyszały o tej nowej rzeczy; inne sądziły, że to tylko pogłoski, jakieś dziwactwa. Teraz wierzą, że Bóg uczynił cud, żeby je ratować, tak jak wywiódł Izraelitów z domu niewoli. Zawołały z ucisku do Pana, a Pan ich wysłuchał. One, które siedziały w ciemności, ujrzały światło wielkie. Płaczą ze wzruszenia.

Jeden z nadzorców przychodzi po kobietę, która sądziła, że jedzie do biura w Berlinie, zanim została rzucona na betonową posadzkę i pokazano jej po wielekroć, do czego została przeznaczona. Ma pęk kluczy. Rzucają się na niego wszystkie naraz, a on nie zdąża nawet krzyknąć. Krew bucha mu z uszu i oczu. Kluczami otwierają po kolei swoje kajdany.

Potem zabijają wszystkich mężczyzn w domu, ale nie są jeszcze usatysfakcjonowane.

Mołdawia to zagłębienie światowego handlu ludźmi, niewolnikami seksualnymi. Są tu setki miasteczek z punktami przerzutowymi w piwnicach, w mieszkaniach, w domach przeznaczonych do rozbiórki. Sprzedaje się kobiety, mężczyźni i dzieci. Dziewczynki dorastają z dnia na dzień, aż w pewnym momencie moc budzi się w ich dłoniach i zaczynają ją przekazywać dorosłym kobietom. Dzieje się tak raz za razem; zmiana nastąpiła zbyt szybko, żeby mężczyźni mogli nauczyć się nowych sposobów, nowych sztuczek. To dar. Jak można sądzić, że nie pochodzi od Boga?

Tunde pisze serię reportaży i wywiadów z mołdawskiej prowincji, gdzie walki były najbardziej zacięte. Po relacjach z Rijadu kobiety mają do niego zaufanie. Niewielu mężczyznom udaje się dotrzeć tak blisko; ma szczęście, ale też dużo rozsądku i determinacji. Pokazuje przywódczyniom swoje reportaże. Kobiety chcą, by ich historie zostały opowiedziane.

– Nie chodzi tylko o tych mężczyzn, którzy nas krzywdzili – mówi mu dwudziestoletnia Sonia. – Zabiliśmy ich, ale nie tylko oni byli winni. Policja wiedziała o wszystkim i nic nie robiła. Mężczyźni z miasta bili swoje żony, kiedy próbowały przynosić nam jedzenie. Burmistrz wiedział o wszystkim, właściciele domów wiedzieli, nawet listonosze.

Zaczyna płakać i trze oczy wierzchem dłoni. Pokazuje mu tatuaż na ręce: oko z odchodzącymi na boki błyskawicami.

– To znaczy, że nigdy nie przestaniemy patrzeć – tłumaczy. – Tak jak Bóg patrzy na nas wszystkich.

Nocami Tunde pisze, szybko i w napięciu. Coś w rodzaju dziennika. Zapiski z frontu. Rewolucja będzie potrzebowała kronikarza, i właśnie on odegra tę rolę. Ma w planach wielką, przekrojową książkę – z wywiadami, interpretacjami i analizami, region po regionie, kraj po kraju. O tym, jak pojawienie się mocy wstrząsnęło światem. Pokazującą z bliska konkretne momenty, pojedyncze historie. Czasami Tunde pisze z takim zacięciem, że zapomina, że sam nie posiada mocy w dłoniach i w piersi. To będzie wielka książka. Dziewięćset stron, może tysiąc. Jak *O demokracji w Ameryce* Tocqueville'a. *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego* Gibbona. W sieci zamieści godziny nagrań. Jak *Shoah* Lanzmanna. Relacje bezpośrednio z miejsc wydarzeń i analizy z komentarzami.

Rozdział poświęcony Mołdawii zaczyna relacją, jak kobiety przekazywały sobie moc. Potem pisze o rozwijającej się za pośrednictwem internetu religii i jak dzięki niej kobiety przejmujące władzę w miastach zyskiwały poparcie. Potem przechodzi do nieuniknionego przewrotu w rządzie.

Przeprowadza wywiad z prezydentem Mołdawii na pięć dni przed upadkiem rządu. Wiktor Moskalew to mały, obficie pocący się facet, który doszedł do władzy dzięki nawiązaniu licznych sojuszy i przymykaniu oka na działalność wielkich organizacji przestępczych, które wybrały sobie jego państewko na centrum brzydkich interesów w tej części świata. Podczas rozmowy nerwowo odsuwa kosmyk włosów spadający na czoło pokryte kroplami potu, mimo że w gabinecie jest dość chłodno. Jego żona, Tatiana, była gimnastyczka, w swoim czasie wytypowana do udziału w olimpiadzie, siedzi obok, trzymając go za rękę.

– Panie prezydencie – mówi Tunde umyślnie swobodnym tonem, uśmiechając się – tak między nami, jak pan sądzi, co się właściwie dzieje w pana kraju?

Wiktorowi ściska się gardło. Siedzą w bogato dekorowanej sali w pałacu prezydenckim w Kiszyniowie. Co najmniej połowa sprzętów jest złocona. Tatiana gładzi męża po kolanie i uśmiecha się. Ona także jest złocona – lśniące refleksy we włosach, złoty blask pudru na policzkach.

– Wszystkie kraje – odpowiada powoli Moskalew – muszą przystosować się do nowej rzeczywistości.

Tunde opiera się wygodnie i zakłada nogę na nogę.

– Panie prezydencie, tego nie będzie w radiu ani w telewizji. Ja tylko piszę książkę. Bardzo zależy mi na pańskiej opinii. Czterdzieści trzy miejscowości w pasie przygranicznym znajdują się obecnie pod rządami grup paramilitarnych, złożonych przede wszystkim z kobiet, które były przetrzymywane jako niewolnice seksualne. Jak pan myśli, jakie ma pan szanse na odzyskanie władzy?

– Nasze wojsko już ruszyło, żeby zmiażdżyć rebelię – mówi Moskalew. – W ciągu kilku dni sytuacja się unormuje.

Tunde podnosi brew i prawie parska śmiechem. Czy ten facet żartuje? Gangi przejęły broń, kamizelki kuloodporne i amunicję od przestępców, których pozabijały. Są praktycznie nie do pokonania.

– Co pan zamierza zrobić? Zbombardować cały kraj? Przecież one są wszędzie.

Wiktor uśmiecha się zdawkowo.

– Jeżeli nie ma innego wyjścia, trzeba zastosować konieczne środki. Nasze kłopoty skończą się za tydzień lub dwa.

Cholera jasna. Może on naprawdę chce rozpieprzyć całe państwo i skończyć jako prezydent kupy gruzów. A może w ogóle do niego nie dotarło, co się dzieje. Można by zrobić ciekawy przypis w książce. Podczas gdy dookoła kraj rozpadał się na kawałki, prezydent Moskalew sprawiał wrażenie, jakby niewiele go to obchodziło.

Potem w westybulu Tunde czeka na samochód z ambasady, który ma go zabrać z powrotem do hotelu. W tych dniach bezpieczniej jest podróżować pod nigeryjską flagą niż pod eskortą pałacu. Ale zanim auto przejdzie przez kontrolę, mogą upłynąć dwie albo trzy godziny.

Tatiana Moskalew znajduje go siedzącego na haftowanym krześle i czekającego na sygnał, że samochód już jest.

Jej szpilki stukają na posadzce. Ma na sobie turkusową sukienkę, bardzo obcisłą, marszczoną i skrojoną tak, by podkreślała jej mocne nogi i elegancko wyprostowane ramiona. Podchodzi i staje nad jego krzesłem.

– Nie lubi pan mojego męża, prawda? – pyta.

– Tego bym nie powiedział – odpowiada Tunde i uśmiecha się swoim czarującym uśmiechem.

– A ja bym powiedziała. Ma pan zamiar napisać o nim coś złego?

Tunde opiera łokcie na poręczach krzesła, odsłaniając klatkę piersiową.

– Pani Tatiano – mówi – jeżeli już czeka nas taka rozmowa, to może jest w tym pałacu coś do picia?

Jest brandy w oszklonej szafce w miejscu, które wygląda jak wyobrażenie o sali posiedzeń na Wall Street wzięte z filmów z lat osiemdziesiątych: dużo złoczonego plastiku i stół z ciemnego drewna. Tatiana nalewa alkohol hojną ręką, a potem oboje patrzą na miasto przez wielkie okna. Pałac stoi na wzniesieniu w samym centrum; z zewnątrz sprawia wrażenie co najwyżej średnio ekskluzywnego czterogwiazdkowego hotelu.

Tatiana mówi:

– Przyjechał zobaczyć pokazy gimnastyczne w mojej szkole. Byłam gimnastyczką. Występowałam przed ministrem finansów! – Pociąga łyk. – Miałam siedemnaście lat, a on czterdzieści dwa. Ale wyrwał mnie z tego miasteczka.

– Świat się zmienia – odpowiada Tunde i wymieniają krótkie spojrzenie. Ona się uśmiecha.

– Odniesie pan wielki sukces – mówi. – Ma pan w sobie głód. Widziałam to już wiele razy.

– A pani? Czy pani też ma... głód?

Mierzy go wzrokiem i parska cichym śmiechem. Może mieć najwyżej czterdzieści lat.

– Niech pan spojrzy, co potrafię zrobić – mówi. Chociaż Tunde się domyśla, co ona potrafi.

Tatiana przykłada dłoń do ramy okiennej i zamyka oczy. Lampy na suficie mrugają i gasną. Ona spogląda w górę i wzdycha.

– Dlaczego są... podłączone do okien? – pyta Tunde.

– Kable położone były jak – odpowiada. – Jak wszystko w tym pałacu.

– Wiktor wie, że pani to potrafi?

Tatiana potrząsa głową.

– Fryzjerka mi przekazała. Jako żart. Kobieta taka jak pani, powiedziała, nigdy nie będzie tego potrzebować. Pod taką dobrą opieką.

– A jest pani? – pyta Tunde, spoglądając na nią. – Pod opieką?

Tatiana śmieje się głośno, prawdziwym śmiechem.

– Niech pan uważa – mówi. – Wiktor obciąłby panu jaja, gdyby to słyszał.

Tunde także się śmieje.

– Naprawdę to Wiktora powinienem się bać? Jeszcze?

Tatiana powoli pije ze szklanki.

– Chciałby pan poznać tajemnicę? – pyta.

– Zawsze – odpowiada Tunde.

– Awadi-Atif, nowy król Arabii Saudyjskiej, schronił się na wygnaniu na północy Mołdawii. Daje Wiktorowi pieniądze i broń. Dlatego Wiktor myśli, że pokona rebelię.

– Mówi pani poważnie?

Tatiana kiwa głową.

– Mogłaby to pani jakoś potwierdzić? Jakies maile, faksy, fotografie, cokolwiek?

Ona potrząsa głową.

– Niech pan jedzie i poszuka go. Mądry z pana chłopak. Da pan sobie radę.

Tunde oblizuje usta.

– Dlaczego pani mi to mówi?

– Chcę, żebyś mnie pamiętał – odpowiada Tatiana – kiedy będziesz sławny. Że tak rozmawialiśmy.

– Tylko rozmawialiśmy? – pyta Tunde.

– Pański samochód – mówi Tatiana, wskazując długie czarne auto podjeżdżające pod wejście, trzydzieści pięter pod nimi.

Pięć dni później, nagle i niespodziewanie, Wiktor Moskalew umiera we śnie na atak serca. Następnie świat z pewnym zaskoczeniem dowiaduje się, że po jego śmierci Sąd Najwyższy Mołdawii, na nadzwyczajnym posiedzeniu,

jednogłośnie desygnował jego żonę Tatianę na stanowisko tymczasowej głowy państwa. Rzecz jasna, we właściwym momencie odbędą się wybory prezydenckie, w których pani Moskalew może kandydować, ale w tej chwili najważniejsze jest utrzymanie porządku.

Jak relacjonuje Tunde, łatwo było nie doceniać Tatiany Moskalew, w rzeczywistości zręcznej i inteligentnej polityczki, która dobrze wykorzystwała swoje atuty. Podczas pierwszego wystąpienia przypięła do sukienki małą złotą broszkę w kształcie oka. Niektórzy mówili, że to ukłon w stronę rosnącej rzeszy zwolenników internetowej „Bogini”, inni dodawali, że w dzisiejszych czasach trudno odróżnić umiejętne porażenie mocą od zwykłego ataku serca. Ale nie było żadnych dowodów.

Tego typu przejęcia władzy rzadko przebiegają bez przeszkód. W tym wypadku komplikacją okazał się zamach stanu pod przywództwem ministra obrony, który pociągnął za sobą ponad połowę armii i wyrzucił tymczasowy rząd Tatiany z Kiszyniowa. Jednak zastępy kobiet rządzących przygranicznymi miastami są za Tatianą. Ponad trzysta tysięcy kobiet przerzucano co roku przez kraj, by sprzedać ich wilgotne i delikatne ciała. Wiele zostało w Mołdawii, nie mając dokąd wracać.

Trzynastego dnia piątego miesiąca trzeciego roku po Dniu Dziewcząt Tatiana Moskalew przenosi się wraz ze swoim majątkiem, koneksjami, mniejszą częścią armii i uzbrojeniem do zamku na wzgórzach niedaleko południowej granicy. I tam ogłasza powstanie nowego królestwa obejmującego tereny położone nad brzegiem Morza Czarnego, co równa się wypowiedzeniu wojny czterem państwom, z Rosją włącznie. Nazywa swój kraj Bessapara, od nazwy starożytnego ludu zamieszkującego kiedyś te ziemie i wysłuchującego słów kapłanek na wzgórzach. Wspólnota międzynarodowa czeka na dalszy rozwój wydarzeń. Nikt nie wróży nowemu państwu długiej przyszłości.

Tunde dokumentuje wszystko w starannych zapiskach i na zdjęciach. Dodaje komentarz: „W powietrzu wisi jakiś zapach, jakby zapach deszczu po długiej suszy. Najpierw ktoś jeden, potem pięcioro, potem pięćset, potem całe wsie, miasta, państwa. Liść do liścia, gałązka do gałązki. Dzieje się coś nowego, zatacza coraz szersze kręgi”.

## Roxy

Podczas przyływu na plaży jest kobieta, która zapala dłońmi ocean. Dziewczyny z klasztoru obserwują ją z klifu. Weszła do wody po pas, potem głębiej. Nawet nie w kostiumie kąpielowym, po prostu w dżinsach i czarnym swetrze. I rozpala ogień w wodzie.

Nadciąga zmięch, więc widać to wyraźnie. Nici wodorostów unoszą się na falach, tworząc delikatną, nieuporządkowaną sieć. Kiedy kobieta posyła moc do wody, wszystkie drobne żyjątka i cząstki zaczynają blado świecić, a wodorosty jarzą się mocniejszym blaskiem. Światło otacza ją szerokim kręgiem, promieniując spod wody, jak oko oceanu wpatrujące się w niebo. Słychać ciche trzaski, jakby musujących cukierków, kiedy wodorosty skręcają się, a ich pęcherzyki puchną i pękają. W powietrzu roznosi się morska woń, słona, zielona i wyrazista. Kobieta musi być co najmniej kilometr dalej, ale dziewczyny czują ten zapach. Spodziewają się, że lada chwila zużyje całą moc, ale nic takiego nie następuje – woda w zatoce jaśnieje, zapach rozwiewa się na wietrze, a kraby i małe rybki wypływają na powierzchnię.

Dziewczyny mówią jedna do drugiej:

– Bóg ześle nam ratunek.

– Na krańcu wód zakreśliła granice – recytuje siostra Maria Ignacja – oddzieliła światłość od ciemności.<sup>[4]</sup>

Ona jest znakiem od Boskiej Matki.

Jedna biegnie więc z wiadomością dla Matki Ewy – ktoś przyszedł.

*Dali Roxy wybór, gdzie może pojechać. Bernie ma rodzinę w Izraelu; mogłaby z nimi pomieszkać. Przemyśl to, Rox: ładne plaże, super pogoda, mogłabyś chodzić do szkoły z dziećmiakami Jubala, on ma dwie córki w twoim wieku i mówię ci, w Izraelu nikt nie zamyka dziewczynek za to coś. Już wzięli je do wojska i robią im szkolenia. Założę się, że potrafią tam rzeczy, o jakich nie masz pojęcia. Więc Roxy sprawdza w internecie. W Izraelu nawet nie mówią po*

*angielsku ani nie piszą angielskimi literami. Bernie próbuje jej tłumaczyć, że większość ludzi w Izraelu zna angielski, serio, ale Roxy wzrusza ramionami, e tam, tato, nie ściemniaj.*

*Dobra, no to jej mama miała rodzinę gdzieś nad Morzem Czarnym. Bernie pokazuje na mapie. O, stąd pochodzi twoja babcia, nigdy nie widziałaś babci, mamy twojej mamy, co? I jest tam trochę kuzynów. Mamy rodzinne znajomości. Robimy z nimi dobre interesy. Mogłabyś zająć się biznesem, mówiłaś, że masz ochotę. Ale Roxy już postanowiła, gdzie chce wyjechać.*

*– Nie jestem głupia – mówi. – Wiem, że musisz wysłać mnie za granicę, bo szukają, kto załatwił Primrose’a. To nie są wakacje.*

*Bernie z chłopakami milkną i patrzą na nią.*

*– Nie mów tak, Rox – odpowiada Ricky. – Nieważne, gdzie pojedziesz, zawsze mówisz, że jesteś na wakacjach, OK?*

*– Chcę jechać do Ameryki – oznajmia Roxy. – Do Karoliny Południowej. Zobaczcie. Jest tam taka babka, Matka Ewa. Ma takie filmy w internecie.*

*Ricky mówi:*

*– Sal zna w Stanach paru ludzi. Możemy ci załatwić jakieś miejsce, kogoś, kto się tobą zajmie.*

*– Nie potrzebuję, żeby ktoś się mną zajmował.*

*Ricky spogląda na Berniego. Bernie wzrusza ramionami.*

*– Po tym, co przeszła – mówi.*

*To rozstrzyga sprawę.*

Allie siada na kamieniu i zanurza palce w wodzie. Za każdym razem, kiedy kobieta stojąca w morzu wyładowuje swoją moc, Allie doskonale to czuje, nawet z tej odległości, niczym mocne uderzenie.

Mówi w sercu: Jak myślisz? Nigdy nie spotkałam nikogo z taką mocą.

Głos odpowiada: Przecież mówiłam, że wysyłam ci wojowniczkę.

Allie pyta: Czy ona zna swoje przeznaczenie?

Głos wzdycha: A któż je zna, kochanie?

Jest już ciemno i światła autostrady błyszczą w oddali. Allie znowu zanurza dłoń w oceanie i wysyła do wody wyładowanie tak silne, jak potrafi. Wychodzi



jej tylko jasna smużka. Ale wystarczy. Kobieta z morza zaczyna iść w jej kierunku.

Jest zbyt ciemno, żeby zobaczyć wyraźnie jej twarz.

Allie woła:

– Pewnie ci zimno. Mam koc, gdybyś chciała.

Kobieta z morza odpowiada:

– A ty co, słoneczny patrol? Może jeszcze masz termos i kanapki?

Allie od razu rozpoznaje, że dziewczyna jest z Anglii. Zaskoczenie. No cóż, Wszechmogąca działa na swoje sposoby.

– Roxy – przedstawia się dziewczyna, wychodząc z wody. – Nazywam się Roxy.

– A ja... – zaczyna Allie i na chwilę zawiesza głos. Pierwszy raz od długiego czasu ma ochotę podać komuś swoje prawdziwe imię. Wariactwo. – Ja jestem Ewa.

– Ale jaja – mówi Roxy. – Właśnie przyjechałam, żeby ciebie znaleźć, słowo! Przyleciałam dzisiaj rano; Jezu, leciałam całą noc, koszmar, mówię ci. Trochę się przespałam i pomyślałam, że poszukam cię jutro, a ty od razu się znajdujesz. Normalnie cud!

Widzisz, odzywa się głos, a nie mówiłam?

Roxy siada na płaskim kamieniu koło Allie. Od razu robi wrażenie. Ma mocne ramiona, ale to coś więcej.

Allie sięga ku niej zmysłem, który tak długo ćwiczyła, i stara się zmierzyć, jak wiele mocy Roxy kryje w swoim zwoju.

Czuje się, jakby spadała w przepaść. Ta moc jest nieskończona. Bezmierna niczym ocean.

– Och – mówi cicho. – Nadeszła wojowniczką.

– Co? – pyta Roxy.

Allie potrząsa głową.

– Nie, nic. Coś mi się przypomniało.

Roxy obrzuca ją spojrzeniem.

– Jesteś taka trochę odjechana? Tak mi się wydawało, jak oglądałam twoje filmiki. Jakaś niesamowita, pomyślałam sobie. Dobrze byś wypadła w jednym

takim programie w telewizji, *Poszukiwany nawiedzony*, widziałaś kiedyś? Słuchaj, ale serio, masz coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Allie klepie się po kieszeniach i znajduje batonik. Roxy zajada łapczywie.

– Od razu lepiej – mówi. – Znasz to, jak zużyjesz dużo mocy i zaczyna cię skręcać z głodu? – Przerzywa i patrzy na Allie. – Nie?

– Czemu to robiłaś? To światło w wodzie?

Roxy wzrusza ramionami.

– Tak jakoś mi przyszło do głowy. Nigdy nie byłam nad oceanem, chciałam zobaczyć, co mogę zrobić. – Spogląda na wodę, mrużąc oczy. – Chyba zabiłam pół sklepu rybnego. Mogłybyście robić sobie obiady z ryb przez cały tydzień, jakbyście miały... – Zakreśla kółka dłońmi. – No nie wiem, jakieś sieci i łódkę czy coś takiego. Pewnie niektóre są trujące. Są w ogóle trujące ryby? Czy tylko takie... *Szczęki* i tym podobne?

Allie śmieje się, zupełnie spontanicznie. Minęło sporo czasu, od kiedy ktoś naprawdę ją rozśmieszył. Od czasu, gdy śmiała się, nie uznawszy wcześniej, że to będzie najlepsze wyjście.

„Tak jej przyszło do głowy”, przedrzeźnia głos. „Chciała zobaczyć”. Przyszła cię szukać. Mówiłam, że przyjdzie wojowniczką.

Dobra, odpowiada Allie. Ale zamknij się na chwilę, dobrze?

– Dlaczego mnie szukałaś? – pyta.

Roxy porusza barkami, jakby się schylała, robiła uniki przed niewidzialnymi ciosami.

– Musiałam na chwilę wyjechać z Anglii. I widziałam cię na YouTube. – Robi głęboki wdech, uśmiecha się do siebie i mówi: – Słuchaj, ja tam nie wiem, te wszystkie rzeczy, co opowiadasz, że Bóg zrobił to wszystko specjalnie i kobiety mają teraz przejąć władzę nad mężczyznami... Ja w ogóle nie wierzę w żadne jazdy z Bogiem, OK?

– Jasne.

– Ale wydaje mi się... Wiesz, czego dziewczyny w Anglii muszą się teraz uczyć w szkołach? Oddychania! Serio, muszą robić jakieś porąbane ćwiczenia z oddychania, pojmujesz? Jakies pierdoły: „Panujcie nad tym, nie używajcie, nic nie róbcie, bądźcie miłe i trzymajcie ręce na krzyż”. Czaisz? A jak kilka tygodni temu poszłam do łóżka z jednym gościem, to on praktycznie błagał

mnie, żebym mu to zrobiła, tylko troszkę, tak jak widział w necie. Nikt nie będzie siedział z rękami na krzyż do końca życia. Mój ojciec jest w porządku, moi bracia też, nie są źli, ale chciałam z tobą pogadać, bo ty... ty się zastanawiasz, co to znaczy. Do czego to prowadzi, rozumiesz. To mnie kręci.

Mówi szybko, jakby na jednym oddechu.

– A ty jak myślisz, do czego prowadzi? – pyta Allie.

– Wszystko się zmieni – mówi Roxy, skubiąc jedną ręką wodorosty. – Na to wychodzi, no nie? I musimy znaleźć sposób, żeby razem coś z tym zrobić. No wiesz. Faceci mają coś, co potrafią – są silni. Kobiety teraz mają coś nowego, tak samo. Ale ciągle są karabiny, nie przestały działać. Paru gości z bronią – ja na pewno nie dam im rady. Myślę... to ciekawe, rozumiesz? Gadałam o tym z ojcem. Co możemy robić razem.

Allie się śmieje.

– Myślisz, że chcieliby z nami współpracować? Z nami?

– Jasne, jedni tak, drudzy nie, wiadomo. Ale ci, co mają trochę rozumu – na pewno. Gadaliśmy o tym z ojcem. Znasz takie uczucie, jak jesteś gdzieś w pokoju i czujesz, które laski mają dużo mocy, a które nie mają nic? Wiesz, jakbyś była... jakimś pajakiem czy coś.

Po raz pierwszy w życiu Allie słyszy, jak ktoś wspomina o zmyśle, który jest dla niej taki ważny.

– Tak – odpowiada. – Chyba wiem, co masz na myśli.

– Ja pierdziele, nikt nie wie, co mam na myśli. Chociaż w sumie nie pytałam na prawo i lewo. Ale rozumiesz: to się przydaje, żeby powiedzieć facetom, co i jak, no nie? Pożyteczna rzecz, jak się razem pracuje.

Allie zaciska usta.

– Wiesz, ja to widzę trochę inaczej.

– No jasne, stara, wiem. Widziałam twoje nagrania.

– Myślę, że wydarzy się wielka bitwa między światłem a ciemnością. A twoim przeznaczeniem jest walczyć po naszej stronie. Myślę, że będziesz najpotężniejszą z potężnych.

Roxy parska śmiechem i rzuca kamyk do morza.

– Wow, zawsze chciałam mieć jakieś przeznaczenie – mówi. – Słuchaj,

możemy gdzieś pójść? Do ciebie albo gdzieś? Zaraz odmarznie mi tyłek.

*Zabrali ją na pogrzeb Terry'ego; to było całkiem jak Gwiazdka. Dużo ciotek i wujków, potem dużo alkoholu, kanapek i gotowanych jajek. Ludzie obejmowali ją ramieniem i mówili, że dobra z niej dziewczyna. Zanim wyszli z domu, Ricky dał jej trochę towaru; sam też wziął i powiedział: „Żeby wyluzować”. Więc czuła się, jakby padał śnieg. Jakby była gdzieś wysoko, w chłodnym powietrzu. Jak na Boże Narodzenie.*

*Na cmentarzu Barbara, matka Terry'ego, rzuciła na trumnę pierwszą łopatę i krzyknęła długo i jękliwie, gdy ziemia uderzyła w wieko.*

*Za ogrodzeniem stał zaparkowany samochód i jacyś goście z teleobiektywami robili zdjęcia. Ricky z kumplami poszli ich przegonić.*

*Kiedy wrócili, Bernie spytał:*

*– Paparuchy?*

*A Ricky odparł:*

*– Mogli być z policji. Albo współpracują.*

*Roxy może mieć z tego powodu problemy.*

*Na stypie wszyscy byli dla niej mili. Ale na cmentarzu nikt nie wiedział, gdzie oczy podziać, kiedy przechodziła obok.*

Kiedy Allie i Roxy wracają z plaży, w klasztorze już podano kolację. Dziewczyny zaklepały dla nich miejsca u szczytu stołu. W powietrzu unosi się gwar rozmów i zapach dobrego gorącego jedzenia. Dzisiaj jest potrawka z małżami, ziemniakami i kukurydzą. Jest też chrupiący chleb i jabłka. Roxy ogarnia uczucie, którego nie umie rozpoznać, nie wie, jak je opisać. Robi jej się w środku ciepło i trochę płaczkliwie. Jedna z dziewcząt znajduje dla niej ubranie na zmianę: ciepły sweter i dresy, znoszone i miękkie od częstego prania, i to doskonale pasuje do jej nastroju. Wszystkie dziewczyny chcą z nią pogadać – nigdy nie słyszały angielskiego akcentu na żywo i każą jej powtarzać różne słowa dla zabawy. Ciągłe ktoś coś mówi. Roxy zawsze myślała, że jest gadułą, ale tutaj to zupełnie co innego.

Po kolacji Matka Ewa czyta z nimi Pismo. Wyszukują fragmenty, które im odpowiadają, a pozostałe przerabiają. Tego wieczora Matka Ewa mówi

o opowieści z Księgi Rut. Odczytuje ustęp, w którym Rut mówi teściowej, swojej przyjaciółce: „Nie nalegaj na mnie, abym opuściła ciebie i abym odeszła od ciebie, gdyż: gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkaż, tam ja zamieszkaż, twój naród będzie moim narodem, a twój Bóg będzie moim Bogiem”.<sup>[5]</sup>

Matka Ewa zachowuje się wśród dziewcząt swobodnie. Roxy tak nie potrafi. Nie jest przyzwyczajona do kobiet – w rodzinie Berniego są same chłopaki, w jego gangu sami faceci, mama zawsze wołała mężczyzn, a koleżanki w szkole nigdy nie były dla niej miłe. Tymczasem Matka Ewa nie ma w sobie żadnego skrępowania. Trzyma za ręce dwie dziewczyny siedzące przy niej i mówi spokojnym głosem, często żartując.

– Historia Rut to najpiękniejsza historia przyjaźni w całej Biblii. Nikt nie był bardziej oddany i wierny niż Rut, nikt lepiej nie wyraził swojego oddania.

W jej oczach lśnią łzy i dziewczyny są wzruszone.

– Nie potrzebujemy martwić się o mężczyzn. Niech sami o siebie dbają, tak jak zawsze robili. Jeżeli chcą walczyć między sobą albo iść w świat, droga wolna. My mamy siebie nawzajem. Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę. Twój naród będzie moim, moimi siostrami.

Potem wszystkie mówią:

– Amen.

Na górze przygotowano spanie dla Roxy. To tylko mały pokój: wąskie łóżko z ręcznie pozszywaną narzutą, stół, krzesło i widok na ocean. Chce jej się płakać, kiedy otwierają przed nią drzwi, ale nie pokazuje tego po sobie. Siadając na łóżku i gładząc dłonią narzutę, nagle przypomina sobie noc, kiedy ojciec przywiózł ją do domu, tego, w którym mieszkał z Barbarą i synami. Było późno, mama strasznie się rozchorowała i zadzwoniła do Berniego, żeby zajął się Roxy. Przyjechał. Ubrana była tylko w piżamkę, musiała mieć co najwyżej pięć, sześć lat. Pamięta, jak Barbara powiedziała: „O nie, ona nie może tu zostać”, a Bernie na to: „Do kurwy nędzy, po prostu połóż ją w gościnnym pokoju”, a Barbara, krzyżując ręce na piersi: „Mówię ci, że ona tu nie zostanie. Zabieraj ją do swojego brata, jak musisz”. Padał deszcz i tata zaniósł ją z powrotem do samochodu, a krople moczyły piżamę.

Tego wieczora ktoś na nią czeka, w pewnym sensie. Ktoś, komu by się

strasznie oberwało, gdyby się nią nie zajął, jak trzeba. Na szczęście Roxy ma już szesnaście lat i jeden SMS załatwi sprawę.

Matka Ewa zamyka drzwi, zostają w małym pokoju tylko we dwie. Allie siada na krześle i mówi:

- Możesz zostać, jak długo chcesz.
- Czemu?
- Mam co do ciebie dobre przeczucia.

Roxy parska śmiechem.

- A miałybyś dobre przeczucia, gdybym była chłopakiem?
- Ale nie jesteś chłopakiem.
- Masz dobre przeczucia co do wszystkich kobiet?

Matka Ewa potrząsa głową.

- Nie aż takie. Chcesz z nami zostać?
- No – odpowiada Roxy. – Przynajmniej na trochę. Zobaczyć, co wymyślicie. Podoba mi się wasze... – Zawiesza głos, szukając słowa. – Podoba mi się ten klimat.

Matka Ewa pyta:

- Jesteś silna, prawda? Dorównasz każdemu.
- Stara, jestem silniejsza niż każdy. To dlatego ci się spodobałam?
- Przyda nam się ktoś silny.
- Tak? Masz jakieś wielkie plany?

Matka Ewa pochyla się, kładąc dłonie na kolanach.

- Chcę uratować kobiety – mówi.
- Jak to, wszystkie? – Roxy znowu się śmieje.
- Tak – odpowiada Matka Ewa. – Jeśli dam radę. Chcę do nich dotrzeć i powiedzieć im, że teraz mogą żyć po nowemu. Że możemy żyć wspólnie, możemy wysłać mężczyzn, żeby poszli swoją drogą, że nie musimy przestrzegać dawnego porządku i możemy znaleźć sobie nową ścieżkę.

- Serio? Ale wiesz, kilku facetów się przyda, żeby robili wam dzieciaki.

Matka Ewa uśmiecha się.

- Wszystko jest możliwe z pomocą Boskiej Matki.

Jej telefon wydaje krótki dźwięk. Allie spogląda na ekran, robi minę i odwraca go.

– Co jest? – pyta Roxy.

– Ludzie ciągle piszą maile do klasztoru.

– Chcą was stąd wywalić? Ładne miejsce. Nic dziwnego, że ktoś chce je odzyskać.

– Chcą nam dawać pieniądze.

Roxy zaczyna się śmiać.

– A co, macie za dużo?

Allie patrzy na nią z namysłem przez chwilę.

– Tylko siostra Maria Ignacja ma konto w banku. A ja... – Przejeżdża językiem po górnych zębach z cichym cmoknięciem.

– Nikomu nie ufasz, co? – pyta Roxy.

Allie się uśmiecha.

– A ty?

– Stara, taka jest cena, jak chcesz robić interesy. Musisz komuś zaufać albo nic nie załatwisz. Potrzebujesz konta? Ilu? Może jakieś za granicą? Chyba najlepiej na Kajmanach, tylko nie wiem dokładnie dlaczego.

– Czeka, o czym ty mówisz?

Zanim Allie zdąży zaprotestować, Roxy wyciąga telefon, robi jej zdjęcie i wysyła jakieś wiadomości.

Potem spogląda na nią z szerokim uśmiechem.

– Spoko. Muszę jakoś zarobić na swoje utrzymanie tutaj, no nie?

Następnego ranka, jeszcze przed siódmą, przyjeżdża samochodem jakiś mężczyzna. Zatrzymuje się pod główną bramą i po prostu czeka. Roxy puka do pokoju Allie i ciągnie ją na dół w koszuli nocnej i szlafroku.

– Co? O co chodzi? – pyta Allie, ale się uśmiecha.

– Chodź i zobacz.

– Hejka, Einar – mówi Roxy do mężczyzny. Jest przysadzisty, po czterdziestce, ma ciemne włosy i okulary słoneczne zsunięte na czoło.

Einar uśmiecha się i powoli kiwa głową.

– Wszystko gra, Roxanne? Bernie Monke prosił, żebym się tobą zaopiekował. Jesteś pod dobrą opieką?

– Jest ekstra, Einar – mówi Roxy. – Zarąbiście. Zostanę tu z koleżankami na miesiąc albo dwa. Masz to, o co prosiłam?

Einar śmieje się na te słowa.

– Już kiedyś spotkaliśmy się w Londynie, Roxanne. Miałaś sześć lat i skopałaś mnie po kostkach, jak czekaliśmy na twojego tatę, bo nie chciałem ci kupić shake'a.

Roxy też się śmieje, swobodnie. Ta sytuacja jest dla niej łatwiejsza niż kolacja z dziewczynami. Allie to widzi.

– To trzeba było kupić tego shake'a, chyba jasne? Dobra, dawaj, co przywiozłeś.

Najpierw pojawia się torba z ubraniami Roxy i jakimiś rzeczami. Potem komputer, notebook, nowy, dobrej marki. I aktówka. Roxy opiera ją na rancie bagażnika i otwiera.

– Ostrożnie – mówi Einar. – Praca na szybko. Tusz może się jeszcze rozmazać.

– Ewka, słyszysz? – mówi Roxy. – Nie trzeć, póki całkiem nie wyschnie.

Podaje Allie wyjęte z aktówki dokumenty.

Amerykańskie paszporty, prawa jazdy, karty ubezpieczeniowe, wszystko autentyczne, jakby prosto z urzędu. Wszędzie jest zdjęcie Allie. Za każdym razem trochę inne: inna fryzura, czasami w okularach. I różne nazwiska. W zestawach: paszport plus prawo jazdy, plus karta. Jednak za każdym razem to Allie.

– Zrobiliśmy ci siedem – wyjaśnia Roxy. – Pół tuzina i jeden na szczęście. Siódmy jest angielski, jakbyś miała taką zachciankę. Einar, udało się z kontami?

– Wszystko załatwione – mówi Einar i wyciąga z kieszeni duży portfel zamykany na zamek. – Ale żadnych wpłat powyżej stu tysięcy jednego dnia bez wcześniejszego uzgodnienia z nami, OK?

– Dolarów czy funtów? – pyta Roxy.

Einar lekko się krzywi.



– Dolarów – odpowiada. Potem dodaje pospiesznie: – Ale tylko przez pierwsze sześć tygodni! Potem zdejmują zabezpieczenia.

– No dobra – mówi łaskawie Roxy. – Nie skopię cię po kostkach. Tym razem.

*Roxy i Darrell łązą trochę po ogrodzie, rzucają kamyczkami i skubią korę brzoźową. Żadne z nich specjalnie nie lubiło Terry’ego, ale bez niego zrobiło się jakoś dziwnie.*

*Darrell pyta:*

*– Jakie to było uczucie?*

*Na to Roxy:*

*– Jak załatwili Terry’ego?*

*– Nie, jak ty załatwiłaś Primrose’a. Jakie to było uczucie?*

*Roxy czuje to znowu, lśnienie pod dłonią, jego twarz, która zrobiła się najpierw gorąca, a potem zimna. Pociąga nosem. Patrzy na swoją rękę, jakby chciała tam wyczytać odpowiedź.*

*– W porządku – mówi. – On zabił moją mamę.*

*Darrell mówi:*

*– Szkoda, że ja tak nie potrafię.*

Roxanne Monke i Matka Ewa dużo rozmawiają przez kolejne dni. Znajdują łączące je podobieństwa i patrzą na nie z upodobaniem. Brak matki, brak prawdziwego miejsca w rodzinie.

– To fajne, jak wszystkie mówicie do siebie „siostry”. Ja nigdy nie miałam siostry.

– Ja też nie – mówi Allie.

– Zawsze chciałam mieć – mówi Roxy.

I na razie zostawiają ten temat.

Niektóre dziewczyny w klasztorze mają ochotę powalczyć z Roxy, poćwiczyć umiejętności. Ona nie ma nic przeciwko. Chodzą na duży trawnik na tyłach budynku, schodzący do oceanu. Walczy z dwiema albo trzema naraz, robi uniki,

razi je mocno, aż zdezorientowane zaczną posyłać błyskawice na siebie nawzajem. Wracają na kolację posiniaczone i roześmiane, czasami z niewielką pajęczyną blizny na kostce albo nadgarstku. Pokazują je z dumą. Są tu dziewczynki, które mają po jedenaście–dwanaście lat; chodzą za Roxy jak groupies. Mówi im, żeby sobie poszły i znalazły coś ciekawego do roboty, ale tak naprawdę to lubi. Uczy je specjalnego triku, który sama wymyśliła: chlapnij komuś w twarz wodą z butelki, jednocześnie trzymając palec przy wylocie, i już, razisz po całości. Ćwiczą to na trawniku, chichocząc i polewając się wodą.

Któregoś wieczora, kiedy złotoczerwone słońce zachodzi za ich plecami, Roxy i Allie siedzą na ganku i patrzą na młodsze dziewczynki bawiące się na trawie.

– To mi przypomina, jak sama miałam dziesięć lat – mówi Allie.

– Tak? Miałaś dużo kuzynów?

Zapada milczenie. Roxy zastanawia się, czy nie powiedziała czegoś, czego nie powinna, ale chrzanić to. Może poczekać.

Allie odpowiada w końcu:

– Dom dziecka.

– Aha – mówi Roxy. – Znam parę dzieciaków z takiego miejsca. Trudna rzecz. Ciężko stanąć na nogi. Ale ty chyba sobie radzisz.

– Dbam o siebie – odpowiada. – Nauczyłam się, jak zadbać o siebie.

– No. Widzę.

Głos w głowie Allie nie odzywa się od paru dni. Nie było tak już od lat. Jest coś takiego w tym miejscu, w letnich dniach, w świadomości, że Roxy jest u jej boku i w jednej sekundzie może zabić każdego – coś takiego, że głos ucichł.

Allie opowiada:

– Jak byłam dzieckiem, przechodziłam z rąk do rąk. Nie znałam ojca, mamy też prawie nie pamiętam.

Allie pamięta tylko kapelusz. Bładoróżowy kapelusz do kościoła na niedzielę, założony zawadiacko na bok, a pod rondem twarz, patrząca na nią z uśmiechem, pokazująca język. To jest szczęśliwe wspomnienie, spomiędzy długich okresów smutku albo choroby, albo obu naraz. Allie nie pamięta, żeby chodziła do kościoła, ale kapelusz był na pewno.

– Mieszkałam chyba w dwunastu domach przed tym tutaj – ciągnie. – Może w trzynastu. – Pociera twarz dłonią, opiera palce na czole. – Raz trafiłam do takiej pani, która zbierała lalki z porcelany. Setki lalek, wszędzie, patrzyły na mnie ze ścian w moim pokoju. Ładnie mnie ubierała, pamiętam. W takie jasne sukienki ze wstążkami. Ale zabrali ją do więzienia za kradzieże – kradła, żeby kupować lalki – i musiałam iść gdzie indziej.

Jedna z dziewczynek na trawniku oblewa drugą strumieniem wody roziskrzonym od cieniutkiej błyskawicy. Tamta śmieje się chichotliwie. Taka woda łaskocze.

– Ludzie załatwiają sobie to, czego potrzebują – stwierdza Roxy. – Tak mówi mój tata. Jak jest coś, czego potrzebujesz, bez czego naprawdę nie możesz się obejść – wiesz, nie tylko chcesz, ale naprawdę musisz to mieć – jakoś to sobie zorganizujesz. – Śmieje się. – Chyba mówił o ćpunach, ale pasuje do wielu rzeczy.

Patrzy na dziewczynki i na dom, który jest prawdziwym domem, a nawet więcej niż domem.

Allie uśmiecha się.

– Jak już to masz, musisz tego bronić – mówi.

– Jasne. Teraz jestem na miejscu.

– Masz więcej mocy niż ktokolwiek, kogo widziałam.

Roxy spogląda na swoje dłonie, jakby była trochę pod wrażeniem, a trochę przestraszona.

– Nie wiem. Pewnie są jeszcze inne takie jak ja.

Nagle Allie ogarnia przecucie, jak kartka z maszyny z wróżbami w wesołym miasteczku. Ktoś kiedyś zabrał ją do wesołego miasteczka, gdy była mała. Wrzucasz 25 centów, brzdęk, pociągasz za dźwignię, trzask, coś się obraca, zgrzyt – i wypada przepowiednia, wydrukowana na małym prostokątnym kartoniku z różowymi brzegami. Przecucia Allie są dokładnie takie same: powstają szybko, od razu w całości, jakby gdzieś w głowie miała maszynę, do której nawet ona sama nie ma dostępu. Brzdęk, trzask, zgrzyt.

Głos odzywa się: Proszę. To użyteczna informacja. Skorzystaj z niej.

Allie pyta cicho:

– Zabiłaś kogoś?

Roxy wpycha ręce do kieszeni i patrzy na nią, marszcząc brwi.

– Kto ci powiedział?

Ponieważ nie mówi: „Kto ci to powiedział”, Allie wie, że zgadła.

Głos podpowiada: Nic nie mów.

Allie wyjaśnia:

– Czasami po prostu wiem różne rzeczy. Jakby jakiś głos mówił w mojej głowie.

– Ja nie mogę, ty naprawdę jesteś nawiedzona. To kto wygra następne derby?

– Ja też kogoś zabiłam – mówi Allie. – Już dawno temu, daleko stąd. Byłam inną osobą.

– Pewnie sobie zasłużył, jeśli to zrobiłaś.

– Tak, zasłużył.

Milczą przez chwilę.

Potem odzywa się Roxy, przyjacielsko, jakby w zupełnie innej sprawie:

– Był jeden gość, który wsadził mi łapę w majtki, jak miałam siedem lat. Nauczyciel muzyki. Mama myślała, że będzie fajnie, jak nauczę się grać na pianinie. Więc siedzę sobie na tym stołku i gram gamę, a tu nagle mam jakąś rękę w gaciach. A on: „Tylko nic nie mów. Graj dalej”. Więc powiedziałam tacie następnego dnia, jak przyszedł zabrać mnie na spacer, a on normalnie dostał pierdolca. Zaczął wrzeszczeć na mamę, że jak ona mogła; ona krzyczy, że skąd miała wiedzieć, nic nie wiedziała, bo by przecież na to nie pozwoliła. Więc tata wziął ze sobą paru kolegów i poszli do tego faceta do domu.

– I co się stało? – pyta Allie.

Roxy zaczyna się śmiać.

– Stłukli go na miazgę. A na koniec wizyty miał o jednego klejnota mniej niż na początku.

– Serio?

– Jasne. Tata powiedział mi, że jeśli jeszcze raz sprowadzi sobie do domu jakiegoś ucznia, to wrócą po drugie jajko, od razu z parówką. I niech mu nie przyjdzie do głowy wyjeżdżać i zaczynać biznes od nowa, bo Bernie Monke jest, kurwa, wszędzie. – Roxy znowu parska śmiechem. – Kiedyś potem spotkałam go na ulicy, a on uciekł. Zobaczył mnie, odwrócił się i normalnie

zwiewał galopem. I dobrze zrobił, skurwysyn.

– To dobrze – mówi Allie. – Dobra historia.

Cicho wzdycha.

– Wiem, że im nie ufasz – odpowiada Roxy. – W porządku. Nie musisz im ufać, kochana.

Wyciąga rękę i kładzie dłoń na dłoni Allie. Siedzą tak przez dłuższą chwilę.

Wreszcie Allie mówi:

– Jedna z dziewczyn ma ojca w policji. Dwa dni temu zadzwonił do niej i powiedział, że w piątek ma jej nie być w tym domu.

Roxy się śmieje.

– Ojcowie. Lubią troszczyć się o córeczki. Żadne tajemnice służbowe się nie liczą.

– Pomożesz nam? – pyta Allie.

– Myślisz, że kto tu przyjdzie? – pyta Roxy. – Antyterroryści?

– Nie, nie aż tak. Jesteśmy tylko garstką dziewczyn w klasztorze. Modlimy się jak wszyscy uczciwi obywatele.

– Nie mogę już zabić nikogo więcej – mówi Roxy.

– Chyba nie będzie trzeba – stwierdza Allie. – Mam pomysł.

*Z łatwością wykosili resztę gangu Primrose'a po jego śmierci – bez szefa wszystko się posypało. Dwa tygodnie po pogrzebie Terry'ego Bernie zadzwonił o piątej rano do Roxy na komórkę i powiedział, żeby przyjechała do nieczynnego warsztatu samochodowego w Dagenham. Kiedy się zjawiała, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, otworzył drzwi i w środku pokazał jej ciała dwóch martwych facetów leżące na ziemi, zabitych porządnie i na czysto, jeszcze tylko wrzucić do kwasku i tyle ich widzieli.*

*Przyjrzała się uważnie.*

*– To oni? – spytał Bernie.*

*– Tak – odparła. Objęła go ramieniem w pasie. – Dzięki.*

*– Dla mojej córeczki wszystko – powiedział.*

*Ten wysoki, ten niski – ci, którzy zabili jej mamę. Jeden ciągle miał na ramieniu bliznę po spotkaniu z nią, czerwoną, rozgałęzioną.*

– *To co, wszystko załatwione? – spytał Bernie.*

– *Wszystko załatwione, tato.*

*Pocałował ją w czubek głowy.*

*Potem poszli na spacer, naokoło cmentarza Eastbrookend. Rozmawiali bez pośpiechu, kiedy czyściciele w warsztacie robili, co trzeba.*

– *Wiesz, że urodziłaś się w ten sam dzień, kiedy dorwaliśmy Jacka Conaghana? – spytał Bernie.*

*Roxy wie. Ale lubi słuchać tej historii.*

– *Wchodził nam w drogę przez parę lat – zaczął opowiadać Bernie. – Zabił ojca Micky’ego – nie znasz go – i jeszcze chłopaków z Irlandii. Ale dorwaliśmy go w końcu. Jak łowił ryby w kanale. Czekaliśmy całą noc, aż wreszcie przyszedł, wcześniej rano, i załatwiliśmy go szybko, chlup do wody i po sprawie. Jak już wróciliśmy do domu, na luzie, sprawdziłem telefon, a tam piętnaście wiadomości od twojej mamy! Piętnaście! Zaczęła rodzić w nocy, tak było.*

*Roxy czuje, że ta historia wyslizguje jej się z rąk. Zawsze wydawała się nieuchwytna, jakby próbowała jej uciec. Roxy urodziła się w ciemności, kiedy inni na coś czekali: jej tata na Jacka Conaghana, jej mama na jej tatę, a Jack Conaghan, chociaż nic o tym nie wiedział – na swoją śmierć. To historia o rzeczach, które wydarzają się, kiedy nikt się nie spodziewa; o takiej nocy, która ma być zwyczajna, a dzieją się sprawy najważniejsze.*

– *Podniosłem cię i patrzę: dziewczynka! Po trzech chłopakach nigdy nie myślałem, że będę miał dziewczynę. A ty popatrzyłaś mi prosto w oczy i zasikałaś mi całe spodnie. Od razu wiedziałem, że przyniesiesz nam szczęście.*

*Roxy przynosi szczęście. Poza kilkoma sprawami zawsze była szczęściarą.*

Ilud cudów potrzeba? Niewielu. Cuda nie muszą być liczne. Jeden, dwa, trzy – to już mnóstwo. Cztery to obfitość, prawie nadmiar.

Dwunastu uzbrojonych policjantów podchodzi do murów klasztoru przez trawniki i ogród na tyłach budynku. Padało i ziemia jest nasiąknięta wodą. A nawet więcej. Woda leje się strumieniami z kranów ogrodowych po prawej i po lewej stronie. Dziewczyny wzięły też pompę, żeby pompować wodę morską pod same drzwi, i teraz po schodach wiodących do tylnego wejścia spływa cały wodospad. Policjanci nie włożyli gumowych butów, nie mieli

pojęcia, że zastaną takie błoto. Wiedzą tylko, że jakaś zakonnica z klasztoru zawiadomiła władze, bo zebrały się tutaj dziewczyny, które stosują groźby i przemoc. Więc dwunastu wyszkolonych policjantów ubranych w ochronne pancerze przyjechało zrobić porządek. To powinno w zupełności wystarczyć.

Mężczyźni wołają:

– Policja! Opuścić natychmiast budynek z rękami do góry!

Allie spogląda na Roxy. Roxy szerzy zęby w uśmiechu.

Czekają schowane za zasłonami w jadalni, której okna wychodzą na ogród. Aż wszyscy policjanci znajdują się na schodach na werandę. Czekają, czekają... i już, wszyscy są.

Roxy przewraca ustawione przy drzwiach beczki ze słoną wodą. Wykładzina jest już cała nasiąknięta, więc woda wylewa się przez szparę nad progiem, prosto na schody. Wszyscy stoją w wodzie, Roxy, Allie i policjanci.

Allie wkłada dłoń do wody koło swoich kostek i koncentruje się.

Na zewnątrz, na werandzie i na schodach, woda ma kontakt ze skórą każdego z mężczyzn, choć w różnych miejscach. Allie musi działać z większą precyzją niż kiedykolwiek wcześniej, bo policjanci mają w rękach broń, palce na spustach. Ale raz za razem, po kolei, wysyła do nich swój rozkaz, szybszy niż myśl. I jeden po drugim policjanci drgają jak lalki, ich łokcie podrywają się w górę, a dłonie otwierają się i drętwieją. Jeden za drugim wypuszczają broń na ziemię.

– Ja pierdzielę, ale czad – mówi Roxy.

– Teraz – rzuca Allie i wchodzi na krzesło.

Roxy, kobieta, która ma więcej mocy, niż sama potrafi ogarnąć, wysyła błyskawicę do wody i policjanci podskakują, wierzgają i padają. Wszyscy, jak za pociągnięciem sznurka.

To musiała zrobić jedna osoba; tuzin dziewczyn nie mógłby zadziałać jednocześnie tak szybko, nie robiąc krzywdy sobie nawzajem. Wojownicza.

Roxy uśmiecha się szeroko.

Na górze Gordy nagrywa wszystko telefonem. Za godzinę film znajdzie się w sieci. Nie potrzeba wielu cudów, żeby ludzie zaczęli w ciebie wierzyć. A potem wysyłać ci pieniądze i propozycje pomocy prawnej w uzyskaniu klasztoru na własność. Ludzie zawsze szukają odpowiedzi i rozwiązań, teraz

bardziej niż kiedykolwiek.

Matka Ewa nagrywa przesłanie, które będzie towarzyszyło filmikowi. Mówi:

– Nie przyszedłam wam powiedzieć, żebyście zrezygnowały ze swojej wiary. Nie chcę was nawracać. Chrześcijanki, żydówki, muzułmanki, sikhijki, hinduistki, buddystki, wierzące lub niewierzące – Bóg wcale nie chce, żebyście zmieniały wyznanie.

Przerywa na chwilę. Wie, że nie tego się po niej spodziewają.

– Bóg kocha nas wszystkie – ciągnie – i chce, żebyśmy wiedziały, że zmieniła tylko swoją powłokę. W rzeczywistości Ona jest czymś więcej niż mężczyzną czy kobietą, jest poza ludzkim pojęciem. Ale chce, żebyśmy przypomniwały sobie rzeczy dawno zapomniane. Żydówki – popatrzcie nie na Mojżesza, lecz na jego siostrę Miriam, a zobaczycie, ile się możecie od niej nauczyć. Muzułmanki – spójrzcie na Fatimę, nie na Mahometa. Buddystki – przypomnijcie sobie Tarę, matkę wyzwolenia. Chrześcijanki – módlcie się do Marii o zbawienie. Uczono was, że jesteście nieczyste, że jesteście nieświęte, że wasze ciała są zbrukane i nie mogą zostać nawiedzone przez boskość. Uczono was, że macie pogardzać tym, czym jesteście, i pragnąć tylko tego, żeby być jak mężczyźni. Ale to wszystko kłamstwa. Bóg jest w was, Bóg wróciła na ziemię, żeby was uczyć od nowa, pod postacią nowej mocy. Nie przychodźcie do mnie po odpowiedzi na wasze pytania, musicie znaleźć je w sobie.

Cóż bardziej kusi niż sugestia, żeby trzymać się z daleka? Co przyciąga ludzi bardziej niż informacja, że wcale nie są zaproszeni?

Jeszcze tego samego wieczora przychodzą maile: Jak można do was dołączyć? Co mogę zrobić tutaj, w domu? Jak założyć kółko modlitewne tego nowego wyznania? Naucz nas, jak się modlić.

Są też prośby o pomoc. Moja córka jest chora, pomódlcie się za jej zdrowie. Nowy mąż mojej mamy przykuł ją do łóżka, proszę, niech ktoś przyjdzie ją wyratować. Allie i Roxy czytają razem.

– Musimy jakoś pomóc – mówi Allie.

– Kochana, nie możesz pomóc wszystkim – odpowiada Roxy.

– Mogę. Z pomocą Boskiej Matki mogę.

– Może nie trzeba iść do każdej z osobna, żeby pomóc wszystkim.



Policjanci w całym stanie są wściekli po tym, jak nagranie z interwencji w klasztorze trafia do sieci. Czują się upokorzeni. Mieli pokazać swoją skuteczność. W niektórych stanach czy w innych krajach policja przyjmuje kobiety na służbę, ale nie tutaj. Siły porządkowe wciąż rekrutują głównie mężczyzn. Oni zaś są rozzłoszczeni i przestraszeni, a wtedy łatwo o różne wydarzenia.

Dwadzieścia trzy dni po interwencji policjantów do klasztoru przychodzi dziewczynka z wiadomością dla Matki Ewy. Tylko dla Matki Ewy, proszę, muszą jej pomóc. Od płaczu chwieje się na nogach i trzęsie, przerażona.

Roxy robi jej gorącej herbaty z cukrem, a Allie znajduje jakieś ciastka. Dziewczynka – na imię ma Mez – opowiada, co się stało.

To było siedmiu uzbrojonych policjantów, którzy patrolowali okolicę. Mez razem z mamą wracały ze sklepu i rozmawiały. Mez ma dwanaście lat i ma moc dopiero od paru miesięcy; jej mama ma dłużej, dostała od młodszej kuzynki. Rozmawiałyśmy sobie – mówi Mez – niosłyśmy torby z zakupami i śmiałyśmy się z czegoś, aż nagle obok pojawiło się sześciu albo siedmiu policjantów, którzy zaczęli pytać: „Co macie w torbach? Dokąd idziecie? Mieliśmy doniesienie, że ktoś tu rozrabia w okolicy. Co macie w tych torbach?”.

Mama Mez nie potraktowała ich poważnie; roześmiała się i powiedziała: „A co niby mamy mieć? Zakupy ze spożywczego, i tyle”.

Na to jeden z policjantów stwierdził, że zachowuje się bardzo śmiało jak na kobietę spacerującą po niebezpiecznej dzielnicy; co właściwie tutaj robi?

Mama Mez odparła: „Dajcie nam spokój”.

Wtedy ją popchnęli. A ona poraziła dwóch, lekko, dla ostrzeżenia.

To wystarczyło policjantom. Wyciągnęli pałki i zaczęli ją tłuc. Mez krzyczała, jej mama też krzyczała, cały chodnik był zalany krwią; bili ją w głowę.

– Przycisnęli ją do ziemi – mówi Mez – i bili z całej siły. Siedmiu na jedną.

Allie słucha bardzo spokojnie. Kiedy Mez kończy, pyta:

– Wiesz, gdzie ją zabrali? Do którego szpitala?

– Nie zabrali jej do szpitala – odpowiada Mez. – Zabrali ją na komendę.

Allie zwraca się do Roxy i mówi:

- Musimy tam pójść.
- To musimy iść wszystkie – decyduje Roxy.

Sześćdziesiąt kobiet idzie grupą przez miasto w stronę komendy policji, na której przetrzymują mamę Mez. Idą cicho, ale pospiesznie, i wszystko nagrywają – takie przykazanie trafiło do dziewczyn z klasztoru. Filmujcie, wrzucajcie do sieci, najlepiej na żywo.

Zanim docierają do posterunku, policjanci wiedzą już, co się szykuje. Przed wejściem stoją mężczyźni z bronią.

Allie podchodzi do nich. Ma podniesione ręce, pokazuje wnętrza dłoni. Mówi:

– Przychodzimy w pokoju. Chcemy zobaczyć Rachel Latif. Chcemy jej zapewnić opiekę lekarza. Chcemy, żeby została przewieziona do szpitala.

Komisarz, stojący przy drzwiach, odpowiada:

– Pani Latif została zatrzymana zgodnie z prawem. A jakim prawem wy chcecie ją uwolnić?

Allie spogląda wokół siebie, na tłum kobiet zgromadzonych za jej plecami. Z każdą chwilą jest ich więcej. Już co najmniej dwieście pięćdziesiąt. Wiadomości o tym, co się stało, rozeszły się po całym mieście. Rozesłano SMS-y; kobiety dowiedziały się z sieci i wyszły z domów, żeby dołączyć.

– Jedyne prawem, które jest ważne – mówi Allie. – Ludzkim i boskim. W waszym budynku jest ranna kobieta, której trzeba udzielić pomocy.

Roxy wyczuwa w powietrzu napięcie i moc, która aż trzeszczy. Kobiety są podminowane, poruszone i złe. Zastanawia się, czy ci faceci też to czują. Policjanci trzymający broń są wyraźnie zdenerwowani. Coś bardzo łatwo może pójść nie tak.

Komisarz potrząsa głową i mówi:

– Nie możemy was wpuścić. A wasza obecność tutaj jest zagrożeniem dla moich ludzi.

– Przyszliśmy tu pokojowo – odpowiada Allie. – Panie oficerze, jesteśmy pokojowo nastawione. Chcemy zobaczyć Rachel Latif i chcemy, żeby trafiła do lekarza.

Tłum odzywa się głośnym pomrukiem, a potem cichnie w oczekiwaniu.

– Jeżeli was wpuszczę – pyta komisarz – czy każecie tym kobietom wrócić do domu?

– Najpierw chcemy ją zobaczyć – mówi Allie.

Kiedy Allie i Roxy zostają zaprowadzone do celi, widzą Rachel Latif prawie całkiem nieprzytomną. Włosy ma pozlepiane krwią, leży na pryczy, oddychając z powolnym, bolesnym charczeniem.

– Jezus Maria! – mówi Roxy.

Allie odwraca się do komisarza:

– Ta kobieta musi być natychmiast zabrana do szpitala.

Pozostali policjanci spoglądają na niego. Przed budynkiem z każdą minutą przybywa kobiet. Słysząc je tutaj jak chmarę świergoczących ptaków, każda rozmawia z sąsiadką, każda gotowa do ataku, jeżeli pojawi się sygnał. W komendzie jest tylko dwudziestu policjantów. Przed wejściem za chwilę będzie kilkaset kobiet.

Rachel Latif ma roztrzaskaną czaszkę. Widać białe odłamki kości i krew płynącą z rany.

Głos mówi: Zrobili to bez żadnej prowokacji. Wy teraz macie prawdziwy powód. Możecie przejąć ten budynek, zabić ich wszystkich, jeśli tylko chcecie.

Roxy bierze Allie za rękę i ściska. Potem mówi:

– Panie władzo, nie chcecie, żeby tutaj stało się coś więcej. Nie chce pan być bohaterem takiej historii. Dajcie tej kobiecie jechać do szpitala.

Komisarz wydaje z siebie długie westchnienie.

Gdy Allie wychodzi na zewnątrz, wśród kobiet podnosi się gwar. Rośnie jeszcze bardziej, kiedy rozlega się wycie syren karetki pogotowia, która po chwili toruje sobie drogę przez tłum.

Kobiety dźwigają Matkę Ewę na ramionach. Ona podnosi dłoń i rozmowy cichną.

Matka Ewa przemawia przez usta Allie i mówi:

– Zabieram Rachel Latif do szpitala. Zatrąszczę się, żeby była pod dobrą opieką.

Znowu gwar, jak szum wiatru w trawie. Nasila się i zamiera.

Matka Ewa rozkłada dłoń w znaku Fatimy. Woła:

– Zrobiliście tutaj dobrą rzecz, możecie teraz wracać do domu.

Kobiety kiwiają głowami. Dziewczyny z klasztoru odwracają się i odchodzą, wszystkie jednocześnie. Tłum zaczyna się przeredzać.

Pół godziny później, kiedy Rachel Latif znajduje się już w szpitalu, ulica przed komendą jest pusta.

Nie muszą dłużej mieszkać w klasztorze. Jest tu ładnie, piękny widok na ocean i domowa atmosfera, ale po dziewięciu miesiącach od przyjazdu Roxy mają już tyle pieniędzy, że mogą kupić sto takich budynków, a poza tym potrzebują czegoś większego. Z miasta, które jest niewielkie, zgłosiło się do nich sześćset kobiet, a filie powstają w całym kraju i na całym świecie. Im częściej władze powtarzają, że ta organizacja jest nielegalna, a Kościół katolicki deklaruje, że przywódczyni jest wysłanniczką diabła, tym więcej kobiet chce przyjść do Matki Ewy. Jeżeli wcześniej Allie wątpiła, czy na pewno została zesłana przez Boską Matkę z przesłaniem dla Jej ludu, to kolejne wydarzenia nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Jest tutaj, by opiekować się kobietami. Bóg wyznaczyła jej tę rolę i Allie nie powinna się sprzeciwiać.

Znowu jest wiosna, kiedy rozmawiają o nowej siedzibie.

– Zaklepiesz jakiś pokój dla mnie, jak się przeprowadzicie? – pyta Roxy.

Allie odpowiada:

– Nie wyjeżdżaj. Dlaczego chcesz wyjechać? Dlaczego z powrotem do Anglii? Co tam na ciebie czeka?

Roxy mówi:

– Tata uważa, że wszystko już się rozeszło po kościach. Nikogo nie obchodzi, co robimy sobie nawzajem, o ile nie zaczniemy strzelać do uczciwych obywateli. – Uśmiecha się szeroko.

– Ale naprawdę – mówi Allie i zaciska usta. – Dlaczego chcesz jechać do domu? Tu jest twój dom. Zostań. Proszę cię. Zostań z nami.

Roxy ściska jej dłoń.

– Stara – mówi. – Tęsknię za rodziną. Tęsknię za tatą. I wiesz co, za marmite'em. Za wszystkim. Nie wyjeżdżam na zawsze. Zobaczymy się znowu.

Allie głęboko wciąga powietrze. Gdzieś z tyłu głowy znowu słyszy głos, który od miesiący był cicho.

Mówi:

– Ale przecież nie możesz im ufać.

Roxy się śmieje.

– Komu, mężczyznom? Tak w ogóle? Ani jednemu?

Allie prosi:

– Uważaj na siebie. Znajdź zaufane kobiety do współpracy.

Roxy odpowiada:

– Jasne. Już to przegadałyśmy, kochana.

– Musisz sama się wszystkim zająć – mówi Allie. – Dasz radę. Należy ci się. Nie pozwól, żeby Ricky przejął interes, albo Darrell. Jest twój.

– Wiesz co – stwierdza Roxy – chyba masz rację. Ale nie mogę się niczym zająć, siedząc tutaj, no nie? – Przełyka ślinę. – Zabukowałam bilet. Wylatuję w przyszłą sobotę. Najpierw chcę z tobą pogadać o paru rzeczach. O planach. OK? Tylko już nie o tym, że powinnam zostać, dobra?

– Dobra.

Allie mówi w sercu: Nie chcę, żeby wyjeżdżała. Czy możemy to jakoś zatrzymać?

Głos odpowiada: Pamiętaj, kochanie, będziesz bezpieczna tylko wtedy, jeżeli będziesz u siebie.

Allie pyta: Czy mogę być u siebie na całym świecie?

Głos mówi bardzo cicho, tak jak kiedyś, lata temu: Och, kotku. Malutka, z tego punktu wyjścia tam nie dojdiesz.

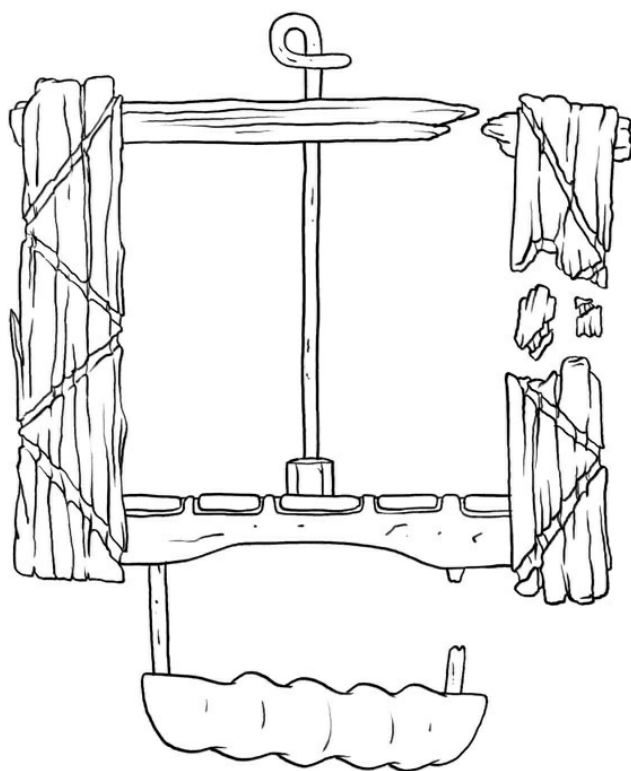
Tymczasem Roxy zaczyna:

– Chodzi o to, że mam taki pomysł.

Allie odpowiada:

– Ja też.

Patrzą na siebie z uśmiechem.



*Przyrząd do ćwiczeń w stosowaniu mocy elektrostatycznej, pochodzący sprzed około 1500 lat. Rękojeść na dole jest wykonana z żelaza i połączona wewnątrz drewnianej ramki z metalowym trzpieniem [A]. Przypuszcza się, że kawałek papieru lub suchy liść były mocowane na jego zagiętym końcu [B], a osoba posługująca się przyrzędem miała za zadanie doprowadzić do ich zapalenia. Wymagało to sprawności w posługiwaniu się mocą, zapewne uzyskiwanej w trakcie takich właśnie ćwiczeń. Rozmiar urządzenia wskazuje, że było przeznaczone dla dziewcząt w wieku od trzynastu do piętnastu lat. Pochodzenie: Tajlandia.*

## *Dokumenty archiwalne dotyczące mocy elektrostatycznej, jej pochodzenia, rozprzestrzeniania się oraz możliwych terapii*

1. Szczegółowy opis krótkometrażowego filmu propagandowego z czasów II wojny światowej, zatytułowanego *Ochrona przed gazem bojowym*. Sam film zaginął.

Film trwa dwie minuty i pięćdziesiąt dwie sekundy. Na początku słychać skoczną muzykę w wykonaniu orkiestry dętej z sekcją rytmiczną, a na ekranie pojawia się tytuł *Ochrona przed gazem bojowym*. Tytuł wypisany jest ręcznie na karcie, która lekko drży, gdy kamera robi zbliżenie. Cięcie. Grupa mężczyzn w białych fartuchach stoi przed kadzią z jakimś płynem. Uśmiechają się i machają do kamery.

Męski głos z offu: „W laboratoriach Ministerstwa Wojny naukowcy biorą podwójne dyżury, żeby pracować nad najnowszym wynalazkiem”.

Mężczyźni zanurzają w kadzi czerpak i pipetą nakładają trochę płynu na kawałki papieru wskaźnikowego. Uśmiechają się. Dodają też kroplę płynu do butelki z wodą znajdującej się w klatce białego szczura z dużym czarnym znakiem X na grzbiecie. Muzyka przyspiesza, kiedy na ekranie szczur pije wodę.

„Być zawsze o krok przed wrogiem – to jedyny sposób, aby bronić naszych obywateli. Ten szczur otrzymał właśnie dawkę nowego środka wzmacniającego system nerwowy, opracowanego w celu ochrony ludzi przed gazem bojowym”.

Cięcie. Widać innego szczura w klatce, tym razem nieoznaczonego.

„Ten szczur nie otrzymał lekarstwa”.

Zbiornik z oparami białego gazu zostaje otwarty w niewielkim pomieszczeniu, gdzie znajdują się obie klatki. Naukowcy, z maskami gazowymi na twarzach, wycofują się za szklaną ścianę. Na szczura, którego nie napojono roztworem płynu, gaz zaczyna działać szybko – rozpaczliwie macha przednimi łapkami w powietrzu, po czym dostaje drgawek. Jego śmierć nie jest pokazana. Tymczasem szczur ze znakiem X na grzbiecie pije wodę, zjada trochę pokarmu, a nawet biega w kołowrotku do ćwiczeń, podczas gdy gaz cały czas snuje się przed kamerą.

Głos z offu, dziarskim tonem:

„Jak widać, ta substancja działa”.

Jeden z naukowców zdejmuje maskę z głowy i zdecydowanym krokiem wchodzi do pomieszczenia wypełnionego gazem. Macha ze środka i głęboko wdycha powietrze.

„Jest bezpieczna dla ludzi”.

Cięcie. Widać stację wodociągową. Wychodząca z małej cysterny rura zostaje podłączona do otwartego zaworu w podłodze.

„Nazwano ją Aniołem Stróżem. Oto antidotum, które do tej pory broniło naszych żołnierzy przed atakami gazowymi, teraz staje się dostępne dla ludności cywilnej”.

Dwóch łysiejących mężczyzn w średnim wieku, jeden z przyszyżonymi włosami i ubrany w ciemny garnitur, podaje sobie dłonie, podczas gdy wskaźnik pokazuje, jak płynu w cysternie powoli ubywa.

„Wystarczy mała ilość w wodzie pitnej, żeby całe miasto było bezpieczne. Cysterna tego rozmiaru to dawka, która po rozpuszczeniu w wodzie pitnej ochroni pół miliona ludzi. Coventry, Hull i Cardiff otrzymają taką wodę jako pierwsze. Przy obecnym tempie cały kraj zostanie zabezpieczony w ciągu trzech miesięcy”.

Cięcie. Kobieta na ulicy miasta na północy Anglii wyjmując dziecko z wózka i przytula do ramienia okrytego flanelową pieluchą. Spogląda z obawą na czyste niebo.

„Teraz już matka nie będzie się bać, że jej dziecku grozi atak gazów bojowych. Bądźcie spokojni, matko wraz z maleństwem”.

Orkiestra gra finał. Wyciemnienie. Napisy końcowe.

## 2. Materiały udostępnione dziennikarzom przy produkcji programu BBC zatytułowanego *Źródło mocy*.

Historia Anioła Stróża została zapomniana wkrótce po zakończeniu II wojny światowej; podobnie stało się z wieloma wynalazkami, które spełniły swoje zadanie i z perspektywy czasu nie wzbudzały kontrowersji. Jednak w swoim czasie program Anioł Stróż odniósł wielki sukces i stał się propagandowym zwycięstwem. Badania prowadzone wśród ludności Wysp Brytyjskich wykazały, że substancja o tej nazwie gromadzi się w ludzkim organizmie. Wystarczył tylko tydzień picia wody z dodatkiem Anioła Stróża, by uzyskać odporność na gaz bojowy już na całe życie.

Substancja była produkowana w wielkich kadziach w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii. Tankowcami transportowano ją do sprzymierzonych państw: na Hawaje, do Meksyku, Norwegii, Afryki Południowej i Etiopii. Niemieckie łodzie podwodne atakowały te statki tak samo jak wszystkie alianckie okręty. Którejś nocy we wrześniu 1944 roku tankowiec kierujący się ku Przylądkowi Dobrej Nadziei został zatopiony, wraz z całą załogą, u wybrzeży Portugalii, około dwudziestu pięciu kilometrów od brzegu.



Badania wykazały, że w ciągu kolejnych miesięcy w nadmorskich miejscowościach Aveiro, Espinho i Porto morze zaczęło wyrzucać na brzeg dziwne stworzenia – ryby znacznie większe niż normalnie. Całe ławice tych dziwnych ogromnych ryb wypływały na plaże, a okoliczni mieszkańcy po prostu je zjadali. Analizy przeprowadzone w 1947 roku przez skrupulatnego portugalskiego urzędnika dowiodły, że Anioł Stróż był wykrywalny w wodach gruntowych w głębi lądu aż na wysokości miejscowości Estrela, przy granicy z Hiszpanią. Jednak propozycje, by zbadać wodę pitną w całej Europie, zostały z powodu braku środków odrzucone.

Niektóre opracowania stawiają hipotezę, że zatopienie tankowca było punktem krytycznym w rozprzestrzenianiu się Anioła Stróża na świecie. Inne dowodzą, że to rozprzestrzenianie stało się nieodwracalne w momencie, gdy substancja dostała się do naturalnego obiegu wody, nieważne, w jakim punkcie, zbiorniku czy regionie. Po zatopieniu tankowca jako źródła skażenia wody Aniołem Stróżem wymienia się wyciek z przerdzewiałego zbiornika w Buenos Aires w kilka lat po zakończeniu wojny oraz wybuch w magazynie broni w południowych Chinach.

Oceany na Ziemi są połączone i woda na planecie krąży w obiegu zamkniętym. Po wojnie zapomniano o Aniele Stróżu, ale substancja nadal kumulowała się w ludzkich ciałach. Najnowsze badania wykazują, że po osiągnięciu pewnej granicznej ilości w organizmie stała się katalizatorem rozwoju mocy elektrostatycznej u kobiet.

Każda kobieta, która w momencie zakończenia wojny miała siedem lat lub mniej, może mieć zaczątki tak zwanego zwój u nasady obojczyków, chociaż ich występowanie zależy od wielkości dawki Anioła Stróża przyjętej w dzieciństwie oraz od uwarunkowań genetycznych. Te zaczątki mogą zostać aktywowane przez niewielkie porażenie mocą przez młodsze kobiety. W każdym kolejnym roczniku zwiększał się odsetek kobiet posiadających zwój. Te, które w Dniu Dziewcząt miały około trzynastu, czternastu lat, z nielicznymi wyjątkami posiadają w pełni rozwinięty zwój. Kiedy organ zostanie aktywowany, nie można go usunąć bez zagrożenia dla życia kobiety.

Istnieje również teoria głosząca, że Anioł Stróż tylko uruchomił pewne naturalne predyspozycje zapisane w ludzkim genomie. Być może w przeszłości kobiety posiadały zwoje, ale ta mutacja genetyczna została z czasem wygaszona.

3. Krótkie wiadomości tekstowe SMS wymienione między premierem oraz ministrem spraw wewnętrznych Wielkiej Brytanii, utajnione, a następnie ujawnione z zachowaniem reguły trzydziestoletniego moratorium.

P: Właśnie przeczytałem raport. Co myślisz?

M: Nie możemy tego ujawnić.

P: USA chcą to ujawnić za miesiąc.

M: Cholera. Powiedz im żeby wstrzymali.

P: Przyjęli „strategię totalnej otwartości”. Traktują to śmiertelnie poważnie.

M: Jak zwykle.

P: Amerykanie zawsze będą Amerykanami.

M: Są 8 tys. km od Morza Czarnego. Pogadam z ich sek. stanu. Musimy im powiedzieć że to sprawa NATO. Ujawnienie raportu zakłóci równowagę w niestabilnych regionach. Tam łatwo mogą zorganizować broń chem. i biol..

P: I tak wycieknie. Musimy się zastanowić jak będzie u nas.

M: Będzie piekło.

P: Bo nie ma lekarstwa?

M: Żadnego lekarstwa. To nie jest żaden kryzys tylko nowa kurwa rzeczywistość.

#### 4. Kolekcja internetowych reklam zarchiwizowanych w ramach projektu Archiwa Internetowe.

##### 4a) *Bezpieczeństwo z Blokadą Osobistą*

Blokada osobista to bezpieczne, niezawodne i łatwe w obsłudze urządzenie. Akumulator mocowany przy pasku połączony jest z taserem noszonym na nadgarstku.

- Produkt zyskał aprobatę policji i został poddany testom w niezależnych laboratoriach.
- Jest dyskretny. Tylko ty wiesz, że możesz się obronić.
- Jest zawsze gotowy do użycia i pod ręką – w razie ataku nie ma potrzeby sięgania do kabury czy do kieszeni.
- Jest niezrównany pod względem niezawodności i skuteczności.
- Dodatkowo w zestawie ładowarka.

Adnotacja: Blokada Osobista została wycofana ze sprzedaży po śmiertelnych wypadkach, którym ulegli jej użytkownicy. Okazało się, że po porażeniu prądem organizmy kobiet często produkują wyładowanie zwrotne, uderzające w atakującego, nawet jeśli kobieta została pozbawiona przytomności. Producenci zawarli ugodę pozasądową w sprawie pozwu zbiorowego ze strony rodzin siedemnastu mężczyzn, którzy zginęli w takich właśnie okolicznościach.

##### 4b) *Zwiększ swoją moc dzięki jednemu trikowi*

Kobiety na całym świecie dowiadują się, jak zwiększyć długość i siłę działania swojej mocy, poznając ten pilnie strzeżony sekret. Nasze przodkinie doskonale go znały, a dzisiaj naukowcy z uniwersytetu w Cambridge odkryli na nowo łatwy trik, który powiększy twoją moc. Twórcy kosztownych programów treningowych nie chcieliby,

żebyś poznała ten prosty przepis na sukces! Kliknij link poniżej, żeby za jedyne 5 dolarów nauczyć się triku, który sprawi, że będziesz najlepsza.

#### 4c) *Skarpety ochronne*

Naturalny sposób ochrony przed atakiem elektrycznym. Żadnych substancji chemicznych, granulatów czy proszków, za to całkowicie skuteczna ochrona przed porażeniem! Po prostu noś te gumowe skarpety pod normalnymi skarpetami i butami. Nikt się nie zorientuje, że masz je na sobie. W przeciwieństwie do butów nie mogą zostać łatwo zdjęte przez agresorkę. Jedna para w opakowaniu. Z tekstylną wyściółką wchłaniającą wilgoć.

*Jeszcze sześć lat*

## *Tunde*

Tatiana Moskalew mówiła prawdę i podała Tundemu dobre informacje. Spędził dwa miesiące, prowadząc dziennikarskie śledztwo na górzystej północy Mołdawii – czy też w kraju, który był kiedyś Mołdawią, a teraz znajdował się w stanie wojny ze swoją południową częścią – starannie wypytując i przekupując napotkanych mieszkańców. Finansował go Reuters; powiedział redaktorce, że ma zaufanie do swojego źródła, a ona przyklepała sprawę wydatków. Gdyby mu się udało dowiedzieć czegoś konkretnego, to byłby naprawdę poważny news. A jeśli nie, przynajmniej opíše rozdarte wojną państwo i będzie miał sporo materiału.

Ale udało się. Któregoś popołudnia mężczyzna z przygranicznej wioski zawiózł go terenówką do miejsca nad Dniestrem, z którego rozciągał się widok na nadrzeczną dolinę. Zobaczyli tam naprędce sklecony obóz z niskimi barakami i centralnie umieszczonym placem treningowym. Mężczyzna nie pozwolił Tundemu wysiąść ani też nie chciał podejść bliżej. Ale widok był na tyle dobry, że Tunde zrobił sześć zdjęć, na których widać było ciemnoskórych brodatych mężczyzn, ubranych w mundury polowe i czarne berety, ćwiczących z nową bronią i nowym typem pancerza. Niektórzy mieli gumowe kombinezony, na plecach stelaże z akumulatorami, a w rękach elektryczne pałki do poganiania bydła.

Tylko sześć zdjęć, ale to wystarczyło. Tunde trafił na wszystkie czołówki. AWADI-ATIF TRENUE UKRYTĄ ARMIE, wołał nagłówek Reutersa. Inne oznajmiały: CHŁOPAKI WRACAJĄ DO GRY. Albo: GRUPA TRZYMAJĄCA MOC. W redakcjach i studiach telewizyjnych trwały nerwowe dyskusje na temat skutków użycia nowej broni. Czy to w ogóle może działać? Czy oni mają szansę wygrać? Tunde wprawdzie nie sfotografował samego króla Awadi-Atifa, lecz wnioski nasuwały się same – to on współpracował z mołdawską armią. Sytuacja w wielu krajach zaczynała się już stabilizować, ale te wiadomości znowu wprowadziły niepokój. Może mężczyźni rzeczywiście zamierzają przeprowadzić kontratak, może wracają z nowym uzbrojeniem?

W Delhi zamieszki trwały przez kilka tygodni.

Rozpoczęły się pod wiaduktami, gdzie biedni mieszkają w namiotach z koców albo budach skleconych z kartonów sklepanych taśmą. To właśnie tam przychodzą mężczyźni w poszukiwaniu kobiety, którą mogą bezkarnie zgwałcić. W tych miejscach moc przechodziła z dłoni do dłoni już od trzech lat. A śmiercionośne ręce kobiet zyskały imię: Kali, pani wieczności. Kali, która niszczy, żeby zrobić miejsce dla nowego życia. Kali, upojona krwią zabitych. Kali, która palcami gasi gwiazdy. Jej imieniem groza, jej oddechem śmierć. Od dawna wyczekiwana. Kobiety pod wiaduktami ogromnej metropolii zrozumiały to z łatwością.

Rząd wysłał przeciwko nim wojsko. Tymczasem one odkryły nowy trik: strumień wody skierowany na atakujących może przenosić elektryczność. Wsuwały więc dłonie w wodę tryskającą z węży i wysyłały przez nią śmierć, niczym bogini idąca przez miasto. Wtedy rząd odciął wodę w rurach zaopatrujących okolice slumsów. Było to w najgorętszych dniach lata, kiedy ulice śmierdzą zgnilizną, a ciężarne suki, dysząc, szukają najmniejszego skrawka cienia. Telewizje z całego świata zaczęły pokazywać biedaków żebrzących o wodę, błagających choć o kroplę. Aż trzeciego dnia otworzyły się niebiosa i zesłały burzę, która nie miała prawa pojawić się o tej porze roku. Wielką i zmywającą wszystko niczym ogromna szczotka. Woda zebrała się w kałużach i rozlewiskach. Żołnierze stoją na mokrej ziemi albo dotykają wilgotnych powierzchni, albo z ich pojazdów opadają jakieś druty, ciągnące się po błocie. I gdy kobiety posyłają moc na ulice, oni giną nagle i niespodziewanie, tocząc z ust czerwoną pianę, jakby sama bogini wymierzała im karę.

Świątynie Kali wypełniają się wiernymi. Wielu żołnierzy przechodzi na stronę zbuntowanych. Tunde też tam jest, ze swoimi aparatami i legitymacją CNN.

W hotelu pełnym zagranicznych korespondentów wielu ludzi go rozpoznaje. Spotkali się wcześniej w innych miejscach, w których odbywa się wymierzanie dziejowej sprawiedliwości – chociaż takie określenie nie byłoby w dobrym tonie. Oficjalnie na Zachodzie mówi się nadal o „kryzysie”, ze wszystkimi skojarzeniami: wyjątkowy, godny ubolewania, przejściowy. Reporterzy z „Allgemeine Zeitung” witają się z Tundem po imieniu i gratulują – trochę

zazdrosnym tonem – dobrej roboty z fotografiami armii Awadi-Atifa. Spotyka też starszych kolegów z CNN, pracujących na wyższych stanowiskach, a nawet ludzi z nigeryjskiego „Daily Timesa”, którzy dopytują, gdzie się wcześniej chował i jak mogli go przeoczyć. Tunde ma teraz własny kanał na YouTubie, na którym zamieszcza materiały z różnych stron świata. Jego twarz pojawia się na początku każdej relacji. Jeździ do najbardziej niebezpiecznych miejsc i nagrywa rzeczy, których nie pokazują inni. Dwudzieste szóste urodziny obchodził na pokładzie samolotu. Jeden ze stewardów rozpoznał go i poczęstował szampanem.

W Delhi Tunde podąża za grupą kobiet demolujących targowisko Janpath. Był taki czas, kiedy samotne kobiety nie mogły się tutaj zapuszczać, chyba że były po siedemdziesiątce, choć i te nie mogły być pewne, że będą zostawione w spokoju. Przez wiele lat odbywały się w związku z tym protesty, wznoszono transparenty, okrzyki, hasła. Ale takie porywy mijają i potem wszystko znowu jest tak jak wcześniej, jakby nic się nie wydarzyło. Teraz kobiety postanowiły zrobić, jak to nazywają, „demonstrację siły” w akcie solidarności z tymi, które zginęły pod wiaduktami i którym odebrano wodę.

Tunde rozmawia z jedną z kobiet z tłumu. Była na protestach trzy lata wcześniej, owszem, trzymała transparent, krzyczała razem z innymi i podpisywała petycje.

– To było jak fala na morzu – opowiada. – Ale fala jest potężna tylko przez chwilę, potem słońce osusza kałuże i woda znika. Wszystko idzie w niepamięć. Dokładnie tak było z nami. Tylko tsunami może coś zmienić. Musisz zburzyć domy i zatopić ziemię, jak chcesz, żeby ludzie nie zapomnieli.

Tunde wie, gdzie umieści to w książce. Historia ruchów politycznych. Walka, która toczyła się powoli i mozolnie, dopóki nie nastąpiła Wielka Zmiana. Ma już w głowie cały wywód.

Podczas demonstracji nikt nie robi krzywdy ludziom, kobiety głównie wywracają stragany.

– Teraz będą wiedzieli – krzyczy jedna wprost do aparatu Tundego – że to oni nie powinni wychodzić sami z domu wieczorem. Teraz to oni będą się bać.

Następuje krótka szamotanina, kiedy w tłumie pojawia się czterech mężczyzn uzbrojonych w noże, ale kobiety szybko ich obezwładniają i zostawiają na ziemi

ze zdrętwiałymi, drżącymi ramionami, ale bez trwałych uszkodzeń ciała. Tunde zaczyna myśleć, że nic nowego się tutaj nie wydarzy, nic, czego już wcześniej nie oglądał, kiedy nagle przez tłum przelatuje pogłoska, że z przodu, na placu Windsorskim, żołnierze ustawili barykadę. Ochraniają zagraniczne hotele. Teraz posuwają się tyralierą, uzbrojeni w gumowe pociski i ubrani w buty na grubych gumowych podszewkach. Oni też chcą coś zademonstrować i zrobić pokaz siły, żeby cały świat zobaczył, jak dobrze wyćwiczona armia radzi sobie z elementem wywrotowym.

Tunde nie zna żadnej ze zgromadzonych kobiet. Żadnej, która udzieliłaby mu schronienia u siebie w domu, gdyby zaczęły się problemy. Tymczasem tłum gęstnieje. To się dzieje stopniowo i z początku nic nie zauważył, ale teraz rozumie, że żołnierze chcą zapędzić demonstrantki w jakiś ciasny zaułek. Co się wtedy stanie? Dzisiaj zginą tutaj ludzie, Tunde zaczyna to czuć gdzieś w kręgosłupie i w głowie, pod czaszką. Z przodu dobiegają krzyki. Nie zna języka na tyle dobrze, żeby zrozumieć. Uśmiech znika mu z twarzy. Musi się wydostać z tłumu, znaleźć jakieś podwyższenie.

Rozgląda się dookoła. Delhi jest ciągle przebudowywane, wszędzie można znaleźć słabo zabezpieczone place budowy. Są domy, z których nigdy nie zdjęto rusztowań, sklepy z dziwnie pochyłonymi ścianami frontowymi, a nawet budynki częściowo zburzone, w których nadal mieszkają ludzie. Tam. Dwie przecznice dalej. Sklep z oknami zabitymi dyktą, za przenośnym straganem sprzedającym placki. Coś w rodzaju drewnianego rusztowania stoi przy bocznej ścianie. Dach budynku jest płaski. Tunde zaczyna się przepychać przez tłum. Większość kobiet nadal próbuje iść do przodu, krzycząc i wymachując transparentami. Skądś dobiega syczenie i trzask elektrycznego wyładowania. Teraz Tunde czuje elektryczność w powietrzu, rozpoznaje to wrażenie. Uliczne wonie, zapachy psich odchodów, kiszzonego mango, kobiecych ciał w tłumie i smażonej okry z kardamonem stają się na chwilę bardziej intensywne. Wszyscy przystają, ale Tunde idzie dalej. Mówi sobie: To nie jest dzień twojej śmierci, Tunde. To nie ten dzień. Będziesz miał co opowiadać znajomym po powrocie do domu. Napiszesz o tym w książce. Nie bój się, po prostu idź dalej. Jak już wejdiesz na ten dach, nagrasz świetny materiał.

Nie może osiągnąć najniższego poziomu rusztowania, nawet kiedy podskakuje. Patrząc w głąb ulicy, widzi, że inni wpadli na ten sam pomysł



i wspinają się na dachy albo drzewa. Jeszcze inni próbują ściągać ich na dół. Jeżeli nie uda mu się szybko wejść na górę, za chwilę odepchną go ludzie, którzy będą chcieli zająć wypatrzone przez niego miejsce. Przyciąga trzy stare skrzynki po owocach, układa jedną na drugiej – w kciuk wbija mu się długa drzazga, ale nie zwraca na to uwagi – wspina się na nie i skacze. Chybia. Ląduje ciężko, aż bolą go kolana. Skrzynki długo tego nie wytrzymają. Tłum wlewa się w ulicę i wznosi okrzyki. Tunde skacze znowu, tym razem wybija się mocniej i już! Udało się. Najniższy szczebel drabiny przy rusztowaniu. Wyteżając mięśnie, podciąga się na drugi szczebel, później na trzeci, a potem wdrapuje się na chyboczną konstrukcję i reszta jest łatwa.

Rusztowanie chwieje mu się pod nogami. Nie jest w ogóle przymocowane do ściany tego rozwalającego się budynku. Swego czasu przywiązano je linami, ale postrzępiły się i przegniły, a teraz rozłazały się pod ciężarem Tundego. Cholera, naprawdę głupio byłoby umrzeć w ten sposób. Nie w zamieszkach, nie od kuli, nie od mocy Tatiany Moskalew, rażającej go w gardło, tylko spadłszy parę metrów w dół na plecy na ulicę w Delhi. Zaczyna wspinać się szybciej i dosięga szorstkiej krawędzi dachu, a rusztowanie ugina się i chwieje na wszystkie strony. Łapie się krawędzi jednym ramieniem, czując, jak drzazga głębiej wbija mu się w palec, odpycha się nogami od rusztowania i udaje mu się na pół wskoczyć na dach – prawe ramię i prawą nogę ma już na dachu, a reszta ciała wisi nad ulicą. Gdzieś z oddali słychać krzyki i odgłosy wystrzałów.

Tunde odbija się energicznie lewą nogą i przetacza się na plecy na dach, wysypany żwirem. Ląduje w kałuży, przemoczony, ale bezpieczny. Słyszy trzeszczenie – całe rusztowanie wali się na ulicę. Super, Tunde, teraz nie masz jak stąd zejść. Ale z drugiej strony nie stratuje go tłum uciekający przed kulami. Właściwie to idealne miejsce. Jakby specjalnie przygotowane. Uśmiecha się i powoli wypuszcza powietrze. Może tu ustawić aparat i wszystko sfilmować. Przestał się bać, ogarnia go podniecenie. I tak nie może nic zrobić, nigdzie zadzwonić, nikogo poprosić o pomoc, nie ma żadnego szefa ani policji. Tylko on i aparat, wysoko, z dala od wszystkiego. I zaraz zaczną się dziać ciekawe rzeczy.

Siada i rozgląda się. I wtedy zauważa, że na dachu oprócz niego jest kobieta.

Musi być po czterdziestce, żyłasta, z małymi dłońmi i długim grubym warkoczem wyglądającym jak naoliwiony sznur. Patrzy na niego. A może nie

całkiem na niego. To rzuca mu spojrzenie, to spogląda w bok. Tunde uśmiecha się do niej. Ona też się uśmiecha. I po tym uśmiechu Tunde poznaje, że coś z nią jest nie tak. Coś w sposobie trzymania głowy, przechylonej na bok. Coś w spojrzeniach, kiedy odwraca wzrok, a potem nagle znów się w niego wpatruje.

– Jesteś... – Tunde zerka na tłum przepychający się na dole. Słyszcć coraz bliższe wystrzały. – Przepraszam, jeśli to twój dom. Chciałem tylko tu poczekać, aż zrobi się spokojniej. Można?

Ona z wolna kiwa głową. Tunde próbuje znowu się uśmiechnąć.

– Kiepsko to wygląda tam na dole. Wszłaś, żeby się schować?

Ona odpowiada po angielsku; mówi powoli i starannie, z całkiem przyzwoitym akcentem. Może wcale nie jest tak szalona, jak mu się wydawało.

– Szukałam ciebie.

Tunde przez moment myśli, że może zna go z internetu, że widziała jego zdjęcia. Fanka. Prawie się uśmiecha.

Tymczasem kobieta przykłęka i zanurza palce w kałużę, w której on nadal siedzi. Tunde myśli, że chce opłukać ręce, aż porażenie uderza go w ramię i całe ciało zaczyna mu drżeć.

Atak jest tak nagły i niespodziewany, że przez chwilę sądzi, że to pomyłka. Kobieta nie patrzy mu w oczy, odwraca wzrok. Ból przewierca mu plecy, schodzi na nogi. Rozgałęzia się w boku, aż Tunde ledwo łapie oddech. Opada na czworaki. Musi wydostać się z tej kałuży.

Mówi: „Przestań! Nie rób tego!”, i zaskakuje go ton własnego głosu. Jest potulny, proszący. Jakby mówił ktoś, kto boi się o wiele bardziej niż on w tej chwili. Wszystko będzie OK. Jakoś się stąd wykaraska.

Zaczyna się cofać. Pod nimi krzyczy tłum. Słyszcć pojedyncze wołania. Gdyby tylko mógł ją powstrzymać, zrobiłby fantastyczne zdjęcia.

Kobieta nadal miesza palcami w kałużę. Wywraca oczy do góry.

Tunde mówi:

– Nie chcę cię skrzywdzić. Wszystko jest w porządku. Możemy poczekać tu razem.

Wtedy ona się śmieje. A raczej rechocze.

Tunde przekręca się i na czworakach wycofuje z kałuży. Patrzy na nią. Teraz się boi; ten śmiech go przestraszył.

Kobieta się uśmiecha, szerokim, złym uśmiechem. Ma mokre wargi. Tunde próbuje wstać, ale nogi mu się trzęsą i nie daje rady. Opada na jedno kolano. Ona się przygląda, kiwając głową, jakby mówiła sobie: Tak, wszystko się zgadza. Dobrze, tak ma być.

Tunde rozgląda się po dachu. Nic tu nie ma. Tylko chwiejny mostek przerzucony na sąsiedni dach, właściwie kawałek deski. Nie chciałby tam wchodzić, kobieta mogłaby zrzucić go jednym kopnięciem. Ale gdyby złapał tę deskę, mógłby użyć jej do obrony. Przynajmniej nie dać kobiecie podejść. Zaczyna przesuwać się w kierunku mostka.

Kobieta mówi kilka słów w nieznanym języku, a potem, bardzo cicho, dodaje:

– Czy my się kochamy?

Oblizuje usta. Tunde widzi, jak zwój drga jej pod skórą przy obojczykach niby żywe stworzenie. Kątem oka zauważa, że przyglądają im się jacyś ludzie stojący na dachu po drugiej stronie ulicy, pokazują ich palcami i coś wołają. Niewiele mogą stamtąd zrobić. Może nagrać filmik. I co mu z tego przyjdzie? Znowu próbuje wstać, ale nogi ciągle odmawiają mu posłuszeństwa. Kobieta śmieje się na ten widok. Potem rzuca się w jego kierunku. Tunde usiłuje kopnąć ją w twarz, ale ona łapie go za odkrytą kostkę i razi znowu. Ból jest taki, jakby ktoś wbił mu w kostkę rzeźnicki nóż i rozcinał nogę wzdłuż kości, aż do uda, oddzielając mięso. Tunde czuje swąd palących się włosów.

Dociera też do niego, jakby z ulicy, zapach przypraw. Pieczonego mięsa, roztopianego tłuszczu i przypiekanych kości. Przypomina mu się matka, sięgająca do garnka, żeby sprawdzić palcami, czy ziarna ryżu są już ugotowane. Tunde, zostaw, jeszcze za gorące. Wyraźnie czuje słodki zapach gotującej się ryżowej potrawy. Tunde, miesza ci się w głowie. Pamiętaj, czego się dowiedziałeś. Twój mózg to białko i prąd elektryczny. Porażenie boli o wiele bardziej, niż powinno, bo przestawia ci coś w mózgu. Nie wiesz, co się dzieje. Nie jesteś w domu. Matka nie przyjdzie.

Kobieta dopada go leżącego na ziemi. Zaczyna mocować się z jego dzinsami i paskiem. Usiłuje ściągnąć je bez rozpinania klamry, więc nie chcą przejść przez biodra. Tunde czuje, że plecami trze o kamienie pokrywające dach, że

kawałek betonu obciera mu kręgosłup do krwi, i myśli: Jeśli będę się bronił, ona porazi mnie tak, że stracę przytomność, a wtedy będzie mogła ze mną zrobić cokolwiek.

Słyszy krzyki gdzieś z daleka. Jakby był pod wodą, z zalanymi uszami. Najpierw sądzi, że to krzyki z ulicy. Przygotowuje się na kolejne porażenie; jego ciało całe się spina. I dopiero kiedy żadna błyskawica nie spada, kiedy zdaje sobie sprawę, że nie ma się przed kim bronić, otwiera oczy i widzi, że jakieś trzy kobiety odciągnęły napastniczkę. Rzuciły ją na ziemię i teraz rażą raz za razem, ale ona nie przestaje się szarpać. Tunde podciąga spodnie i czeka, przyglądając się, aż kobieta z długim grubym warkoczem wreszcie zamrze w bezruchu.

## *Allie*

*Fragment dyskusji na forum Wolny Zasięg na portalu internetowym określającym się jako libertariański*

---

### Askedandanswered

Duży, duży, DUŻY news z Karoliny Pd. Popatrzcie sobie na te zdjęcia. Na tym jest Matka Ewa, zrzut z filmiku „Ku miłości”, tam gdzie kaptur jej się trochę zsunął i widać kawałek twarzy. Zobaczcie jaki ma podbródek, taki trochę spiczasty i zwróćcie uwagę na proporcje, odległości między ustami a nosem i ustami a podbródkiem. Policzyłem to, macie na wykresie.

Teraz drugie zdjęcie. Ktoś na forum UrbanDoxa wstawił zdjęcia z kartoteki policyjnej z Alabamy sprzed czterech lat. Wygląda, że autentyki. Może od kogoś kto chce sprawiedliwości, może od policji. Nieważne. Na fotkach jest niejaka Alison Montgomery-Taylor, która zamordowała swojego adopcyjnego ojca, uciekła z domu i nigdy jej nie znaleziono. I wszystko jasne. Kształt brody taki sam, takie same odległości między ustami a nosem i podbródkiem. Sami zobaczcie i powiedzcie czy to nie jest przekonujące.

---

### Buckyou

OJP. Odkryłeś, że ludzie mają usta, nosy i brody. Ta wiadomość rozerwie antropologię na strzępy, ajnsztajnie.

---

### FisforFreedom

Przecież te zdjęcia były przerabiane. Zobacz jak pada światło na zdjęciu Alison M-T. Na policzkach z lewej, a na brodzie z prawej? Ktoś tu pojechał fotoszopem, żeby ci się zgadzało. Pobite gary.

---

### AngularMerkel

Wiadomo, że to \*jest\* Alison M-T. Już dawno były doniesienia na policję na

Florydzie, ale ona wszystkich opłaciła. Kupa kasy poszła na łapówki i szantaże na całym Wschodnim Wybrzeżu. Ewka i jej mniszki spiknęły się z jakąś jebaną żydowską mafią, pisali o tym UrbanDox i UltraD, sprawdź sobie wątki o zamieszkach z 11.05. i aresztowaniach w Raleigh zanim zaczniesz wrzucać takie suchary, jełopie.

---

### Manintomany

Już dawno zawiesili konto UrbanDoxa za łamanie regulaminu, jełopie.

---

### Abrahamic

Dokładnie, a ty w każdym poście co wrzucasz liżesz dupę UrbanDoxowi albo jego koleśiom. Albo sam jesteś UD albo mu obciążasz tu i teraz.

---

### SanSebastian

Nie ma opcji, żeby to nie była ona. Oczywiście rząd Izraela sponsoruje wszystkie nowe „kościóły”. Już setki lat próbują zniszczyć chrześcijaństwo, stosując oszczerstwa i posługując się czarnymi, żeby zatruwali nasze miasta narkotykami. Ten nowy narkotyk to następny krok. Wiecie, że nowe „kościóły” \*rozdają\* nową syjonistyczną truciznę naszym \*dzieciom\*? Ludzie, obudźcie się. Zmiany są kontrolowane przez te same syndykaty i systemy co zawsze. Myślicie, że jesteście wolni bo możecie sobie pisać na forach? Nie przychodzi wam do głowy, że oni monitorują wszystko co tu piszemy? Że wiedzą dokładnie kim jesteśmy, każdy z was? Pozwalają nam gadać, ale gdyby stwierdzili, że ktoś z nas ma zamiar coś \*robić\*, w każdej chwili mogą nas zniszczyć.

---

### AngularMerkel

Spadaj ze swoimi teoriami spiskowymi, porypie.

---

### Buckyou

Nie karmić trolla.

---

### Loosekitetalker

Gość ma trochę racji. Myślicie, że dlaczego nie załatwią raz a dobrze

nielegalnego ściągania filmów? Dlaczego nie blokują stronek z pornem albo torrentami? Przecież to jest bułka z masłem, każdy by tutaj trzasnął kod w parę godzin. Wiecie dlaczego? Bo jakby chcieli kogoś wyjąć, wysłać do pierdła na milion lat, to mają na nas haka. Cały internet to zasrana pułapka, a wy myślicie, że jesteście sprytni bo używacie jakiegoś cwelowego proxy albo puszczacie dane przez jakiś Mińsk albo Kijów? Goście z Bezpieczeństwa Narodowego mają deal ze wszystkimi, policja siedzi u nich w kieszeni i każdy serwer jest ich.

---

### Matheson ADMIN

To forum nie jest miejscem do dyskusji o bezpieczeństwie w sieci. Proponuję przeniesienie posta do działu /security.

---

### Loosekitetalker

Nie zgadzam się. Widział ktoś filmik BB97 z Mołdawii? Nakręcony przez \*nasz rząd\* w Ameryce, który śledzi ruchy armii Awadi-Atifa. Myślicie, że mogą wytropić coś takiego a nas nie?

---

### FisforFreedom

No OK... Wracając do tematu – nie wydaje mi się, że to Matka Ewa. Alison M-T podobno uciekła tego samego wieczora kiedy zabiła ojca, 24.06. A pierwsze kazania Ewy z Myrtle Bay są z 2.07. Chcecie powiedzieć, że Alison M-T zabiła ojca, ukradła samochód, przejechała kilka stanów, urządziła się jako przywódczyni nowej religii i wygłaszała kazania \*10 dni\* później? Sorry, ja tego nie kupuję. Zwykły zbieg okoliczności, błąd programu do rozpoznawania twarzy, a maniacy od teorii spiskowych z Reddita od razu poszczali się w gacie. Tam nic nie ma. Czy uważam, że Matka Ewa to szemrana postać? Pewnie. Stosuje dokładnie takie same sztuczki jak scjentologia czy mormoni. Niejasne gadki, przekręcanie starych rzeczy, żeby pasowały do nowych teorii, wymyślanie nowych podziałów. Ale morderstwo? Na to nie ma dowodów.

---

### Riseup

Pobudka. Jej ludzie pozmieniali daty na tych kazaniach, żeby wszystko cofnąć w czasie. Nie ma żadnych nagrań tych pierwszych kazań, nic na YouTube. Mogły być nakręcone kiedykolwiek. To ją tylko obciąża. Gdyby nie miała nic na sumieniu po co chciałaby udawać, że była w Myrtle Bay wcześniej?

---

### Loosekitetalker

Nie zgadzam się, że filmy satelitarne z Mołdawii są spoza tematu. Matka Ewa występuje często w Mołdawii Płd, szykuje tam sobie siedzibę. Wszyscy wiedzą, że NSA monitoruje co się da, bo terroryzm nie zniknął. Siedemnaście osób z rodziny króla uciekło z Arabii Saud. po przewrocie razem z ośmioma \*bilionami\* dolarów w udziałach zagranicznych. Dynastia Saudów nie zniknęła tylko dlatego, że teraz w Al Faisaliyah jest centrum praw kobiet. Myślicie, że nie zareagują? Myślicie, że Awadi-Atif nie chce z powrotem swojego kochanego królestwa? Myślicie, że nie rozdaje kasy na prawo i lewo wszystkim którzy mogą mu pomóc? Macie w ogóle \*jakieś pojęcie\* co zawsze finansowali Saudowie? Finansują terroryzm, koledzy.

I myślicie, że nikt nie zawraca sobie głowy zagrożeniem terrorystycznym? NSA obserwuje wszystko co tu wypisujemy, możecie być pewni na 100%. Matkę Ewę też mają pod obserwacją.

---

### Manintomany

Ewę ktoś zlikwiduje w ciągu trzech lat, gwarantuję.

---

### Riseup

Stary, jak nie używasz dziesięciu VPNów jednocześnie to czekaj na pukanie do drzwi za trzy, dwa, jeden...

---

### AngularMerkel

Ktoś na pewno wyśle fachowca, żeby ją zdjął. Elektryczność nie chroni od pocisków. Malcolm X. Martin LK. JFK.

Założę się, że już jest na nią zlecenie.

---

### Manintomany

Jak słucham tych jej farmazonów to sam bym kurwę zajebał, za darmo.

---

### TheLordIsWatching

Rząd wywołał te zmiany bo od lat podaje ludziom specjalnie wymierzone dawki hormonów nazywając to SZCZEPIONKA. W tym są ukryte słowa KONIEC CZAS, bo SZCZEPIONKI przynoszą koniec naszego czasu, naszego



państwa które kiedyś było wielkie i naszego dumnego narodu który został zniszczony. Kliknijcie na ten link żeby dowiedzieć się rzeczy których żadna gazeta nigdy nie opublikuje.

---

### Ascension229

Nadejdzie dzień sądu. Pan zbierze swój lud i wskaże mu drogę i obdarzy łaską i stanie się koniec, a sprawiedliwi staną u jego prawego boku, a przekłęci pójdą na mękę wieczną.

---

### AveryFalls

Widzieliście zdjęcia Olatunde Edo z Mołdawii? Te z armią saudyjską? Ktoś oprócz mnie widzi to i chce tam pojechać i dołączyć? Żeby na nadchodzącej wojnie walczyć z bronią, którą oni mają. Żeby nie siedzieć beczynn timer i jak wnuki zapytają nas co zrobiliśmy, móc im spojrzeć w oczy.

---

### Manintomany

O tym samym myślałem. Żałuję, że nie jestem młodszy. Gdyby mój syn chciał się zaciągnąć, sam bym go wysłał. Ale siedzi w łóżku jakiejś feminazistowskiej dziwki. Ta kurwa trzyma go w szponach i już nie wypuści.

---

### Beningitis

Wczoraj zabrałem syna do galerii. Ma dziewięć lat. Zostawiłem go w sklepie z zabawkami, żeby sobie coś wybrał bo w zeszłym tygodniu miał urodziny i dostał kasę na prezent. Ma już tyle rozumu, żeby się nie zgubić. Ale jak po niego przyszedłem rozmawiał z jakąś dziewczynką, jakieś trzynaście – czternaście lat. Miała ten tatuaż na ręce, dłoń Fatimy. Spytałem co mówiła, a syn zaczął płakać i nie mógł się uspokoić. Zapytał czy to prawda, że jest zły i że Bóg chce, żeby był posłuszny i pokorny. Mała menda robiła mu pranie mózgu w sklepie.

---

### Buckyou

Kurwa. Ja pierdolę. Co za koszmar. Pierdolona mała pizda. Rozjebałbym takiej ryj, że obciągałaby przez oczy.

---

### Verticalshitdown

Jezu, ja nie mam pojęcia co to w ogóle znaczy.

---

### Manintomany

Masz jakieś zdjęcie tej dziewczyny? Jakies dane? Są ludzie którzy mogą pomóc.

---

### Loosekitetalker

W jakim to było sklepie? Dokładnie gdzie, kiedy, o której? Możemy znaleźć nagranie z monitoringu. Możemy wysłać jej taką wiadomość że popamięta.

---

### Manintomany

Wyślij mi na priv wszystkie szczegóły – kiedy to było i nazwę sklepu. Tak tego nie zostawimy.

---

### FisforFreedom

Ludzie. Przecież to może być prowokacja. Ktoś napisze taką historyjkę i może was wrobić w zaatakowanie dowolnej osoby bez żadnych dowodów. I wyjdzie na to, że jesteśmy bandziorami.

---

### Manintomany

Spadaj cwelu. Wiadomo, że takie rzeczy się zdarzają. Wszystkich nas spotkały. Potrzebujemy powstania, Roku Gniewu, tak jak mówią. Wściekłe suki muszą zobaczyć, że nie pójdzie im tak łatwo. Musimy im pokazać co to jest sprawiedliwość.

---

### UrbanDox993

Nie będzie gdzie się schować. Nie będzie gdzie uciekać. Nie będzie litości.

## Margot

– Pani burmistrz, proszę nam powiedzieć: gdyby została pani wybrana na gubernatora naszego stanu, w jaki sposób poradziłaby sobie pani z deficytem budżetowym?

Odpowiedź jest w trzech punktach. To Margot pamięta. Pierwsze dwa od razu nasuwają się na myśl.

– Mam prosty trzypunktowy plan, Kent. Numer jeden: obciąć nadmierne wydatki na biurokrację. – To jest dobre, może iść na pierwsze uderzenie, da im w kość. – Czy zdajesz sobie na przykład sprawę, że biuro nadzoru środowiskowego w kancelarii gubernatora Daniela Dandona w zeszłym roku wydało ponad trzydzieści tysięcy dolarów na...

Co to takiego było? Aha, OK.

– ...na wodę butelkowaną?

I pauza, żeby informacja zapadła słuchaczom w pamięć.

– Numer dwa: zmniejszenie świadczeń dla tych, którzy ich nie potrzebują. Jeżeli twoje dochody wynoszą ponad sto tysięcy dolarów rocznie, nie powinieneś otrzymywać dotacji z budżetu na kolonie dla dzieci!

Mocno naciągane. W takiej sytuacji są jedynie dwa tysiące rodzin na terenie całego stanu, w większości z dziećmi niepełnosprawnymi, przez co świadczenia dla nich i tak zaliczają się do zupełnie innej kategorii. Ale brzmi efektownie, a wzmianka o dzieciach przypomni widzom, że ona też ma rodzinę, więc kiedy mówi o obcięciu zasiłków, wygląda na twardą i zdecydowaną, żadna tam kobitka z miękkim współczującym serduszkim. Teraz punkt trzeci. Trzeci.

Punkt trzeci.

– Punkt trzeci – mówi Margot, jakby miała nadzieję, że sam pojawi się w jej ustach, jeśli tylko nie przestanie mówić. – Punkt trzeci – powtarza, jeszcze bardziej stanowczo. Cholera. Wyleciało jej z pamięci. No, jak to było. Obcięcie biurokracji. Obcięcie zasiłków. Oraz... Oraz... Cholera.

– Cholera jasna, Alan, zapomniałam punktu trzeciego.

Alan przeciąga się. Wstaje i dla rozluźnienia kręci głową.

– Alan. Powiedz mi, co było trzecie.

– Jak ci powiem, znowu zapomnisz, i to na scenie.

– Pierdol się.

– Jasne. Mówisz takie rzeczy, a potem tymi samymi ustami całujesz dzieci na dobranoc?

– To nie robi różnicy.

– Margot, czy ty naprawdę tego chcesz?

– Czy ja tego chcę? Myślisz, że robiłabym to wszystko, gdybym tego naprawdę nie chciała?

Alan wzdycha.

– Pamiętasz to. Gdzieś tam w głowie masz trzeci punkt swojego planu zwalczania deficytu budżetowego. Poszukaj, Margot. Znajdź go.

Margot wpatruje się w sufit. Są w jej jadalni, ona na zaimprovizowanym podium obok telewizora. Na ścianie wiszą w ramach obrazki namalowane przez Maddy. Jocelyn kazała zdjąć swoje już jakiś czas temu.

– W czasie debaty będzie inaczej – mówi. – Będzie adrenalina. Będę miała więcej – trzepocze dłońmi – życia.

– Ta, jasne, i jak zapomnisz punktu trzeciego, to od tego życia porzygasz się z nerwów na scenie. Numer jeden, życie. Numer dwa, więcej życia. Numer trzy, rzyg.

Biurokracja. Zasiłki. Oraz... Biurokracja... Zasiłki... Oraz...

– INWESTYCJE! – wykrzykuje Margot. – Inwestycje w infrastrukturę! Obecny gubernator nie chce rozwijać infrastruktury. Nasze szkoły popadają w ruinę, nasze drogi są zaniedbane, a przecież wiadomo, że trzeba inwestować, żeby zarabiać. Udowodniłam już, że radzę sobie z dużymi przedsięwzięciami – nasze obozy dla dziewcząt NorthStar powstają w tej chwili w dwunastu stanach. Nie tylko tworzą miejsca pracy. Młode kobiety nie są już zdane na siebie i nie sprawiają kłopotów w miejscach publicznych. Dzięki NorthStar odsetek rozbojów i przemocy na ulicach w naszym stanie należy do najniższych w kraju. Inwestycje w infrastrukturę sprawią, że mieszkańcy będą mogli ze spokojem myśleć o przyszłości.

No. O to chodziło.

– A czy to prawda, pani burmistrz, że ma pani niejasne powiązania z prywatnymi firmami wojskowymi?

Margot uśmiecha się.

– O ile niepokoi cię dobrze funkcjonujące partnerstwo publiczno-prywatne, Kent. NorthStar Systems to jedna z cieszących się największym uznaniem korporacji na świecie. Zajmuje się ochroną najwyższych urzędów w wielu państwach. I jest to amerykańska firma, dokładnie taka, jakich potrzebujemy, aby zapewniać pracę naszym obywatelom. Poza tym sam powiedz – uśmiech Margot aż się skrzy – czy wysłałabym moją własną córkę na obóz NorthStar, gdybym nie była przekonana, że te obozy to świetna sprawa, pod każdym względem?

W pokoju rozlegają się oklaski. Margot nie zauważyła nawet, że Jocelyn wróciła do domu i słucha jej, stojąc w drzwiach.

– Doskonale, mamó. Naprawdę ekstra.

Margot się śmieje.

– Szkoda, że mnie nie widziałas parę minut temu. Nie potrafiłam wymienić nazw naszych rejonów szkolnych, które od dziesięciu lat znam na pamięć.

– Musisz trochę odpocząć. Chodź, napijemy się czegoś zimnego.

Margot zerka na Alana.

– Dobra. Dziesięć minut.

Jocelyn uśmiecha się.

Ostatnio lepiej sobie radzi. Na pewno lepiej niż kiedyś. Dwa lata zajęć w NorthStar pomogły – dziewczyny nauczyły ją, jak kontrolować nadmiar mocy. Od paru miesięcy nie przepaliła ani jednej żarówki i znowu siada do komputera bez obawy, że wyczyści twardy dysk. Ale nikt nie umie pomóc, gdy brakuje jej mocy. Ciągłe zdarzają się dni, czasem nawet kilka pod rząd, kiedy w ogóle nic nie ma. Próbowwały to powiązać z dietą, snem, hormonami, aktywnością fizyczną – ale nie widać żadnej zależności. W niektóre dni, w niektóre tygodnie Jocelyn nie ma mocy. Po cichu Margot zaczęła rozmawiać z firmami ubezpieczeniowymi o zorganizowaniu funduszy na badania. Kancelaria gubernatora byłaby bardzo wdzięczna za wsparcie. Zwłaszcza jeśli Margot zostanie gubernatorką, oczywiście.

W drodze do kuchni Jos bierze ją za rękę. Ściska.

– Mamo, wiesz, to jest Ryan – mówi.

W holu stoi chłopak, wyraźnie zmieszany. Ręce w kieszeniach, książki pod pachą. Ciemnoblonde włosy spadają mu na czoło.

Oho. Chłopak. No proszę. Rodzicielstwo to ciągle wyzwania.

– Cześć, Ryan. Miło cię poznać. – Margot wyciąga dłoń.

– Bardzo mi miło, pani burmistrz – mamrocze Ryan. Przynajmniej jest dobrze wychowany. Mogło być gorzej.

– Ile masz lat, Ryan?

– Dziewiętnaście.

O rok starszy od Jocelyn.

– I jak poznałeś moją córkę, Ryan?

– Mamo!

Ryan rumieni się. Naprawdę oblewa się rumieńcem. Margot zapomniała już, jacy bywają dziewiętnastoletni chłopcy. Maddy ma teraz czternaście lat i już ćwiczy pozycje bojowe w przedpokoju; naśladuje je z telewizji albo uczy się od Jos, z obozu. Jej moc jeszcze się nie rozwinęła, ale wydaje się doroślejsza niż ten dzieciak stojący teraz w holu, wpatrujący się w czubki swoich butów, czerwony jak burak.

– Spotkaliśmy się w centrum handlowym – mówi Jos. – Trochę się umawialiśmy, czasem poszliśmy na colę. Chcielibyśmy się razem pouczyć. – W jej głosie słychać prośbę. – Ryan po wakacjach idzie na medycynę.

– Każda dziewczyna marzy o randce z doktorem, co?

– MAMO!

Margot przyciąga Jocelyn do siebie. Kładzie jej dłoń na plecach, całuje w głowę i bardzo cicho szepcze do ucha:

– Proszę, zostaw drzwi od pokoju otwarte, OK?

Jocelyn sztywnieje.

– Dopóki nie będziemy miały okazji o tym pogadać. Tylko dzisiaj, dobrze?

– Dobrze – odpowiada szeptem Jos.

– Kocham cię. – Margot znowu ją całuje.

Jos bierze Ryana za rękę.

– Ja ciebie też, mamó.

Ryan niezręcznie przekłada książki do drugiej ręki.

– Cieszę się, że mogłem panią poznać, pani Cleary. – Po jego twarzy przemyka grymas, jakby zdał sobie sprawę, że nieodpowiednio się wyraził. – To znaczy, pani burmistrz.

– Ja też się cieszę, Ryan. Kolacja będzie o wpół do siódmej, dobrze?

Wchodzą po schodach na górę. I już. Początek nowego pokolenia.

Alan przygląda się, stojąc w drzwiach.

– Młoda miłość?

Margot wzrusza ramionami.

– Coś młodego na pewno. Młode hormony.

– Dobrze wiedzieć, że niektóre rzeczy się nie zmieniają.

Margot przechyla się przez barierkę schodów i patrzy za córką.

– Dlaczego zapytałeś mnie wcześniej, czy tego chcę?

– Chodziło mi o... agresję. Margot, musisz być bardziej stanowcza w tych odpowiedziach. Musisz pokazać, że naprawdę ci zależy, rozumiesz?

– Zależy mi.

– Dlaczego?

Margot myśli o Jocelyn, która się trzęsie, kiedy jej moc znowu znika, a nikt nie potrafi powiedzieć, co jest nie tak. Wie, że bez Daniela na swojej drodze będzie mogła pozłatwiać różne rzeczy o wiele szybciej.

– Dla moich córek – odpowiada. – Chcę pomóc Jos.

Alan marszczy brwi.

– OK – mówi. – Wracamy do roboty.

Na górze Jos zamyka drzwi, naciskając klamkę tak cicho, że nawet matka nie mogłaby usłyszeć.

– Będą tam na dole całą wieczność – mówi.

Ryan siedzi na łóżku. Obejmuje jej nadgarstek i przyciąga, żeby koło niego

usiadła.

– Całą wieczność? – powtarza z uśmiechem.

Jos wzrusza najpierw jednym ramieniem, potem drugim.

– Musi wykuć strasznie dużo na pamięć. A Maddy jest u taty aż do weekendu.

Kładzie mu dłoń na udzie i kciukiem rysuje kółka.

– Przeszkadza ci to? – pyta Ryan. – Że jest taka zajęta?

Jos potrząsa głową.

– Ale pewnie trochę dziwnie tak żyć – mówi Ryan. – Z dziennikarzami wszędzie i w ogóle..

– Można się przyzwyczaić – odpowiada Jos i przejeżdża mu paznokciami po dżinsach. Jego oddech przyspiesza. – Mama zawsze mówi, że nasza rodzina to prywatna sprawa. Wszystko, co dzieje się w domu, zostaje między nami.

– Fajnie. – Ryan uśmiecha się. – Nie chciałbym trafić do dzisiejszych wiadomości.

Jest tak uroczy, że pochyla się i całuje go.

To ciągle wydaje się nowe, chociaż całowali się już wcześniej. Ale nigdy w miejscu, gdzie są drzwi i łóżko. Jos boi się, że znowu może zrobić komuś krzywdę; czasami przypomina jej się chłopiec, który trafił przez nią do szpitala; jak przypaliła mu włoski na ramieniu i jak zakrywał uszy, jakby słyszał zbyt głośny hałas. Rozmawiała o tym z Ryanem. Ryan rozumie ją jak żaden chłopak wcześniej. Ustalili, że nie będą się spieszyć i nie pozwolą, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Wnętrze jego ust jest ciepłe, mokre, język śliski. Ryan wydaje cichy jęk, a Jos czuje, jak zaczyna w niej rosnąć napięcie, ale wszystko jest w porządku, zna ćwiczenia oddechowe, umie się kontrolować. Kładzie mu dłonie na plecach, a potem wsuwa za pasek spodni. Jego dłonie są ostrożniejsze, ale po chwili nabierają pewności siebie – głaszczą jej piersi, potem szyję. Jos czuje, jakby coś musowało jej pod obojczykami, a między nogami uderza ją tępy ból.

Ryan odrywa się od niej na moment. Jest przestraszony, a jednocześnie podekscytowany.

– Czuję to – mówi. – Pokażesz mi?



Ona uśmiecha się, zdyszana.

– Pokaż mi swój.

Oboje wybuchają śmiechem. Ona rozpina bluzkę, jeden, drugi, trzeci guzik. Do miejsca, gdzie zaczyna być widać stanik. On, uśmiechnięty, ściąga sweter. Rozpina guziki koszuli, jeden, dwa, trzy.

Potem wodzi palcami po jej obojczykach, gdzie zwój drży lekko pod skórą, pobudzony, gotowy. Jos też podnosi dłoń i dotyka jego twarzy.

Ryan uśmiecha się zachęcająco.

– Dalej.

Jos przesuwa palce po jego obojczykach. Z początku nic nie wyczuwa. Ale po chwili znajduje odzew, słaby, ale wyraźny. Jego zwój.

Owszem, spotkali się w centrum handlowym, ta część historii jest zupełnie prawdziwa. Jocelyn, wychowana w domu polityczki, nauczyła się dawno temu, że lepiej nie kłamać, jeżeli tylko się da. Tam się spotkali, bo tam się wcześniej umówili. A umówili się w sieci, na prywatnym czacie, gdzie oboje szukali kogoś podobnego do siebie. Dziwadła. Kogoś, u kogo moc nie rozwinęła się tak, jak powinna, nieważne, w którym kierunku.

Jocelyn zajrzała na tę koszmarną stronę UrbanDoxa, o której ktoś napisał jej w mailu, całą poświęconą gadaniu o świętej wojnie między mężczyznami a kobietami. W jednym poście UrbanDox wspomniał o portalach dla „zбочonych i nienormalnych”. Jocelyn pomyślała wtedy: Przecież to ja. Tam powinnam szukać. Potem dziwiła się, że wcześniej na to nie wpadła.

Ryan, o ile się orientują, jest jeszcze rzadszym przypadkiem niż ona. Ma jakąś nieprawidłowość chromosomalną; jego rodzice dowiedzieli się, gdy miał parę tygodni. Nie wszyscy chłopcy z tą przypadłością mają zwoje. Niektórzy umierają, gdy ich zwoje zaczynają pracować. U niektórych pozostają uśpione. Tak czy siak, nikomu się nie chwala. Zdarzały się wypadki, że zabijano chłopców ze zwojami w innych, mniej cywilizowanych częściach świata.

Na niektórych portalach dla „zбочonych i nienormalnych” mężczyźni zastanawiają się, co by było, gdyby namówili jakąś kobietę, żeby pobudziła w nich moc. Gdyby uczyli się technik stosowanych na obozach szkoleniowych przy wzmacnianiu mocy u słabszych kobiet. Niektórzy mówią: Może lepiej by

nam szło, gdybyśmy się starali. Ale większość takich mężczyzn przestała się starać, o ile w ogóle kiedyś zaczęli. Nie chcą być kojarzeni z dziwactwem. Z aberracją genetyczną.

– Zrobisz to?

– A ty? – pyta Ryan.

Dzisiaj jest dobry dzień. Jos czuje, że ma moc pod kontrolą. Może odmierzać ją po łyżeczce. Wysyła małą porcję w bok Ryana, tyle co kuksaniec. On wydaje cichy okrzyk, dźwięk zachwyty. Jos uśmiecha się.

– Teraz ty.

Ryan bierze jej dłoń. Odwraca wnętrzem do góry i głaszcze. I wtedy ją razi. Jego moc nie jest równomierna i czuć ją o wiele słabiej, ale jest. Waha się, wzmacnia i słabnie nawet przez te trzy czy cztery sekundy, kiedy Ryanowi udaje się ją utrzymać. Ale jest.

Jos wzdycha, czując wyładowanie. Odczucie mocy jest bardzo fizyczne. Jakby obrysowywało cienką linią wszystkie kontury ciała. Już od dawna kręci się o tym filmy pornograficzne. Pożądanie jest plastyczne – wszystko, co ludzkie, może być erotyczne. A teraz ludzka jest moc.

Ryan patrzy zachłannie w twarz Jos, kiedy posyła moc do jej dłoni. Teraz ona wydaje cichy jęk. To go cieszy.

Kiedy jego moc całkiem się wyładowuje – nie ma jej wiele, nigdy nie miał – Ryan kładzie się na plecach na łóżku. Jos kładzie się obok.

– Już? – pyta. – Jesteś gotowy?

– Tak – mówi Ryan. – Już.

A Jos dotyka jego ucha czubkiem palca. Iskry zaczynają trzaskać, a on cały się wykręca i śmieje, prosząc ją jednocześnie, żeby przestała i żeby robiła to dalej.

Jos lubi dziewczyny. Lubi też chłopców, którzy są podobni do dziewczyn. A Ryan mieszka parę przystanków dalej; to był szczęśliwy traf. Napisała do niego wiadomość. Spotkali się w galerii handlowej. Spodobali się sobie. Umówili się jeszcze dwa czy trzy razy. Rozmawiali. Trzymali się za ręce. Przytulali się. Aż zaprosiła go do domu. Myśli sobie: Mam chłopaka. Patrzy na

jego zwój – nie jest widoczny pod skórą, nie tak jak jej. Już sobie wyobraża, co powiedziałyby dziewczyny z NorthStar, ale dla niej to jest sexy. Przykłada usta do jego obojczyków i czuje wibracje. Całuje go w to miejsce raz za razem. Ryan jest podobny do niej, ale inny. Jos wysuwa język i liże jego skórę tam, gdzie smakuje baterią.

Na dole Margot rozwodzi się właśnie nad programem wsparcia dla seniorów. Skupia się na wygłaszanych kwestiach, ale gdzieś z tyłu głowy brzęczy jej pytanie zadane przez Alana. Czy naprawdę tego chce? Czy jej zależy? Dlaczego? Myśli o Jos i o tym, jak będzie mogła jej pomóc, kiedy zdobędzie więcej władzy i wpływów. Myśli, że będzie mogła zmienić różne rzeczy na lepsze. Ale kiedy mocniej chwyta krawędź tekturowego podium i pod obojczykami czuje zbierającą się energię, zdaje sobie sprawę, że chce zobaczyć wyraz twarzy Daniela, kiedy z nią przegra. Zależy jej, ponieważ chce go pokonać.

## Roxy

Matka Ewa słyszała głos mówiący: Nadejdzie czas, gdy wolne kobiety znajdą własne miejsce na ziemi. A teraz w internecie najwięcej pytań o jej Kościół pochodzi z nowego państwa, gdzie do niedawna kobiety trzymano skute łańcuchami w piwnicach, na brudnych materacach. W tym kraju zakładają wspólnoty jej imienia, chociaż nie wysłała tam żadnej misjonarki ani posłańcy. Jej imię wiele znaczy w Bessaparze; wiadomość od niej znaczy jeszcze więcej.

Ojciec Roxy zna ludzi na granicy mołdawskiej, od lat robi z nimi interesy. Nie w handlu żywym towarem, to brudny biznes. Ale samochody, papierosy, wódka, broń, nawet dzieła sztuki – owszem. Nieszczelna granica to okazja sama w sobie. A ostatnio zrobiła się jeszcze bardziej dziurawa.

Roxy mówi do ojca:

– Wyślij mnie do tego nowego kraju, do tej Bessapary. Pojadę i zorganizuję coś. Mam pomysł.

– Słuchajcie – mówi Shanti. – Macie ochotę na coś nowego?

Klientów jest ośmioro, cztery babki i czterech facetów, wszyscy przed trzydziestką, spotykają się w suterenie w okolicach Primrose Hill. Banksterzy. Jeden z mężczyzn już wsadził jednej kobiecie łapy pod spódnicę, co Shanti naprawdę wkurwia.

Ale zna ten typ. „Coś nowego” to ich okrzyk bojowy i wołanie w rui, ich pobudka o szóstej rano z gazetą i sokiem z organicznych granatów, bo sok pomarańczowy jest totalnie *passé* i ma wysoki indeks glikemiczny. Kochają „coś nowego” bardziej niż obligacje zabezpieczone zastawem rejestrowym.

– Darmowa próbka? – pyta inny facet, zajęty liczeniem pastylek, które właśnie kupili. Sprawdza, czy ich nie oszukała. Chujek.

– O nie, nie – mówi Shanti. – Nie dla ciebie. To coś wyłącznie dla pań.

Na te słowa rozlega się podekscytowane piszczenie. Shanti wyciąga małą

torebeczkę z proszkiem; jest biały z lekkim fioletowym połyskiem. Jak śnieg, jak szron, jak lśniące szczyty w jakimś lansiarskim kurorcie w górach, dokąd te skurwysyny jeżdżą na weekendy, żeby rzucać po dwadzieścia pięć funtów za kubek gorącej czekolady i pierdolić się na dywanikach z futer zagrożonych gatunków przed kominkami, w których drewno o piątej rano układają nisko opłacani wyrobnicy.

– Brokat – oznajmia.

Oblizuje czubek palca, zanurza w torebce i podnosi z kilkoma przyklepionymi błyszczącymi kryształkami. Otwiera usta, wyciąga i podnosi język, żeby pokazać im, jak się to stosuje. Wciera proszek w błękitne naczynia krwionośne u nasady języka. Potem podaje torebkę kobietom.

Przejęte zanurzają palce, wyciągając na opuszkach całe kopczyki tego czegoś od Shanti, i wcierają w języki. Shanti czeka, aż poczują.

– O łał! – wykrzykuje po chwili analityczka systemowa z napuszoną fryzurą: Lucy? Charlotte? Wszystkie one mają podobne imiona. – O łał, o Jezu, chyba zaraz będę...

I na jej palcach zaczynają trzaskać iskry. Nie na tyle, żeby zrobić komuś krzywde, ale trochę ją poniosło.

Zazwyczaj kiedy kobieta jest pijana albo nawalona tym lub tamtym, jej moc słabnie. Po alkoholu babka może rąbnąć błyskawicę czy dwie, ale z łatwością można się uchylić, jak człowiek jest trzeźwy. Brokat to co innego. Jest specjalnie zaprojektowany, żeby zwiększać poczucie mocy. Zawiera kokainę, o której wiadomo, że wyostrza moc, i kilka różnych dopalaczy, w tym składnik, który daje ten fioletowy połysk. Shanti widziała go tylko w gotowych mieszankach. Pochodzi z Mołdawii, jak słyszała. Albo Rumunii. Albo Bessapary. Albo Ukrainy. Skądś tam. Shanti bierze towar od jednego gościa, prowadzącego biznes w zamkniętym warsztacie we wschodniej części miasta. Od razu wiedziała, że nowy drag ma potencjał.

Kobiety zaczynają się śmiać. Są wyluzowane i podekscytowane, odchylają się do tyłu i wypuszczają wysokie cienkie łuki elektryczne między jedną dłonią a drugą albo między dłonią a sufitem. To miłe uczucie, kiedy ktoś porazi takim łukiem. Shanti dała trochę brokatu swojej dziewczynie i wie, jak to jest. Nie boli, tylko musuje, drażni zakończenia nerwowe, jakbyś się kąpała w wodzie San Pellegrino. Co te chujki pewnie robią tak czy siak.

Jeden z facetów płaci jej gotówką za cztery torebeczki. Shanti rzuca podwójną cenę – osiem nowiutkich szeleszczących pięćdziesiątek, nie dostaniesz takich z bankomatu – bo to dupki. Nikt nie proponuje, że odprowadzi ją do drzwi. Kiedy wychodzi, jedna parka już jest w akcji, z chichotaniem i strzelaniem iskier przy każdym pchnięciu.

Steve jest niespokojny, bo zmienili coś w grafiku dyżurów strażników. Może nic takiego, OK, może jakiemuś frajerowi urodził się dzieciak albo inny dostał sraczki. Wtedy z zewnątrz wszystko wygląda źle, chociaż jest w porządku i jak zwykle można iść do magazynu i zgarnąć te jebane klepsydry jak gdyby nigdy nic.

Problem w tym, że coś pisali w gazetach. Niedużo, nie na pierwszych stronach. Ale gdzieś na piątej stronie „Mirrora”, „Expressu” i „Daily Maila” musieli wysmarować o „nowym śmiercionośnym narkotyku”, co zabija „młodych ludzi, którzy mieli przed sobą całe życie”. Dziennikarze się plują, ale jak na razie nie ma na to żadnego prawa, dopóki jest w mieszance z innym szajsem. A to gówno w klepsydrach jest wymieszane. Niech spierdalają. Co niby ma teraz zrobić? Stać tu jak jakiś cwel, aż go psy wyhaczą?

Naciąga czapkę głębiej na czoło i podjeżdża do bramy z interkomem.

– Siema – mówi. – Mam pudła z towarem do wzięcia z kontenera... – Przerzywa, żeby sprawdzić numer, chociaż zna go na pamięć, jakby mu to wytatuowali na jajach. – A-G-21-FE7-13859D.

W głośniku coś trzeszczy.

– Ja pierdolę – dodaje Steve, starając się wypaść swobodnie – te numery robią się co tydzień coraz bardziej długie.

Zapada cisza. Gdyby na dyżurce siedział Chris albo Marky, albo ten spaślak Jeff, od razu by go wpuścili.

– Proszę podjechać do okienka – odpowiada w końcu kobiecy głos. – Musimy sprawdzić papiery.

Kurwa mać.

Wsiada do szoferki i jedzie pod dyżurkę. Bo co miałby zrobić? W końcu wiele razy mu się udawało, najczęściej te dostawy są legalne. Robi mały import-eksport, zabawki dla dzieci na stragany; niezły biznes, trochę zarabia, głównie

gotówka, część pod stołem. Wieczorami wymyśla nazwiska sprzedawców, którym dostarcza towar. Bernie Monke załatwił mu stragan na Peckham Market; Steve siedzi tam w soboty, żeby wszystko wyglądało OK, bo nie chce głupio wpaść. Zabawki mogą być, nawet ładne, drewniane, ze wschodniej Europy. No i klepsydry. Oczywiście, kurwa, nigdy nie trzepią mu papierów, jak przyjeżdża po drewniane roboty z ramionami na gumkach albo jakieś pierdolone kaczki na patyku. Chuje muszą go wezwać akurat teraz.

W dyżurce siedzi jakaś baba, nigdy jej nie widział. Ma na twarzy wielkie okulary, na pół czoła i pół policzków, jak sowa. Steve żałuje, że nie wziął trochę czegoś, zanim przyjechał. Nie może mieć nic w furgonie, głupie ryzyko, mają przecież psy tropiące. Te całe klepsydry są dobre. Nie rozumiał, o co chodzi, dopóki Bernie mu nie pokazał. Obrócił jedną, a piasek zaczął się przesypywać, złoty i miękki. Bernie mówi: „Nie bądź palantem, myślisz, że co tam jest w środku? Piasek?”. Proszek jest zamknięty w szklanej rurce z przewężeniem, a potem jeszcze w szklanej tubie. Podwójnie. Po robocie tylko przemyć denaturatem, zapakować i pozamiatane, żaden pies nie wyczuje. Trzeba by je potłuc, żeby się wydało.

– Papiery? – mówi kobieta, a Steve podaje jej kartki. Po chwili rzuca żart o pogodzie, że piździ czy coś, ale ona nawet na niego nie spojrzy. Wczytuje się w formularze. Raz czy drugi każe mu przeczytać coś, czego nie odcyfrowała. Za jej plecami, za drzwiami z hartowanego szkła, na moment pokazuje się gruby Jeff. Robi minę „sorki, stary” i potrząsa smętnie głową, patrząc na tę mendę w okularach. Kurwa.

– Proszę przejść do biura – mówi ona w końcu i pokazuje ręką małe pomieszczenie obok dyżurki.

– Ale o co chodzi? – żartuje Steve, nie wiadomo pod czyim adresem. – Chyba naprawdę się kobiecie spodobałem.

Jej twarz pozostaje nieruchoma. Niech to chuj strzeli. Coś jej nie pasuje w papierach. Sam je wypisywał, ma pewność, że wszystko jest w porządku. Musiała coś słyszeć. Przysłali ją z narkotykowego. Ta pizda coś wie.

W biurze kobieta wskazuje mu krzesło po jednej stronie małego stołu. Sama siada naprzeciwko.

– No więc o co chodzi, kochana? – mówi Steve. – Bo za półtorej godziny

mam być w Bermondsey.

Ona chwyta go za rękę, przykładła kciuk do nadgarstka i nagle jego ciało staje w płomieniach. Ogień pali mu kości, żyły kurczą się i zwijają, czernieją od gorąca. Jezu, chyba zaraz urwie mu rękę.

– Nie odzywaj się – mówi kobieta. I tak by się nie odezwał, nawet gdyby chciał.

– Ten biznes przejęła Roxy Monke. Wiesz, kto to jest? Znasz jej ojca? Wystarczy, jak kiwniesz głową.

Steve kiwa głową. Wie.

– Kantujesz, Steve.

Próbuje potrząsnąć głową, wcisnąć jakąś gadkę. Nie, nie, nie, to jakaś pomyłka, to nie ja. Ale ona uderza go bólem, jakby chciała rozerwać mu nadgarstek.

– Co miesiąc jedna czy dwie klepsydry gdzieś u ciebie przepadają. Chyba mi się nie wydaje?

Steve kiwa głową.

– To się skończyło, właśnie teraz. Dzisiaj. Albo wypadasz z interesu. Pojąłeś?

On znowu kiwa głową. Kobieta go puszcza. Steve łapie się za nadgarstek. Nawet nie ma śladu.

– To dobrze – mówi ona – bo mamy w tym miesiącu coś specjalnego. Nie sprzedawaj, dopóki nie damy ci znać, jasne?

– Jasne – odpowiada Steve. – Tak.

Odjeżdża z ośmioma setkami klepsydr, spakowanymi elegancko w kartony z tyłu furgonetki. Ze wszystkimi papierami w porządku. Nie ogląda towaru, dopóki nie zajeżdża do swojego magazynu. I dopóki ból trochę nie przejdzie. Aha. Rzeczywiście. Coś się zmieniło. „Piasek” w klepsydrach błyszczy fioletowo.

Roxy liczy pieniądze. Mogłaby poprosić jedną z dziewczyn, już to robiły; potem któraś mogłaby przeliczyć całość na jej oczach. Ale woli sama. Lubi czuć papier pod palcami. Patrząc, jak jej decyzje zamieniają się w liczby, które zamieniają się we władzę.



Bernie powtarzał jej wiele razy: „Ten dzień, jak ktoś będzie lepiej od ciebie wiedział, co się dzieje z twoją kasą, to będzie dzień twojej przegranej”. Pieniądze są jak magiczna sztuczka. Można je zamienić w cokolwiek. Raz, dwa, trzy, abrakadabra. Zamienić dragi we wpływy u Tatiany Moskałow, prezydentki Bessapary. Hokus-pokus. Przemienić umiejętność zadawania bólu i straszenia ludzi w fabrykę i sprawić, że policja ani lokalne władze nie zainteresują się, co to za fioletowy dym leci z komina.

Ricky i Bernie mieli dla Roxy kilka pomysłów na życie po powrocie do domu. Może paserka. Albo hurtowe dilowanie w Manchesterze. Ale Roxy ma o wiele ambitniejsze plany, większe niż cokolwiek, o czym Bernie słyszał od długiego czasu. Już od dawna wie, o jaki towar poprosić, żeby jej moc wydawała się nieskończona, i wie, co z czym mieszać. Całymi dniami siedziała na wzgórzu pod miastem, naćpana w cholere, wypróbując różne mieszanki przygotowane przez ludzi Berniego. Kiedy wreszcie trafili, od razu było wiadomo, że bingo. Fioletowe kryształki, duże jak kryształy soli kamiennej, obrobione przez chemików i pochodzące z kory drzewa dhoni, które rośnie w Brazylii, ale w Europie też daje sobie radę.

Po jednej działce czystego proszku, prawdziwego brokatu bez domieszek, Roxy mogła strzelić błyskawicą na pół miasta. Tego nie sprzedają – jest zbyt niebezpieczne, zbyt cenne. Zostawiają najlepszy towar na własny użytek albo może dla jakiegoś ważnego klienta. Sprzedają tylko mieszanki. Interes i tak się kręci. Roxy nie opowiadała rodzinie o Matce Ewie, ale to dzięki Nowemu Kościołowi mają teraz przy taśmie siedemdziesiąt lojalnych dziewczyn, przekonanych, że pracują na chwałę Wszechmogącej, która daje moc swoim córkom.

Co tydzień sama mówi Berniemu, ile zarobiła. W obecności Ricky’ego i Darrella, jeśli akurat są; nie przeszkadza jej to. Wie, co robi. Rodzina Monke jest na razie jedynym dostawcą brokatu na rynek. Jakby mieli drukarnię pieniędzy. A pieniądze mogą zamienić się w cokolwiek.

W mailu pisanym z prywatnego konta, z którego wiadomości przechodzą przez kilkanaście serwerów, Roxy podaje tygodniowe zarobki także Matce Ewie.

- Nieźle – pisze Ewa. – Zostawiasz trochę dla mnie?
- Dla ciebie i dla twoich dziewczyn – odpowiada Roxy. – Tak jak się

umówiliśmy. Ty nas tu urządziłaś, dzięki tobie jest ta kasa. Zatrzaszczyłaś się o nas, a my zatrzaszczymy się o ciebie.

Uśmiecha się, kiedy to pisze. Myśli sobie: Zabierz wszystko; tak naprawdę należy do ciebie.



*Zbiorowa mogiła zawierająca szkielety mężczyzn, odnaleziona w trakcie niedawnych prac archeologicznych na terenie polondyńskiego kompleksu osadniczego. Dłonie zostały odcięte za życia. Czaszki oznaczone są w sposób typowy dla tamtego okresu. Nacięcia wykonano post mortem. Datowanie: około 2000 lat temu.*

*Jeszcze pięć lat*

## Margot

Kandydat pudruje sobie twarz przed lustrem. Kręci głową w prawo i w lewo, otwiera szeroko usta i wydaje z siebie głośnie: „Laaa la-la-la laaa”. Spogląda w błękitne niczym ocean oczy swojego odbicia, uśmiecha się nieznacznie i mruga. Bezgłośnie porusza ustami, wymawiając: „Masz to”.

Morrison zbiera papiery i unikając patrzenia kandydatowi prosto w oczy, mówi:

– Panie Dandon, Daniel, pan na pewno to ma.

Kandydat się uśmiecha.

– Tak sobie właśnie pomyślałem, Morrison.

Morrison uśmiecha się bezbarwnie.

– Bo to prawda, panie gubernatorze. To stanowisko jest pańskie. Już do pana należy.

Kandydatowi służy przekonanie, że w całą sprawę zaangażowane są gwiazdy, że to kwestia przeznaczenia. Morrison lubi wykorzystywać różne sztuczki, gdy nadarza się okazja. Dzięki temu jest dobry w te klocki. Właśnie takie drobiazgi sprawiają, że jego zawodnik ma większe szanse niż ten drugi.

Drugim zawodnikiem jest babka, prawie dziesięć lat młodsza od kandydata Morrisona, kanciasta i zasadnicza, co przez ostatnie tygodnie starali się wykorzystać. No cóż, w końcu jest rozwiedziona, a czy kobieta wychowująca dwie córki może mieć czas na zajmowanie się polityką?

Ktoś niedawno spytał Morrisona, czy jego zdaniem polityka zmieniła się od chwili – no wie pan – od Wielkiej Zmiany. Morrison przechylił głowę i powiedział: „Nie. Najważniejsze rzeczy pozostają takie same: dobry program i dobry charakter, i proszę mi wierzyć, że nasz kandydat ma i jedno, i drugie”. Po czym mówił dalej, prowadząc rozmowę malowniczą trasą, biegnącą u stóp Wzgórza Edukacji, koło Przylądka Ochrony Zdrowia, aleją Wartości oraz Wąwozem Ciężkiej Pracy. Ale w zaciśniętym umyśle przyznaje, że owszem, polityka się zmieniła. Gdyby kiedykolwiek pozwolił swojemu

wewnętrzny głosowi wypowiedzieć się naprawdę, głośno – czego by oczywiście nigdy nie zrobił, bo rozsądku mu nie brakuje – gdyby jakimś cudem tak się stało, powiedziałby: Każdy czeka, aż coś się wydarzy. A na razie udajemy, że wszystko jest w normie, bo nie wiemy, co innego mamy robić.

Kandydaci wpadają na scenę niczym Travolta na parkiet i przyjmują wyuczone pozy, świadomi, że kamery wychwycą wszystkie błyski – i brylantów, i łez. Ona świetnie zaczyna przy pierwszym pytaniu, o obronność. Zna oczywiście dane na pamięć, bo od paru lat prowadzi projekt NorthStar; jego zawodnik powinien ją tutaj przycisnąć, ale nie radzi sobie najlepiej z ripostami.

– No dawaj – mruczy Morrison pod nosem, bezskutecznie, bo światła są zbyt jasne, żeby kandydat go zobaczył. – Dawaj. Atakuj.

Kandydat jednak potyka się o własne słowa i Morrison czuje się, jakby ktoś rąbnął go w brzuch.

Drugie i trzecie pytanie dotyczą spraw stanowych. Kandydat brzmi kompetentnie, ale przynudza – porażka. Zanim padną pytania siódme i ósme, ona zaczyna wdeptywać go w ziemię, a on nie umie się obronić, kiedy mu zarzuca, że nie ma żadnej wizji swojego urzędowania. W tym momencie Morrison zastanawia się na serio, czy jego kandydat może przegrać tak fatalnie, że on też oberwie rykoszetem. Bo na razie wygląda, jakby przez ostatnie miesiące tylko drapał się po tyłku i jadł cukierki.

Kiedy wchodzi długa przerwa na reklamy, nie mają nic do stracenia. Morrison idzie z kandydatem do toalety i daje mu trochę białego proszku. Powtarzają przez chwilę najważniejsze hasła i Morrison mówi:

– Świetnie pan sobie radzi, naprawdę, ale wie pan, panie gubernatorze... trochę agresji to nic złego.

Kandydat odpowiada:

– Bez przesady, nie chcę wyglądać na gościa, który jest zły.

Wtedy Morrison chwyta go za ramię i mówi:

– Panie gubernatorze, chce pan, żeby dzisiaj ta kobieta zrównała pana z ziemią? Niech pan pomyśli o swoim ojcu, co on chciałby zobaczyć. Niech pan broni tego, w co wierzył, Ameryki, jaką chciał zbudować. Niech pan pomyśli, jak on by się zachował w tej sytuacji.

Ojciec Daniela Dandona – biznesowy zabijaka i praktycznie alkoholik – zmarł półtora roku temu. To tani chwyt. Ale tanie chwytły często działają.

Kandydat kręci głową i rozluźnia ramiona, jak bokser przed wejściem na ring, a potem wracają na drugą połowę.

Teraz to zupełnie inny facet. Morrison nie wie, czy to zasługa kokainy czy pogadanki; tak czy siak, myśli sobie, jestem w tym naprawdę niezły.

Kandydat walczy przy każdym pytaniu. Związki zawodowe? Bum. Prawa mniejszości? Mówi jak potomek ojców założycieli w pierwszej linii, a kandydatka wypada słabiutko. Jest niezłe. Naprawdę dobrze.

Wtedy Morrison i publiczność zauważają coś dziwnego. Ona otwiera i z całej siły zaciska dłoń. Jakby chciała się powstrzymać przed... ale nie. To przecież niemożliwe. Przeszła testy.

Tymczasem kandydat się rozpędza. Mówi: „Jeśli chodzi o te dotacje – dane z pani własnej kancelarii pokazują, że są kompletnie nieefektywne”.

Na widowni słyhać szmer, który kandydat przyjmuje jako wyraz uznania dla swojej stanowczości. Rzuca się przeciwniczce do gardła.

– Prawda jest taka, że cała pani polityka jest nie tylko nieefektywna, ale i zwyczajnie przestarzała.

Przecież ona przeszła testy bez zarzutu. Nie może... Jednak dłoń trzyma zaciśnięte na krawędzi podium i powtarza: „Nie, nie, nie, tak nie można, naprawdę”, jakby próbowała coś komentować, podczas gdy wszyscy widzą, od czego usiłuje się powstrzymać. Wszyscy oprócz kandydata.

Który zadaje właśnie ostatni cios.

– Oczywiście po pani trudno się spodziewać zrozumienia, co to znaczy dla ciężko pracujących rodzin. Oddała pani córki na wychowanie do obozów NorthStar. Czy pani w ogóle pamięta o tych dziewczynkach?

Tego już za wiele; jej ramię wyciąga się w jego kierunku, dłoń dotyka jego boku i słyhać trzask wyładowania.

Niezbyt dużego, naprawdę.

Nawet go nie przewraca. Kandydat tylko się chwieje, otwiera szeroko oczy, wydaje zduszony okrzyk i cofa się o krok, dwa, trzy od pulpitu, obejmując się ramionami w pasie.

Publiczność wszystko widziała; i widzowie w studiu, i ci przed telewizorami; wszyscy patrzyli, zobaczyli i od razu wiedzieli, co się stało.

W studiu zapada cisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech, a potem zaczyna się hałas, szmery, rozmowy, coraz głośniejszy zgiełk.

Kandydat próbuje ciągnąć swoją wypowiedź, ale w tym samym momencie prowadzący ogłasza przerwę, na twarzy Margot grymas złości i triumfu ustępuje miejsca strachowi, że zrobiła coś, czego nie można cofnąć, a głosy publiczności, w których słyhać gniew i dezorientację, urastają niemal do krzyku – i wtedy włączają się reklamy.

Morrison dokłada starań, by po przerwie kandydat wrócił spokojny, zrównoważony i opanowany, ale nie za bardzo – jakby nieco wstrząśnięty i zasmucony.

Kampania idzie dobrze. Margot Cleary wygląda na zmęczoną. Wyraźnie ma się na baczności. W ciągu kolejnych dni kilka razy przeprosza za to, co się wydarzyło; jej ludzie piszą dla niej dobre teksty. Tak bardzo przejmuje się tymi sprawami, oświadcza. To było niewybaczalne, ale nie wytrzymała, słysząc, jak Daniel Dandon mówi nieprawdę na temat jej córek.

Daniel zachowuje się z godnością prawdziwego męża stanu. Przyjmuje postawę moralisty. Niektórym ludziom, ubolewa, z trudem przychodzi panować nad sobą w obliczu wyzwania, i choć przyznaje, że miał błędne dane, to cóż, można w takiej sytuacji zareagować w sposób odpowiedni albo nie bardzo odpowiedni, nie uważasz, Fiona? Śmieje się, a Fiona także zaczyna się śmiać i kładzie mu rękę na dłoni. Z całą pewnością można, mówi, a teraz czas na przerwę; po powrocie sprawdzimy – czy ta papużka naprawdę umie wymienić wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych od czasów Trumana?

Sondaże przedwyborcze pokazują, że ludzie są oburzeni zachowaniem Cleary. To, co zrobiła, jest niedopuszczalne i nieetyczne, a przede wszystkim pokazuje, że nie umie sobie radzić. Nie, nie wyobrażają sobie, że mieliby na nią zagłosować. W dniu wyborów frekwencja wygląda dobrze i żona Daniela zaczyna przeglądać plany renowacji arboretum przy rezydencji gubernatora. Dopiero po pierwszych wynikach sondaży przeprowadzonych wśród osób opuszczających lokale wyborcze w sztabie zaczynają myśleć, że coś jest nie tak. Ale przecież nie może być aż tak źle.

Jednak może. Okazuje się, że wyborcy kłamali. Zawsze zarzucają ciężko pracującym władzom łgarstwa, a teraz sami wyszli na brzydkich kłamczuchów. Mówili, że szanują zaangażowanie, wysiłek i obywatelską odwagę. Że przeciwniczka kandydata nieodwołalnie straciła ich poparcie w chwili, gdy zaprzestała racjonalnej dyskusji i spokojnego posługiwania się argumentami. Lecz kiedy poszli już na głosowanie, całe setki, tysiące i dziesiątki tysięcy wyborców pomyślało: Ale wiecie co, ta babka ma jaja. Ona im pokaże.

– To wielkie zwycięstwo – mówi blondynka na ekranie – które zaskoczyło tak samo ekspertów, jak wyborców...

Morrison nie chce słyszeć nic więcej, ale nie potrafi wyłączyć telewizora. Kandydat udziela wywiadu – oczywiście żałuje, że obywatele tego wspaniałego stanu nie wybrali go na kolejną kadencję, ale szanuje ich wolę. Dobrze. Nie tłumacz się; nigdy się nie tłumacz. Będą pytać, jak ci się wydaje, dlaczego przegrałeś, ale nic im nie mów, chcą cię tylko naciągnąć na samokrytykę. Kandydat życzy swojej następczyni wielu sukcesów w pracy i zapewnia, że będzie się bacznie przyglądał jej poczynaniom, gotów interweniować, gdyby kiedykolwiek zapomniała o obywatelach naszego stanu.

Morrison przygląda się następnie Margot Cleary – teraz już gubernatorce – jak przyjmuje gratulacje i oznajmia, że będzie skromną urzędniczką administracji, ciężko pracującą dla wspólnego dobra, i że jest wdzięczna za otrzymaną szansę. Ciągle uważa, że powinna prosić o wybaczenie za coś, co w rzeczywistości wyniosło ją do władzy. Jest w błędzie.



## *Tunde*

– Powiedzcie mi – mówi Tunde – czego właściwie chcecie.

Jeden z protestujących mężczyzn potrząsa tablicą z hasłem. Hasło brzmi: SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA MĘŻCZYZN. Reszta wiwatuje nierównym chórkim i bierze kolejne puszki piwa z przenośnej lodówki.

– Chodzi o to – wyjaśnia któryś – że chcemy sprawiedliwości. Rząd to wszystko zrobił, więc niech teraz rząd naprawia.

Popołudnie się ciągnie, powietrze jest gęste jak syrop, za chwilę będzie czterdzieści stopni w cieniu. Nie najlepszy dzień, żeby oglądać protest w centrum handlowym w Tucson w Arizonie. Przyjechał tylko dlatego, że dostał anonimową wiadomość, że coś się tutaj dzisiaj wydarzy. Brzmiała przekonująco, ale to chyba pomyłka.

– A macie coś wspólnego z grupami w internecie? Badshitcrazy.com albo BabeTruth, albo UrbanDox?

Mężczyźni potrząsają głowami.

– Czytałem taki artykuł w gazecie – mówi jeden, który najwyraźniej dziś rano postanowił ogolić tylko połowę twarzy – i piszą tam, że w tym nowym kraju, Bessaparze, robią chemiczną kastrację wszystkim facetom. Z nami też tak zrobią, ze wszystkimi.

– Ale... to chyba nieprawda – odpowiada Tunde.

– Sam zobacz, wyciąłem ten kawałek.

Mężczyzna zaczyna grzebać w torbie. Na ziemię wypadają mu pomięte paragony i puste torebki po chipsach.

– Kurde – mówi i zaczyna zbierać te śmieci. Tunde nagrywa go od niechcenia telefonem.

Jest tyle innych historii, którymi mógłby się teraz zajmować. Powinien jechać do Boliwii; właśnie wybrano tam nową papieżycę. Postępowy rząd w Arabii Saudyjskiej zaczyna się skłaniać ku religijnym ekstremizmom – powinien tam pojechać i zrobić dalszy ciąg pierwszej relacji. Krążą nawet jeszcze ciekawsze

plotki: podobno córka świeżo wybranej gubernatorki Nowej Anglii została sfotografowana w towarzystwie chłopaka – chłopaka z widocznym zwojem. Tunde słyszał o takich wypadkach. Kiedyś robił wywiady z lekarzami na temat leczenia w przypadkach źle funkcjonujących zwojów. Jednak nie wszystkie dziewczynki je mają; około pięciu dziewczynek na tysiąc rodzi się bez zwoju. Niektóre natomiast go nie chcą i próbują się go pozbyć, tak jak jedna z pacjentek, która usiłowała wyciąć sobie zwój nożyczkami, opowiadał lekarz. Jedenastolatka. Nożyczkami. Kroiła sobie ciało, jakby wycinała lalkę z papieru. Rodzą się też chłopcy z zaburzeniami chromosomalnymi, którzy z kolei mają zwój. Jednym się to podoba, innym nie. Zdarza się, że proszą lekarzy o amputację, ale niestety, chirurdzy nie potrafią jej bezpiecznie wykonywać. W ponad połowie przypadków po usunięciu zwoju pacjent umiera. Nie wiadomo dlaczego, bo zwój nie jest organem koniecznym do przeżycia. Obecnie uważa się, że musi modyfikować elektryczne impulsy sterujące pracą serca, więc amputacja powoduje arytmie. Można jedynie usunąć część zwoju, żeby stał się słabszy i mniej widoczny, ale nic poza tym.

Tunde próbuje sobie wyobrazić, jak to jest mieć zwój. Moc, której nie można się pozbyć ani zamienić na nic innego. Czuje jednocześnie pragnienie i odrazę. Bywa na forach, gdzie mężczyźni piszą, że gdyby wszyscy faceci na świecie też mieli zwoje, sprawy wróciłyby do normy. Boją się i są wściekli. Tunde to rozumie. Od czasu Delhi też się boi. Dołącza do forum UrbanDoxSpeaks.com, pod pseudonimem, i nawet zamieszcza kilka postów z komentarzami i pytaniami. Trafia na podforum poświęcone jego własnym materiałom, gdzie nazywają go zdrajcą, bo ujawnił działania Awadi-Atifa, zamiast utrzymać wszystko w sekrecie, a do tego nie publikuje nic o męskich ruchach oporu i o teoriach spiskowych. Kiedy dostał maila z informacją, że dzisiaj coś się tutaj stanie, pomyślał... sam nie wie, co pomyślał. Że może znajdzie tu jakiś temat. Nie tylko newsy, ale też jakieś zdarzenie, dzięki któremu zrozumie swoje własne uczucia. Nadaremnie. Zwyczajnie tchórzy, i tyle. Od zajścia w Delhi ucieka przed historiami, zamiast ich szukać. Wieczorem pogrzebie w necie, czy coś może jeszcze dzieje się w Sucre, sprawdzi samoloty.

Rozlega się dźwięk grzmotu. Tunde spogląda w kierunku gór, spodziewając się zobaczyć burzowe chmury, ale to nie jest burza i to nie był grzmot. Dźwięk się powtarza, głośniejszy, a z odległego końca budynku bucha w górę czarny

dym. Słysząc krzyki.

– O kurde – mówi jeden z mężczyzn i pokazuje ręką w tamtym kierunku. – To chyba bomba.

Tunde biegnie, trzymając stabilnie telefon. Słysząc trzaski i odgłosy walących się belek. Przebiega na drugą stronę budynku i widzi ogień w barze z przekąskami. Kilka innych sklepów obok już się zawaliło. Ludzie uciekają w popłochu.

– To była bomba! – krzyczy jakiś człowiek prosto w obiektyw. Twarz ma pokrytą pyłem, a na białej koszuli plamy krwi. – Tam zostali ludzie!

Tunde lubi siebie właśnie takim – gdy biegnie w stronę niebezpieczeństwa, nie odwrotnie. Za każdym razem, kiedy to robi, mówi sobie: Dobrze, OK, taki właśnie jestem. Ale dopiero od niedawna.

Obchodzi gruzowisko dookoła. Dwie nastolatki leżą na ziemi. Pomaga im wstać i pokazuje jednej, żeby podtrzymała koleżankę, która ma najwyraźniej skręconą kostkę.

– Kto to zrobił? – krzyczy dziewczyna prosto do aparatu. – Kto to zrobił?

Oto pytanie. Ktoś wysadził w powietrze bar, dwa sklepy obuwnicze i poradnię dla kobiet. Tunde odsuwa się i filmuje wnętrze budynku. Widok robi wrażenie. Na prawo palą się sklepy, na lewo wali się cała fasada. Z drugiego piętra spada tablica z przyklepioną listą dyżurów. Na zbliżeniu widać: Kayla, 15.30–21.00. Debra, 7.00.

Słysząc wołanie. Z niedaleka, ale trudno cokolwiek zauważyć w rumowisku. Wśród gruzów leży kobieta w ciąży. Upadła na swój wielki brzuch – musi być co najmniej w ósmym miesiącu – a kawał betonowego wspornika przygniata jej nogę. Skądś dochodzi zapach benzyny. Tunde odkłada telefon, ostrożnie, żeby nie przerywać nagrywania – i stara się podczołgać bliżej kobiety.

– Wszystko w porządku – mówi bezradnie. – Karetki zaraz przyjadą. Będzie dobrze.

Ona krzyczy. Prawą nogę ma zmiążdżoną. Próbuje się wydostać, kopiąc drugą nogą wspornik. Tunde odruchowo chce złapać ją za rękę, ale kobieta za każdym kopnięciem wysyła potężne błyskawice.

Prawdopodobnie niechcący. Hormony ciążowe zwiększają moc; być może to efekt uboczny biologicznych przemian w organizmie, ale teraz mówi się po

prostu, że to dla ochrony dziecka. Zdarza się, że kobiety podczas porodu powalają z nóg położne. Ból i strach. Pod ich wpływem zanika samokontrola.

Tunde woła o pomoc. W pobliżu nie ma nikogo.

– Powiedz, jak masz na imię – mówi do kobiety. – Ja jestem Tunde.

Ona krzywi się, ale odpowiada:

– Joanna.

– Joanna. Oddychaj ze mną – mówi Tunde. – Wdech. – Zatrzymuje oddech i liczy do pięciu. – I wydech.

Ona próbuje. Z wykrzywioną z bólu twarzą, zmarszczonymi brwiami, wciąga powietrze i mocno wydmuchuje.

– Zaraz nadejdzie pomoc – mówi Tunde. – Wyciągną cię stąd. Oddychaj.

Wdech i wydech. Jeszcze raz. Jej ciało się uspokaja.

Nagle nad nimi, gdzieś wśród betonowych podpór, rozlega się skrzypnięcie. Joanna próbuje odwrócić głowę.

– To tylko lampa, jarzeniówka.

Lampa odpadła od stropu i zawisła na dwóch cienkich kablach.

– To chyba dach spada.

– Nie spada.

– Nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj mnie samej.

– Joanna, nic nie spada, to tylko lampa.

Wtedy akurat kabel puszcza i lampa spada z trzaskiem na rumowisko. Joanna znowu zaczyna się trząść, chociaż Tunde powtarza: „Spokojnie, spokojnie”. Znowu razi błyskawicami i próbuje wydostać się spod wspornika. Tunde mówi: „Proszę cię, spokojnie, oddychaj”, a ona błaga: „Nie zostawiaj mnie, dach zaraz spadnie”.

Wysła wyładowanie prosto w podporę i trafia w jakiś kabel, a ten przenosi je do następnych kabli. Wisząca kawałek dalej żarówka rozpryskuje się w deszczu iskier. A iskry zapalają ten płyn o zapachu benzyny, który kapął gdzieś blisko nich. I nagle bucha ogień, wszędzie dookoła. Kobieta wciąż krzyczy, gdy Tunde chwytą telefon i ucieka.

Właśnie ten obraz zatrzymują na ekranie. No cóż, uprzedzali, że będą

drastyczne sceny. Nikt nie powinien się dziwić, ale czy to nie straszne? Fiona ma poważną minę. Chyba każdy przyzna, że sprawcy tej masakry to najgorsze męty społeczne.

W mailu przesłanym do telewizji grupa terrorystyczna o nazwie Męska Siła przyznaje się do zamachu wymierzonego w poradnię dla kobiet znajdującą się w licznie odwiedzanym centrum handlowym w Tucson w Arizonie. Twierdzą, że ten atak jest początkiem „czasu akcji”, który ma zmusić rząd do podjęcia działań przeciwko tak zwanym wrogom mężczyzn. Osoba pełniąca obowiązki rzecznika Białego Domu zakończyła właśnie konferencję prasową, na której oznajmiła, że rząd Stanów Zjednoczonych nie negocjuje z terrorystami, a twierdzenia głoszone przez tę „grupę ofiar teorii spiskowych” są bezpodstawne.

No cóż, Tom, przeciwko czemu oni właściwie protestują? Twarz Toma wykrzywia grymas, tylko na ułamek sekundy, nim wyuczona mina nałoży się na prawdziwą, uśmiech gładki niczym lukier na cieście. Chcą równości, Fiona. Głos w słuchawkach mówi do nich: reklamy za trzydzieści, więc Fiona stara się zakończyć temat, ale z Tomem coś się dzieje; nie reaguje.

Przecież nie da się wszystkiego cofnąć, nie można cofnąć czasu, chociaż – uśmiech – za chwilę cofniemy się trochę w historii tańca, żeby zabrać państwa do wspaniałych lat zwariowanej mody na swing.

Nie, mówi Tom.

Reklamy za dziesięć, mówi w słuchawkach producent bardzo spokojnym głosem. Takie rzeczy się zdarzają; zmartwienia w domu, stresy, przepracowanie, problemy ze zdrowiem, kłopoty finansowe. Wszystko to już przerabiali niejednym razem.

Departament zdrowia ukrywa przed nami różne rzeczy, mówi Tom, dlatego ci ludzie protestują. Widziałś w sieci, co się dzieje? Ukrywają przed nami wszystko, finansują nie to, co powinni, nie ma pieniędzy na szkoły samoobrony albo ochraniacze dla mężczyzn, bo wszystkie fundusze idą na obozy NorthStar, do cholery – o co tu w ogóle chodzi? I wiesz co, Fiona, pierdol się, oboje dobrze wiemy, że ty też masz to gówna, i zmieniłaś się, zrobiło z ciebie wredną sukę, nie jesteś już nawet prawdziwą kobietą. Cztery lata temu, Fiona, wiedziałś, kim jesteś i co masz do zaoferowania tej stacji, a teraz co, czym ty w ogóle jesteś?

Tom zdaje sobie sprawę, że już od dawna idą reklamy. Prawdopodobnie od momentu, kiedy powiedział „nie”. Pewnie stwierdzili, że parę sekund pustego ekranu będzie lepsze niż coś takiego. Siedzi nieruchomo, patrząc prosto przed siebie, w trójkę. To była zawsze jego ulubiona kamera, pokazuje podbródek pod dobrym kątem, z małym dołączkiem. W trójce jest jak prawdziwy Kirk Douglas, prawie. Spartakus. Zawsze myślał, że w końcu zacznie grać, z początku małe role: może najpierw prezentera telewizyjnego, a potem w jakiejś komedii, na przykład nauczyciela w liceum, który dogaduje się z dziećmi lepiej niż inni, bo, rozumiecie, za młodu też był z niego niezły numer. No cóż, teraz może się pożegnać. Zapomnij, Tom. Nawet o tym nie myśl.

– Skończyłeś? – pyta Fiona.

Jasne.

Wyprowadzają go jeszcze przed końcem bloku reklamowego. Nie stawia oporu poza tym, że nie podoba mu się ręka położona na ramieniu i odpycha ją energicznie. Nie znoszę, jak ktoś mnie dotyka, mówi, więc zostawiają go w spokoju. Przepracował ładnych parę lat i jeśli nie będzie teraz robił problemów, może jeszcze dostanie wypłatę z funduszu emerytalnego.

Niestety, Tom kiepsko się poczuł, mówi Fiona po przerwie, wpatrując się w dwójkę z przejęciem. Nic poważnego, wróci do nas niebawem. A teraz prognoza pogody.

Ze szpitalnego łóżka w Arizonie Tunde ogląda relacje. Koresponduje z rodziną i przyjaciółmi z Lagos. Jego siostra, Temi, ma teraz nowego chłopaka, dwa lata młodszego od niej. Pyta, czy Tunde ma dziewczynę w tym swoim życiu na walizkach.

Tunde odpowiada, że brakuje mu czasu na takie rzeczy. Była raz jedna dziewczyna, biała, też dziennikarka, którą spotkał w Singapurze, pojechali razem do Afganistanu. Ale w sumie nie ma o czym mówić.

„Wracaj do domu – pisze Temi. – Przyjedź na pół roku, to znajdziemy ci jakąś fajną dziewczynę. Masz dwadzieścia siedem lat, chłopie. Starzejesz się! Czas się ustatkować”.

Ta biała kobieta – na imię miała Nina – spytała raz: „Nie wydaje ci się, że

masz zespół stresu pourazowego?”.

Bo któregoś razu, kiedy byli w łóżku, użyła mocy, a on odskoczył jak oparzony. Kazał jej przestać. Zaczął płakać.

Odpowiedział:

– Jestem zagubiony, daleko od domu, i nie mam jak wrócić.

– Tak jak my wszyscy – odparła.

Nie przytrafiło mu się nic gorszego niż innym. Nie ma powodu się bać, nie bardziej niż każdy mężczyzna. Odkąd trafił do szpitala, Nina przysyła mu SMS-y i pyta, czy może go odwiedzić. On mówi: nie, jeszcze nie.

Właśnie w szpitalu dostaje tego maila. Tylko parę linijek. Adres nadawcy jest autentyczny, sprawdził.

From: info@urbandoxspeaks.com

To: olatundeedo@gmail.com

Widzieliśmy twój reportaż z centrum handlowego i czytaliśmy relację o tym, co cię spotkało w Delhi. Jesteśmy po tej samej stronie, bo jesteśmy po stronie wszystkich mężczyzn. Jeżeli widziałeś, co się stało w czasie wyborów, kiedy wygrała Cleary, na pewno rozumiesz, o co walczymy. Przyjedź z nami porozmawiać, przed kamerą. Chcemy, żebyś do nas dołączył.

UrbanDox

To nawet nie jest pytanie. Ciągłe zostaje jeszcze książka do napisania, TA książka, te dziewięćset stron relacji i analiz. Wszystko ma cały czas przy sobie, w laptopie. Spotkanie z UrbanDoxem? No jasne.

Cała oprawa jest idiotyczna. Nie może przynieść własnego sprzętu. „Damy ci telefon do nagrywania”, piszą. Na litość boską. „OK, rozumiem”, odpowiada. „Nie możecie sobie pozwolić na wpadki”. Podoba im się to. Potwierdza ich poczucie własnej ważności. „Jesteś jedynym dziennikarzem, któremu ufamy”, piszą. „Mówisz prawdę. Widziałeś, co się dzieje. Zostałeś zaproszony na akcję w Arizonie i przyjechałeś. Potrzebujemy cię”. Gadają, jakby mieli za zadanie zbawić świat. „Dobrze”, odpisuje. „Już od dawna chciałem z wami

porozmawiać”.

Oczywiście każą mu przyjechać na parking pod jakimś fast foodem. Jasne. Oczywiście mają na twarzach kominiarki, wszyscy są biali, i wiozą go gdzieś jeepem, przedtem zawiązawszy mu oczy. Chyba naoglądali się za dużo filmów. To nowość ostatnimi czasy – męskie kluby filmowe, w prywatnych domach i w knajpach. Oglądają po sto razy te same filmy: takie z wybuchami, roztrzaskującymi się helikopterami, pistoletami i mordobiciem. Dla chłopaków.

Na koniec zdejmują mu przepaskę z oczu w jakimś magazynie. Pełno kurzu. W kącie stare pudła z kasetami wideo opisanymi „A-Team”. I jest też UrbanDox, siedzący na krześle, uśmiechnięty.

Wygląda inaczej niż na zdjęciach w sieci. Musi być po pięćdziesiątce. Włosy ma rozjaśnione do białości. Oczy niebieskie, wodniste. Tunde dowiedział się paru rzeczy o tym człowieku: na pewno było tam koszmarnie dzieciństwo, przemoc, nienawiść rasowa. Nieudane inwestycje, długi. W końcu wieczorowe studia prawnicze i nowy początek w roli blogera. Jest dobrze zbudowany jak na faceta w tym wieku, chociaż twarz ma poszarzałą. Wielka zmiana na świecie pomogła mu w karierze. Od dłuższego czasu pisał te swoje zjadliwe, mało gramatyczne teksty, ograniczone myślowo i pełne zapiekłej złości, ale dopiero od niedawna coraz więcej ludzi, mężczyzn, a nawet kobiet, zaczęło go czytać. Wielokrotnie zaprzeczał, jakoby miał powiązania z grupami terrorystycznymi odpowiedzialnymi za podkładanie bomb w centrach handlowych i parkach w kilku już stanach – ale nawet jeśli nie ma z nimi powiązań, to oni chcą być powiązani z nim. Jedno z ostatnich ostrzeżeń przed bombą, która rzeczywiście wybuchła, zawierało tylko adres, godzinę i link do najnowszego elaboratu UrbanDoxa na temat nadciągającej Wojny Płci.

Mówi łagodnym głosem, nieco wyższym niż Tunde sobie wyobrażał. Stwierdza:

– Wiesz, że zamierzają nas zabić.

Tunde nakazuje sobie: Po prostu słuchaj.

Pyta:

– Kto zamierza nas zabić?

– Kobiety – odpowiada UrbanDox.

Tunde mówi:



– Aha. Opowiedz mi o tym.

Mężczyzna uśmiecha się przebiegle.

– Czytałeś mój blog. Znasz moje poglądy.

– Chciałbym to usłyszeć od ciebie. I nagrać. Myślę, że ludzie chcieliby posłuchać. Więc myślisz, że kobiety zamierzają zabić...

– Nie, synu, nie myślę. Ja to wiem. Tu nie ma żadnych przypadków. Mówią, że ta substancja, Anioł Stróż, dostała się do wody pitnej i przeniknęła do wód gruntowych. I że nikt tego nie mógł przewidzieć. Gówno prawda. To było zaplanowane. Takie były decyzje. Po drugiej wojnie, jak pacyfiści i miłośnicy ludzkości dorwali się do głosu, postanowili wlać ten szajs do wody. Wymyślili, że mężczyźni mieli już swoją szansę i że kiepsko nam poszło – dwie wojny światowe, jedno pokolenie po drugim. Pantoflarze i pedały, co do jednego.

Tunde już to czytał. Nie może być dobrej teorii spiskowej bez spiskowców. Dziwne, że facet nie wspomina o Żydach.

– Syjoniści użyli obozów koncentracyjnych jako szantażu emocjonalnego, żeby tylko to gówno trafiło do wody.

No proszę.

– To było wypowiedzenie wojny. Po cichu, ukradkiem. Uzbroili żołnierzy, zanim zagrali pobudkę. Byli tutaj, zanim się w ogóle zorientowaliśmy, że jesteśmy pod okupacją. A nasz własny rząd ma lekarstwo, trzymają je dobrze zamknięte, ale nie mają zamiaru go użyć, chyba że dla kilku wybrańców. Ostateczna rozgrywka... wiesz, co będzie. Nienawidzą nas wszystkich. Chcą naszej śmierci.

Tunde przypomina sobie kobiety, które spotkał. Niektóre dziennikarki poznane w Basrze, kobiety, z którymi był zamknięty podczas oblężenia w Nepalu. Spotkał w ciągu ostatnich lat kobiety, które nie wahały się zasłonić go własnym ciałem, żeby tylko mógł wynieść nagrania w świat.

– Nieprawda – mówi. Cholera. Głupio.

UrbanDox zaczyna się śmiać.

– Prowadzą cię na pasku, synu. Mają cię pod pantoflem. Wierzysz w ich bajeczki. Pewnie jakaś kobieta pomogła ci raz czy dwa, co? Zadbła o ciebie, zaopiekowała się, obroniła przed niebezpieczeństwem?

Tunde kiwa głową, nieufnie.

– No jasne, że tak robią. Chcą nam namieszać w głowach, żebyśmy byli potulni. Stare triki: jeżeli zawsze zachowujesz się jak wróg, ludzie będą walczyć z tobą, jak tylko cię zobaczą. Ale jeśli zaczniesz rozdawać dzieciakom cukierki i zakładać szpitale, będą zdezorientowani, nie wiedzą: nienawidzić cię czy nie. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– To już się zaczyna. Widziałeś statystyki przemocy domowej wobec mężczyzn? Albo morderstw popełnianych na mężczyznach przez kobiety?

Owszem, widział. Nosi je w sobie niczym lodowy okruch w gardle.

– To właśnie początek – mówi UrbanDox. – Tak nas zmiękcza, żebyśmy zaczęli się bać. I żebyśmy byli słabi. Biorą nas pod but. Taki jest plan. Bo tak im kazano.

Tunde myśli: Nie, wcale nie dlatego. Robią tak, bo mogą.

– Czy jesteście sponsorowani przez króla Awadi-Atifa wygnanego z Arabii Saudyjskiej?

UrbanDox uśmiecha się.

– Przyjacielu, na świecie jest mnóstwo mężczyzn, którzy martwią się rozwojem sytuacji. Niektórzy to słabeusze, zdrajcy swojej płci i swoich braci. Niektórzy mają nadzieję, że kobiety będą dla nich dobre. Ale wielu zna prawdę. I nie musimy za bardzo prosić o pieniądze.

– Wspomniałeś o... ostatecznej rozgrywce.

UrbanDox wzrusza ramionami.

– Tak jak mówiłem. Chcą nas pozabijać.

– Ale... co z przetrwaniem ludzi?

– Kobiety to tylko zwierzęta – mówi UrbanDox. – Tak jak my, chcą się łączyć w pary, mieć dzieci. Ale jedna kobieta chodzi w ciąży dziewięć miesięcy. Może wychować piątkę, szóstkę dzieci przez całe życie.

– Więc...?

UrbanDox marszczy brwi, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Zatrzymają przy życiu tylko najzdrowszych. Rozumiesz, dlatego właśnie

Bóg dał władzę mężczyznom. Nawet jeżeli źle traktują kobietę. Tak jak było z niewolnikami.

Tunde czuje, jak sztywnieją mu ramiona. Nic nie mów, tylko słuchaj, nagraj wszystko i sprzedaj. Zarób pieniądze na tym łajdaku, zdemaskuj go, ujawnij, kim naprawdę jest.

– Widzisz, ludzie źle rozumieją niewolnictwo. Jak masz niewolnicę, to ona jest twoją własnością. Nie chcesz jej popsuć ani zniszczyć. Nawet jak facet źle traktuje kobietę, to potrzebuje jej, żeby rodziła dzieci. Ale teraz... Jeden genetycznie prawidłowy mężczyzna może być ojcem tysiąca albo pięciu tysięcy dzieci. Po co im reszta? Zabiją pozostałych. Posłuchaj mnie. Nie przeżyje nawet jedna setna. Może nawet jedna tysięczna.

– Masz na to jakieś dowody?

– Jasne, widziałem różne papiery. A przede wszystkim umiem myśleć. Podobnie jak ty, synu. Obserwuję cię, jesteś naprawdę bystry. – UrbanDox kładzie zimną, wilgotną dłoń na ramieniu Tundego. – Dołącz do nas. Przyłącz się. Będziemy z tobą, kiedy one wszystkie sobie pójdą, bo jesteśmy po tej samej stronie.

Tunde kiwa głową.

– Potrzebujemy praw chroniących mężczyzn. Musi być godzina policyjna dla kobiet. Rząd musi dać pieniądze na „odkrycie” lekarstwa. Trzeba, żeby mężczyźni zwarli szeregi. Na razie rządzą nami fagasi, którzy przymilają się do kobiet. Musimy ich zlikwidować.

– Taki jest cel waszych ataków terrorystycznych?

UrbanDox znowu się uśmiecha.

– Wiesz dobrze, że nigdy nie inicjowałem ani nie nawoływałem do ataków terrorystycznych.

Owszem, zawsze bardzo dobrze się krył.

– Ale – ciągnie – gdybym miał kontakt z tymi facetami, pewnie bym wiedział, że dopiero się rozkręcają. Trochę broni zaginęło podczas rozpadu Związku Radzieckiego. Naprawdę paskudnej broni. Kto wie, co mogło trafić w ich ręce.

– Chwileczkę – mówi Tunde. – Grozisz rozpętanem terroryzmu posługującego się bronią nuklearną?

– Ja nikomu niczym nie grożę – odpowiada UrbanDox, patrząc na niego bladym, zimnym wzrokiem.

## *Allie*

– Matko Ewo, czy mogę prosić o błogosławieństwo?

Chłopiec jest słodki. Puszyste blond włosy, jasna piegowata buzia. Ma najwyżej szesnaście lat i ładnie mówi po angielsku, z wyraźnym środkowoeuropejskim akcentem. Dobry wybór.

Allie sama niedawno skończyła dwadzieścia lat i chociaż jest w niej powaga – „stara dusza”, jak według „New York Timesa” twierdzą osoby z jej najbliższego otoczenia – istnieje ryzyko, że może wypaść niewystarczająco dostojnie.

Młodzi są bliżej Boskiej Matki, to oczywiste, zwłaszcza młode kobiety. Nasza Matka miała tylko szesnaście lat, kiedy poświęciła się dla świata. Ale lepiej zacząć od pobłogosławienia kogoś, kto wygląda zdecydowanie młodziej.

– Zbliź się – mówi Allie – i powiedz, jak masz na imię.

Kamery wycelowują paszcze w chłopca, który już zaczął płakać i trząść się. Tłum stoi w milczeniu; odgłos trzydziestu tysięcy osób oddychających pod sceną tylko czasami przerywają okrzyki: „Chwalmy Matkę!” albo po prostu: „Chwała Jej!”.

Chłopak odpowiada, bardzo cicho:

– Christian.

Na to podnosi się szmer. Odgłos powietrza gwałtownie wciągane przez tłum ludzi.

– To bardzo dobre imię – mówi Allie. – Nie obawiaj się, że to imię nie jest dobre.

Christian zalewa się łzami. Usta ma otwarte, mokre i ciemne.

– Wiem, że to trudne – ciągnie Allie – ale teraz wezmę cię za rękę, a wtedy zstąpi na ciebie duch Naszej Matki, rozumiesz?

W tym już jest magia, w mówieniu, co się stanie, z pełnym przekonaniem. Christian kiwa głową. Allie bierze jego dłoń. Kamera zatrzymuje się na dłużej na tych dwóch dłoniach: bladej i ciemniejszej. Christian się uspokaja,

wyrównuje oddech. Kiedy kamera się oddala, widać, że jest uśmiechnięty, opanowany.

– Christian, czy to prawda, że od dzieciństwa nie możesz chodzić?

– Tak.

– Co się stało?

Christian pokazuje na swoje nogi przykryte kocem.

– Spadłem z huśtawki – mówi – kiedy miałem trzy lata. Złamałem kręgosłup.

Uśmiecha się przy tym ufnie. Drugą dłonią robi gest, jakby chciał pokazać coś łamiącego się.

– Złamałeś kręgosłup. I lekarze powiedzieli ci, że nigdy już nie będziesz chodził, tak?

Christian przytakuje.

– Ale ja wiem, że będę – mówi, a jego twarz jest łagodna i spokojna.

– Ja też wiem, Christian. Bo Matka tak mi pokazała.

Oraz ludzie, którzy organizują te wystąpienia i upewniają się wcześniej, że nerwy są na tyle dobrze zachowane, że będzie mogła coś z nimi zrobić. Christian ma przyjaciela ze szpitala; fajny chłopak, wierzący chyba jeszcze gorliwiej niż Christian, ale niestety w jego przypadku doszło do tak poważnego uszkodzenia nerwów, że nie można było zagwarantować sukcesu przy uzdrawianiu. Poza tym nie nadawał się do telewizji. Za silny trądzik.

Teraz Allie kładzie dłoń na plecach Christiana, w górnym odcinku kręgosłupa, blisko karku.

Chłopcem wstrząsa dreszcz, a tłum wstrzymuje oddech i zapada cisza.

Ona mówi w sercu: A jeśli nie dam rady?

Głos odpowiada: Córciu, za każdym razem się tego boisz. Przecież jesteś niezawodna.

Matka Ewa przemawia ustami Allie:

– Święta Matko, poprowadź mnie teraz, tak jak zawsze mnie prowadzisz.

Tłum odpowiada:

– Amen.

Matka Ewa mówi:

– Niech się dzieje Twoja wola, Matko. Jeżeli jest Twoją wolą uleczyć tego chłopca, niech będzie uleczone, ale jeśli twoją wolą jest, by pozostał w cierpieniu na tym świecie, aby jego nagroda w następnym świecie była większa, niech tak się stanie.

Istotne zastrzeżenie, które trzeba wygłosić odpowiednio wcześniej.

Tłum odpowiada:

– Amen.

Matka Ewa mówi:

– Święta Matko, jest jednak tutaj wielka rzesza ludzi modlących się za tego skromnego, posłusznego chłopca. Wielki tłum, który zanosí do ciebie prośbę o łaskę dla niego. Ogrzej go swoim oddechem, Matko, wysłuchaj naszej modlitwy.

W tłumie ludzie zaczynają kiwać się do przodu i do tyłu, płakać i mamrotać. Tłumaczki po obu stronach sceny spieszą się, żeby dotrzymać Allie kroku, bo Matka Ewa wyrzuca z siebie słowa coraz szybciej.

Kiedy jej usta się poruszają, Allie sprawdza delikatnymi nitkami mocy, co dzieje się w kręgosłupie Christiana. Znajduje blokady, tu i tu, i miejsce, gdzie uderzenie mocy uruchomi jego mięśnie. Już prawie wszystko rozgryzła.

Matka Ewa mówi:

– Wszystkie żyjemy życiem błogosławionym, wszystkie każdego dnia staramy się słuchać Twojego głosu w naszych sercach, wszystkie obdarzamy szacunkiem i czcią nasze własne matki i święty płomień w naszych duszach, wszystkie chwalimy Ciebie, wielbimy Cię i składamy Ci naszą miłość w ofierze. Padamy przed Tobą na kolana, Święta Matko, i prosimy, byś wysłuchała naszej modlitwy. Błagam Cię, Święta Matko, ześlij swoją moc poprzez moje ciało, ukaż nam swoją chwałę i uzdrów tego chłopca!

Tłum podnosi krzyk.

Allie wysyła trzy szybkie uderzenia w kręgosłup Christiana, pobudzając do pracy zakończenia nerwowe w jego mięśniach.

Lewa noga chłopca podnosi się, kopie pod kocem.

Christian patrzy zdumiony, zaskoczony, trochę przestraszony.

Kopie druga noga.

Teraz Christian zaczyna płakać. Łzy płyną mu po twarzy. Biedny chłopak, który nie mógł stanąć na nogach, od kiedy był trzylatkiem. Który tyle wycierpiał z powodu odleżyn, zaniku mięśni, który musiał dźwigać się na ramionach, żeby przesiadać się z łóżka na wózek, z wózka na sedes. A teraz jego nogi ruszają się, podskakują i kopią.

Podnosi się z wózka, opierając się na rękach. Nogi mu drżą i podrygują, kiedy przytrzymuje się poręczy, specjalnie tu umieszczonej, i staje, a potem zaczyna iść. Robi jeden, dwa, trzy sztywne i niezgrabne kroki, aż zatrzymuje się, wyprostowany i zalany łzami.

Ludzie z ekipy podchodzą, żeby sprowadzić go ze sceny, podtrzymują z obu stron, a on powtarza: „Dziękuję, dziękuję, dziękuję”, kiedy prowadzą go za kulisy.

Czasami efekty się utrzymują. Są ludzie w ten sposób „uzdrowieni”, którzy po wielu miesiącach nadal chodzą, trzymają przedmioty w dłoniach albo widzą. Naukowcy zaczęli się nawet poważnie interesować mechanizmem działania Allie.

Czasami jednak nic nie zostaje. Przeżywają tylko ten wspaniały moment na scenie. Czują, jak to jest chodzić albo poruszyć niesprawnym ramieniem – coś, co nie byłoby im dane, gdyby nie ona.

Głos mówi: Nigdy nie wiadomo. Gdyby mieli więcej wiary, może utrzymałoby się dłużej.

Matka Ewa mówi swoim pacjentom: „Bóg pokazała wam, co może uczynić. Trwajcie w modlitwie”.

Po uzdrowieniu mała przerwa, żeby Allie mogła za kulisami napić się czegoś zimnego i żeby dać tłumowi czas na ochłonięcie, a przy okazji przypomnieć, że wszystko to zostało zasponsorowane przez dobrych ludzi, takich samych jak zgromadzeni tutaj, którzy mają otwarte serca i portfele. Na dużych wyświetlaczach pokazywane są relacje z różnych dobroczynnych działań wspólnoty. Oto Matka Ewa pociesza chorych. Jest taki filmik – bardzo ważny – jak trzyma za rękę kobietę, która była bita i wykorzystywana, a jej moc się nie obudziła. Kobieta płacze. Matka Ewa próbuje uaktywnić jej zwój, ale bez rezultatu, mimo modlitwy. Dlatego, wyjaśnia za chwilę, robią badania nad przeszczepami od martwych dawczyń. Naukowcy już nad tym pracują. Każdy grosz może pomóc.



Są też przyjacielskie pozdrowienia od filii Kościoła w Michigan i Delaware, z nowinami o nowych wiernych, oraz z misji w Nairobi i Sucre, gdzie Kościół katolicki dosłownie sam się zjada. Są też relacje z sierocińców założonych przez Matkę Ewę. Na początku było mnóstwo dziewcząt wyrzuconych z domów, które błąkały się po kraju, samotne i bezradne jak bezpańskie psy. Kiedy Kościół Matki Ewy nabrał siły, powiedziała kobietom: „Zaopiekujcie się młodszymi. Przygotujcie dla nich domy, żeby znalazły schronienie, tak jak i ja je znalazłam, kiedy byłam słaba i wystraszona. Każdą najdrobniejszą rzecz, jaką dla nich zrobicie, zrobicie dla Świętej Matki”. Teraz, zaledwie kilka lat później, domy dla młodzieży są na całym świecie. Przyjmują chłopców i dziewczęta; zapewniają im opiekę; działają lepiej niż państwowe instytucje. Allie, która w dzieciństwie przechodziła z rąk do rąk, wie, czego dopilnować i na co w tych sprawach zwrócić uwagę. Na nagraniu odwiedza domy w Delaware i w Missouri, w Indonezji i na Ukrainie. Dzieci witają ją wszędzie jak matkę.

Materiał kończy się sygnałem muzycznym. Allie ociera pot z twarzy i wraca na scenę.

– Wiem – mówi Matka Ewa do tłumu pełnego płaczących, roztrzęsionych, wołających ludzi – wiem, że niektóre z was od dłuższego czasu zadają sobie różne pytania. Dlatego bardzo się cieszę, że jestem dzisiaj z wami i mogę na nie odpowiedzieć.

Znowu okrzyki w tłumie. „Chwała!”

– Pobyt tutaj, w Bessaparze, na ziemi, gdzie Bóg pokazała swoją wielką mądrość i wielką łaskę, jest dla mnie błogosławieństwem. Wiecie przecież, że nasza Pani powiedziała mi, że kobiety powinny zbierać się razem! Że powinny dokonywać cudów! Że powinny być dla siebie nawzajem szczęściem i pocieszeniem! Gdzie zatem – mówi Matka Ewa, dla większego efektu robiąc pauzę po każdym słowie – kobiety są bardziej razem niż tutaj?

Tupanie, ryk, okrzyki radości.

– Pokazałyśmy właśnie, czego może dokonać wspólna modlitwa wiernych, kiedy modliłyśmy się za Christiana, prawda? Pokazałyśmy, że Święta Matka dba tak samo o mężczyzn i o kobiety. Nie skąpi swojej łaski. Nie będzie obdarzać dobrem tylko kobiet, ale każdego, kto w Nią wierzy. – Głos Matki Ewy robi się miękki, obniża ton. – Ale wiem, że pytacie: „Co z Boginią, która tak wiele dla nas znaczyła? Co z Tą, której symbolem jest oko we wnętrzu

dłoni? Co z prostą wiarą, która zrodziła się na tej ziemi, w tym dobrym kraju? Co z nią będzie?”.

Allie robi pauzę i tłum cichnie. Stoi przed nimi, trzymając dłonie skrzyżowane na piersi. Ludzie zaczynają kołysać się i płakać. Machają transparentami. Ona odczekuje dłuższą chwilę, głęboko oddychając.

Mówi w sercu: Czy jestem gotowa?

Głos odpowiada: Zostałaś do tego stworzona, moje dziecko. Powiedz, co masz powiedzieć.

Allie rozkłada ramiona i pokazuje zgromadzonym wnętrza dłoni. Na każdej ma wytatuowane oko z rozchodzącymi się promieniami.

Tłum eksploduje krzykiem, wiwatami, tupaniem. Mężczyźni i kobiety ruszają w jej kierunku, a Allie cieszy się w duchu z barierek oddzielających scenę od ludzi i z karetek stojących w gotowości po bokach. Wierni przeskakują przez siedzenia, byle znaleźć się bliżej niej, jęczą i łkają, chcą odetchnąć wydychanym przez nią powietrzem, najchętniej zjedliby ją żywcem.

Matka Ewa zaczyna mówić spokojnie, ponad hałasem.

– Wszyscy bogowie są jednym. Wasza Bogini jest jednym z wcieleń Boskiej Matki, Jej obecnością w świecie. Przyszła do was tak, jak przyszła do mnie, głosząc nadzieję i współczucie, ucząc, jak pomścić skrzywdzonych i jak kochać bliskich. Wasza Bogini jest naszą Matką. One są jednością.

Za jej plecami opada cicho jedwabna kurtyna, do tej pory stanowiąca tło widowiska. Ukazuje się malowidło, wysokie na kilka metrów, przedstawiające dumną kobietę o dużych piersiach, ubraną na niebiesko, z łagodnym spojrzeniem, wydatnym zwojem pod obojczykami i okiem wytatuowanym na obu dłoniach.

Kilka osób mdleje, co niektórzy zaczynają mówić językami.

Dobra robota, stwierdza głos.

Podoba mi się ten kraj, odpowiada Allie w swoim sercu.

Po drodze do opancerzonego samochodu Allie sprawdza, czy ma jakieś wiadomości od siostry Marii Ignacji, zaufanej i lojalnej przyjaciółki w kraju. Od dłuższego czasu śledziły w sieci wzmianki o niejkiej Alison Montgomery-Taylor i chociaż Allie nigdy nie wyjaśniła, dlaczego właściwie chce, żeby

zniknęły wszystkie dokumenty dotyczące Alison, poprosiła siostrę Marię Ignację o pomoc w załatwieniu tej sprawy. Z biegiem czasu byłoby to coraz trudniejsze; zawsze znalazłby się ktoś, kto chciałby zarobić albo zyskać coś na tej historii. Wprawdzie Allie jest przekonana, że każdy porządny sąd by ją uniewinnił, jednak nie chce przez to przechodzić. W Bessaparze zapadł już wieczór, ale na Wschodnim Wybrzeżu jest dopiero czwarta po południu i, całe szczęście, na Allie czeka wiadomość. Lojalni wyznawcy Nowego Kościoła w Jacksonville przysłali informację, że z pomocą pewnej wpływowej siostry w wierze wszystkie akta, dokumenty i pliki dotyczące „Alison Montgomery-Taylor” zostaną usunięte.

„Wszystko zniknie”, obiecuje mail.

Brzmi to jak proroctwo albo jak ostrzeżenie.

Wiadomość nie podaje nazwiska wpływowej siostry, lecz Allie zna tylko jedną kobietę, która umie sprawić, żeby policyjne akta zniknęły, jakby ich nigdy nie było. Wystarczy pewnie jeden telefon, krótka rozmowa ze znajomym. To musiała być Roxy. „Zatroszczyłaś się o nas, a my zatroszczymy się o ciebie”, powiedziała przecież. Świetnie. Wszystko zniknie.

Później Allie i Tatiana Moskalew siedzą przy kolacji. Mimo wojny, mimo toczących się na północy walk z mołdawskim wojskiem, mimo spieć z Rosją na wschodzie – jedzenie jest naprawdę dobre. Moskalew, prezydentka Bessapary, podejmuje Matkę Ewę, głowę Nowego Kościoła, pieczonym bażantem, zapiekanyimi ziemniakami oraz kapustą włoską. Do posiłku podano dobre wino.

– Potrzebujemy szybkiego zwycięstwa – mówi Tatiana.

Allie je powoli i z namysłem.

– Czy można odnieść szybkie zwycięstwo na wojnie, która trwa już trzy lata?

Tatiana się śmieje.

– Prawdziwa wojna jeszcze się nie zaczęła. W górach nadal walczą zwyczajną bronią. Atakują, a my ich odpychamy. Rzucają granaty, my strzelamy.

– Moc elektryczna nic nie poradzi przeciwko rakietom i bombom.

Tatiana opiera się na krześle, zakłada nogę na nogę. Patrzy na Allie.

– Tak myślisz? – Marszczy brwi, rozbawiona. – Po pierwsze, wojen nie

wygrywają bomby, wojny wygrywa się w terenie. Po drugie, widziałaś, co potrafi ten nowy proszek?

Owszem, Allie widziała. Roxy jej pokazała. Daje moc trudną do opanowania, więc Allie nie chciałyby go brać, bo jej specjalnością zawsze była kontrola nad mocą. Ale wie, że po porządnej dawce brokatu trzy czy cztery kobiety są w stanie rozwalić sieć elektryczną całego Manhattanu.

– I tak trzeba podejść blisko, żeby ich dotknąć. Musi być kontakt.

– Na to są sposoby. Wszyscy widzieli, że oni sami nad tym pracują.

Aha, mówi głos, mówi o wygnanym królu saudyjskim.

– Awadi-Atif – stwierdza Allie.

– Postanowił zrobić sobie z naszego kraju poligon. – Tatiana pociąga kolejny łyk wina. – Posyła do nas facetów w gumowych kombinezonach z tymi idiotycznymi akumulatorami na plecach. Próbuje pokazać, że Zmiana nic nie znaczy. Nadal wyznaje dawną religię i ma nadzieję, że odzyska państwo.

Tatiana roziskrza w dłoniach długi łuk, rozwija go od niechcenia, a potem z trzaskiem przerywa.

– Ta fryzjerka – mówi z uśmiechem – nie miała pojęcia, do czego się przyczyniła.

Spogląda Allie prosto w oczy, nagłym, intensywnym spojrzeniem.

– Awadi-Atif uważa, że został posłany na świętą wojnę. A ja myślę, że ma rację. Zostałam wybrana przez Bóg, by nas poprowadzić.

Ona chce, żebyś powiedziała, że tak jest, mówi głos. Powiedz jej.

– To prawda – mówi Allie. – Bóg ma dla ciebie specjalne zadanie.

– Zawsze wierzyłam, że istnieje coś większego ode mnie, coś lepszego. Aż zobaczyłam ciebie. Tę siłę w twoich słowach. Wiem, że jesteś Jej wysłanniczką i że dlatego się spotkałyśmy. Żeby przekazać światu przesłanie.

Głos mówi: Widzisz, mówiłam, że mam dla ciebie różne niespodzianki.

Allie zgaduje:

– Więc jak mówisz, że chcesz szybkiego zwycięstwa... to znaczy, że kiedy Awadi-Atif przyśle tu swoje elektryczne oddziały, zamierzasz je całkowicie zniszczyć.

Tatiana macha ręką.

– Mam broń chemiczną. Została z zimnej wojny. Gdybym chciała ich po prostu zniszczyć, mogłabym to zrobić w każdej chwili. – Pochyliła się do Allie. – Nie, ja chcę ich upokorzyć. Pokazać, że cała ta... mechaniczna moc nie może się równać z mocą, którą mamy w naszych ciałach.

Głos pyta: Rozumiesz?

I Allie rozumie. Awadi-Atif uzbroił oddziały na północy Mołdawii. Chce zająć Bessapare, republikę kobiet; to by pokazało, że Zmiana była tylko dewiacją, odchyleniem od normy, że stary system może powrócić. Ale jeżeli przegrają, i to przegrają od razu...

Allie uśmiecha się.

– Słowo Świętej Matki rozprzestrzeni się po świecie, od jednej kobiety do następnej, od kraju do kraju. Ta wojna będzie wygrana, zanim się w ogóle zacznie.

Tatiana podnosi kieliszek do toastu.

– Wiedziałaś, że zrozumiesz. Kiedy cię zaprosiliśmy... Miałam nadzieję, że zrozumiesz, o co nam chodzi. Cały świat przygląda się tej wojnie.

Ona chce, żebyś dała jej błogosławieństwo na wojnę, mówi głos. To ryzykowne.

Ryzykowne, jeśli przegra, odpowiada Allie w sercu.

Myślałam, że chcesz być bezpieczna, mówi głos.

Powiedziałaś, że nie mogę być bezpieczna, jeśli nie będę u siebie, przypomina Allie.

I mówiłam też, że z tego punktu wyjścia tam nie dotrzesz.

Po czyjej w ogóle jesteś stronie?, pyta Allie.

Matka Ewa mówi powoli i starannie. Waży słowa. Wszystko, co powie, ma wielkie znaczenie. Patrzy prosto w kamerę i czeka, aż zapali się czerwona lampka.

– Nie musimy zgadywać, co zrobiłaby saudyjska rodzina królewska, gdyby zwyciężyła – zaczyna. – Widziałyśmy to na własne oczy. Wiemy, co działo się w Arabii Saudyjskiej przez dziesiątki lat, i wiemy, że Bóg, przejęta odrazą, odwróciła od tego kraju swoją twarz. Nie musimy zgadywać, kto walczy po stronie sprawiedliwości, kiedy spotykamy dzielne wojowniczkę Bessapary.

Wiele z nich było sprzedanych w niewolę, trzymanych w kajdanach; umarłyby w ciemnościach i w samotności, gdyby Boska Matka nie zesłała im Światła, aby je prowadziło.

Ten kraj – ciągnie – należy do Boskiej Matki i ta wojna jest Jej wojną. Z Jej pomocą odniesiemy wspaniałe zwycięstwo. Z Jej pomocą dawny porządek legnie w gruzach.

Czerwona lampka gaśnie. Przesłanie rusza w świat. Matka Ewa wraz z milionami lojalnych fanek na YouTube, na Instagramie, na Facebooku i Twitterze, ze sponsorami i zwolenniczkami są po stronie Bessapary i republiki kobiet. Wybór został dokonany.

## Margot

- Nie mówię wcale, że masz z nim zerwać.
- Mamo, ale przecież tak mówisz.
- Mówię tylko, żebyś przeczytała te raporty i sama zobaczyła.
- Jeżeli mi je dajesz, to od razu wiadomo, co tam jest.
- Po prostu przeczytaj.

Margot wskazuje na plik papierów leżący na stoliku przed kanapą. Bobby nie chciał uczestniczyć w tej rozmowie. Maddy poszła na taekwondo. Więc wszystko znowu spada na nią. Bobby powiedział: „Chodzi ci o twoją karierę. Więc sama się tym zajmij”.

– Mamo, cokolwiek jest w tych papierach, Ryan to dobry człowiek. Ma dobre serce. Jest dobry dla mnie.

– Odwiedza strony ekstremistów, Jos. Zamieszcza pod pseudonimem posty na portalach, na których mówi się o organizowaniu ataków terrorystycznych. Które mają powiązania z grupami terrorystów.

Jocelyn zaczyna płakać, z frustracji i złości.

– Nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Może tylko chciał się przekonać, o czym oni mówią. Mamo, ja też poznałam Ryana w internecie, oboje wchodzimy na różne dziwne strony.

Margot bierze kartkę leżącą na wierzchu i odczytuje zakreślony cytat:

– Buckyou – taki sobie wybrał pseudonim – pisze: „Sprawy wymknęły się spod kontroli. Te obozy NorthStar – gdyby ludzie się dowiedzieli, czego one się tam uczą, zaraz każda dostałaby kulkę w łeb”.

Milknie i patrzy na Jocelyn.

– Skąd w ogóle wiadomo, że to on? – pyta Jos.

Margot robi nieokreślony gest.

– Nie wiem dokładnie. Służby mają swoje sposoby.

To ryzykowny moment. Margot wstrzymuje oddech. Czy Jocelyn uwierzy?

Jocelyn spogląda na nią i wyrywa jej się krótki szloch.

– To Departament Obrony cię sprawdza, tak? Bo masz zostać senatorką i chcą, żebyś dołączyła do jakiejś komisji, tak jak mi mówiłaś?

Uff, doskonale. Połknęła historię jak ryba haczyk, razem z żyłką i spławikiem.

– Tak, Jocelyn. Właśnie dlatego FBI wygrzebało te materiały. Mam ważną pracę i nie będę za to przepraszać. – Milknie na chwilę. – Sądziłam, że gramy w jednej drużynie. A ty musisz wiedzieć, że ten Ryan nie jest taki, za jakiego go uważasz.

– Pewnie tylko chciał coś sprawdzić. Te posty są sprzed trzech lat! Wszyscy robią różne głupie rzeczy w necie, chyba wiesz? Na przykład żeby zwrócić na siebie uwagę.

Margot wzdycha.

– Kochanie, chyba nie możemy być tego pewne.

– Porozmawiam z nim. On jest... – Jos znowu zaczyna płakać, głośno, z całego serca.

Margot przysuwa się i obejmuje ją ostrożnie.

Jos przytula się do matki, przyciska twarz do jej piersi i płacze rozdzierająco, jak w dzieciństwie.

– Kochanie, spotkasz innych chłopców. Lepszych i fajniejszych.

Jos podnosi głowę.

– Myślałam, że będziemy razem.

– Wiem, słoneczko, z powodu twojego... – Margot z wahaniem zawiesza głos – ...twojego problemu, chciałaś poznać kogoś, kto by cię zrozumiał.

Bardzo chciałaby pomóc córce. Nadal chodzą po lekarzach, ale z upływem czasu diagnoza robi się coraz trudniejsza. Czasami Jocelyn ma moc, tyle, ile chce, a czasem nie ma nic.

Łkania Jos słabną, zmieniają się w pochlipywanie. Margot robi jej herbaty i dalej siedzą w milczeniu na kanapie. Po dłuższej chwili Margot mówi:

– Ciągle myślę, że możemy znaleźć dla ciebie pomoc. Gdyby to się udało... mogliby ci się podobać normalni chłopcy.

Jos powoli odstawia kubek na stół.



– Naprawdę tak myślisz? – pyta.

– Ja to wiem, kochanie – odpowiada Margot. – Po prostu wiem. Możesz być taka jak inne dziewczyny. Wiem, że sobie poradzimy.

O to chodzi w byciu dobrą matką. Czasami trzeba wiedzieć lepiej, czego dziecko naprawdę potrzebuje.

## *Roxy*

„Przyjedź do domu – przynagłał SMS. – Zrobili coś Ricky’emu”.

Miała właśnie wyjeżdżać do Mołdawii, żeby szkolić kobiety w walce z użyciem brokatu. Ale teraz, po takiej wiadomości, nie może.

Mało widywała się z Rickym, od kiedy wróciła z Ameryki. Rozkręciła interes z brokatem i zarabia dla rodziny dobre pieniądze. Kiedyś Roxy marzyła o wizytach w tym domu. Teraz Bernie dał jej klucze i ma swój pokój, w którym może mieszkać, ale wcale nie jest tak, jak sobie wyobrażała. Barbara, matka braci, nie doszła do siebie po śmierci Terry’ego. Jego wielkie zdjęcie stoi na kominku, zawsze ze świeżymi kwiatami, zmienianymi co trzy dni. Darrell ciągle mieszka z rodzicami. Kombinuje z zakładami bukmacherskimi, bo ma do tego głowę. Ricky mieszka na Canary Wharf.

Po przeczytaniu SMS-a Roxy myśli od razu o konkurencyjnych gangach, z którymi mogą mieć zatargi. I co właściwie znaczy: „zrobili coś”. Jeśli to początek wojny, na pewno potrzebują jej na miejscu.

Ale w ogrodzie przed domem czeka na nią Barbara, przypalająca papierosa od papierosa. Berniego w ogóle nie ma w domu. Więc to nie wojna, to coś innego.

Barbara mówi:

– Zrobili coś Ricky’emu.

Roxy pyta, znając z góry odpowiedź:

– Jakaś inna firma? Rumuni?

Barbara potrząsa przecząco głową.

– Załatwili go dla zabawy – mówi.

– Tata zna ludzi. Niepotrzebnie mnie wzywałaś.

Barbarze trzęsą się ręce.

– Nie, to nie dla nich. To sprawa rodzinna.

Więc Roxy już wie, co stało się Ricky’emu.

Ricky siedzi przed włączonym telewizorem, ale bez głosu. Na kolanach ma koc, a pod nim bandaże; lekarz już go opatrzył, więc i tak nie ma co oglądać.

W Mołdawii dla Roxy pracują dziewczyny, które były trzymane w niewoli przez mężczyzn. Widziała, co jedna z nich zrobiła trzem facetom, którzy sobie z nią używali. Poniżej pasa mieli wszystko upieczone i wzory błyskawic na udach, różowe, brązowe, czerwone i czarne. Jak indyki z piekarnika. Z Rickym nie jest tak źle. Powinien wyzdrowieć. Zagoi się. Ale Roxy słyszała, że w tych sprawach może być później ciężko. Trudno zapomnieć.

– Powiedz tylko, co się stało – mówi.

Ricky patrzy na nią z wdzięcznością, a ta wdzięczność jest straszna. Roxy ma ochotę go przytulić, ale wie, że czułby się jeszcze gorzej. Nie można być tą, która rani i pociesza jednocześnie. Może dać Ricky'emu tylko zemstę.

On opowiada.

Oczywiście był pijany. Poszli z kumplami na miasto, potańczyć. Ricky ma jakieś dziewczyny, nawet więcej niż jedną, ale zawsze chętnie znajdzie sobie kogoś na noc. One wiedzą, żeby nie zawracać mu głowy, po prostu tak z nim jest. Z Roxy jest podobnie; czasami ktoś się koło niej kręci, czasami nie, nie ma to dla niej większego znaczenia.

Tym razem przygadał trzy dziewczyny, które mówiły, że są siostrami, chociaż nie wyglądały na siostry. Pewnie żartowały. Jedna obciągnęła mu pod klubem przy śmietnikach; robiła z nim coś takiego, że aż mu się w głowie kręciło. Mówiąc to, Ricky sprawia wrażenie zawstydzonego, jakby myślał, że nie powinien się tak zachowywać. Kiedy tamta skończyła, czekały już następne. A on mówi do nich: „Dajcie mi chwilę, dziewczyny. Nie mogę się zająć wszystkimi naraz”. Wtedy one zajęły się nim.

Jest coś, co można zrobić facetowi. Roxy też to robiła. Mała iskra w tyłek i znowu staje mu na baczność, jak za pierwszym razem. Może być fajnie, jeśli tego chce. Trochę boli, ale OK. Jeśli się nie chce, boli mocno. Ricky powtarzał im, że nie chce.

Jeździły na nim po kolei. Żeby mu zrobić krzywdę. A on pytał, czy chcą pieniędzy, czego chcą, aż jedna poraziła mu gardło i już nie mógł nic powiedzieć, dopóki nie skończyły.

To wszystko trwało jakieś pół godziny. Ricky myślał, że tam umrze. Między

czarnymi workami, na brudnym, zatłuszczonym bruku. Wyobrażał sobie, jak znajdują jego ciało, białe nogi poznaczone czerwonymi zygzakami, twarz biała jak brzuch ryby, sine usta. Jak policjant wywraca jego kieszenie i mówi: „Nie uwierzycie, kogo tu mamy, przecież to Ricky Monke”. Więc leżał spokojnie aż do końca, nie próbował już nic mówić ani robić. Tylko czekał, aż przestaną.

Roxy wie, dlaczego Barbara nie zadzwoniła po Berniego. Znienawidziłby Ricky'ego, nawet gdyby nie chciał. Takie rzeczy nie zdarzają się mężczyznom. Tylko że teraz się zdarzają.

Głupia sprawa, ale Ricky zna te dziewczyny. Im więcej o tym myśli, tym bardziej jest pewny, że tak. Widywał je tu i ówdzie; one chyba nie wiedzą, kim jest – raczej nie zrobiłyby tego, gdyby wiedziały – ale Ricky zna ludzi, z którymi się bawiły. Jedna ma na imię Manda, to pamięta, a druga – Sam. Roxy coś kojarzy, sprawdza parę profili na Facebooku, pokazuje mu kilka zdjęć, przy którychś Ricky zaczyna się trząść.

Nietrudno je znaleźć. Potrzeba nie więcej niż pięciu telefonów do kogoś, kto zna kogoś, kto zna kogoś innego. Roxy nie tłumaczy, dlaczego pyta, bo nie musi – jest Roxy Monke i każdy chętnie jej pomoże. Te panny siedzą teraz w pubie w Vauxhall, wypily, świetnie się bawią i będą aż do zamknięcia.

Roxy ma w mieście kilka dobrych dziewczyn. Pracują dla niej, zbierają kasę i stawiają do pionu, kogo trzeba. Faceci też by się nadawali, niektórzy byliby naprawdę w porządku, ale jest lepiej, kiedy nie trzeba używać broni. Pistolet to niepotrzebny hałas, zwraca uwagę, robi zamieszanie. Krótka sprzeczka i gotowe podwójne morderstwo plus trzydzieści lat w pierdłu. Na akcję taką jak ta zabiera się dziewczyny. Tylko że kiedy ubiera się i schodzi na dół, Darrell czeka przy drzwiach. Z kaburą na ramieniu.

– Co jest? – pyta Roxy.

– Idę z tobą – odpowiada Darrell.

Roxy przez chwilę rozważa, czy nie powiedzieć: „Fajnie”, a potem, kiedy Darrell się odwróci, nie znokautować go na czysto. Ale po historii z Rickym to byłoby nie fair.

– Trzymasz się na uboczu – mówi.

– Spoko. Będę stał z tyłu.

Jest od niej młodszy, ale tylko o parę miesięcy. To zawsze było trudne do

zniesienia. Że Bernie posuwał ich matki w tym samym czasie.

Chwyta go za ramię i ściska. Potem dzwoni jeszcze po dwie dziewczyny. Vivikę, która nosi długą rozwidloną elektryczną pałkę, i Danni, która lubi używać metalowej siatki. Biorą trochę towaru przed wyjściem i w głowie Roxy zaczyna grać muzyka. Czasami dobrze jest iść na wojnę, choćby dlatego, żeby się przekonać, że można.

Śledzą trójkę dziewczyn od wyjścia z pubu aż do parku. Dziewczyny idą przez park, krzycząc i popijając. Zrobiło się już po pierwszej. Noc jest gorąca, powietrze wydaje się wilgotne, jakby nadchodziła burza. Roxy i jej grupa mają ciemne ubrania i poruszają się po cichu. Tymczasem dziewczyny biegną do karuzeli stojącej na placu zabaw. Rozsiadają się na krzeselkach, wpatrują w gwiazdy i podają sobie butelkę.

– Teraz – mówi Roxy.

Karuzela jest metalowa. Błyskawica i jedna z dziewczyn pada na ziemię z pianą na ustach, w drgawkach. Dwie na ich czworo. Bułka z masłem.

– Co jest? – pyta dziewczyna w granatowej wiatrówce. Ricky powiedział, że to przywódczyni. – Co wy, kurwa, wyprawiacie? Nawet was nie znam.

Puszcza między dłońmi ostrzegawczy, jasno świecący łuk.

– Czyżby? – odzywa się Roxy. – Ale dobrze znasz mojego brata, co? Ricky’ego? Poderwałyście go wczoraj w klubie, no nie? Ricky’ego Monke’a?

– O kurwa – mówi trzecia dziewczyna, ubrana w skórzane spodnie.

– Zamknij się – odpowiada tamta. – Nie znamy twojego zasranego brata, jasne?

– Sam – nie odpuszcza ta w skórkach – weź przestań. – Zwraca się do Roxy proszącym tonem. – Nie wiedziałyśmy, że to twój brat. Nic nie powiedział.

Sam mamrocze coś, co brzmi jak „sam tego chciał”.

Dziewczyna w skórzanych spodniach podnosi ręce do góry i cofa się o krok. Darrell wali ją w tył głowy ręką pistoletu, a ona pada w przód, twarzą na trawę.

Zostało cztery na jedną. Podchodzą bliżej. Danni poprawia siatkę w dłoni.

– Sam się prosił. Błagał nas, skurwieli. Skamlał jak pies, łąził za nami, opowiadał, co chce, żebyśmy mu zrobiły. Mały brudny chujek, dobrze wiedział,

czego chce, ciągle nie miał dosyć, piszczał, żebyśmy go zajeżdżyły, zlizywałyby nasze siki, gdybyśmy mu zrobiły kałużę, taki właśnie jest twój pierdolony braciszek. Wygląda jak niewiniątko, ale chłopczyk lubi się puścić – mówi Sam.

No dobra. Może to prawda, może nie. Roxy już niejedno widziała. Ale i tak nie powinny ruszać Monke'a, to chyba jasne. Pogada po cichu z kumplami Ricky'ego, po wszystkim, i może trzeba mu powiedzieć, żeby się nie wygłupiał; jak ma ochotę na takie rzeczy, to Roxy może mu znaleźć jakąś bezpieczną dziewczynę.

– Zamknij mordę i nie mów tak o moim bracie! – wrzeszczy nagle Darrell i zamierza się na Sam ręką pistoletu, ale ona jest szybsza, a pistolet jest metalowy, więc kiedy go chwytą, Darrell jęczy i uginają się pod nim kolana.

Sam chwytą go ramieniem. Darrell się trzęsie, musiała go porządnie porazić. Oczy ma wywrócone. Kurwa. Jak uderzą w nią, uderzą też w niego.

Kurwa.

Sam zaczyna się cofać.

– Tylko trzymajcie się z daleka – mówi. – Albo go załatwię, jak załatwiłam twojego Ricky'ego. Mogę mu zrobić coś o wiele gorszego.

Darrell ma łzy w oczach. Roxy widzi, że Sam ciągle razi go prądem, w szyję, w gardło, w skronie. Skronie bolą najbardziej.

– Tak się nie skończy – mówi Roxy cicho. – Możesz uciec, ale i tak cię dopadniemy.

Sam pokazuje zęby w uśmiechu.

– To może załatwię go od razu, dla przyjemności.

– Niezbyt mądrze – odpowiada Roxy – bo wtedy będziemy musiały cię zabić.

Kiwa głową do Viv, która w międzyczasie zaszła Sam od tyłu. Viv robi zamach swoją pałką i wali dziewczynę w głowę, jakby chciała przebić młotkiem ścianę.

Sam odwraca lekko głowę, widzi, co się dzieje, ale nie daje rady odepchnąć Darrella i schylić się na czas. Pałka trafia ją w brzeg oczodołu i bucha krew. Sam krzyczy krótko i wali się na ziemię.

– Ja pierdołę – mówi Darrell, szcękając zębami. Trzęsie się i płacze; na to nie mogą nic poradzić. – Gdyby zobaczyła, co chcecie zrobić, zabiłaby mnie.

– Ale jednak żyjesz, co? – odpowiada Roxy. Nie mówi, że nie powinien być rzucać się na Sam, i to musi mu wystarczyć.

Potem starannie robi szramy trzem dziewczynom. Żeby nie zapomniały. Ricky nigdy nie zapomni. Zostawia je z siatką czerwonych pajęczyn na twarzach. Robi zdjęcia telefonem, żeby Ricky mógł wszystko obejrzeć. Szramy i wybite oko.

Kiedy wracają, tylko Barbara jeszcze nie śpi. Darrell idzie się położyć, ale Roxy siada przy stole w kuchni, a Barbara przegląda zdjęcia, kiwając głową. Twarz ma bez wyrazu.

– Żyją?

– Nawet wezwaliśmy im pogotowie.

Barbara mówi:

– Dziękuję ci, Roxanne. Jestem ci wdzięczna. Zrobiłaś naprawdę dobrą rzecz.

Roxy odpowiada:

– No.

Słysząc tykanie zegara.

Barbara mówi dalej:

– Przepraszam, że byłam dla ciebie niemila.

Roxy podnosi jedną brew.

– Wiesz, Barbara, „niemila” to kiepskie określenie.

Brzmi to bardziej surowo, niż zamierzała, ale wiele się wydarzyło w jej dzieciństwie. Wszystkie te urodziny, na które nie mogła przyjść, prezenty, których nie dostawała, obiady rodzinne, na które nikt jej nie zapraszał, nie mówiąc o dniu, kiedy Barbara przyszła do nich pod dom i oblała okna farbą.

– Nie musiałaś robić tego dzisiaj dla Ricky’ego. Nawet się nie spodziewałam.

– Widzisz, niektórzy nie chowają urazy.

Barbara wygląda, jakby Roxy dała jej w twarz.

– Ale w porządku – mówi Roxy, bo teraz już jest w porządku. Chyba od kiedy Terry zginął. Przygryza wargę. – Nigdy mnie nie lubiłaś, z powodu mamy. I nie spodziewałam się, że będziesz dla mnie miła. W porządku. Nie wchodzimy sobie w drogę i OK. To tylko interesy.

Przeciąga się, zwój napina jej się w piersi, nagle ogarnia ją zmęczenie.

Barbara spogląda na Roxy, mrużąc oczy.

– Są rzeczy, których Bern ciągle ci nie powiedział. O interesach. Nie wiem dlaczego.

– Trzyma dla Ricky’ego.

– Pewnie tak – mówi Barbara. – Ale Ricky już tego nie weźmie.

Wstaje od stołu i podchodzi do szafki. Z trzeciej półki zdejmuje torebki z mąką, cukrem, herbatniki. Z tyłu wsuwa paznokieć w niemal niewidoczne pęknięcie i otwiera ukryty schowek, szeroki na dłoń. Wyjmuje trzy czarne notesy, spięte gumką.

– Kontakty – mówi. – Goście z narkotykowego. Trefni policjanci. Kupieni lekarze. Już od paru miesięcy powtarzam, że Bernie powinien ci to dać. Żebyś mogła sprzedawać brokat na własną rękę.

Roxy wyciąga dłoń i bierze notesy. Ciężą jej w dłoni. Cała wiedza o tym, jak prowadzić biznes, w jednej paczce.

– Za to, co zrobiłaś dzisiaj dla Ricky’ego – dodaje Barbara. – Załatwię to z Bernie.

Bierze swój kubek z herbatą i idzie do łóżka.

Roxy wraca do siebie i przez całą noc przegląda notesy, zapisując różne rzeczy i robiąc plany. Są tam kontakty nawiązane przed wielu laty, nazwiska ludzi, których ojciec szantażował albo przekupywał – zresztą przekupstwa zwykle kończyły się szantażem. Barbara nie ma pojęcia, co jej dała – z tym zapleczem Roxy może spokojnie handlować w całej Europie. Rodzina Monke może zarobić kasę, jakiej nikt nie widział od czasów prohibicji.

Uśmiecha się do siebie i przytupuje pod stołem, kiedy nagle jej wzrok zatrzymuje się na kilku nazwiskach; czuje, że tu jest coś ważnego.

Musi się przez chwilę zastanowić. Jakiś fragment jej umysłu już wie i każe jej odczytywać te nazwiska raz za razem, aż wreszcie rozumie. Jedno nazwisko. Policjant. Detektyw Newland. Newland.

Nigdy nie zapomni, co powiedział Primrose przed śmiercią. Nigdy nie zapomni tamtego dnia.

„Newland mówił, że nie będzie cię w domu”.



To ten gliniarz, Newland. Należał do planu zabicia jej mamy, a ona nie miała pojęcia, kim jest, aż do tej chwili. Myślała, że już dawno wszystko zostało załatwione, ale teraz, kiedy widzi jego nazwisko i przypominają jej się słowa Primrose'a, myśli: Kurwa. Jakiś lewy gliniarz, który dawał cynk tacie i jednocześnie Primrose'owi. Lewy gliniarz, który obserwował nasz dom i informował, kiedy mnie nie będzie.

Wystarczy parę chwil w internecie. Detektyw Newland mieszka teraz w Hiszpanii. Emerytowany policjant. W małym miasteczku. Najwyraźniej nie przypuszcza, że ktoś może go szukać.

Nie miała zamiaru mówić Darrellowi, tylko że akurat przyszedł podziękować za to, co zrobiła dla Ricky'ego, i że uratowała mu życie.

Powiedział:

– Oboje wiemy, co dalej. Ricky wypada z gry. Gdybym mógł ci jakoś pomóc, Rox, tylko powiedz. Powiedz, co mogę zrobić.

Może zaczął myśleć podobnie jak ona – że trzeba zaakceptować zmianę, popłynąć z nią, znaleźć swoje miejsce.

Więc powiedziała mu, po co jedzie do Hiszpanii. On na to:

– Pojadę z tobą.

Roxy rozumie, o co ją prosi. Ricky nie wróci do roboty pewnie przez długie lata, może już nigdy, i na pewno nie taki jak kiedyś. Ubywa im członków rodziny. Darrell chce, żeby ona była jego rodziną.

Miasteczko łatwo znaleźć. Nawigacja, wynajęty samochód i są na miejscu w mniej niż godzinę od lądowania w Sewilli. Nie muszą się jakoś specjalnie szykować. Przez dwa dni obserwują dom przez lornetkę – wystarczy, żeby się dowiedzieć, że facet mieszka sam. Zatrzymują się w hotelu niedaleko, ale też niezbyt blisko. Czterdzieści kilometrów. Miejscowi policjanci nie będą tam szukać, na pewno nie w razie rutynowego dochodzenia. Darrell dobrze sobie radzi. Konkretny, ale z poczuciem humoru. Nie wtrąca się do jej decyzji, ale ma kilka dobrych pomysłów. Roxy myśli: Czemu nie. Jeżeli Ricky odpada, to czemu nie. To się może udać. Następnym razem, jak będzie wyjeżdżał, zabierze go do fabryki.

Trzeciego dnia o świcie przerzucają sznur przez ogrodzenie, przechodzą na drugą stronę i czekają w krzakach. Facet wreszcie wychodzi z domu. Jest ubrany w szorty i rozciągnięty podkoszulek. W jednej ręce trzyma kanapkę, a w drugiej telefon.

Roxy czekała na coś, na jakiś strach; myślała, że się posika albo wyskoczy na niego w furii, albo zacznie płakać. Ale kiedy patrzy w jego twarz, jest tylko zainteresowana. Domykająca się sprawa – dopasowany kawałek. Człowiek, który pomógł zabić jej mamę. Ostatni ruch.

Wychodzi z krzaków prosto na niego.

– Newland – mówi. – Nazywasz się Newland.

On patrzy na nią z otwartymi ustami. Nadal trzyma swoją kanapkę. Mija sekunda, zanim zacznie się bać, a w tej sekundzie wyskakuje Darrell, wali go w głowę i wpycha do ogrodowego basenu.

Słońce jest już wysoko na niebie, kiedy Newland odzyskuje przytomność. Pływa twarzą do góry. Chwilę się chlapie, a potem staje na środku basenu, kaszląc i trąc oczy.

Roxy siedzi na brzegu z palcami zanurzonymi w wodzie.

– Elektryczność dobrze rozchodzi się w basenie. Szybko – mówi.

Newland nieruchomieje.

Roxy przechyla głowę na prawo i lewo, rozciągając mięśnie. Jej zwój jest naładowany.

Newland zaczyna coś mówić. Może: „Nie wiem...” albo „O co chodzi...”, ale ona wysyła do wody mały ładunek, wystarczający, żeby poczuł klucie na całym mokrym ciele.

Mówi:

– Detektywie Newland, będzie nudno, jak zaczniesz się wszystkiego wypierać.

– Co jest, do cholery – odpowiada Newland. – Nie wiem nawet, kim jesteście. Jeżeli chodzi o Lisę, to dostała swoją kasę już dawno. Dwa lata temu, co do grosza, i więcej się w to nie mieszam.

Roxy wysyła kolejne wyładowanie.

– Pomyśl jeszcze raz. Popatrz na mnie. Nikogo ci nie przypominam? Nie

jestem może czyjaś córką?

Wtedy on zgaduje, od razu. Widać to po jego twarzy.

– Kurwa – mówi. – Chodzi o Christinę.

– Właśnie – odpowiada Roxy.

– Proszę – mówi Newland, a ona wysyła porządne uderzenie, na tyle mocne, że Newland zaczyna szczękać zębami, sztywnieje i robi pod siebie prosto do wody. Brązowożółta chmura rozchodzi się za jego plecami jak wyrzucona z węża ogrodowego.

– Rox – mówi cicho Darrell. Siedzi za nią na leżaku, z dłonią na kolbie pistoletu.

Roxy przestaje. Newland zapada się w wodę, szlochając.

– Nie mów „proszę” – rozkazuje Roxy. – Tak mówiła moja mama.

On rozciera ramiona, próbując odzyskać czucie.

– Już po tobie, Newland. Powiedziałaś Primrose’owi, gdzie mieszka moja mama. Przez ciebie ją zabili i teraz ja zabiję ciebie.

Newland rzuca się do brzegu basenu i Roxy znowu razi go prądem przez wodę. Kolana mu się uginają i pada, a potem zostaje tak w wodzie, twarzą do dołu.

– Kurwa mać – mówi Roxy.

Darrell bierze bosak i przyciąga go do brzegu, a potem wyciągają go z wody.

Kiedy Newland znowu otwiera oczy, Roxy siedzi mu na piersi.

– Umrzesz tutaj, Newland – mówi Darrell bardzo spokojnie. – To koniec, stary. Twoje życie się skończyło. To twój ostatni dzień i nie możesz nam powiedzieć nic, żeby to zmienić, rozumiesz? Ale jeżeli wszystko będzie wyglądało jak wypadek, to ktoś dostanie twoje ubezpieczenie na życie. Twoja mama, co? I brat? Możemy załatwić, żeby tak wyglądało. Nie jak samobójstwo. Rozumiesz?

Newland wykasłuje brudną wodę.

– Przez ciebie zabili moją mamę, Newland – mówi Roxy. – To po pierwsze. I muszę teraz moczyć tyłek twoją zasną wodą. To po drugie. Jeżeli dojdzie jeszcze trzecie, poczujesz taki ból, że sobie nie wyobrażasz. Chcę się dowiedzieć od ciebie tylko jednej rzeczy.

Teraz jej słucha.

– Co takiego dał ci Primrose, Newland, za informacje o mojej mamie? Co było warte ściągania sobie na kark rodziny Monke? Co było warte takiej ceny?

On patrzy zdumiony najpierw na nią, potem na Darrella, jakby robili sobie z niego żarty.

Roxy łapie go za twarz i razi go w szczękę, koło ucha.

Newland krzyczy.

– No dalej – przynagła go.

Newland z trudem łapie powietrze.

– Przecież wiecie? – sapie. – Żartujecie sobie ze mnie?

Roxy znowu zbliża dłoń do jego twarzy.

– Nie! – woła Newland. – Nie! Dobrze wiesz, co się stało, ty głupia suko, to był twój ojciec! Primrose za nic mi nie płacił, tylko Bernie! Bernie Monke kazał mi to zrobić. Pracowałem tylko dla Berniego, dla nikogo więcej; to Bernie powiedział, żebym udawał, że zdradzam Primrose'owi informacje, żebym powiedział, kiedy twoja mama będzie sama w domu. Ty nie miałaś tego wszystkiego widzieć. Bernie chciał, żeby twoja matka zginęła, a ja nie zadawałem pytań. Tylko mu pomogłem. To Bernie. Twój ojciec. Bernie.

Powtarza to imię raz za razem, jakby to było zaklęcie, które może go uwolnić.

Niewiele się dowiadują poza tym. Wiedział, że mama Roxy była kobietą Berniego, jasne, że wiedział. Powiedzieli mu, że zdradziła Berniego i dlatego trzeba ją zabić – no tak, tak to było.

Kiedy rozmowa jest skończona, wpychają go z powrotem do basenu i Roxy puszcza tam błyskawicę, tylko raz. Będzie wyglądało, jakby dostał ataku serca, wpadł do wody, zrobił pod siebie i utonął. Dotrzymują słowa. Przebierają się i wynajętym samochodem wracają na lotnisko. Nie zrobili nawet dziury w płocie.

W samolocie Roxy pyta:

– I co teraz?

A Darrell odpowiada pytaniem:

– Czego ty chcesz, Rox?

Roxy siedzi przez chwilę, zamyślona, czując w sobie moc, krystaliczną i pełną. Zabicie Newlanda to było coś. Widzieć, jak sztywnieje, a potem opada.

Przypomina sobie, co mówiła Ewa: że wiedziała, że Roxy się pojawi. Że zna jej przeznaczenie. Że to ona ma stworzyć nowy świat. Że będzie miała moc, która zmienia wszystko.

– Chcę sprawiedliwości – odpowiada. – A potem chcę wszystkiego. Chcesz być ze mną? Czy przeciwko mnie?

Kiedy przychodzą do niego, Bernie siedzi w biurze i przegląda papiery. Wygląda staro. Nie ogolił się porządnie, na szyi i podbródki sterczą mu kępki włosów. Ostatnio zaczął też nieciekawie pachnieć, jak stary ser. Roxy nigdy wcześniej nie myślała, że Bernie się starzeje. Oni z Darrellem są najmłodsi. Ricky ma trzydzieści pięć lat.

Wiedział, że przyjdą. Barbara musiała mu powiedzieć, że dała Roxy notesy. Uśmiecha się do nich, kiedy wchodzi. Darrell z tyłu, z nabitym pistoletem.

– Musisz zrozumieć, Rox – mówi Bernie. – Kochałem twoją mamę. A ona mnie nie, tak myślę. Chciała tylko skorzystać, ile się da.

– Dlatego ją zabiłeś?

Bernie wciąga mocno powietrze nosem, jakby te słowa go zaskoczyły.

– Nie mam zamiaru błagać – mówi. Patrzy na dłonie Roxy, na jej palce. – Wiem, jak to jest, i trudno, ale musisz zrozumieć, że to nie było nic osobistego, tylko interesy.

– To była rodzina, tato – odzywa się Darrell bardzo cicho. – Rodzina jest zawsze osobista.

– Prawda – przyznaje Bernie. – Ale przez nią zabili Ala i Wielkiego Micka. Rumuni jej zapłacili, żeby im powiedziała, gdzie będą chłopaki. Ryczałem jak głupi, kiedy mi powiedzieli, że to ona. Naprawdę, córca. Ale przecież nie mogłem tego tak zostawić, chyba rozumiesz? Nie ma nikogo... musisz to zrozumieć, nikomu nie mógłbym pozwolić na takie rzeczy.

Roxy sama robiła podobne kalkulacje, i to nie raz.

– Miałaś tego nie widzieć, złotko.

– Nie wstyd ci, tato? – pyta Roxy.

On wysuwa podbródek do przodu, przygryza język.

– Przykro mi, że tak się stało. Przykro mi, że tak to wyszło. Nigdy nie chciałem, żebyś przez to przechodziła, i zawsze się tobą opiekowałem. Jesteś moją dziewczynką.

Milknie na chwilę.

– Twoja mama zraniła mnie bardziej, niż umiem powiedzieć. – Wydycha powietrze przez nos, ciężko, jak byk. – Normalnie grecka tragedia. Nawet gdybym wiedział, jak się wszystko skończy, i tak bym to zrobił, nie będę zaprzeczać. I jeżeli teraz masz zamiar mnie zabić... trudno, jest w tym jakaś sprawiedliwość.

Siedzi całkowicie spokojny, czekając na koniec. Pewnie setki razy wyobrażał sobie tę chwilę, zastanawiał się, kto przyjdzie go załatwić, przyjaciel czy wróg, czy może guz rosnący w brzuchu, chyba że jednak dożyje sobie starości. Musiał brać pod uwagę, że może przyjść właśnie ona, i dlatego teraz zachowuje spokój.

Roxy wie, jak będzie. Jeżeli go zabije, to się nigdy nie skończy. Tak samo było z Primrose'em, w końcu musiała polać się krew. Jeśli będzie zabijać każdego, kto ją wkurzy, w końcu ktoś przyjdzie zabić ją.

– Wiesz, co będzie sprawiedliwe, tato? – mówi. – Jak zrobisz wypad. Spierdalaj. I powiedz wszystkim swoim kumplom, że przekazujesz mi interes. Nie będzie więcej jatek, nikt nie przyjdzie mi nic zabrać ani mścić się za ciebie, żadnych greckich tragedii. Załatwimy to pokojowo. Ty się wycofujesz, ja dam ci ochronę, a potem ty wypierdalasz jak najdalej stąd. Znajdziemy ci jakieś bezpieczne miejsce. Jedź sobie gdzieś na plażę.

Bernie kiwa głową.

– Zawsze była z ciebie mądra dziewczyna – mówi.

## Jocelyn

W ich obozie NorthStar zdarzały się już groźby śmierci albo zamachów bombowych, ale do tej pory nigdy nie było prawdziwego ataku.

Jocelyn ma wartę. Jest ich pięć wartowniczek, lustrują teren przez lornetki. Jak się bierze dodatkowe zajęcia, zostaje na noc i odpracuje u nich później dwa lata, to płacą za studia. Dobry układ. Margot mogłaby zapłacić za studia Jocelyn, ale lepiej wygląda, jeśli Jos robi to samo, co wszystkie dziewczyny. Maddy ma zwój w porządku, rozwija się bez żadnych problemów. Już teraz, jako piętnastolatka, mówi, że chce wstąpić do kadetek. Dwie córki w wojsku, co może być lepszego na początek kampanii prezydenckiej?

Jocelyn wpół drzemie na posterunku, kiedy rozlega się alarm. Alarmy się zdarzają – czasem lis, czasem kojot, a czasem pijane nastolatki, próbujące sforsować płot, żeby wygrać zakład. Jocelyn kiedyś o mało nie umarła z przerażenia, gdy od strony pojemników na śmieci za stołówką dobiegły nagle przeraźliwe krzyki, a po chwili z kubła wyskoczyły dwa wielkie szopy pracze, które zaczęły się ganiać i gryźć.

Dziewczyny śmiały się, że się tak wystraszyła. Zresztą często się z niej śmieją. Wcześniej chodziła z Ryanem i to było super, fajne, zabawne i ekscytujące. Ten związek był wyjątkowy, mieli swój sekret. Ale później wszystko się wydało, zaczęły się zdjęcia z ukrycia i dziennikarze pod domem. Dziewczyny z obozu się dowiedziały. I pojawiły się szeptane rozmowy z chichotami, które cichły, kiedy wchodziła do pokoju. Jocelyn czytała wypowiedzi kobiet, które żałowały, że mają moc, i mężczyzn, którzy żalowali, że jej nie mają, i czuła się dezorientowana. Sama najbardziej chciałaby być normalna. Zerwała z Ryanem; on płakał, a ona nie mogła, jakby w środku wszystko miała zatkać korkiem. Mama wzięła ją do prywatnego lekarza, który dał jej coś, żeby czuła się normalnie. I w sumie tak się czuje. W zasadzie.

Biorą długie pałki z ostrymi elastycznymi paskami metalu na końcach i wychodzą w teren, spodziewając się znaleźć jakieś zwierzę, które usiłuje sforsować ogrodzenie. Tylko że trafiają na trzech mężczyzn w kominiarkach,

z kijami bejsbolowymi. Są przy agregacie. Jeden trzyma wielkie nożyce do metalu. Atak terrorystyczny.

Wszystko dzieje się szybko. Dakota, najstarsza, szepcze do Hayden, najmłodszej, żeby biegła po ludzi z kadry NorthStar. Reszta ustawia się w zwartym szyku, blisko siebie. W innych obozach zdarzali się mężczyźni z nożami, strzelbami, a nawet granatami czy bombami własnej produkcji.

Dakota woła:

– Odłóżcie broń!

Oczy mężczyzn są zmrużone i nieczytelne. Przyszli zrobić coś złego.

Dakota macha latarką.

– W porządku, chłopaki – mówi. – Zabawiliście się, ale was złapałyśmy. Odłóżcie to.

Jeden z mężczyzn coś rzuca – granat dymny, który od razu tworzy gęstą skłębioną zasłonę. Drugi nożycami przecina jakiś przewód w agregacie i rozlega się huk. Gasną wszystkie latarnie i lampy. Jest tylko noc, czarne niebo, gwiazdy i mężczyźni, którzy przyszli je zabić.

Jocelyn świeci latarką wokół siebie. Jeden z mężczyzn walczy z Dakotą i Samarą, wywija kijem, krzycząc chrapliwie. Kij uderza w głowę Samary. Pojawia się krew. Jezu, krew. Przecież szkoła się tutaj, wszystkie dziewczyny są przeszkolone; takie rzeczy nie mają prawa się zdarzać. Mają moc, więc dlaczego to się dzieje? Tegan rzuca się na faceta jak wilczyca, razi go w kolano, ale on kopie ją prosto w twarz – i co tam łśni mu pod kurtką, co on ma, co to, do cholery, jest? Jocelyn rzuca się w jego kierunku, powali go i zabierze mu to coś, ale nagle czyjaś ręka łapie ją za kostkę i Jos leci do przodu, twarzą w piach.

Staje na czworakach i przesuwając się w stronę latarki, którą upuściła, ale zanim jej dosięgnie, ktoś podnosi latarkę i świeci prosto na nią. Jocelyn czeka na cios, ale to Dakota trzyma światło. Dakota, z siniakiem na policzku, a obok niej Tegan. I jeden z mężczyzn, klęczący na ziemi u stóp Tegan. To chyba ten, który ją kopnął. Ma ściągniętą kominiarkę i widać, że jest młody. Młodszy, niż sądziła. Może tylko rok czy dwa lata starszy od niej. Ma rozciętą wargę, a na szczęce szramę w kształcie błyskawicy.

– Mamy go – mówi Dakota.

– Spadajcie – mówi chłopak. – Walczymy o wolność!



Tegan chwyta go za włosy, podnosi mu głowę i razi znowu, pod uchem, w jedno z wrażliwszych miejsc.

– Kto cię tu przysłał? – pyta Dakota.

Ale on milczy.

– Jos – rozkazuje Dakota. – Pokaż mu, że z nami nie ma żartów.

Jocelyn nie wie, gdzie podziały się pozostałe dwie dziewczyny.

– Nie powinnyśmy zaczekać na instruktorów? – mówi.

Dakota parska pogardliwie.

– Ale psita. Nie umiesz, co?

Chłopak kuli się na ziemi. Nie trzeba mu niczego pokazywać; nie ma żadnej potrzeby go razić.

Tegan pyta drwiąco:

– Może on ma zwój? Chyba wołałaby go wyruchać.

Rozlega się śmiech. Tak, tak, ona właśnie to lubi. Cudaczne kaleki. Obrzydliwych, dziwacznych, odrażających facetów. Takie ma upodobania.

Jeżeli teraz zacznie płakać, nigdy nie zapomną. A zresztą wcale nie jest taka. Wcale aż tak bardzo nie podobało jej się z Ryanem; wiele o tym myślała po ich rozstaniu i inne dziewczyny chyba mają rację. Lepiej jest z chłopakiem, który nie ma żadnej mocy; w każdym razie bardziej normalnie. Od tamtej pory poszła jeszcze z dwoma chłopakami do łóżka, z takimi, którzy lubili, jak ich lekko porazić, i nawet sami prosili, szepcząc jej cicho do ucha: „Proszę”. Tak jest lepiej i chciałaby, żeby wszyscy zapomnieli, że Ryan w ogóle istniał; ona sama już o nim zapomniała, to była tylko zabawa nastolatków, lekarstwa jej pomogły i ma teraz zupełnie normalną moc. Jest zupełnie normalna, jak wszyscy.

Więc co by teraz zrobiła normalna dziewczyna?

Dakota mówi:

– Wal się, Cleary. Ja się tym zajmę.

A Jocelyn odpowiada:

– Sama się wal.

Odpycha Dakotę, pochyla się i razi chłopaka w głowę. Tak, żeby mu dać nauczkę, żeby wiedział, co go czeka, jeżeli będzie z nimi zadzierał.

Ale jest roztrzęsiona. Trener ostrzegał, żeby uważała na takie sytuacje. Przez

jej ciało przechodzą skoki napięcia. Hormony wszystko zaburzają.

Już kiedy wyładowanie odrywa się od jej palców, Jocelyn czuje, że przesadziła. Próbuje zatrzymać moc, ale jest za późno.

Skóra na głowie chłopaka marszczy się pod jej dłonią.

On zaczyna krzyczeć.

W jego czaszce wszystko się gotuje. Delikatne tkanki rozpadają się i skleją. Moc niszczy mu mózg szybciej niż myśl.

Jocelyn nie może tego powstrzymać. Stało się coś złego. Nie chciała nikogo skrzywdzić.

Roznosi się smród spalonych włosów i skóry.

– Ja pierdolę – mówi Tegan.

I nagle zapala się nad nimi światło. To dwoje ludzi z kadry NorthStar, mężczyzna i kobieta. Jos ich zna, to Esther i Johnny. Wreszcie. Musieli odpalić zapasowy agregat. Jocelyn myśli teraz bardzo szybko, chociaż jej ciało porusza się powoli. Dłoń ma ciągle na głowie chłopca. Wokół palców snuje się smużka bladego dymu.

Johnny szepcze:

– Jezus Maria.

– Było ich więcej? – pyta Esther. – Hayden mówiła, że było trzech.

Dakota nadal wpatruje się w chłopaka. Jocelyn odejmuje palce od jego głowy, jeden za drugim, i wcale o tym nie myśli. Czuje, że jeżeli zacznie myśleć, zapadnie się w głęboką czarną toń. Od tej pory czeka na nią czarny ocean, i zawsze będzie czekał. Odejmuje palce, nie myśląc nic; podnosi lepką dłoń, nie myśląc, a ciało chłopca wali się do przodu, twarzą na ziemię.

Esther mówi:

– Johnny, idź po pielęgniarkę. Już.

Johnny też wpatruje się w chłopaka. Parska nerwowym śmiechem i powtarza:

– Po pielęgniarkę?

Esther mówi:

– Ale już. Idź i przyprowadź tu pielęgniarkę.

Johnny przętyka nerwowo, patrzy po kolei na Jocelyn, Tegan i Esther. Kiedy spogląda na Esther, szybko kiwa głową. Cofa się o kilka kroków, a potem

odwraca i rusza biegiem w ciemność.

Esther rozgląda się dokoła.

Dakota zaczyna mówić:

– Było tak, że...

Ale Esther kręci stanowczo głową.

– Zobaczmy – mówi.

Kłęka przy ciele chłopaka, przewraca je jedną ręką, szuka czegoś w kurtce. Dziewczyny nie za dobrze widzą, co robi. Wyciąga gumę do żucia, plik ulotek jakiejś męskiej grupy oporu. A potem słychać znajome, ciężkie metalowe szczęknięcie.

Esther sięga za plecy chłopca, a w dłoni ma pistolet. Solidny, z tępo zakończoną lufą, wojskowy.

– Celował do ciebie z broni – mówi Esther.

Jocelyn marszczy brwi. Rozumie, ale nie umie zatrzymać słów protestu.

– Nie, wcale nie. On tylko...

Przerywa, kiedy jej rozum odzyskuje kontrolę.

Esther zaczyna mówić, spokojnym i swobodnym głosem. Jakby się jednocześnie uśmiechała. Jakby objaśniała kolejne etapy konserwowania sprzętu. Najpierw odłącz zasilanie, potem nałóż środek poślizgowy, potem śrubą dociągnij opaskę. Proste. Jedna rzecz, potem następna. Jeden, dwa, trzy. Tak to musi być.

Wyjaśnia:

– Zobaczyłaś, że ma pistolet w kieszeni kurtki i że sięga po niego. Wcześniej was zaatakował. Dostrzegłaś wyraźne i bezpośrednie zagrożenie. Wyciągnął broń, a ty użyłaś odpowiednich środków, żeby go zatrzymać.

Esther odgina palce chłopaka i zaciska wokół rękojeści pistoletu.

– Tak będzie prościej. Trzymał pistolet – ciągnie. – Składał się do strzału.

Spogląda po kolei na dziewczyny, patrząc każdej w oczy.

Tegan odzywa się:

– Tak właśnie było. Widziałam, jak sięgał po broń.

Jocelyn patrzy na pistolet w stygnących palcach chłopaka. Niektórzy ludzie z obozowej kadry mają własną, niezarejestrowaną broń. Jej mama zmusiła

nawet „New York Timesa” do wycofania artykułu na ten temat, pod zarzutem, że zagroziłby bezpieczeństwu narodowemu. Może miał ten pistolet w kieszeni. Może zamierzał do nich strzelać. Ale jeśli byli uzbrojeni, po co używali kijów bejsbolowych?

Esther kładzie dłoń na ramieniu Jocelyn.

– Jesteś bohaterką, żołnierko – mówi.

– Tak – odpowiada Jocelyn.

Opowiadanie tej historii z każdym kolejnym razem staje się łatwiejsze. Oczyma wyobraźni Jocelyn zaczyna widzieć, co się zdarzyło, więc kiedy występuje w ogólnokrajowej telewizji, właściwie prawie to pamięta. Przecież widziała coś metalowego pod kurtką jednego z mężczyzn. To mógł być pistolet. Może dlatego użyła takiej mocy. Tak, pewnie dlatego, że wiedziała.

Uśmiecha się do kamery. Nie, mówi, nie czuję się jak bohaterka. Na moim miejscu każdy zrobiłby to samo.

Ależ skąd, mówi Fiona. Ja na pewno bym nie mogła. A ty, Matt?

Matt, śmiejąc się, odpowiada: Nawet bym nie mógł na to patrzeć! Jest bardzo przystojny i co najmniej o dziesięć lat młodszy od Fiony. Centrala go znalazła. Tak na próbę. A skoro już przy tym jesteśmy, może nosiłabyś okulary na wizji, co ty na to, Fiona? Wyglądałabyś poważniej. Zobaczymy, jak pójdzie z oglądalnością. Spróbujemy, co? Może się sprawdzić.

Twoja mama musi być naprawdę dumna, Jocelyn.

Jest dumna. Zna część historii, ale nie całą. Dzięki niej miała w rozmowach z Departamentem Obrony argument za wprowadzeniem programu obozów szkoleniowych NorthStar we wszystkich pięćdziesięciu stanach. To dobrze zorganizowany program, powiązany ze szkolnictwem, a armia daje im nagrody za każdą dziewczynę, która trafia do wojska i może od razu przystąpić do służby. Wojskowi lubią Margot Cleary.

Tyle się słyszy w wiadomościach ostatnio, mówi Matt, ale ta wojna w Europie Wschodniej, o co tam w ogóle chodzi? Najpierw wygrywa Mołdawia Południowa, teraz – Północna, a jeszcze angażuje się w to Arabia Saudyjska... Matt wzrusza bezradnie ramionami. Dobrze wiedzieć, że mamy młode kobiety takie jak ty, przygotowane do obrony swojego kraju.

Oczywiście, mówi Jocelyn, tak jak było ustalone. Nie wiedziałabym, co zrobić, gdyby nie szkolenia w obozie NorthStar.

Fiona po przyjacielsku kładzie jej dłoń na kolanie. Zostaniesz z nami jeszcze chwilę, Jocelyn? Po przerwie wypróbujemy kilka wspaniałych przepisów na ciastka z cynamonem na nadchodzącą jesień.

Z przyjemnością!

Matt uśmiecha się do kamery. Ja czuję się bezpieczniej, kiedy jesteś w pobliżu. A teraz prognoza pogody.



*Posążek „Królowej kapłanki” znaleziony w skarbcu w Lahore. Sama figurka jest znacznie starsza niż podstawa, wykonana z przedmiotu użytkowego z ery Katakliizmu. Analiza podstawy, mimo zniszczeń, wykazała, że była ona pierwotnie oznaczona motywem „nadgryzionego owocu”. Obiekty ozdobione tym symbolem często występują wśród znalezisk z ery Katakliizmu; do dzisiaj nie udało się jednoznacznie ustalić ich przeznaczenia.*

*Według niektórych hipotez był to symbol religijny, o czym świadczyłaby jednolitość i konsekwencja w jego przedstawianiu, ale mógł to być również ideogram określający przeznaczenie obiektu jako tacy do serwowania pokarmów. Obiekty różnych rozmiarów służyłyby do podawania różnych dań. Obiekt ozdobiony motywem „nadgryzionego owocu” został wykonany częściowo z metalu, częściowo ze szkła. Co jest niezwykle, w tym artefakcie szkło nie jest stłuczone, przez co miał on dużą wartość w czasach po Kataklizmie.*

*Przypuszcza się, że został ofiarowany jako dar dla świątyni Królowej kapłanki i podkreślał majestat posążka przedstawiającego boginię. Obydwa obiekty zostały połączone około 2500 lat temu.*



*Figura „Służącego chłopca”, znaleziona w tym samym skarbcu co „Królowa kapłanka”. Sądząc po starannym ufryzowaniu i zmysłowych rysach twarzy, można przypuszczać, że posążek przedstawia mężczyznę świadczącego usługi seksualne. Figurka ozdobiona jest odłamkami szkła pochodzącymi z ery Katakliizmu, o składzie podobnym do szkła znajdującego się w podstawie „Królowej kapłanki”; można stwierdzić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że odłamki pochodzą ze stłuczonego artefaktu ozdobionego motywem „nadgryzionego owocu”. Zostały nałożone na posążek mniej więcej w tym samym okresie, kiedy przymocowano podstawę do figurki Królowej.*

*Jeszcze siedem miesięcy*

## *Margot*

– Pani senatorko, czy mogę prosić o parę słów komentarza na temat pani przyjazdu tutaj?

– Prezydentka Moskalew, przywódczyni państwa wybrana w demokratycznych wyborach, na skutek zorganizowanego przez wojsko zamachu stanu została zmuszona do opuszczenia kraju. Rząd Stanów Zjednoczonych traktuje tego typu sytuacje bardzo poważnie. Pozwolę sobie przy okazji powiedzieć, Tunde, że bardzo się cieszę, że angażujesz młode pokolenie w dyskusję o wydarzeniach politycznych.

– Młode pokolenie będzie musiało żyć w świecie, który pani właśnie tworzy, pani senatorko.

– Słuszna uwaga i dlatego jestem bardzo zadowolona, że moja córka Jocelyn przyjechała do tego kraju razem ze mną, jako członkini delegacji ONZ.

– Czy może pani jakoś skomentować niedawną porażkę armii Bessapary w starciu z wojskami Mołdawii Północnej?

– Kochany, jesteśmy na przyjęciu, nie na posiedzeniu rady wojskowej.

– Ale jednak, pani senatorko. Pracuje pani w... pięciu strategicznych komisjach w tej chwili? – Tunde odlicza na palcach. – Obrony, stosunków międzynarodowych, bezpieczeństwa narodowego, budżetowej i wywiadu. Ma pani chyba zbyt dużą władzę, żeby wysyłać panią po prostu na przyjęcie.

– Widzę, że odrobiłeś pracę domową.

– Owszem, pani senatorko. Mołdawia Północna finansowana jest przez dynastię Saudów na wygnaniu, prawda? Czy wojna z Bessaparą to próba generalna przed odbiciem Arabii Saudyjskiej?

– Rząd Arabii Saudyjskiej został wybrany z zachowaniem procedur demokratycznych. Stany Zjednoczone od zawsze popierają systemy demokratyczne na świecie i pokojowe sposoby przekazywania władzy.

– Czy rząd Stanów Zjednoczonych przysłał tu swoich ludzi dla zabezpieczenia dostaw ropy naftowej?



– W Mołdawii ani w Bessaparze nie ma złóż ropy naftowej, Tunde.

– Zmiana rządu w Arabii Saudyjskiej może wpłynąć na dostawy ropy naftowej dla USA, nie sądzi pani?

– Nie to bierzemy pod uwagę, kiedy w grę wchodzi kwestie wolności czy demokracji.

Tunde prawie parska śmiechem. Nieznaczny uśmiech przemyka mu po twarzy i znika.

– Jasne – mówi. – Doskonale. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wolą demokrację od ropy naftowej. OK. A jak można zinterpretować pani obecność tutaj dziś wieczorem w kontekście ataków terrorystycznych w USA?

– Chciałabym to podkreślić jasno i wyraźnie – odpowiada Margot, patrząc prosto w kamerę spokojnym, zdecydowanym spojrzeniem. – Rząd Stanów Zjednoczonych nie da się zastraszyć terrorystom w kraju ani ludziom, którzy ich finansują.

– Czy rozumie pani przez to króla Awadi-Atifa z Arabii Saudyjskiej?

– To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

– A czy mogę prosić o wyjaśnienie, dlaczego właśnie panią tu przysłano, pani senatorko? Panią osobiście? W kontekście pani powiązań z obozami szkoleniowymi dla dziewcząt NorthStar? Czy dlatego właśnie pani została wybrana?

Margot troszkę się śmieje, co wygląda bardzo autentycznie.

– Tunde, ja jestem tylko małą rybką, zwykłą płótką, naprawdę. Przyjechałam, bo zostałam zaproszona. A teraz chciałabym trochę nacieszyć się przyjęciem, pewnie tak samo jak ty.

Odwraca się i odchodzi parę kroków w prawo. Czeka, aż usłyszy dźwięk wyłączanej kamery.

– Nie napadaj na mnie, synu – mówi półgębkiem. – Jestem tutaj twoją przyjaciółką.

Tunde zwraca uwagę na słowo „synu”. Nie mówi nic. Zapamiętuje je dobrze. Cieszy się, że wyłączył tylko nagrywanie obrazu, a zostawił zapis dźwięku.

– Mogłem panią przycisnąć dwa razy mocniej, pani senatorko – mówi.

Margot spogląda na niego, mrużąc oczy.

– Podobasz mi się, Tunde – odpowiada. – Zrobiłeś kawał dobrej roboty tym wywiadem z UrbanDoxem. Groźby z bombą atomową obudziły gości w Kongresie. Zaczęli się przejmować i przegłosowali budżet na obronność. Nadal jesteś w kontakcie z tamtymi ludźmi?

– Czasami.

– Jak usłyszysz, że szykują coś poważnego, daj mi znać, dobrze? Nie pożałujesz. Jest teraz sporo pieniędzy w tym sektorze. Całkiem dużo pieniędzy. Świetnie byś się sprawdził jako konsultant do spraw mediów w programie NorthStar.

– Aha – mówi Tunde. – Odezwę się.

– Koniecznie.

Margot uśmiecha się życzliwie. Przynajmniej taki ma zamiar, ale obawia się, że zamiast uśmiechu wyszedł jej pożądlivy grymas. Dlaczego ci młodzi dziennikarze są tacy przystojni? Widziała już wcześniej nagrania Tundego; Maddy jest jego wielką fanką, facet ma realny wpływ na elektorat w wieku od osiemnastu do trzydziestu pięciu lat.

To dziwne, dlaczego – przy wszystkich pochwałach jego swobodnego stylu bycia i wypowiedania się – nikt nie mówi głośno, że każda relacja Olatundego Edo staje się hitem, bo facet jest niesamowitym ciachem. Na niektórych filmach jest na wpół goły albo nagrywa na plaży w samych kąpielówkach. I jak niby ona ma go traktować poważnie po tym, jak widziała jego szerokie ramiona, wąską talię, mięśnie i jędrne... Cholera, naprawdę potrzebuje chłopca.

O Jezu. No dobra. Jest tu paru młodych facetów w delegacji; postawi któremuś drinka po przyjęciu, bo nie może reagować w ten sposób za każdym razem, kiedy zagadnie ją atrakcyjny dziennikarz. Chwyta z najbliższej tacy szklankę ze sznapsem, wypija jednym haustem i zauważa spojrzenie Frances, swojej asystentki, z drugiego końca sali. Asystentka pokazuje na zegarek. Czas rozpocząć grę.

– Trzeba im przyznać – szepcze Margot do Frances, gdy wchodzi na górę po marmurowych schodach – że potrafią sobie znaleźć porządny pałac.

Zamek wygląda jak przeniesiony z kreskówki Disneya. Złoczone meble. Siedem spiczastych wież, każda innego kształtu i wielkości, niektóre

złobkowane, niektóre gładkie, inne wykończone złotymi kopułami. Dookoła las sosnowy, w oddali góry. Dobra, jasne, macie historię i kulturę. Pewnie, oczywiście, nie wypadliście sroce spod ogona. Wspaniale.

Kiedy Margot wchodzi do sali, Tatiana Moskalew siedzi – serio – na prawdziwym tronie. Wielkim, złotym, z głowami lwów na poręczach i aksamitnym czerwonym obiciem. Margot udaje się powściągnąć uśmiech. Prezydentka Bessapary ma na sobie ogromne białe futro, a pod nim złotą suknię. Na każdym palcu pierścionek, a na kciukach – po dwa. Zupełnie jakby uczyła się stylu z filmów o mafii. Kto wie, może zresztą tak było. Zamykają się drzwi. Tatiana i Margot zostają same.

– Pani prezydentko – mówi Margot. – To dla mnie zaszczyt poznać panią.

– Pani senatorko – odpowiada Tatiana. – To ja jestem zaszczycona.

Wąż spotyka się z tygrysem, myśli Margot. Szakal wita się ze skorpionem.

– Proszę – mówi Tatiana – niech się pani poczęstuje naszym winem lodowym. Najlepsze w Europie. Wytwarzane w naszych winnicach w Bessaparze.

Margot wypija łyk, zastanawiając się przy okazji, jakie jest prawdopodobieństwo, że wino jest zatrute. Szacuje, że nie więcej niż trzy procent. Fatalnie by wyglądało, gdyby tutaj zmarła.

– Doskonale – mówi. – Zresztą niczego innego bym się nie spodziewała.

Tatiana obdarza ją bladym uśmiechem.

– Podoba się pani Bessapara? – pyta. – I wycieczki? Muzyka, tańce, miejscowe sery?

Przed południem Margot musiała odsiedzieć trzy godziny na pokazie wyrobu tradycyjnych lokalnych serów. Trzy godziny. O serach.

– Pani kraj jest wspaniały. Ten staroświecki urok w połączeniu z determinacją, by wspólnymi siłami zmieniać przyszłość.

– Tak. – Tatiana znowu chłodno się uśmiecha. – Być może jesteśmy najbardziej nastawionym na przyszłość krajem świata, kto wie.

– No tak. Cieszę się na jutrzejszą wizytę w waszym centrum naukowo-technologicznym.

Tatiana potrząsa głową.

– Mam na myśli społeczeństwo. Jesteśmy jedynym krajem na świecie, który w pełni rozumie, co oznacza Wielka Zmiana. Że należy traktować ją jako szansę. Jako zaproszenie do... do... – Potrząsa znowu krótko głową, jakby chciała rozproszyć mgłę. – Zaproszenie do nowego sposobu życia.

Margot nie odpowiada. Popija wino i robi zachęcającą minę.

– Podoba mi się Ameryka – ciągnie Tatiana. – Mój nieżyjący mąż, Wiktor, wolał Związek Radziecki, ale ja lubię Amerykę. Ziemię wolności. Ziemię wielkich szans. Macie dobrą muzykę. Lepszą niż rosyjska.

Zaczyna śpiewać popową piosenkę, której Maddy bez przerwy słucha w domu: „Gdy jedziemy, ty tak szybko, w twoim aucie, bum bum bum”. Ma miły głos i Margot przypomina sobie, jak gdzieś czytała, że w swoim czasie pani Moskalew chciała zostać piosenkarką.

– Chciałaby pani, żeby przyjechali tu na koncert? Możemy to załatwić.

Tatiana mówi:

– Myślę, że pani wie, czego ja chcę. Tak mi się wydaje. Pani senatorko, jest pani mądrą kobietą.

Margot uśmiecha się i odpowiada:

– Pani prezydentko, może jestem mądra, ale na pewno nie umiem czytać w myślach.

– Jedyne, czego chcemy, to amerykańskie marzenie spełnione właśnie tutaj, w Bessaparze. Jesteśmy młodym narodem, małym odważnym państwem, otoczonym przez potężnych wrogów. Chcemy być wolne i żyć na swój własny sposób. Chcemy dostać szansę. To wszystko.

Margot kiwa głową.

– Wszyscy tego chcą, pani prezydentko. Demokracja na całym świecie to największe marzenie Ameryki.

Tatiana podciąga kąciki ust do góry.

– Więc pomóżcie nam w walce z Północą.

Margot przygryza wargę, przez sekundę. To trudny moment. I wiedziała, że nadejdzie.

– Rozmawiałam z prezydentem – mówi. – Ameryka solidaryzuje się z waszą walką o niepodległość, ale nie możemy otwarcie angażować się w wojnę

między Mołdawią Północną a Bessarą.

- Stać nas na bardziej wyrafinowane rozwiązania, pani senatorko.
- Możemy tylko zaoferować pomoc humanitarną i siły pokojowe.
- Może pani zablokować akcje skierowane przeciwko nam w Radzie Bezpieczeństwa ONZ.

Margot marszczy brwi.

- Przecież w Radzie nie ma żadnych akcji przeciwko wam.

Tatiana ostrożnie odstawia kieliszek na stół na wprost Margot.

- Pani senatorko. Mój kraj został zdradzony przez niektórych swoich obywateli. Wiemy to na pewno. Poniosłyśmy porażkę w bitwie nad Dniestrem, bo Północ wiedziała, gdzie znajdują się nasze oddziały. Mężczyźni z Bessapary sprzedali informacje wrogom. Niektórych odnaleziono. Niektórzy się przyznali. Musimy podjąć działania.

- Z pewnością.
- Nie będziecie ingerować. Poprzecie nasze działania, cokolwiek to będzie.

Margot parska krótkim śmiechem.

- Pani prezydentko, nie jestem pewna, czy mogę obiecać coś tak ogólnikowego.

Tatiana wstaje i podchodzi do okna. Widać ją teraz na tle jasno oświetlonego skrzydła disnejowskiego pałacu.

- Prowadzi pani program NorthStar, prawda? Prywatne przedsięwzięcie wojskowe. Jest pani udziałowcem, czyż nie? Podoba mi się ten program. Szkolenie dziewcząt do walki. Bardzo dobry pomysł, potrzebujemy czegoś takiego.

O, tego Margot się nie spodziewała. Jest zaintrygowana.

- Nie bardzo rozumiem, co to ma do rzeczy, pani prezydentko – mówi, chociaż zaczyna jej się rysować pewna sprytna koncepcja.
- NorthStar chce uzyskać od ONZ mandat na prowadzenie misji pokojowej, w ramach której wysłałoby swoje oddziały kobiece do Arabii Saudyjskiej. Rząd Arabii Saudyjskiej sobie nie radzi. Państwu grozi destabilizacja.

- Tak, jeżeli ONZ wyda rezolucję, to będzie dobra decyzja dla świata, na pewno – odpowiada Margot. – Misja zabezpieczy źródła energii i wesprze rząd

w trudnym okresie przemian.

– Łatwiej byłoby uzyskać mandat, gdyby oddziały NorthStar sprawdziły się wcześniej podczas misji w innym kraju – mówi Tatiana. Potem robi pauzę, dolewa wina sobie i Margot. Obie wiedzą, dokąd zmierza ta rozmowa. Spoglądają sobie w oczy. Margot się uśmiecha.

– Chce pani zatrudnić dziewczyny z NorthStar.

– Jako moją prywatną armię, tutaj i na granicy.

To jest warte sporo pieniędzy. Jeszcze więcej, jeżeli wygrają wojnę z Północą i zgarną saudyjski majątek. NorthStar właśnie tego potrzebuje, zatrudnienia jako prywatna armia. Gdyby udało się to załatwić, zarząd będzie chciał zatrzymać senatorkę Cleary do końca świata.

– A w zamian za to oczekuje pani...

– Musimy zmienić trochę prawo. Na trudne czasy. Żeby zapobiec zdradom i sprzedawaniu naszych tajemnic państwowych. Chciałybyśmy, żeby pani nas poparła.

– Nie zamierzamy wtrącać się w wewnętrzne sprawy niepodległych państw – odpowiada Margot. – Należy uszanować różnice kulturowe. Wiem, że prezydent zaufa w tej sprawie mojej opinii.

– Doskonale – stwierdza Tatiana i powoli mruga zielonymi oczami. – Więc się rozumiemy.

Na chwilę milknie, a potem mówi dalej:

– Nie musimy się zastanawiać, co robi Północ, jeśli wygra, pani senatorko. Wszystkie widziałyśmy, co oni robią; pamiętamy, jak kiedyś wyglądała Arabia Saudyjska. Jesteśmy po właściwej stronie.

Unosi kieliszek. Margot podnosi i przechyla swój, aż dotknie kieliszka Tatiany z delikatnym dzwonieniem.

To wspaniały dzień dla Ameryki. Wspaniały dzień dla całego świata.

Reszta przyjęcia jest dokładnie tak nudna, jak można było przypuszczać. Margot wita się z zagranicznymi dygnitarzami, duchowieństwem i ludźmi, którzy wyglądają na przestępców albo handlarzy bronią. Raz za razem powtarza te same frazesy o amerykańskim współczuciu dla ofiar niesprawiedliwości i tyranii oraz o tym, jak bardzo jej kraj chciałby ujrzeć pokojowe rozwiązanie

sytuacji w tym nękanym problemami regionie. W pewnym momencie, zaraz po uroczystym wejściu Tatiany, powstaje jakieś zamieszanie, ale Margot tego nie widzi. Zostaje do 22.30, oficjalnie przyjętej pory, kiedy nie jest ani zbyt wcześnie, ani zbyt późno, żeby wyjść z ważnego przyjęcia. W holu wpada na dziennikarza Tundego Edo.

– Przepraszam – mówi on pospiesznie, upuszczając coś na ziemię i natychmiast podnosząc, zbyt szybko, by mogła zauważyć, co to było. – Przepraszam najmocniej. Tak... Bardzo się spieszę.

Margot się śmieje. To był udany wieczór. Już oblicza, jaką premię dostanie od NorthStar, jeśli nowy plan wypali, i jak to się przełoży na poparcie przy następnych wyborach.

– Po co się spieszysz? – mówi. – Nie ma gdzie tak uciekać. Może podwieźć?

Pokazuje ręką samochód, czekający z otwartymi drzwiami. Skórzana tapicerka lśni zachęcająco. Tunde pokrywa uśmiechem grymas przerażenia, jednak nie dość szybko.

– Może innym razem – mówi.

Jego strata.

Później, w hotelu, Margot stawia kilka drinków młodemu urzędnikowi z amerykańskiej ambasady na Ukrainie. On słucha jej z zajęciem – w końcu czemu nie? Margot to kobieta, która widziała to i owo. W windzie, kiedy jadą do jej apartamentu, kładzie dłoń na jego młodych jędrnych pośladkach.

## *Allie*

Pałacowa kaplica została przerobiona. Kryształowo-złoty żyrandol nadal wisi na środku pod sufitem, na drutach tak cienkich, że pozostają niewidoczne w blasku świec. Ach, te cuda elektryczności. Witraże z aniołami wychwalającymi Boską Matkę zostały, tak samo jak te ze świętą Teresą i świętym Hieronimem. Inne, wraz z malowidłami na sklepieniu, zniknęły, by ustąpić miejsca obrazom Nowej Wiary. Jest więc Wszechmogąca przemawiająca do matriarchini Rebeki pod postacią gołębicy. Jest prorokini Debora, wypowiadająca świętą wojnę niewierzącym. Jest też – mimo jej protestów – Matka Ewa pod symbolicznym drzewem, otrzymująca posłanie z niebios i wyciągająca w górę rękę z błyskawicą. Pośrodku sklepienia namalowano dłoń z wszystkowidzącym okiem we wnętrzu. To symbol Boskiej Matki, która patrzy na wszystkich i wyciąga dłoń tak samo do potężnych, jak do zniewolonych.

W kaplicy czeka żołnierka, młoda kobieta, która poprosiła o prywatną audiencję. Amerykanka. Ładna, z szarymi oczyma i piegami na policzkach.

– Czy czekasz na mnie? – pyta Matka Ewa.

– Tak – odpowiada Jocelyn, córka senatorki Cleary, zasiadającej w pięciu ważnych komisjach, między innymi budżetowej i obronności.

Matka Ewa zgodziła się na to spotkanie.

– Cieszę się, że cię widzę, córko – mówi i siada obok dziewczyny. – Jak mogę ci pomóc?

Jocelyn zaczyna płakać.

– Matka by mnie zabiła, gdyby wiedziała, że tu przyszedłam – chlipie. – Zabiłaby mnie. Matko Ewo, nie wiem, co mam robić.

– Czy przyszedłaś po... poradę?

Allie była ciekawa, o co może chodzić. Nie zdziwiło jej, że senatorka przywiozła tu córkę. Wiele osób chce zobaczyć Matkę Ewę na żywo. Ale prywatne spotkanie? Allie myślała, że może chodzi o utratę wiary, o rozmowę na temat istnienia Boskiej Matki, ale najwyraźniej nie.



– Czuję się taka zagubiona – mówi Jocelyn przez łzy. – Sama nie wiem, kim jestem. Oglądam twoje kazania i czekam... proszę Matkę, żeby mnie poprowadziła i pokazała, co mam robić...

– Powiedz, co cię dręczy – mówi Matka Ewa.

Allie wie, że są problemy zbyt trudne, by o nich mówić. Wie, że zdarzają się w najróżniejszych domach, również tych najlepszych. Żadne miejsce nie jest od nich wolne.

Wyciąga rękę i dotyka kolana Jocelyn. Dziewczyna odsuwa się z lekkim drgnięciem. Wystarczy ta krótka chwila, by Allie wyczuła, na czym polega problem.

Zna dotyk kobiet i niskie jednostajne buczenie zwoju w ich ciałach. W ciele Jocelyn jest coś ciemnego, co powinno być jasne, rozświetlone; jest coś otwartego, co powinno być zamknięte. Allie z trudem powstrzymuje się od wzdrygnięcia.

– Twój zwój – mówi. – Przynosi ci cierpienie.

Jocelyn może zdobyć się tylko na szept.

– To tajemnica. Nie wolno mi o tym mówić. Biorę lekarstwa, ale one przestały działać. Robi się coraz gorzej. Nie jestem... Jestem inna niż wszystkie dziewczyny. Nie wiedziałam, do kogo pójść. Widziałam cię w internecie, Matko. Proszę – mówi błagalnie. – Proszę, czy mogłabyś mnie uzdrowić, żebym była normalna. Proszę, poproś Bóg, żeby zdjęła ze mnie ten ciężar. Tak bardzo chciałabym być normalna.

– Wszystko, co mogę zrobić – odpowiada Matka Ewa – to wziąć cię za rękę i wspólnie się pomodlić.

Trudna sytuacja. Nikt nie przebadał tej dziewczyny i nie powiedział Allie, jaki jest problem. Zaburzenia pracy zwoju to skomplikowane przypadki. Dlatego właśnie Tatiana Moskalew finansuje badania nad przeszczepami – bo nie ma żadnej terapii chorób zwoju.

Jocelyn kiwa głową i podaje Allie rękę.

Matka Ewa wypowiada te same słowa, co zawsze:

– Matko nasza – mówi – na niebie i na ziemi. Ty jedna jesteś źródłem wszelkiej dobroci, miłosierdzia i łaski. Obyśmy umieli wypełniać Twoją wolę, którą objawiasz nam każdego dnia poprzez Twoje dzieła.

Jednocześnie Allie wyczuwa obszary światła i ciemności w zwoju Jocelyn. Wygląda, jakby był częściowo zablokowany – grzęzawiska tam, gdzie powinna swobodnie przepływać woda. Zamulony. Mogłaby oczyścić trochę te osady w kanałach przepływowych tutaj i tutaj.

– I niech nasze serca pozostaną czyste przed Tobą – ciągnie – i ześlij nam siłę, byśmy mogli dźwigać nasze ciężary bez goryczy, która niszczy duszę.

Jocelyn, chociaż rzadko się modli, teraz skupia się na modlitwie. Kiedy Matka Ewa kładzie jej dłonie na barkach, mówi cicho: „Proszę, Pani Bóg, otwórz moje serce”. I wtedy coś czuje.

Allie wysyła w głąb jej ciała lekkie pchnięcie. Mocniejsze niż zazwyczaj, ale dziewczyna chyba nie ma na tyle wrażliwości, żeby poczuć, co się dzieje. Jocelyn wydaje stłumiony okrzyk. Allie wysyła jeszcze trzy krótkie gwałtowne uderzenia. Dobrze. Zwój w ciele Jocelyn rozbłyska energią. Mruczy jak silnik. Już.

Jocelyn mówi:

– O Boże. Czuję to.

Jej zwój buczy jednostajnie, bez zakłóceń. Wreszcie Jocelyn rozumie, o czym opowiadały dziewczyny: przyjemne, uspokajające doznanie, kiedy każda komórka zwoju gromadzi, przepompowuje i przesyła jony, przygotowując zapas mocy. Teraz czuje, że jej zwój działa prawidłowo, po raz pierwszy w życiu.

Jest zbyt wstrząśnięta, by płakać.

Mówi:

– Czuję to. On działa.

Matka Ewa odpowiada:

– Niech Bóg będzie pochwalona.

– Ale jak to zrobiłaś, Matko?

Matka Ewa potrząsa głową.

– To nie moja wola, tylko Boskiej Matki.

Obie oddychają w jednym rytmie, raz, dwa, trzy razy.

Jocelyn odzywa się:

– Co mam teraz robić? Ja... – Parska śmiechem. – Jutro wyjeżdżamy. Misja

obserwacyjna ONZ na południu.

Nie powinna tego mówić, ale nie może się powstrzymać; nie mogłaby dochować żadnej tajemnicy tutaj, w tym momencie.

– Mama załatwiła mi misję, bo to dobrze wygląda, ale nie będzie tam żadnego niebezpieczeństwa. Nie mam szans wpaść w kłopoty – opowiada dalej.

Głos mówi: A może powinna wpaść w kłopoty.

Matka Ewa odpowiada:

– Nie musisz się już niczego obawiać.

Jocelyn kiwa głową.

– Tak – mówi. – Dziękuję ci, Matko. Dziękuję.

Matka Ewa całuje ją w czubek głowy i błogosławi imieniem Boskiej Matki. Potem idzie na przyjęcie.

Tatiana wchodzi do sali w towarzystwie dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn w obcisłych ubraniach; mają na sobie czarne koszulki tak ciasne, że widać zarysy sutków, i wąskie spodnie podkreślające wypukłości w kroku. Kiedy siada – na krześle z wysokim oparciem, ustawionym na podwyższeniu – oni siadają po bokach, na niższych stołkach. Oto oznaki władzy, oto owoce sukcesu. Na powitanie Matki Ewy Tatiana wstaje i całuje ją w oba policzki.

– Niech będzie pochwalona Nasza Pani – mówi.

– Chwała na wysokości – odpowiada Matka Ewa bez śladu zgryźliwego uśmiechu Allie.

– Znalazłyśmy jeszcze dwunastu zdrajców. Złapani podczas wypadu na Północ – szepcze Tatiana.

– Z Bożą pomocą wszyscy zostaną znaleźieni – mówi Matka Ewa.

Jest cała masa ludzi, z którymi trzeba się spotkać. Ambasadorowie, miejscowe grube ryby, przedsiębiorcy, liderki. To przyjęcie, wydane krótko po przegranej bitwie nad Dniestrem, ma zapewnić Tatianie wsparcie w kraju i za granicą. Obecność Matki Ewy również służy temu celowi. Tatiana wygłasza przemowę i opisuje przerażające okrucieństwa, jakich dopuścili się żołnierze Północy, oraz wzruszająco opowiada o walce o wolność, którą toczą jej oddziały. Wszyscy słuchają też historii odważnych kobiet zbierających się w małe grupy

i w imieniu Naszej Pani dokonujących odwetu na ludziach, którzy w swoim czasie umknęli wymiarowi sprawiedliwości.

Tatiana jest poruszona niemal do łez. Prosi jednego z wystrojonych młodzieńców stojących w pogotowiu nieopodal, żeby przyniósł coś dobrego do picia dla tych dzielnych kobiet. On pochyla głowę, wycofuje się, niemal potykając się o własne nogi, i pędzi na górę. Kiedy czekają na drinki, Tatiana opowiada jeden ze swoich długich dowcipów, o kobiecie, która chciała zmienić trzech ulubionych mężczyzn w jednego, a wtedy zjawiała się wróżka i...

Młodzieniec staje przed nią z butelką.

– Czy o to chodziło, pani prezydentko?

Tatiana przerywa i spogląda na niego, przekrzywiając głowę.

Mężczyzna przełyka nerwowo ślinę.

– Przepraszam – mówi.

– Czy pozwoliłam ci się odezwać? – pyta Tatiana.

On spuszcza wzrok.

– Typowy mężczyzna – mówi Tatiana. – Nie potrafi siedzieć cicho, wydaje mu się, że zawsze chcemy usłyszeć, co ma do powiedzenia, byle gadać, gadać, gadać i przerywać mądrzejszym.

Młodzieniec wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymuje.

– Trzeba ich nauczyć dobrych manier – odzywa się jedna z kobiet stojących za Allie, jedna z tych, które ścigają mężczyzn za dawne przestępstwa.

Tatiana wyjmuje butelkę z rąk mężczyzny i podnosi przed jego twarzą. Płyn w środku ma kolor ciemnego bursztynu i wydaje się gęsty jak karmel.

– Ta butelka jest warta więcej niż ty – mówi. – Jeden kieliszek jest więcej wart niż ty.

Trzyma butelkę za szyjkę, jedną ręką. Kręci nią lekko, a płyn wiruje w środku. Raz, drugi, trzeci.

Potem upuszcza ją na podłogę. Szkło tłucze się na kawałki, alkohol rozlewa się i zaczyna wsiąkać w drewno, tworząc ciemną plamę. Roznosi się mocny, słodki zapach.

– Zliż to – mówi Tatiana.

Mężczyzna spogląda na potłuczone szkło. W kałuży leży dużo odłamków.

Potem patrzy na twarze kobiet stojących dookoła. Klęka i zaczyna lizać podłogę, ostrożnie, żeby nie trafić na szkło.

Jedna ze starszych kobiet wykrzykuje:

– Pakuj w to mordę!

Allie przygląda się w milczeniu.

Głos mówi: Co. To. Ma. Kurwa. Być.

Allie odpowiada w swoim sercu: Ona zwariowała. Powinnam coś powiedzieć?

Głos odpowiada: Cokolwiek teraz powiesz, zmniejszy twoje wpływy.

Allie pyta: I co z tego? Co jest warta moja władza, jeśli nie mogę jej użyć?

Głos mówi: Pamiętaj, co mówiła Tatiana. Nie musimy zgadywać, co zrobią, jak odzyskają władzę. Wszyscy widzieliśmy. Znacznie gorsze rzeczy niż to tutaj.

Allie odchrząkuje.

Usta młodego mężczyzny zaczynają krwawić.

Tatiana zaczyna się śmiać.

– Na litość boską – mówi. – Idź po jakąś szmatę i posprzątaj. Jesteś obrzydliwy.

Mężczyzna podnosi się. Kieliszki znowu napełniają się szampanem. Znowu słychać muzykę.

– Nie do wiary, że naprawdę to zrobił – rzuca Tatiana już po odejściu mężczyzny.

## *Roxy*

Ta impreza jest nudna jak chuj, i tyle. Nie żeby Roxy nie lubiła Tatiany; lubi ją. Tatiana już od roku pozwala jej prowadzić interesy, od kiedy Roxy przejęła biznes Berniego, a każdy, kto nie przeszkadza w interesach, jest dla Roxy w porządku.

Ale spodziewała się lepszej zabawy. Ktoś jej opowiadał, że Tatiana Moskalew chodzi po pałacu z lampartem na łańcuchu, i tu spotkało Roxy naprawdę dotkliwe rozczarowanie. Pełno ładnych kieliszków, fajnie; pełno złotych krzesel, ekstra. Ale, kurwa, nigdzie żadnego lamparta.

Prezydentka chyba nie wie, kim Roxy w ogóle jest. Kiedy się witają, ta kobieta z mocno wymalowanymi rzęsami i zielonozłotymi oczami mówi jej: „Witamy, pani jest jedną z tych energicznych przedsiębiorczyń, dzięki którym nasz kraj rozwija się i jest wolny” – chociaż najwyraźniej nie ma pojęcia, z kim rozmawia. Roxy podejrzewa, że jest zwyczajnie zalana. Ma ochotę wypalić: Nie wiesz, że to ja przewożę przez twoje granice pięćset kilo towaru dziennie? Codziennie. To przeze mnie masz kłopoty z ONZ, chociaż wiadomo, że te jełopy nie ruszą palcem w bucie, tylko poprzysyłają jeszcze więcej obserwatorów i innych pierdół. Nie wiesz tego?

Roxy wypija jeszcze trochę szampana. Staje przy oknie i spogląda na ciemniejące góry. Nie słyszy kroków Matki Ewy i zauważa przyjaciółkę, dopiero gdy Ewa jest tuż przy niej. Cała Ewa, jak zwykle niesamowita – chuda i żylasta, i taka cicha, że mogłaby przejść przez pokój i sprzedać ci kosę między żebra, zanim byś się zorientowała.

Matka Ewa mówi:

- Ta porażka na północy... wytrąciła Tatianę z równowagi.
- Serio? Ja też jestem wytrącona z równowagi, mówię ci. Dostawcy trzęsą tyłkami. Pięciu kierowców poszło w cholerę. Wszyscy mówią, że zaraz na południu też będzie wojna.
- Pamiętasz, co zrobiłyśmy w klasztorze? Z wodospadem?

Roxy uśmiecha się i chichocze. To dobre wspomnienie. Proste szczęśliwe czasy.

– Prawdziwa gra zespołowa – mówi.

– Może znowu mogłybyśmy zrobić coś takiego – rzuca Matka Ewa. – Tylko na większą skalę.

– Co masz na myśli?

– Moje... wpływy. Twoją siłę. Zawsze czułam, że czeka cię coś wielkiego, Roxanne.

– Czy ja się naprułam tym szampanem – pyta Roxy – czy ty mówisz bardziej od rzeczy niż zwykle?

– Nie możemy tutaj rozmawiać. – Matka Ewa zniża głos do szeptu. – Ale wydaje mi się, że Tatiana Moskalew niedługo przestanie być użyteczna. Dla Świętej Matki.

Ooooooooo. O.

– Żartujesz?

Matka Ewa potrząsa niemal niedostrzegalnie głową.

– Jest niezrównoważona. Myślę, że za parę miesięcy ten kraj będzie potrzebował nowej przywódczyni. Ludzie tutaj mi ufają. Jeżeli powiem, że ty jesteś odpowiednią kandydatką...

Roxy prawie zatacza się ze śmiechu na te słowa.

– Ja? Przecież ty mnie znasz, Ewa, czy nie?

– Dziwniejsze rzeczy już się zdarzały – mówi Matka Ewa. – Już teraz jesteś przywódczynią wielu ludzi. Przyjdź do mnie jutro. Pogadamy.

– To będzie chyba twój ostatni pomysł w życiu – mówi Roxy.

Nie zostaje potem długo, tylko tyle, żeby wymienić uściski dłoni z innymi znajomymi Tatiany spod ciemnej gwiazdy. Spodobało jej się to, co mówiła Matka Ewa. Fajny pomysł. Nawet bardzo fajny. Zajebisty kraj.

Trzyma się z daleka od dziennikarzy krążących po sali. Na odległość można rozpoznać te mendy po tym, jak się rozglądają wygłodniałym wzrokiem. Chociaż jest tu jeden, którego widziała w necie, ciacho jak jasna cholera

i chętnie by go nadgryzła; ale luzik, zawsze znajdzie się takich na pęczki. Zwłaszcza gdyby została prezydentką. Mruczy pod nosem: „Pani prezydentka Monke”. A potem śmieje się z siebie. Ale w sumie. Kto wie.

Tak czy siak, nie może się nad tym długo zastanawiać. Ma dzisiaj do załatwienia sprawę, nie imprezową, nie dyplomatyczną, nie ściskanie rączek. Jeden z żołnierzy ONZ czy specjalny wysłannik, czy jak tam zwał, chce się z nią zobaczyć w spokojnym miejscu, żeby porozmawiać o blokadzie na północy, jak dalej przewozić towar. Darrell to zorganizował; już od paru miesięcy pracuje tu dla niej, nie zwracając na siebie uwagi – dobry chłopak – nawiązując kontakty i pilnując fabryki, żeby nie było przestojów nawet w czasie wojny. Czasami facet jest w takiej robocie lepszy niż dziewczyna; mniej agresywny, potrafi się dogadać. No ale na koniec dla dobiecia targu potrzebna jest szefowa.

Droga jest kręta i nieoświetlona. Reflektory stanowią jedyne źródło światła w czarnej nocy – nie ma latarni ani żadnych miejscowości z rozjaśnionymi oknami. Niech to szlag, dopiero po jedenastej, a wygląda, jakby była czwarta nad ranem. Jedzie się ponad półtorej godziny, ale Darrell przesłał jej dobre instrukcje. Z łatwością znajduje skręt, potem jedzie ciemnym podjazdem i zatrzymuje samochód przed innym pałacem z wieżyczkami. Wszystkie okna są czarne. Żadnych śladów życia.

Sprawdza znowu wiadomość od Darrella. Drzwi pomalowane na zielono będą otwarte. Zapala w dłoni iskrę, żeby oświetlić sobie drogę, i proszę, są zielone drzwi, z obłazącą farbą, z boku zabudowań, chyba jakiejś stajni.

Czuć tutaj formaliną i środkami odkażającymi. Jeszcze jeden korytarz i metalowe drzwi z owalną klamką. Przez szczelinę pod nimi sączy się światło. OK. To tu. Następnym razem musi im powiedzieć, żeby nie urządzali spotkań na jakimś jebanym zadupiu, gdzie można skrócić sobie kark. Obraca klamkę i nagle czuje coś dziwnego, tylko trochę, ale wystarczająco, żeby zmarszczyła brwi. W powietrzu wisi smak krwi. Krew, chemikalia i jeszcze takie wrażenie... próbuje to zrozumieć. Wrażenie, jakby toczyła się tu walka. Jakby zawsze była tylko walka.

Otwiera drzwi. Widzi salę wyłożoną plastikiem, stoją tam stoły i jakieś medyczne wyposażenie; przemyka jej przez głowę, że ktoś nie powiedział Darrellowi całej prawdy. Ogarnia ją strach i w tym momencie czyjaś ręka łapie ją za ramię, a na głowę zarzucają jej worek.



Wyrzuca z siebie potężne wyładowanie – wie, że ktoś mocno oberwał, słyszy, jak pada i krzyczy – i jest gotowa na następne. Obraca się, usiłując jednocześnie zerwać worek z głowy, kręci się i bezładnie razi prądem w powietrze. Krzyczy: „Skurwiele, łapy przy sobie!”, i jedną ręką próbuje zedrzeć oślepiający ją materiał. Aż w tył głowy uderza ją żelazo. Jej ostatnia myśl to: „Lampart, oswojony”, a potem osuwa się w ciemność.

Czuje, nawet w półświadomości, że rozcinają jej ciało. Jest silna, zawsze była silna, zawsze była wojowniczką, i teraz zмага się z uspieniem jak z ciężkim mokrym kocem. Zdaje jej się, że ma zaciśnięte dłonie i że próbuje je otworzyć; wie, że jeśli uda jej się poruszyć rękami naprawdę, obudzi się i urządzi tym piździelcom krwawe piekło. Będą się topić w bólu, zrobi dziurę w niebie i ściągnie ogień na ziemię. Dzieje się z nią coś złego. Gorszego, niż może sobie wyobrazić. Obudź się, kretynko. Obudź się. Już.

Odzyskuje przytomność. Ma przywiązane ręce i nogi. Widzi metal nad sobą i czuje metal pod palcami, więc myśli: Głupie чуje. Zaraz naładuje całe to łóżko prądem i żaden skurwysyn do niej nie podejdzie.

Tylko że nie może. Próbuje, ale jej niezawodne urządzenie się nie odzywa. Jakiś głos, z bardzo daleka, mówi:

– Działa.

Ale nie działa, właśnie w tym rzecz, że w ogóle nie działa.

Próbuje małego wyładowania pod obojczykami. Moc odzywa się, słaba, ledwie żywa, ale jest. Nigdy nie czuła takiej wdzięczności do swojego ciała.

Odzywa się inny głos. Zna go, ale skąd, skąd, czyj to głos? Czy to jej oswojony lampart, co się dzieje? Durny jebany lampart wciska jej się do głowy, wypierdalaj, nie jesteś prawdziwy.

– Ona się budzi. Uważajcie, jest bardzo silna.

Ktoś się śmieje. Ktoś mówi:

– Po tym, co jej daliśmy?

– Nie po to przejechałem taki kawał – mówi ten znajomy głos – nie po to załatwiałem wszystko, żebyście to teraz spierdolili. Ona jest silniejsza niż wszystkie, od których pobieraliście do tej pory. Uważajcie.

– Dobra. Przesuń się.

Ktoś znowu do niej podchodzi. Chcą zrobić jej krzywdę; nie może na to

pozwolić. Przemawia do swojego zwoju, mówi: Stary, ty i ja walczymy po jednej stronie. Musisz dać z siebie trochę więcej. Ten ostatni skok, wiem, że cię stać. Dawaj. Tu chodzi o nasze życie.

Czyjaś dłoń dotyka jej prawej ręki.

– Kurwa! – krzyczy ktoś, pada na ziemię i z trudem łapie powietrze.

Udało się. Teraz lepiej czuje moc, krąży w jej ciele szybciej i sprawniej, jakby nie była wyczerpana, jakby gdzieś był zator, który teraz zniknął i spływa niczym śmieci w nurcie potoku. Zapłacą jej za to.

– Zwiększcie dawkę! Większa dawka!

– Nie możemy dać więcej, zniszczymy zwój.

– Popatrzcie na nią! Bo sam to zrobię.

Zbiera moc na wielkie wyładowanie. Zwali im ten sufit na głowę.

– Popatrzcie, co ona robi!

Czyj to głos? Ma imię na końcu języka; jak tylko uwolni się z pasów, odwróci głowę. Ale w głębi serca już wie, kogo i co zobaczy.

Rozlega się piszczenie jakiegoś urządzenia.

– Automatyczne ostrzeżenie. Daliśmy jej za dużo.

– Nie przestawajcie.

I nagle siła, która się w niej zebrała, przestaje istnieć. Jakby ktoś ją wyłączył.

Chce krzyczeć. Ale tego też nie potrafi.

Na chwilę osuwa się w czarną otchłań, a kiedy znowu wybija się na powierzchnię, czuje, że rozcinają jej ciało, tak delikatnie, jakby chcieli jej zrobić przyjemność. Jest znieczulona i nic jej nie boli, ale czuje, jak skalpel zagłębia się w tkankę wzdłuż obojczyków. A potem dotykają jej zwoju. Mimo znieczulenia, unieruchomienia i półsnu ból przeszywa jej ciało jak alarm. Ostry czysty ból, jakby ktoś rozcinał jej oczy. Dopiero po minucie krzyku zdaje sobie sprawę, co jej robią. Wyciągają z jej ciała prądkowany narząd, odcinają włókno po włóknie, oddzielając od niej.

Gdzieś bardzo daleko ktoś pyta:

– Czy ona powinna tak krzyczeć?

Ktoś inny odpowiada:

– Róbcie swoje.

Zna te głosy. I nie chce ich znać. Rzeczy, których nie chcesz wiedzieć, Roxy, to są właśnie te rzeczy, które cię w końcu załatwią.

Jej ciało odzywa się jęklwym echem, kiedy odcinają ostatnie włókno pod prawym obojczykiem. To boli, ale pustka, która następuje potem, jest jeszcze gorsza. Jakby umarła, ale była zbyt żywa, by to zauważyć.

Powieki jej trzepocą, gdy wyjmują z niej odcięty zwój. Wie, że widzi to naprawdę, a nie tylko sobie wyobraża. Widzi go przed sobą, kawałek mięsa, który był jej napędem. Kurczy się i zwija, bo chce wrócić, z powrotem do niej. Ona też tego pragnie. To jej istota.

Z lewej strony odzywa się głos.

Lampart mówi:

- Dalej, nie ma na co czekać.
- Na pewno nie chcesz znieczulenia?
- Mówili, że wyniki są lepsze, jak mogę od razu powiedzieć, czy to działa.
- No tak.
- To do roboty.

I chociaż ledwie może się ruszyć, a szyja nie daje się obrócić, przechyla głowę na tyle, żeby jednym okiem zobaczyć. Wystarczy szybkie spojrzenie. Mężczyzna leżący na stole obok, przygotowany do przeszczepu, to Darrell, a na krześle koło niego siedzi jej tata, Bernie.

Masz swojego pierdolonego lamparta, odzywa się blaszany głosik w jej mózgu. Mówiłam, że jest tu jakiś lampart. Próbowalaś oswoić skurwysyna, co, ty żalosna idiotko, a wiesz przecież, jak to się kończy. Zęby wbite w gardło, krew wszędzie, masz, o co prosiłaś, jak zachciało ci się bawić z lampartem. Lampart zawsze pozostanie lampartem, Roxy, a może to skorpion, zresztą co za różnica.

Zamknij się zamknij się zamknij się zamknij się zamknij się, mówi Roxy swojemu mózgowi. Muszę pomyśleć.

Nie zwracają na nią uwagi. Pochylają się nad Darrellem. Założyli jej szwy – może dla porządku, a może chirurdzy nie umieją się powstrzymać od zakładania szwów, jak coś rozetną. Może tata im kazał. Właśnie on. Jej własny tata. Powinna, do kurwy nędzy, wiedzieć, że pozostawienie go przy życiu nie wystarczy. Wszystko ma swój odwet. Rana za ranę. Siniak za siniaka.

Upokorzenie za upokorzenie.

Próbuje nie płakać, ale wie, że nie daje rady. Cieknie jej z oczu. Chciałaby wdeptać ich w ziemię. Powoli wraca jej czucie w rękach, w nogach, w palcach. Mrowienie i pustka, i ból. Wie, że teraz ma jedyną szansę, bo Darrell na pewno ją zabije; pewnie myśli, że już jest nieżywa, tak byłoby najwygodniej. Skurwiel, zmija, jebany skurwysyn, jebany Darrell.

Bernie pyta:

– I jak to wygląda?

Jeden z lekarzy odpowiada:

– Bardzo dobrze. Doskonała zgodność tkankowa.

Rozlega się wysoki dźwięk świdra, gdy zaczynają wiercić małe otwory w obojczykach Darrella. Robi się głośno. Roxy trochę odpływa, zegar na ścianie chodzi jakoś szybciej, niż powinien. Wreszcie odzyskuje czucie w całym ciele. Kurwa mać, zostawili ją w ubraniu, co za skurwiele, ale to właściwie lepiej. Kiedy znowu włączają świder, wysuwa dłoń z miękkiego pasa.

Rozgląda się ostrożnie spod półprzymkniętych powiek. Porusza się powoli. Wyswobadza lewą rękę i nadal nikt nie zwraca na nią uwagi, są skupieni na ciele jej brata. Lewa stopa. Prawa stopa. Sięga do metalowej tacy przy łóżku, bierze dwa skalpele i kilka rolek bandażu.

Przy stole obok robi się zamieszanie. Jakieś urządzenie zaczyna piszczeć. Zwój, który wszywają w ciało Darrella, razi prądem – dobrze, myśli Roxy, pokaż im. Jeden z chirurgów pada na ziemię, drugi klnie po rosyjsku i zaczyna robić Darrellowi masaż serca. Roxy szacuje odległość od swojego stołu do drzwi. Lekarze krzyczą, wołają o leki. Nikt nie patrzy na Roxy, nikt się nią nie przejmuje. Mogłaby tu umrzeć i miałoby to w dupie. Może zresztą i umrze; czuje się tak, jakby śmierć była niedaleko. Ale nie zamierza umierać w tym miejscu. Przechyla się i spada ze stołu na bok, twardo lądując na czworakach; nikt tego nie zauważa. Wycofuje się powoli, tyłem do drzwi, przy podłodze, nie spuszczać mężczyzn z oka.

Pod drzwiami znajduje swoje buty i wkłada je z cichym łkaniem ulgi. Wydostaje się z budynku na sztywnych nogach, napędzana adrenaliną. Samochód zniknął. Utykając, Roxy biegnie w stronę lasu.

## *Tunde*

Mężczyzna ma w ustach szklane odłamki.

Cienka, ostra, przezroczysta drzazga sterczy mu z tylnej ściany gardła, lśniąca od śliny i śluzu. Drugi mężczyzna próbuje ją wyciągnąć drżącymi palcami. Przyświeca sobie latarką w telefonie i sięga pokaleczonemu do ust, podczas gdy tamten stara się stłumić odruch wymiotny i siedzieć bez ruchu. Dopiero za trzecim razem udaje się chwycić drzazgę kciukiem i palcem wskazującym. Jest długa na pięć centymetrów, zakrwawiona, z krwistym strzępem na końcu. Mężczyzna kładzie ją na rozłożonej białej serwetce. Dookoła krzątają się inni kelnerzy i kucharze, nie zwracając uwagi. Tunde fotografuje osiem szklanych drzazg leżących obok siebie na białej tkaninie.

Robił też zdjęcia, kiedy obrzydliwa scena rozgrywała się podczas przyjęcia, aparatem niedbale trzymanym na wysokości bioder, jakby tylko zwisał mu z ręki. Młody kelner ma zaledwie siedemnaście lat; nie pierwszy raz słyszy i widzi takie rzeczy, ale po raz pierwszy trafiło na niego. Nie, nie może pójść do pracy gdzie indziej. Ma krewnych na Ukrainie, którzy by go przyjęli, ale ludzie giną, próbując przekroczyć granicę, czasy są złe. Ociera krew z ust, kiedy mówi.

Na koniec odzywa się cicho:

– Moja wina. Nie wolno przerywać prezydentce.

Trochę płacze, ze wstydu, szoku, strachu, upokorzenia i bólu. Tunde zna te uczucia od dnia, gdy dotknęła go Enuma.

W notatniku zapisuje: „Najpierw nie mówiliśmy o naszych ranach, bo to było niemęskie. Teraz o nich nie mówimy, bo ogarnął nas strach, wstyd i poczucie osamotnienia, beznadziei. Każdy czuje się samotny. Trudno powiedzieć, kiedy to pierwsze zamieniło się w drugie”.

Tymczasem kelner, który ma na imię Petru, pisze kilka słów na skrawku papierowej serwetki. Podaje papier Tundemu i przytrzymuje ręką jego zamkniętą dłoń. Patrzy mu w oczy, aż Tunde myśli, że zamierza go pocałować.

Pewnie by mu na to pozwolił, bo ci ludzie bardzo potrzebują pocieszenia.

Kelner mówi:

– Nie odchodź.

– Mogę zostać, jak długo chcesz – odpowiada Tunde. – Aż skończy się przyjęcie.

Petru mówi:

– Nie. Nie zostawiaj nas. Ona będzie chciała, żeby dziennikarze wyjechali. Proszę.

– Coś słyszałeś? – pyta Tunde.

Ale Petru powtarza tylko:

– Proszę. Nie zostawiaj nas. Proszę.

– Nie zostawię – mówi Tunde. – Na pewno.

Wychodzi na zewnątrz na papierosa. Ręka z zapalniczką trochę mu drży. Poznał wcześniej Tatianę Moskalew, była dla niego miła, i myślał, że rozumie, co tu się dzieje. Nawet się cieszył na spotkanie z nią. A teraz się cieszy, że nie podszedł się przywitać. Rozkłada kartkę, którą dostał od Petru. Napisane jest na niej chwiejnymi drukowanymi literami: BĘDĄ CHCIAŁY NAS ZABIĆ.

Robi trochę zdjęć ludzi wychodzących z przyjęcia bocznymi drzwiami. Kilku handlarzy bronią. Specjalista od broni biologicznej. Oto jeźdźcy Apokalipsy. Jest też Roxanne Monke wsiadająca do samochodu, królewna rodzinnej mafii z Londynu. Zauważa, jak Tunde fotografuje jej samochód, i samymi ustami, bezgłośnie, mówi mu: „Spierdalaj”.

Kiedy o trzeciej nad ranem wraca do hotelu, przygotowuje i wysyła materiał dla CNN. Zdjęcia mężczyzny zlizującego koniak z podłogi. Odłamki szkła na serwetce. Łzy na policzku Petru.

Budzi się tuż po dziewiątej, nie wiadomo dlaczego, z zaropiałymi oczami i skórą swędzącą od potu. Sprawdza pocztę, żeby przeczytać odpowiedź redaktora na nocnym dyżurze. Obiecał CNN, że wszystkie materiały z przyjęcia u Tatiany Moskalew prześle najpierw do nich, ale jeśli będą chcieli za wiele wyciąć, da je komu innemu. W skrzynce znajduje tylko krótką wiadomość.

„Sorry, Tunde, za to dziękujemy. Dobry materiał, świetne zdjęcia, ale w tym momencie nie bierzemy”.

Nie ma sprawy. Tunde wysłała trzy kolejne maile, a potem bierze prysznic i zamawia dzbanek mocnej kawy. Kiedy zaczynają przychodzić odpowiedzi, przegląda międzynarodowe serwisy informacyjne; nic nowego o Bessaparze, nikt go nie ubiegł. Czyta maile – trzy kolejne odmowy. Wszystkie z podobnym nijakim uzasadnieniem: dziękujemy-ale-chwilowo-nie.

Na szczęście nigdy nie potrzebował pracodawców. Po prostu wrzucił to na swój kanał na YouTube.

Loguje się przez hotelowe wi-fi i... YouTube'a nie ma. Tylko mała notatka, że strona WWW nie jest dostępna w tym rejonie. Próbuje sieci VPN – bez rezultatu. Próbuje przez internet w telefonie. To samo.

Przypomina mu się Petru i jego słowa: ona chce, żeby dziennikarze wyjechali z kraju.

Jeżeli wyśle całe pliki mailem, przechwycą je.

Nagrywa płytę DVD. Wszystkie zdjęcia, wszystkie filmy, cały materiał.

Wkłada do koperty bąbelkowej i przez chwilę zastanawia się nad adresem. W końcu pisze adres Niny. Do środka wsuwa też kartkę: „Przechowaj to dla mnie, do mojego przyjazdu”. Już wcześniej zostawiał u niej różne rzeczy: notatki do książki, dzienniki z podróży. Tak jest bezpieczniej, niż wozić je ze sobą albo zostawiać w hotelu. Poprosi amerykańskiego ambasadora, żeby wrzucił kopertę do poczty dyplomatycznej.

Jeżeli Tatiana Moskalew rzeczywiście zamierza zrobić to, na co się zanosi, Tunde nie chce, żeby wiedziała, że on zamierza wszystko udokumentować. Ma tylko jedną szansę na opowiedzenie tej historii. Dziennikarzy wyrzucano z różnych krajów za mniejsze rzeczy, a okoliczność, że pani prezydentka flirtowała z nim przy pierwszym spotkaniu, niczego tu nie zmienia.

Tego samego popołudnia dyrektor hotelu prosi go o paszport. Tylko tak, ze względu na nowe zasady bezpieczeństwa w tych trudnych czasach.

Większość reporterów wyjeżdża. Zostaje kilku na północnym froncie, ale nie ma tam za bardzo o czym pisać, póki nie toczą się prawdziwe walki. Na razie, od ponad miesiąca, trwa wygrażanie sobie nawzajem i prężenie mięśni.

Tunde zostaje. Mimo że proponują mu duże pieniądze za wyjazd do Chile i wywiad z antypapieżycą oraz wysłuchanie jej opinii na temat Matki Ewy. Mimo że kolejne męskie grupy dywersyjne oświadczają, że tylko jemu przedstawią swój manifest, by przekazał go opinii publicznej. Zostaje i rozmawia z ludźmi, mieszkańcami różnych miast w regionie. Uczy się trochę rumuńskiego. Kiedy koledzy i znajomi pytają, co właściwie robi, odpowiada, że pracuje nad książką o nowym państwie i narodzie. Wzruszają ramionami, mówiąc: Aha, OK. Chodzi na nabożeństwa w nowych kościołach i widzi, jak budynki dawnych cerkwi są niszczone albo zmieniają przeznaczenie. Któregoś wieczora siedzi w piwnicznej sali przy świecach i słucha księdza intonującego dawne pieśni i odprawiającego nabożeństwo tak jak niegdyś: z synem, nie z matką w głównej roli. Po mszy ksiądz obejmuje go w długim uścisku i szepcze: „Nie zapomnij nas”.

Wielokrotnie słyszy, że policja nie zajmuje się już zbrodniami, których ofiarą padli mężczyźni. Zabitego mężczyznę uznaje się za słusnie ukaranego za dawne przewiny. „Nawet młodego chłopaka – mówi mu załamany ojciec w przegrzanym pokoju gdzieś w małej wiosce na zachodzie kraju – nawet piętnastoletniego chłopca. Co on mógł zrobić w tamtych czasach?”

Tunde nie wrzuca takich rzeczy do sieci. Wie, jak by się skończyło – pukaniem do drzwi o czwartej rano i wsadzeniem go do pierwszego samolotu wylatującego z kraju. Pisze, jakby był turystą, jakby był tu na wakacjach. Codziennie zamieszcza nowe fotografie. W komentarzach już wyczuwa się zniecierpliwienie: gdzie nowe filmy, Tunde, gdzie twoje dowcipne komentarze? Ale zauważyliby, gdyby całkiem zniknął. O to chodzi.

Kiedy mija szósty tydzień jego pobytu, nowo mianowana przez Tatianę ministra sprawiedliwości zwołuje konferencję prasową. Frekwencja jest niska. W sali, wytapetowanej na beżowo-brązowo, panuje zaduch.

– Po ostatnich atakach terrorystycznych na świecie oraz po tym, jak nasz kraj został zdradzony przez mężczyzn, którzy współpracowali z wrogiem, ogłaszamy wejście w życie nowych przepisów – mówi ministra. – Nasz naród doznał zbyt wiele cierpienia z rąk grupy ludzi, którzy próbują teraz nas zniszczyć. Nie musimy zgadywać, co zrobią, jeśli wygrają, bo wszystkie to już widziałyśmy. Musimy się bronić przed zdrajcami. Wprowadzamy zatem rozporządzenie, na mocy którego każdy mężczyzna w kraju we wszystkich



dokumentach potwierdzających tożsamość musi otrzymać wpis z nazwiskiem kobiety, która obejmuje nad nim opiekę. Jej pisemna zgoda będzie konieczna przy każdej zmianie miejsca pobytu. Wiemy, że mężczyźni stosują różne wybiegi i nie możemy dopuścić, by gromadzili się bez kontroli. Każdy mężczyzna, który nie ma siostry, matki, żony, córki ani żadnej innej krewnej płci żeńskiej, obowiązany jest zgłosić się na posterunek policji, gdzie otrzyma skierowanie do pracy pod nadzorem razem z innymi mężczyznami znajdującymi się w podobnej sytuacji. Za nieprzestrzeganie tego prawa grozi kara śmierci. Przepisy obowiązują również przebywających w kraju zagranicznych dziennikarzy oraz przedstawicieli innych zawodów.

Mężczyźni w sali wymieniają spojrzenia. Jest ich kilkunastu – zagranicznych korespondentów, którzy mieszkają tu od dawnych czasów, gdy to miejsce było ponurym ośrodkiem handlu żywym towarem. Ich koleżanki starają się wyglądać na jednocześnie zszokowane i wspierające, jakby chciały powiedzieć: „Nie martwcie się. To nie potrwa długo, a w międzyczasie wam pomożemy”. Kilku mężczyzn splata ramiona na piersi w obronnym geście.

– Żaden mężczyzna nie może wywieźć pieniędzy ani ruchomości poza granice kraju.

Ministra przewraca stronę. Jest tam długa lista zakazów wypisanych drobnym drukiem.

Mężczyznom zakazuje się prowadzenia samochodów.

Mężczyznom zakazuje się prowadzenia działalności gospodarczej. Zagraniczni dziennikarze i fotografowie muszą być zatrudnieni przez kobietę.

Mężczyznom zakazuje się gromadzenia, nawet w domach, w grupach liczących więcej niż trzy osoby, jeżeli nie ma wśród nich żadnej kobiety.

Mężczyznom odbiera się prawa wyborcze, ponieważ długie lata przemocy i upadlania kobiet pokazały, że nie są zdolni do rządzenia.

Każda kobieta, która będzie świadkiem publicznego łamania tych przepisów, jest nie tylko uprawniona, ale również obowiązana do zdyscyplinowania danego mężczyzny. Każda kobieta, która zaniecha wypełnienia tego obowiązku, zostanie uznana za wroga publicznego, za współwinną przestępstwa oraz winną zakłócania pokojowego współżycia społecznego.

Potem następuje kilka stron uściśleń, wyjaśnień terminu „w towarzystwie

kobiety” i wyjątków stosowanych w sytuacjach zagrożenia życia i zdrowia, bo przecież, jak by na to nie patrzeć, władze nie są potworami. Wśród publiczności zapada coraz głębsza cisza.

Ministra sprawiedliwości kończy odczytywanie i spokojnie odkłada papiery. Jej postawa jest swobodna, twarz nie zdradza emocji.

– To wszystko – oznajmia. – Żadnych pytań.

Później, w hotelowym barze, Hooper z „Washington Post” mówi:

– Mam to w dupie. Wyjeżdżam.

Powtarza to już któryś raz. Nalewa sobie kolejną whisky, wrzuca trzy kostki lodu, kręci szklanką, aż lód brzęczy o ścianki, i znowu tłumaczy:

– Po jaką cholere mamy siedzieć gdzieś, gdzie nie da się pracować, kiedy jest masa miejsc, w których można robić coś ciekawego? Coś szykuje się w Iranie, jestem pewien. Jadę do Iranu.

– A jak coś się wydarzy w Iranie – odpowiada mu flegmatycznie Semple z BBC – to jak myślisz, co się stanie z mężczyznami?

Hooper kręci głową.

– Nie w Iranie. Na pewno nie tak jak tu. Nie mogą zmienić wiary z dnia na dzień, kobiety nie przejmą tak od razu wszystkiego.

– A pamiętasz – mówi Semple – że wszystko zmieniło się z dnia na dzień, kiedy upadły rządy szacha i władzę przejął ajatollah? Pamiętasz, że takie rzeczy dzieją się szybko?

Zapada chwila ciszy.

– Więc co proponujesz? – pyta Hooper. – Dać sobie spokój? Wracać do domu i redagować dodatek ogrodniczy? Świetnie byś pasował. Kamizelka kuloodporna w rabatkach.

Semple wzrusza ramionami.

– Ja zostaję. Jestem obywatelem Wielkiej Brytanii, poddanym Jej Wysokości. Będę przestrzegał prawa, na ile się da, i pisał o tym.

– Ale o czym? Jak to jest siedzieć w hotelu i czekać, aż jakaś kobieta przyjdzie wyprowadzić cię na dwór?

Semple wysuwa dolną wargę.

– Nie będzie gorzej, niż jest.

Tunde siedzi przy sąsiednim stoliku i słucha. Też ma dużą whisky, ale jej nie pije. Mężczyźni stopniowo się upijają i zaczynają mówić podniesionymi głosami. Kobiety milczą, przyglądają się. Z tych męskich pokazów bije poczucie bezradności i desperacja – Tunde myśli, że kobiety patrzą na to ze współczuciem.

Jedna z nich mówi, wystarczająco głośno, żeby Tunde usłyszał:

– Zabierzemy was wszędzie, gdzie będziecie chcieli. Przecież my nie wierzymy w te bzdury. Zawsze możecie nam powiedzieć, gdzie chcecie pojechać. Nic się nie zmienia.

Hooper łapie Semple'a za rękaw i przekonuje:

– Musisz wyjechać. Wsiadamy w pierwszy lepszy samolot i niech się całują w dupę.

Inna kobieta rzuca:

– On ma rację. Na jaką cholere macie dać się zabić w tej stęchłej dziurze?

Tunde idzie powoli do recepcji. Czeką, aż para starszych Norwegów zapłaci rachunek; przed hotelem czeka już taksówka z bagażami. Jak większość przybyszów z bogatych krajów, wyjeżdżają, póki się da. W końcu, po sprawdzeniu każdej pozycji na rachunku, wsiadają do auta.

Za kontuarem jest tylko jeden recepcjonista. Na głowie ma siwe kępkę – trochę tu, trochę tam, a poza tym jego włosy są czarne, gęste i kręcone. Ma może sześćdziesiąt lat i wygląda na zaufanego, doświadczonego pracownika.

Tunde uśmiecha się. Swobodnie, z miną sugerującą braterstwo w nieszczęściu.

– Dziwne czasy – mówi.

Mężczyzna kiwa głową.

– Rzeczywiście.

– Ma pan jakieś plany, co dalej?

Recepcjonista wzrusza ramionami.

– Ma pan rodzinę, która pana przyjmie?

– Córka ma gospodarstwo na zachodzie, trzy godziny drogi stąd. Pojadę do niej.

– Pozwolą panu na podróż?

Mężczyzna spogląda na niego. Białka oczu ma pozółkłe, poprzecinane czerwonymi żyłkami zbiegającymi się do źrenicy. Długą chwilę patrzy na Tundego, z pięć albo sześć sekund.

– Jeśli Bóg pozwoli.

Tunde wkłada rękę do kieszeni, swobodnie.

– Sam też myślę, żeby gdzieś pojechać – mówi. Robi pauzę. Czeką na reakcję.

Mężczyzna nie zadaje żadnego pytania. To dobrze wróży.

– Oczywiście potrzebuję do tego jednej czy dwóch rzeczy, których... już nie mam. Bez których nie chciałbym wyjeżdżać. Jak się już zdecyduję.

Mężczyzna nadal milczy, ale powoli kiwa głową.

Tunde składa ręce od niechcienia, a potem wsuwa banknoty pod podkładkę na kontuarze, tak że wystają tylko koniuszki. Dziesięć banknotów pięćdziesięciodolarowych. Amerykańskich.

Mężczyzna na chwilę wstrzymuje oddech.

Tunde mówi dalej, żartobliwym tonem.

– Wolność. Wszyscy jej chcą. – Milknie na chwilę. – Chyba pójdę już spać. Czy mogę prosić o przysłanie whisky na górę? Pokój 614. Najlepiej od razu.

Recepcjonista odpowiada:

– Przyniosę panu osobiście. Za chwilę.

W pokoju Tunde włącza telewizję. Fiona właśnie kończy wypowiedź: Tak więc prognozy gospodarcze na ostatni kwartał bieżącego roku nie napawają optymizmem. Na to Matt śmieje się sympatycznie i zwraca do kamery: Ja akurat słabo się znam na takich rzeczach, ale powiem ci, na czym znam się świetnie – na szarlotkach.

Niezależna sieć telewizyjna C-Span puszcza krótki materiał o „rządach silnej ręki” w tym „niespokojnym regionie”. A potem długo rozwodzą się nad kolejnym zamachem terrorystycznym w Idaho. UrbanDoxowi i jego popapranym kolesiom udało się wpłynąć na kształt dyskursu społecznego. Jeśli teraz ktoś mówi o prawach mężczyzn, musi też mówić o nich, o ich teoriach spiskowych, o przemocy, którą stosują, o tym, że trzeba ukrócić ich działalność.

Nikt nie chce słyszeć, co się dzieje tutaj. Prawda zawsze jest towarem zbyt złożonym, by łatwo było go opakować i sprzedać. A teraz prognoza pogody.

Tunde pakuje plecak. Dwie zmiany ciuchów, notatki, laptop i telefon, butelka z wodą, staroświecki aparat fotograficzny i czterdzieści rolek kliszy – wie, że może się trafić wiele dni, kiedy nie będzie miał dostępu do baterii ani elektryczności, a wtedy przyda się analogowy aparat. Zastanawia się chwilę i dokłada jeszcze dwie pary skarpet. Niespodziewanie czuje rosnące podniecenie, ale też strach i wściekłość na to, co się tutaj dzieje. Mówi sobie, że powinien się uspokoić, to poważna decyzja. Podrywa się nerwowo na pukanie do drzwi.

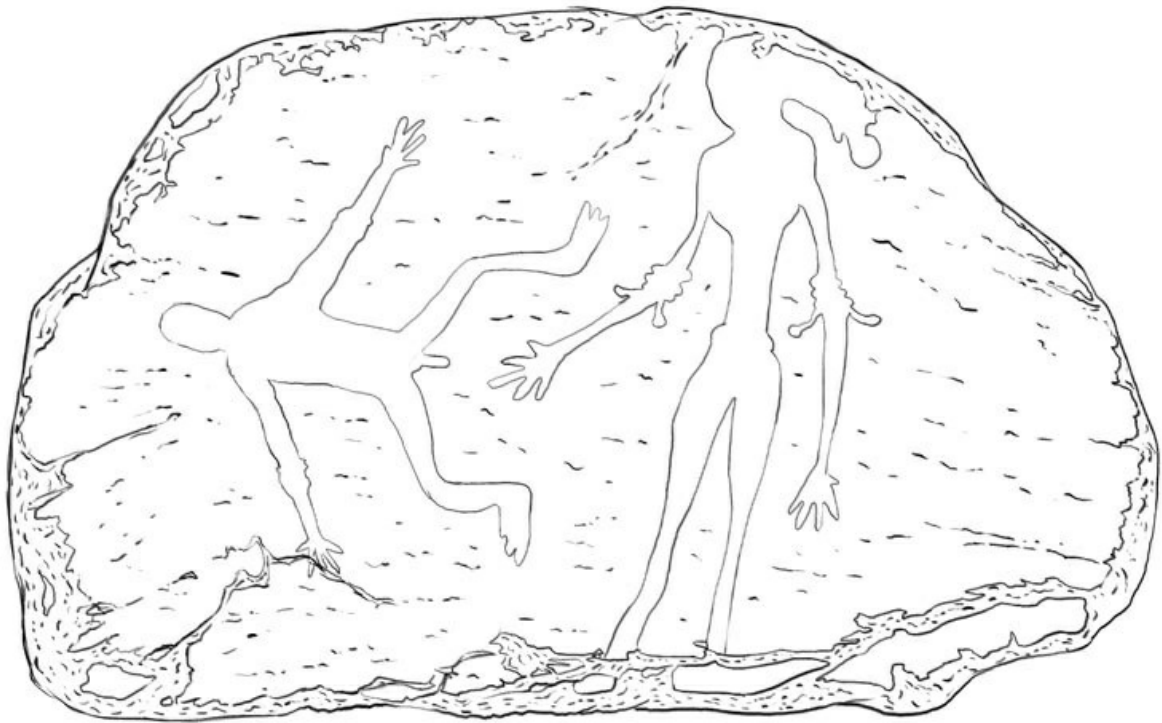
Kiedy otwiera, przez moment wydaje mu się, że recepcjonista go nie zrozumiał. Na tacy widzi karafkę z whisky ustawioną na prostokątnej podkładce i nic poza tym. Dopiero po chwili zauważa, że podkładka jest jego paszportem.

– Dziękuję bardzo – mówi. – Tego mi właśnie było trzeba.

Mężczyzna kiwa głową. Tunde płaci za whisky i wsuwa paszport do bocznej kieszeni spodni zamykanej na zamek.

Zwleka z opuszczeniem hotelu aż do wpół do piątej rano. Na korytarzach panuje cisza, światła są przygaszone. Kiedy otwiera drzwi wejściowe i wychodzi na chłód, nie rozlega się sygnał alarmu. Nikt nie próbuje go zatrzymać. Tak jakby poprzednie popołudnie było tylko złym snem.

Idzie pustymi ciemnymi ulicami. Z dala dobiega szczekanie psów. Przez chwilę biegnie, a potem wpada w rytm sprężystych długich kroków. Włożywszy rękę do kieszeni, odkrywa, że zabrał ze sobą klucz do pokoju hotelowego. Najpierw chce go wyrzucić albo zostawić w skrzynce pocztowej, ale obraca przez chwilę w dłoni mosiężną plakietkę z numerem i rezygnuje. Dopóki ma ten klucz, może wyobrażać sobie, że pokój 614 ciągle na niego czeka, tak jak go zostawił. Niepościelone łóżko, gazety bezładnie spiętrzone na stole, eleganckie buty ustawione przy stoliku nocnym, wczorajsze slipki i skarpety rzucone w kąt koło otwartej, do połowy pustej walizki.



*Rysunek naskalny odkryty na terenie północnej Francji, sprzed około 4000 lat. Przedstawia rytuał „karbowania” – okaleczania męskich genitaliów – polegający na tym, że kiedy chłopiec wkracza w okres dojrzewania, główne zakończenia nerwowe w jego członku zostają poparzone. Po takim zabiegu, nadal stosowanym w niektórych krajach europejskich, mężczyzna nie może osiągnąć wzwodu bez stymulacji elektrycznej przez kobietę. Wielu mężczyznom poddanym karbowaniu ejakulacja zawsze będzie sprawiała ból.*

*Jeszcze rok*

## *Allie*

Roxy Monke zaginęła. Allie rozmawiała z nią na przyjęciu, ludzie z obsługi widzieli, jak wychodziła, jest nagranie z ulicznej kamery, na którym widać, jak jej samochód wyjeżdża z miasta. Potem nic. Wiadomo tylko, że jechała na północ. Minęły już dwa miesiące. Żadnej wiadomości.

Allie rozmawiała z Darrellem przez Skype'a – wyglądał okropnie. „Jakoś daję sobie radę”, mówił. Przeszukali całą okolicę. „Jak ją załatwili, to przyjdą też po mnie – mówił Darrell. – Będziemy jej szukać. Nawet jeśli mamy znaleźć tylko ciało. Musimy się dowiedzieć, co zaszło”.

Muszą się dowiedzieć. Allie dręczą straszne myśli. Tatiana, w przyływie paranoi, wbiła sobie do głowy, że Roxy ją zdradziła i przeszła na stronę Mołdawii Północnej, więc w każdym ruchu wroga widzi działanie Roxy, która z pewnością przekazała nieprzyjaciółom brokat. Prezydentka jest kompletnie nieprzewidywalna. Czasami okazuje Matce Ewie zaufanie większe niż komukolwiek – wydała nawet dekret, na mocy którego Matka Ewa ma przejąć władzę w państwie, w razie gdyby coś się stało. Ale kiedy indziej szarpia ją gwałtowne ataki wściekłości; razi i kaleczy swoich pracowników, oskarżając wszystkich o spiskowanie przeciw niej. Przywódczyniom wojskowym wydaje sprzeczne albo dziwaczne polecenia. W kraju wybuchają walki. Część kobiecych grup odwetowych zaczęła podpalać wioski, w których mieszkają kobiety „zdrajczynie swojej płci”, ukrywające mężczyzn mających coś na sumieniu. Niektóre wsie zaczęły się bronić. Powoli kraj ogarnia wojna, niewypowiedziana, bez konkretnego wroga, ale rozprzestrzeniająca się jak zaraza: najpierw jedno ognisko, potem drugie, trzecie. Wojna wszystkich ze wszystkimi.

Allie tęskni za Roxy. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że Roxy znalazła drogę do jej serca. Boi się tego. Nigdy nie myślała, że może mieć przyjaciółkę. Nie potrzebowała nikogo, nie odczuwała żadnego braku, aż do dnia, kiedy ją straciła. Martwi się. Ma sny, w których na poszukiwanie dobrych wieści wysyła najpierw kruka, a potem białą gołębicę, ale żadne nie powraca z wyczekiwaną



nowiną.

Wysłałaby chętnie grupy poszukiwawcze do lasu, ale musiałyby przynajmniej wiedzieć, jaki teren mają przeczesać.

Modli się do Boskiej Matki: Proszę, sprowadź ją bezpiecznie do domu. Proszę.

Głos odpowiada: Nie mogę niczego obiecać.

Allie mówi w sercu: Roxy miała wielu wrogów. Ludzie tacy jak ona zawsze mają wrogów.

Głos pyta: A ty myślisz, że nie masz wielu wrogów, tak samo jak ona?

Allie odpowiada: Wcale mi nie pomagasz.

Głos mówi: Zawsze stoję po twojej stronie. Ale ostrzegałam, że to wszystko jest ryzykowne.

Allie mówi: Ale mówiłaś też, że jedynym wyjściem jest być u siebie.

Głos kwituje: Więc wiesz, co masz robić.

Allie mówi sobie: Skończ z tym, Alison. Po prostu przestań. Roxy jest człowiekiem jak inni. Wszystko może zniknąć, ale ty przetrwasz. Odetnij tę część siebie.

Zamknij ten rozdział. Zalej tę część serca wrzątkiem i zabij. Nie potrzebujesz jej. Przeżyjesz.

Boi się.

Nie czuje się bezpieczna.

Wie, co ma zrobić.

Musi być u siebie.

Którejś nocy Tatiana wzywa ją bardzo późno, po trzeciej. Źle sypia. Budzi się po nocach, prześladowana przez sny pełne zemsty, szpiegów w pałacu, ludzi zakradających się z nożami, by ją zabić. Wzywa wtedy Matkę Ewę, swoją duchową przewodniczkę, a Matka Ewa przychodzi, siada na łóżku i przemawia uspokajająco, aż Tatiana znowu zaśnie.

Sypialnia prezydentki udekorowana jest skórami tygrysów i dodatkami w kolorze czerwonego wina. Tatiana zawsze śpi sama, niezależnie od tego, kto był z nią w łóżku wcześniej.

Mówi:

– Wszystko mi zabiorą.

Allie bierze ją za rękę i wyczuwa podrażnione zakończenia nerwowe prowadzące aż do niespokojnego, pobudzonego mózgu. Mówi:

– Bóg jest z nami i zwyciężymy.

Kiedy wypowiada te słowa, lekko, precyzyjnie odmierzoną dawką mocy uciska tę część mózgu Tatiany i tamtą. Nie do wycucia. Po prostu jakieś grupy neuronów zaczynają reagować trochę inaczej. Delikatne stłumienie tu, delikatne pobudzenie tam.

– Tak – odpowiada Tatiana. – Tak będzie.

Bardzo dobrze, mówi głos.

– Bardzo dobrze – mówi Allie, a Tatiana kiwa głową jak grzeczna dziewczynka.

Allie przypuszcza, że w końcu więcej ludzi nauczy się, jak to robić. Być może nawet w tej chwili, gdzieś daleko, jakaś dziewczyna przejmuje kontrolę nad zachowaniem brata czy ojca. W końcu więcej ludzi pojmie, że umiejętność zadawania bólu to tylko początek. Narkotyk wprowadzający, jak by powiedziała Roxy.

– Posłuchaj – mówi Allie. – Myślę, że chyba chciałabyś teraz podpisać te papiery, prawda?

Tatiana sennie kiwa głową.

– Przemyślałaś sprawę i to naprawdę ma sens, żeby Kościół mógł przejąć część władzy sądowniczej i ustawodawczej w rejonach przygranicznych, prawda?

Tatiana bierze długopis z nocnego stolika i pisze, trochę koślawo, swoje nazwisko. Oczy jej się zamykają. Opada na poduszkę.

Głos pyta: Jak długo jeszcze chcesz to ciągnąć?

Allie mówi w sercu: Jeżeli zrobię coś za szybko, Amerykanie nabiorą podejrzeń. Chciałam, żeby to przypadło Roxy. Trudniej będzie przekonać ludzi, jeśli wezmę to dla siebie.

Głos odpowiada: Z dnia na dzień coraz trudniej nad nią zapanować. Sama wiesz.

Allie mówi: To przez to, co robię. Coś jej się przestawia w głowie. Ale już niedługo. Przejmę ten kraj. I będę bezpieczna.

## Darrell

Cały transport chuj strzelił przez jebane ONZ.

Darrell patrzy na ciężarówkę, która właśnie wróciła z granicy. Towar został w lesie, czyli brokat za trzy miliony funtów rozpuści się i wsiąknie w glebę po pierwszym deszczu. Jakby tego było mało, żołnierki pojechały za ciężarówką i dziewczyny musiały uciekać przez las, żeby je zgubić. Ale tak czy siak pokazały kierunek. Jak się spieprza od granicy w konkretną stronę, to dalsze poszukiwania będą znacznie łatwiejsze, wiadomo.

– Kurwa! – rzuca Darrell i kopie oponę ciężarówki. Blizna go ciągnie, a zwój buczy gniewnie. Boli. Znowu wykrzykuje: „Kurwa!”, tym razem głośniejsze, niż zamierzał.

Są w magazynie. Kilka kobiet spogląda w ich stronę. Dwie ruszają zobaczyć, co się dzieje. Jedna z kurierek, zmienniczka, przestępuje z nogi na nogę i mówi:

– Wcześniej, jak musiałyśmy rzucać towar w lesie, to Roxy zawsze...

– Mam w dupie, co Roxy zawsze – przerywa jej Darrell, chyba za szybko. Kobiety wymieniają spojrzenia. Musi się wycofać. – To znaczy... nie chciałyby przecież, żebyśmy robili ciągle to samo, no nie?

Dziewczyny znowu spoglądają po sobie.

Darrell próbuje przybrać spokojniejszy, bardziej zdecydowany ton. Czuje się nerwowo przy tych wszystkich kobietach, od kiedy zabrakło Roxy, która trzymała je w ryzach. Jak się dowiedzą, że on też ma zwój, zrobi się lepiej, ale na razie nie trzeba żadnych nowych niespodzianek, zresztą tata mówił, żeby trzymać wszystko w tajemnicy, dopóki się nie wygoi, dopóki nie wróci do Londynu.

– Słuchajcie – oznajmia. – Damy sobie na wstrzymanie przez tydzień. Żadnych transportów, żadnych przewozów, niech się najpierw uspokoi.

Kiwają głowami.

Darrell myśli: Skąd mam wiedzieć, czy te suki mnie nie oszukują? Nie ma jak tego sprawdzić. Mówią, że zrzuciły towar w lesie, ale skąd mogą wiedzieć, czy

nie sprzedają go na lewo? Kurwa. Problem w tym, że się go nie boją.

Jedna z dziewczyn, powolna, głupawa Irina, marszczy brwi i nadyma wargi.  
Pyta:

– Czy ty masz opiekunkę?

Jezu, znowu te pierdoły.

– Tak, Irina – odpowiada Darrell. – Moja siostra Roxanne jest moją opiekunką. Pamiętasz ją? Rządzi tutaj, fabryka do niej należy?

– Ale... Roxanne nie ma.

– Pojechała tylko na wakacje – tłumaczy Darrell. – Wróci niedługo, a na razie ja tutaj pilnuję wszystkiego.

Mars na wielkim kanciastym czole Iriny się pogłębia.

– Słyszałam w telewizji – mówi – że jak opiekunki nie ma albo jest nieżywa, to mężczyzna musi mieć nową.

– Ona nie jest nieżywa, Irina, ona tylko... Po prostu na razie jej nie ma. Wyjechała, żeby... załatwić różne ważne sprawy, rozumiesz? Wróci niedługo i powiedziała, żebym tu wszystkiego pilnował, jak jej nie ma, OK?

Irina kręci głową na prawo i lewo, przyswajając te informacje. Darrell słyszy, jak trzeszcza jej kości w karku.

– Ale skąd wiesz, co masz robić – pyta Irina – jak Roxanne nie ma?

– Przysyła mi wiadomości, wiesz? Wiadomości w komputerze i w telefonie, i przekazuje mi, co trzeba załatwić. Nie robię niczego bez jej zgody, więc jak ja wam mówię, że musicie coś zrobić, to jest tak, jakby ona wam mówiła, rozumiesz, Irina?

Irina mruga oczami.

– Tak – odpowiada. – Nie wiedziałam. Wiadomości. To dobrze.

– No to fajnie. Chcesz spytać o coś jeszcze?

Irina wpatruje się w niego z namysłem. No dawaj, dziewczyno, wyduś to z siebie, co ci się roi w tej wielkiej głowie?

– Twój ojciec – mówi.

– Tak? Co mój ojciec?

– Twój ojciec zostawił wiadomość. Chce z tobą rozmawiać.

Głos Berniego przebija się przez szum międzynarodowego połączenia z Londynu. Słysząc, że jest rozczarowany, i Darrell, jak zawsze, od razu czuje ściskanie w żołądku.

– Nie znalazłeś jej?

– Nie, tato, nadal nic.

Darrell mówi cicho. Ściany kantorka w fabryce są cienkie.

– Tato, pewnie gdzieś się schowała, do jakiejś dziury, żeby umrzeć. Słyszałeś, co mówił lekarz. Jak im się wytnie zwój, to więcej niż połowa umiera od samego szoku. Straciła dużo krwi i była sama, daleko od wszystkiego. Już dwa miesiące minęły. Tato, ona nie żyje.

– Nie musisz tak mówić, jakbyś się z tego cieszył. To była moja córka.

Co ten Bernie sobie w ogóle wyobrażał? Myślał, że Roxy wróci spokojnie do domu i przejmie po nim machloje w bukmacherce po tym, co jej zrobili? Cała nadzieja w tym, że nie żyje.

– Sorry, tato.

– Po prostu tak jest lepiej. Tak powinno być, i tyle, dlatego to załatwiliśmy. Nie, żeby zrobić jej krzywdę.

– Jasne, tato.

– Jak tam po operacji? Jak się czujesz?

Zwój budzi go w nocy co chwilę, miotają nim skurcze. Darrell bierze lekarstwa i brokat i to mu pomaga wykształcić połączenia nerwowe z nowym organem. Ale na razie czuje się, jakby pod skórą na piersi miał wściekłą żmiję.

– Dobrze, tato. Lekarz mówi, że jest w porządku. Działa.

– A kiedy będziesz mógł zacząć go używać?

– Już niedługo, zaraz. Jeszcze tydzień albo dwa.

– Dobra. To dopiero początek, synu.

– Wiem, tato. – Darrell się uśmiecha. – Będę zabójczy. Pójdę z tobą na spotkanie, nikt się nie będzie niczego spodziewał, a potem nagle: trzask!

– A jak ta operacja się uda na tobie, to pomyśl, ilu będziemy mieli chętnych. Chińczycy, Rosjanie, wszyscy, wszędzie, gdzie jest dużo ludzi w więzieniach. Przeszczepy zwojów... każdy będzie chciał.

– Zarobimy ładne pieniądze, tato.

– To na pewno.

## Jocelyn

Margot wysłała ją na terapię z powodu urazu psychicznego po wydarzeniach na obozie. Jocelyn nie powiedziała terapeutce, że wcale nie chciała zabić tamtego chłopaka. Nie powiedziała, że wcale nie sięgnął po broń. Terapeutka pracuje w gabinecie opłacanym przez NorthStar Industries, więc bezpieczniej było nie mówić. Rozmawiają dość ogólnie.

Ale powiedziała jej o Ryanie.

Stwierdziła:

– Chciałam, żeby mnie lubił, bo jestem silna i panuję nad sytuacją.

Terapeutka powiedziała:

– A może on cię lubił z innych powodów.

– Nie chcę, żeby mnie lubił z innych powodów. Przez to czuję obrzydzenie do siebie. Dlaczego miałabym mu się podobać z innych powodów? Chce pani powiedzieć, że jestem słaba?

Nie przyznała się jednak, że nawiązała znowu kontakt z Ryanem. Napisał do niej maila – z innego konta, z telefonu na kartę – po napadzie na obóz. Odpowiedziała, że nie chce go znać, nie chce rozmawiać z terrorystą. Odpisał: „Co??? Serio, o co chodzi?”.

Przez kilka miesięcy przekonywał ją, że to nie on pisał na forach. Jocelyn ciągle nie wie, czy mu wierzy, ale wie na pewno, że jej matka tak bardzo przywykła do kłamania, że robi to bezwiednie. A kiedy sobie wyobrazi, że matka mogła okłamać ją z premedytacją, wszystko ją boli.

Ryan mówi:

– Nie mogła znieść, że kocham cię taką, jaka jesteś.

Jos odpowiada:

– Wolę, żebyś mnie kochał mimo tego, że mam problem, nie z jego powodu.

– Ale ja po prostu cię kocham. Każdy twój kawałek.

– Podobam ci się, bo jestem słaba. To wstrętne, że tak myślisz.



– Wcale nie jesteś słaba. Ani trochę. Nie dla kogoś, kto cię zna, komu na tobie zależy. Zresztą nawet gdybyś była, co z tego? Ludzie mają prawo być słabi.

Tylko że tego właśnie nie wiadomo.

Królują teraz wielkoformatowe reklamy z pewnymi siebie dziewczynami, które pokazują potężne jaśniejące łuki elektryczne ślicznym, zachwyconym chłopakom. Namawiają do kupowania napojów, butów czy gum do żucia. I są skuteczne, zwiększają sprzedaż. Poza tym mimochodem sprzedają dziewczynom coś jeszcze. Bądź silna, przekonują, tylko wtedy dostaniesz, co zechcesz.

To przesłanie jest wszechobecne. Jeśli ktoś szuka innych poglądów, musi zwrócić się do specyficznych ludzi. Nie wszystko, co mówią, wydaje się w porządku. A niektórzy wręcz sprawiają wrażenie szalonych.

Ten prezenter, Tom Hobson, który kiedyś pracował w telewizji śniadaniowej, prowadzi teraz własną stronę internetową. Dołączył do UrbanDoxa, BabeTruth i kilku innych. Jos przegląda sieć w telefonie, kiedy jest sama. Na stronie Toma Hobsona są relacje z Bessapary, w które trudno jej uwierzyć. Tortury, eksperymenty medyczne, kobiece gangi przy północnej granicy, mordujące i gwałcące mężczyzn, jak im się podoba. Tutaj, na południu, jest spokojnie, mimo coraz większych niepokojów na granicy. Jocelyn spotkała już trochę miejscowych; zazwyczaj są naprawdę mili. Rozmawiała z mężczyznami, którzy zgadzają się, że nowe przepisy są odpowiednie na teraz, na czas wojny. I z kobietami, które zapraszały ją do domów na podwieczorek.

Ale w pewne rzeczy łatwiej uwierzyć. Tom pisze, że w Bessaparze robi się eksperymenty na chłopcach takich jak Ryan. Opisuje, jak tną ich na kawałki, żeby zobaczyć, co się właściwie z nimi dzieje. Albo karmią ich tym nowym drakiem, brokatem. Mówi się, że narkotyk pochodzi z Bessapary, z jakiegoś miejsca całkiem niedaleko. Tom zamieścił mapę Google z naniesioną lokalizacją. Twierdzi, że prawdziwy powód stacjonowania amerykańskich oddziałów właśnie tutaj, na południu Bessapary, jest taki, że mają ochraniać fabryki brokatu. Utrzymują porządek, żeby Margot Cleary mogła przekazywać dostarczany przez mafię narkotyk korporacji NorthStar, która z kolei sprzedaje go armii po zawyżonych cenach.

Już od ponad roku Jocelyn dwa razy na tydzień dostaje w wojsku mały

woreczek fioletowobiałego proszku, podobno lekarstwa na jej „dolegliwość”. Na jednej ze stron internetowych, które pokazał jej Ryan, pisano, że ta substancja może pogarszać stan dziewczyn z zaburzeniami zwoju. Zwiększa rozchwianie, niedobory i nadmiary mocy. Uzależnia.

Ale teraz wszystko z nią jest w porządku. Spotkał ją prawdziwy cud. Po niego tu przyjechała. Każdej nocy, leżąc na pryczy, modli się w ciemnościach – zamyka oczy i szepcze: „Dziękuję, dziękuję, dziękuję”. Została uzdrowiona. Jest już normalna. Myśli sobie: Jeśli zostałam uratowana, musi być w tym jakiś cel.

Przygląda się nieotwartym torebcom, które schowała pod materacem. I fotografiom narkotyku, które zamieścił na stronie Tom Hobson.

Wysłała wiadomość do Ryana. Ma ukryty telefon na kartę, którą co trzy tygodnie wymienia na nową.

Ryan pyta:

– Naprawdę myślisz, że twoja mama poszła na układ z kartelem narkotykowym?

Jos odpowiada:

– Nie wierzę, że by tego nie zrobiła, gdyby miała taką możliwość.

Ma dzisiaj wolny dzień. Bierze z bazy jeepa – wybiera się tylko na przejażdżkę, spotkać się ze znajomymi, można? Jest córką senatorki wytypowanej jako kandydatka w kolejnych wyborach do Białego Domu i posiadającej duży pakiet akcji NorthStar. Oczywiście, że można.

Studiuje wydruk mapy ze strony Toma Hobsona. Jeżeli on ma rację, to jedna z fabryk produkujących narkotyki mieści się zaledwie sześćdziesiąt kilometrów stąd. Poza tym parę tygodni temu zdarzyła się dziwna historia: kilka dziewczyn z bazy ścigało przez las nieoznakowaną ciężarówkę. Kobieta z szoferki zaczęła do nich strzelać. W końcu ją zgubiły i zameldowały o spotkaniu z terrorystami z Mołdawii Północnej. Ale Jos wie, w jakim kierunku jechała ta ciężarówka.

Wsiada do auta z poczuciem beztroski. Dostała przepustkę na pół dnia. Świeci słońce. Pojedzie do miejsca, gdzie powinna być ta fabryka, i zobaczy, co będzie do zobaczenia. Lekko jej na sercu. Jej zwój pracuje teraz równo i mocno, każdego dnia. Czuje się dobrze. To będzie przygoda. W najgorszym razie po

prostu się przejedzie. Ale może zrobi coś lepszego; może zbierze jakieś materiały obciążające matkę. Coś, co mogłaby wysłać jej mailem i dopisać: Jak nie zostawisz mnie w spokoju i nie pozwolisz mi żyć, jak chcę, wysyłam to wszystko prosto do „Washington Post”. Gdyby tylko zrobiła kilka zdjęć... To może być naprawdę udany dzień.

## *Tunde*

Na początku nie było trudno. Miał już wystarczająco dużo znajomości, żeby bezpiecznie przedostać się przez miasto i okolice, a potem w kierunku gór. Zna Bessaparę i Mołdawię Północną, wiele tu podróżował, kiedy przygotowywał relację o wojskach Awadi-Atifa, całą wieczność temu. Czuje się w tym regionie dziwnie bezpieczny.

Poza tym zmiana władzy nie zmienia rzeczywistości z dnia na dzień. Biurokracje działają powoli. Ludzie się nie spieszą. Poprzedni pracownik musi zostać, żeby pokazać nowej pracownicy, jak obsługiwać piłę tartaczną albo robić zamówienie na mąkę w piekarni. W całym kraju mężczyźni nadal prowadzą przedsiębiorstwa, a kobiety po cichu rozmawiają między sobą o nowych przepisach i zastanawiają się, kiedy wreszcie zostaną wprowadzone w życie. Przez pierwsze tygodnie Tunde robił zdjęcia nowych porządków, ulicznych zatargów, mężczyzn z nieruchomymi twarzami uwięzionych w domach. Zamierzał pojeździć parę tygodni i po prostu rejestrować, co widzi. To będzie ostatni rozdział jego książki, czekającej na pendrive'ach i w notatnikach w mieszkaniu Niny w Nowym Jorku.

Słyszał pogłoski, że najgorsze rzeczy dzieją się w górach. Nikt nie chciał nic opowiedzieć dokładnie. Ludzie mówili tylko ponuro o zacofanych tubylcach i ciemnocie, która nigdy stamtąd nie zniknęła, mimo kolejnych reżimów i dyktatorów.

Petru, kelner z przyjęcia Tatiany Moskalew, powiedział:

– Mieli taki zwyczaj, żeby oślepić dziewczynki. Kiedy pojawiła się moc, to mężczyźni stamtąd, lokalni kacykowie, oślepiли wszystkie dziewczyny. Tak słyszałem. Wypalili im oczy gorącym żelazem. Żeby utrzymać władzę, rozumiesz?

– A teraz?

Petru kręci głową.

– Teraz nikt tam nie jeździ.

Więc z braku innego planu Tunde postanowił wybrać się w góry.

Z początkiem ósmego tygodnia zrobiło się kiepsko. Dotarł do miasta położonego nad wielkim zielonobłękitnym jeziorem i w niedzielny poranek szedł ulicą, głodny, aż trafił na piekarnię. Przez otwarte drzwi na ulicę wydobywały się kłęby pary i smakowity zapach drożdży.

Położył kilka monet przed mężczyzną stojącym za ladą i pokazał ręką białe bułki stygnące na drucianej półce. Sprzedawca wykonał znany gest, „dłonie udające otwartą książkę”, prosząc o pokazanie papierów. To zdarzało się coraz częściej. Tunde podał mu paszport i akredytację dziennikarską.

Mężczyzna zaczął przeglądać paszport, szukając stempla z nazwiskiem opiekunki Tundego, która powinna też podpisać zgodę na jego dzisiejsze wyjście na zakupy. Patrzył uważnie na każdą stronę. Kiedy już sumiennie przejrzał cały paszport, znowu zrobił gest „dokumenty”, a w jego oczach pojawił się niepokój. Tunde uśmiechnął się, wzruszył ramionami i przechylił głowę.

– Daj spokój – powiedział, chociaż nie było powodu sądzić, że mężczyzna zna angielski. – Chcę tylko parę bułek. Nie mam innych papierów.

Do tej pory coś takiego wystarczało. Zwykle w tym momencie uśmiechano się, spoglądając z sympatią na nieogarniętego cudzoziemca, albo łamaną angielszczyzną wygłaszano napomnienie, że następnym razem musi mieć już papiery w porządku, na co Tunde przepraszał, uśmiechał się czarująco i wychodził ze sklepu z niezbędnymi rzeczami.

Tym razem sprzedawca potrząsnął żałośnie głową i pokazał wiszące na ścianie ogłoszenie, wydrukowane cyrylicą. Tunde przetłumaczył je przy pomocy kieszonkowego słownika. Głosiło mniej więcej: „5000 dolarów kary dla każdego, kto udzieli pomocy mężczyźnie nieposiadającemu dokumentów”.

Tunde uśmiechnął się i znowu wzruszył ramionami. Otworzył dłonie, żeby pokazać, że są puste. Potem osłonił ręką oczy i rozejrzał się na niby.

– Nikt nie zobaczy. Nikomu nie powiem.

Ale mężczyzna ponownie potrząsnął głową i spojrzał na swoje dłonie trzymające skraj kontuaru. Tam, gdzie mankiety dotykały nadgarstków, widniały kręte linie szram. Jedne na drugich, stare i nowe. Wychodziły też spod koszuli na piersiach. Stał tak, kręcąc głową, i czekał, patrząc w dół. Tunde

złapał swój paszport i wyszedł. Kiedy się oddalał, przyglądały mu się kobiety stojące w otwartych drzwiach domów.

Coraz mniej trafiało się kobiet czy mężczyzn, którzy chcieliby sprzedać mu jedzenie albo paliwo do kuchenki turystycznej. Powoli uczył się rozpoznawać tych, którzy mogli okazać mu życzliwość. Starsi mężczyźni, siedzący przed domami i grający w karty – oni byli gotowi poczęstować go jedzeniem, a nawet przenocować. Młodszy mężczyźni się bali. Kobiet nie było sensu zagadywać; nawet patrzenie im w oczy mogło być niebezpieczne.

Któregoś dnia mijał grupkę kobiet na drodze – śmiały się, żartowały i strzelały iskrami w niebo – i mówił do siebie: Nie ma mnie tu, jestem niewidzialny, nie zauważacie mnie, nie ma na co patrzeć.

Zaczęły za nim wołać, najpierw po rumuńsku, potem po angielsku. Nie podniósł głowy, wpatrywał się w kamienie na drodze. W końcu krzyknęły coś obraźliwego i rasistowskiego, ale zostawiły go w spokoju.

W dzienniku zapisał: „Dzisiaj po raz pierwszy w tej podróży naprawdę się bałem”. Kiedy atrament wysechł, przesunął po zapisanych słowach palcem. Prawda była łatwiejsza na kartce niż w rzeczywistości.

W połowie dziesiątego tygodnia wstał jasny poranek. Słońce przebijało przez chmury, ważki latały urywanym lotem nad pastwiskami. Tunde policzył znowu w pamięci – ma dostatecznie dużo batonów energetycznych, żeby wytrzymać dwa tygodnie, wystarczy mu filmów w drugim aparacie, ma naładowany telefon i powerbank. Za tydzień będzie w górach, przez kilka dni będzie fotografować i nagrywać, a potem zmywa się stąd z materiałami. Tak mocno wbił sobie to wszystko do głowy, że kiedy wyszedł zza zakrętu, w pierwszej chwili nie zrozumiał, co właściwie przywiązane jest do słupa stojącego na środku drogi.

To był mężczyzna z długimi ciemnymi włosami opadającymi na twarz, przywiązany do słupa plastikową linką. Ramiona miał wygięte do tyłu, ręce związane za plecami. Kostki owinięto linką wraz ze słupem kilkanaście razy, od razu widać, że zrobił to pośpiesznie ktoś, kto nie znał się na węzłach. Po prostu przywiązał jak najciaśniej i zostawił. Na ciele mężczyzny widać było znaki zadawanego cierpienia, jaskrawe i ciemniejsze, granatowe, fioletowe i czarne. Na szyi miał zawieszoną tabliczkę z jednym słowem po rosyjsku: „bładź”. Nie żył od dwóch albo trzech dni.

Tunde sfotografował ciało bardzo starannie. Jest coś pięknego

w okrucieństwie i coś nienawistnego w wypracowanej kompozycji artystycznej; chciał wyrazić jedno i drugie. Nie spieszył się i nie rozglądał, nie sprawdzał, czy ktoś go obserwuje. Później sam nie mógł uwierzyć we własną głupotę. Wieczorem tego dnia zorientował się, że jest śledzony.

Zapadał zmrok i chociaż oddalił się już na dziesięć czy dwanaście kilometrów od ciała, to ciągle prześladował go obraz opadłej głowy i czarnego języka. Szedł poboczem, wśród zarośli. Wschodził księżyc, żółty sierp pomiędzy koronami drzew. Od czasu do czasu myślał: może by się tu zatrzymać, chodź, Tunde, trzeba się zatrzymać na noc. Ale nogi niosły go dalej, żeby jeszcze jeden, dwa kilometry więcej dzieliły go od zasłony czarnych włosów spadających na rozkładającą się twarz. Nocne ptaki zaczęły nawoływać. Spojrzał w bok, w prawo, w ciemność – i między drzewami zobaczył błysk światła.

Światło było niewielkie, ale nie do pomylenia z niczym innym. Każdy rozpoznałby ten charakterystyczny biały krótki rozbłysk. Tam była kobieta, która zrobiła łuk elektryczny między dłońmi. Tunde wciągnął gwałtownie powietrze.

To mogło być cokolwiek. Ktoś rozpalający ognisko, zabawiająca się para, cokolwiek. Zaczął iść szybciej. I zobaczył błysk znowu, tym razem przed sobą. Dłuższe wyładowanie, oświetlające niewyraźnie twarz okoloną czarnymi włosami, wykrzywioną w uśmiechu. Patrzyła na niego. Widział to nawet z tej odległości, w ciemnościach.

Nie bój się. Jedyne sposob, żeby wyjść z tego cało, to się nie bać. Ale jego zwierzęca natura skurczyła się ze strachu. W każdym z nas jest część, która trzyma się starej prawdy: albo jesteś łowcą, albo ofiarą. Musisz to rozpoznać. A potem odpowiednio się zachować. Od tego zależy twoje życie.

W czarnoniebieskiej ciemności kobieta znowu wypuściła iskry w górę. Była bliżej, niż sądził. I wydała z siebie głos: niski skrzekliwy śmiech. Tunde pomyślał: O Boże, wariatka. To by było najgorsze. Zostać wyśledzonym bez powodu, zginąć bez sensu.

Rozległ się trzask łamanej gałązki i nie wiedział, czy to ona czy on sam. Zaczął biec. Szlochając, łykając powietrze, ze zwierzęcym zacięciem. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że kobieta biegnie za nim; dłońmi podpałała mijane drzewa, rzucając płomyczki na korę, w liście. Tunde przyspieszył. W głowie kołatała mu

tylko jedna myśl: gdzieś tam jest bezpieczne miejsce. Jeżeli będę biegł, znajdę je.

I gdy dobiegł na szczyt wzniesienia, zobaczył: niecały kilometr dalej, miejscowość z rozświetlonymi oknami budynków.

Rzucił się biegiem w tamtą stronę. Tam, w sztucznym świetle, horror musi zniknąć.

Od dawna się zastanawiał, jak może się skończyć ta wyprawa. Od trzeciej nocy, kiedy znajomi powiedzieli mu, że musi odejść, że policjantki chodzą od domu do domu, szukając mężczyzn, którzy nie mają stempli, nie mają opiekunki. Wtedy sobie obiecał: mogę się z tego wymiksować w każdej chwili. Miał telefon. Wystarczy go naładować i wysłać jednego maila. Do redakcji CNN i może jeszcze do Niny. Podać swoje położenie. Przyjadą i znajdą go, stanie się bohaterem, narażającym życie reporterem, zostanie uratowany.

Więc pomyślał: Teraz. Teraz jest ten moment. W tej chwili.

Wbiegł pomiędzy domy. W niektórych oknach na parterze świeciło się światło, z niektórych dobiegały dźwięki radia czy telewizji. Było dopiero parę minut po dziewiątej. Przez chwilę miał ochotę walić do drzwi, mówić: Pomocy, proszę, pomóżcie. Ale powstrzymała go myśl o ciemności, która mogła kryć się za tym światłem. Teraz każda noc pełna była demonów.

Na ścianie kilkupiętrowego budynku dostrzegł schody przeciwpożarowe. Dopadł do nich i zaczął się wspinać. Mijając trzecią kondygnację, zobaczył przez okno ciemne pomieszczenie z trzema klimatyzatorami na podłodze. Magazyn. Pusty, nieużywany. Spróbował wepchnąć palce w szparę w oknie i udało się. Przecisnął się do zakurzonego, cichego wnętrza, a potem zamknął okno. W ciemnościach odszukał na ścianie gniazdko elektryczne i podłączył telefon.

Cichy dwutonowy sygnał włączającego się telefonu zabrzmiał mu w uszach jak dźwięk klucza do domu, obracającego się w zamku jego mieszkania w Lagos. Uff. Już dobrze. Ekran rozjaśnił się. Tunde przycisnął go do ust, wciągnął głęboko powietrze. W wyobraźni był już w domu, a wszystkie samochody, pociągi, samoloty i telefony, niezbędne, żeby go tam przenieść, wydawały się nieważne.

Szybko wysłał maile: do Niny, do Temi i do trzech różnych redaktorów,



z którymi ostatnio pracował. Napisał, gdzie jest, że jest bezpieczny i że muszą skontaktować się z ambasadą, żeby go wydostała.

W oczekiwaniu na odpowiedzi zaczął przeglądać wiadomości. Coraz więcej „potyczek”, jednak nikt nie ma ochoty otwarcie nazwać tego wojną. Znowu wzrost cen ropy naftowej. I nazwisko Niny też, pod artykułem na temat wydarzeń w Bessaparze. Uśmiechnął się. Nina była tu przez jeden weekend, parę miesięcy temu. Co może mieć do powiedzenia? Zaczął czytać i zmarszczył brwi. Coś w jej słowach brzmiało znajomo.

Przerwał mu dobrze znany, podnoszący na duchu ciepły melodyjny sygnał przychodzącej poczty.

Od jednego z redaktorów.

„Co za głupi żart. Tunde Edo był moim przyjacielem. Jeśli zhakowałeś jego konto, znajdziemy cię, skurwielu”.

Kolejny sygnał, kolejna odpowiedź. Podobna.

Poczuł, jak ogarnia go panika. Zaczął powtarzać: wszystko będzie dobrze, to jakieś nieporozumienie, coś dziwnego się wydarzyło.

Wrzucił do wyszukiwarki własne nazwisko. Pokazał się nekrolog. Jego nekrolog.

Był długi i pełen trochę dwuznacznych pochwał pod jego adresem – za wkład w informowanie młodego pokolenia. Użyte sformułowania sugerowały, że przedstawiał współczesne wydarzenia w sposób płytki i uproszczony. Było też kilka drobnych błędów. Wymieniono pięć sławnych kobiet, dla których był inspiracją. Określono go jako „ulubionego”. Wymieniono rodziców i siostrę. Podano, że zginął w Bessaparze; niestety, zginął w wypadku drogowym, zostały po nim tylko spalone zwłoki, zidentyfikowane na podstawie nazwiska na walizce.

Tunde zaczął szybciej oddychać.

Zostawił walizkę w pokoju hotelowym.

Ktoś musiał ją wziąć.

Wrócił do artykułu Niny o Bessaparze. Opisano go jako fragment dzieła, które pod koniec roku ma zostać opublikowane przez poważne wydawnictwo, zapowiadane jako dogłębna analiza Wielkiej Zmiany, oparta na osobistych relacjach i wywiadach przeprowadzonych przez autorkę na całym świecie.

Redakcja już na wstępie porównywała je do *O demokracji w Ameryce* Tocqueville'a, do *Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego* Gibbona.

Tymczasem to był jego własny tekst. Jego fotografie. Kadry z jego filmów. Jego słowa, jego pomysły, jego interpretacje. Akapity z jego książki, którą zostawił u Niny na przechowanie razem z dziennikami. Ale jej nazwisko widniało przy fotografiach, jej nazwiskiem był podpisany artykuł. Żadnej wzmianki o Tundem. Ukradła mu wszystko.

Z piersi wyrwał mu się głos, jakiego nie znał. Ryk gdzieś z głębi gardła. Krzyk bezsilności, bardziej rozpaczliwy niż szloch.

I wtedy na korytarzu usłyszał hałas. Wołanie. Okrzyk. Głos kobiety.

Nie wiedział, co krzyczała. Jego wyczerpany, przerażony umysł zrozumiał to jako: „Tu się schował! Otwórzcie te drzwi!”.

Złapał plecak, rzucił się do okna i po metalowych schodkach wspiął się na płaski dach.

Z ulicy dobiegły nawoływania. Jeżeli wcześniej kobiety go nie szukały, to teraz na pewno zaczęły. Te na dole pokazywały go sobie palcami i krzyczały.

Tunde biegł. Musi dać radę. Przez dach. Skok na następny. W dół po drabince. Dopiero gdy znalazł się znów w lesie, zdał sobie sprawę, że w tym magazynie zostawił telefon podłączony do gniazdka.

Kiedy to sobie przypomniał i zrozumiał, że już nie może wrócić, przez chwilę myślał, że rozpacz złamie mu serce. Wspiął się na drzewo, paskiem przywiązał się do gałęzi i spróbował zasnąć, z nadzieją, że rano coś wymyśli.

Tej nocy wydawało mu się, że widzi w lesie obrzędy.

Siedział wysoko na gałęzi; obudziło go trzaskanie ognia i strach, że kobiety podpaliły drzewa, że spłonie żywcem.

Otworzył oczy. Ogień palił się trochę dalej, rozjaśniając leśną polanę. Wokół widać było tańczące postacie nagich mężczyzn i kobiet z wymalowanym na skórze symbolem oka. Odchodzące od niego linie mocy oplatały ich ciała.

Od czasu do czasu któraś kobieta popychała jednego z mężczyzn na ziemię jasnobłękitnym wyładowaniem i kładła dłoń na rysunku na jego piersi. Oboje wydawali dzikie okrzyki radości, gdy demonstrowała swoją moc. Potem go dosiadała, ciągle trzymając na nim dłoń, przyciskając go do ziemi. Na jego

twarzą malowało się gorączkowe uniesienie, zachęta, by raz ją go znowu, mocniej, więcej.

Minęło kilka miesięcy, odkąd Tunde był z kobietą, i nagle poczuł pragnienie, by zejść na dół, wejść w środek kręgu i dać się wykorzystać tak jak tamci. Przyglądał się i czuł twardniejącą erekcję. Bezwiednie potarł ręką krocze przez spodnie.

Rozległ się dźwięk bębnów. Bębny? Czy to nie przyciągnęłoby uwagi? Chyba mu się śni.

Czterech młodych mężczyzn podpełzło na czworakach do kobiety okrytej czerwonym płaszczem. Jej oczodoły były puste, jak dwie rany. Ruchy miała pełne godności, zdecydowane, mimo ślepoty. Pozostałe kobiety uklęknęły albo położyły się przed nią twarzą do ziemi.

Zacząła mówić, a one odpowiadały.

Niczym we śnie rozumiał każde słowo, chociaż jego rumuński był kiepski, a one nie mogły mówić po angielsku. A jednak rozumiał.

Kobieta zapytała:

– Czy jest gotowy?

Odpowiedziały:

– Tak.

Poleciała:

– Przyprawadźcie go.

Do środka kręgu wszedł młody mężczyzna. Na włosach miał koronę z gałęzi, a na biodrach białą przepaskę. Jego twarz była spokojna. Z własnej woli składał siebie samego w ofierze, która będzie odkupieniem dla innych.

Kobieta powiedziała:

– Jesteś słaby, a my jesteśmy silne. Jesteś darem, a my cię posiadamy. Jesteś przegranym, a my zwyciężamy. Jesteś niewolnikiem, a my władczyniami. Jesteś ofiarą, a my przyjmujemy ofiarę. Jesteś synem, a my Matką. Czy to przyznajesz?

Wszyscy mężczyźni w kręgu patrzyli w napięciu.

– Tak – szeptali. – Tak, tak, prosimy, tak, teraz, tak.

A Tunde poczuł, że szepcze razem z nimi. „Tak”.

Mężczyzna wyciągnął przed siebie wyprostowane ręce, podając niewidomej kobiecie nadgarstki, a ona złapała je pewnym ruchem, każdy jedną dłonią.

Tunde wiedział, co się teraz wydarzy. Trzymał w rękach aparat, ale z trudem namacał spust migawki. Nie chciał ani na chwilę oderwać wzroku od tego, co się działo.

Ślepa kobieta koło ognia była wszystkimi kobietami, które o mało go nie zabiły, które mogły go zabić. Była Enumą, była Niną, była wariatką na dachu w Delhi, jego siostrą Temi, była Noor, była Tatianą Moskalew i ciężarną w ruinach centrum handlowego w Arizonie. Przez wszystkie lata ta możliwość osaczała go, napierała na niego, i chciał, żeby się wreszcie dokonało, żeby mógł to zobaczyć. W tej chwili pragnął być mężczyzną, którego trzymała niewidoma. Pragnął uklęknąć u jej stóp, paść twarzą na wilgotną ziemię. Chciał, żeby walka się zakończyła, chciał się przekonać, kto zwycięży, nawet kosztem własnego życia; chciał rozwiązania.

Kobieta trzymała nadgarstki młodego mężczyzny.

Przycisnęła czoło do jego czoła.

– Tak – wyszeptał. – Tak.

I kiedy go zabiła, to była ekstaza.

Rano Tunde nie wie, czy to był sen czy jawa. Aparat pokazuje, że zrobił osiemnaście zdjęć, ale mógł przycisnąć migawkę przez sen. Dowie się na pewno, kiedy wywoła film. Ma nadzieję, że to był tylko sen, ale ta myśl też jest przerażająca. Jakby gdzieś w głębi duszy pragnął upodlenia.

Siedzi na gałęzi i zastanawia się nad wydarzeniami wczorajszej nocy. W świetle poranka wszystko wygląda lepiej. Albo chociaż mniej przerażająco. Fałszywa wiadomość o jego śmierci nie była przypadkowa. Ludzie Tatiany Moskalew musieli się zorientować, że uciekł i zabrał ze sobą paszport. Cały ten wypadek na pewno został zaaranżowany: samochód, zwęglone ciało, walizka. To oznacza jedną ważną rzecz: nie może iść na policję. Nie może się dłużej oszukiwać – wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że taka myśl siedziała mu w głowie – że w razie czego po prostu wejdzie na posterunek policji i powie: „Sorry, tu nieposłuszny nigeryjski dziennikarz. Trochę głupio się zachowałem. Wyślijcie mnie do domu”. Nikt nie wysłał go do domu. Wezmą go w ustronne

miejsce i zastrzelą. Został sam, zdany tylko na siebie.

Musi znaleźć dostęp do internetu. Gdzieś na pewno trafi się życzliwy mężczyzna, który pozwoli mu skorzystać z komputera przez parę minut. Wystarczy pięć zdań, żeby ich wszystkich przekonać, że to on, że naprawdę żyje.

Schodzi na ziemię i cały się trzęsie. Ruszy dalej na piechotę, trzymając się lasu, i wróci do wioski, w której był cztery dni temu; widział tam kilka przyjaznych twarzy. Wyśle maile. Przyjadą po niego. Z tą myślą zarzuca plecak na ramię i rusza na południe.

Z prawej strony w krzakach rozlega się jakiś hałas. Tunde obraca się gwałtownie. Ale hałas słychać też z lewej strony. I z tyłu. Stoją tam kobiety i Tunde z nagłym przerażeniem zdaje sobie sprawę, że cały czas na niego czekały. Czekały całą noc, żeby go złapać. Próbuje biec, ale coś chwyta go za kostkę, jakiś drut. Więc pada, w dół, na ziemię, szarpiąc się. Ktoś się śmieje, ktoś razi go w kark.

Kiedy się budzi, jest w klatce i wszystko jest koszmarem.

Klatka jest mała, drewniana. Plecak też jest w środku, razem z nim. Tunde ma podciągnięte kolana, brakuje miejsca, żeby rozprostować nogi. Pałący ból w mięśniach oznacza, że leży w tej pozycji od paru godzin.

Znajduje się w leśnym obozie. Niedaleko płonie małe ognisko. Zna to miejsce. To polana, którą widział we śnie. Nie we śnie. To królestwo ślepej kobiety, a on właśnie został złapany. Zaczyna się trząść. To nie może się tak skończyć. Nie tak, nie w tej klatce. Nie rzucony w ogień albo zabity jako ofiara jakiejś prymitywnej czarnej magii. Wali kolanami w pręty.

– Pomocy! – woła, chociaż nikt go nie słucha. – Pomocy, niech mi ktoś pomoże!

Gdzieś zza pleców słyszy niski gardłowy śmiech. Wykręca głowę, żeby zobaczyć.

Stoi tam kobieta.

– Wpakowałeś się w niezłe gówno, co? – mówi po angielsku.

Tunde próbuje się skupić, przyjrzeć się jej. Zna skądś ten głos, z bardzo

daleka, z bardzo dawnych czasów. Jakby należał do kogoś sławnego.

Mruga i wreszcie udaje mu się zobaczyć wyraźnie. To Roxanne Monke.

## *Roxy*

Roxy mówi:

– Od razu cię poznałam. Widziałam cię w telewizji, wiesz?

Tunde myśli, że to znowu jakiś sen, to musi być sen, to nie może dziać się naprawdę. Zaczyna płakać. Jak dziecko, przestraszone i rozgniewane.

– Weź przestań – mówi Roxy. – Bo ja też zacznę. Ja pierdolę, co ty tu w ogóle robisz?

Próbuje jej powiedzieć, ale ta historia nie ma sensu, nawet dla niego. Postanowił pójść prosto w niebezpieczeństwo, bo sądził, że jest dobrze przygotowany i wie, o co chodzi, a teraz znalazł się w tym niebezpieczeństwie i widzi jasno, że nigdy nie był przygotowany i nigdy nie miał pojęcia, o co chodzi. Ta świadomość jest nie do zniesienia.

– Szukałem... tego kultu w górach – mówi w końcu zachrypłym głosem. Gardło ma wyschnięte i boli go głowa.

Roxy parska śmiechem.

– No jasne. I znalazłeś. To był raczej chujowy pomysł, co?

Pokazuje ręką dookoła. Są na skraju niewielkiego obozowiska. Niedaleko ogniska stoi ze czterdzieści brudnych namiotów i szałasów. W wejściach siedzi kilka kobiet, ostrzających noże, naprawiających jakieś metalowe urządzenia albo patrzących tępo przed siebie. W powietrzu unosi się smród: odór palonego mięsa, zgniłego jedzenia, odchodów, psów i wymiocin. Koło latryny leży stos kości. Tunde ma nadzieję, że zwierzęcych. Dwa wynędzniałe psy uwiązane są na sznurkach do drzewa – jednemu brakuje oka i jest w połowie wyłysiały.

Tunde mówi:

– Musisz mi pomóc. Proszę. Proszę, pomóż mi.

Roxy patrzy na niego i jej twarz krzywi się w niepewnym półuśmiechu. Wzrusza ramionami. Tunde widzi, że jest pijana. Niech to szlag.

– Nie wiem, czy mogę coś zrobić, stary. Nie mam tu... za dużo do powiedzenia.

Cholera. Będzie musiał stać się bardziej czarujący niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. A tkwi w klatce i ledwie może poruszyć głowę. Wciąga głęboko powietrze. Poradzi sobie. Na pewno.

– A co ty tutaj robisz? Zniknęłaś parę miesięcy temu, po tym wielkim przyjęciu u Moskalew. Jak wyjeżdżałem z miasta, ludzie wciąż jeszcze mówili, że ktoś cię sprzątnął.

Roxy się śmieje.

– Serio? Mówili tak? No faktycznie, ktoś próbował. Zajęło mi trochę czasu, żeby dojść do siebie.

– Wyglądasz całkiem... zdrowo.

Mierzy ją wzrokiem z wyrazem uznania na twarzy. Jest z siebie dumny, że dokonuje czegoś takiego, ledwie mogąc się poruszać.

Ona znowu parska śmiechem.

– Wiesz, miałam być prezydentką tego pierdolonego kraju. Przez jakieś... trzy godziny byłam normalnie jak już wybrana.

– Coś ty? – mówi Tunde. – A ja miałem być najgorętszą premierą na Amazonie tej jesieni. – Rozgląda się na prawo i lewo. – Myślisz, że już wysłali po mnie drona?

Ona się śmieje, razem z nim. Kobiety siedzące w namiotach spoglądają na nich złowrogo.

– Ale naprawdę. Co chcą ze mną zrobić? – pyta Tunde.

– One są porąbane. Łapią facetów po nocach. Wysyłają dziewczyny, żeby ich straszyły, a jak już któryś się wystraszy i daje w długą, zaganiają go w pułapkę, w jakieś druty.

– Złapały mnie.

– Co chcesz, sam wlałeś im w ręce, no nie? – Roxy znowu krzywo się uśmiecha. – Mają jakieś odpały na punkcie chłopaków. Chwytają ich i na parę tygodni robią z nich królów, a potem nasadzają im na głowy wielkie rogi i zabijają, jak jest nów. Albo pełnia. Albo jakiś tam inny księżyc. Normalnie obsesja na punkcie księżycy. Wszystko przez to, że nie mają telewizji.

Tunde znowu się śmieje, prawdziwym śmiechem. Roxy jest zabawna.

Więc taka jest magia za dnia: podstępny i okrucieństwo. Magia polega na



wierze w magię. A wszystko sprowadza się do ludzi, którymi zawładnęły obłąkańcze wymysły. Najgorzej, jeśli zaczną sobie coś wyobrażać na twój temat. I kiedy to szaleństwo prowadzi do przemocy.

– Słuchaj – mówi Tunde. – Jak już tu razem trafiliśmy... Byłoby ci trudno mnie stąd wyciągnąć?

Stopami pcha lekko drzwiczki klatki. Są mocno związane sznurkiem. Gdyby Roxy miała nóż, mogłaby z łatwością go przeciąć, ale wszyscy by to widzieli.

Ona wyciąga płaską butelkę z tylnej kieszeni spodni i pociąga łyk. Potrząsa głową.

– Znają mnie – mówi. – Ale ja nie zawracam im głowy, a one zostawiają mnie w spokoju.

– Więc chowasz się w tym lesie od paru tygodni i nie zawracasz im głowy?

– No.

Przypomina mu się kawałek przeczytanej dawno temu historyjki. O schlebającym lusterku. Musi się stać dla niej takim lusterkiem, pokazać jej odbicie dwa razy większe, żeby uwierzyła, że może zrobić to, na czym mu zależy. „Bez tej umiejętności – kołacze mu w głowie – ziemia pewnie nadal byłaby pustynią i puszcza”.

– To nie w twoim stylu – mówi. – Ty taka nie jesteś.

– Przyjacielu, nie jestem już tym, czym byłam.

– Nie możesz przestać być sobą. Jesteś Roxy Monke.

Ona parska krótko.

– Chciałbyś, żebym nas stąd wyprowadziła, rozwalając wszystko po drodze? Sorry, ale to... nie jest możliwe.

Tunde trochę się śmieje, jakby jej nie wierzył, jakby sobie żartowała.

– Nie musisz niczego rozwalać. Jesteś Roxy Monke. Masz w sobie moc. Widziałem cię. Słyszałem o tobie. Zawsze chciałem cię spotkać. Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką widziano. Czytałem różne relacje. Zabiłaś rywala twojego ojca w Londynie, a potem jego samego wysłałaś na zieloną trawkę. Wystarczy, że poprosisz o mnie, a one same otworzą te drzwi.

Roxy potrząsa głową.

– Trzeba mieć coś do zaoferowania. Coś na wymianę.

Ale Tunde widzi, że już się nad tym zastanawia.

– Masz coś, co one chciałyby dostać? – pyta.

Roxy wbija palce w wilgotną ziemię. Przez chwilę trzyma w dłoniach mokrą grudę i patrzy na niego.

– Obiecałam sobie, że nie będę się wychylać – mówi.

– Ale to do ciebie nie pasuje – odpowiada Tunde. – Czytałem o tobie. – Waha się przez moment, a potem ryzykuje. – Pomożesz mi, bo dla ciebie to drobiazg. Proszę. Bo jesteś Roxy Monke.

Ona przełyka ślinę. Mówi:

– No tak. Tak, jestem.

O zmierzchu większość kobiet wraca do obozu, a Roxanne Monke targuje się ze ślepą kobietą o życie Tundego.

Kiedy się odzywa, Tunde widzi, że miał rację – wygląda na to, że kobiety ją szanują i trochę się jej obawiają. Roxy trzyma przed nimi małą plastikową torebkę z narkotykiem i prosi o coś, ale spotyka się z odmową. Wzrusza ramionami, a potem pokazuje na niego głową. Jakby mówiła: Dobra, jak nie może być to, czego chcę, to w zamian mogę wziąć chłopaka.

Kobiety są zaskoczone, a potem nabierają podejrzeń. Naprawdę? Właśnie tego? Czy to nie jakaś pułapka?

Trochę się targują. Ślepa kobieta czemuś zaprzecza, Roxy odpowiada. Rozmowa nie trwa długo, nie musi się specjalnie starać, żeby je przekonać. Miał rację, czują wobec niej respekt. A on nie jest szczególnie cennym łupem. Jeśli ta kobieta go chce, może go sobie zabrać. I tak nadchodzi wojsko, wojna jest coraz bliżej. Nie są aż tak szalone, żeby tu zostawać, kiedy przyjdą żołnierze. Za dwa–trzy dni zwiną obóz i pójdą w góry.

Wiążą mu ręce za plecami i rzucają plecak, jako bonus, żeby okazać Roxy szacunek.

– Tylko się nie spoufalaj – mówi Roxy, popychając go przed sobą. – Nie chcę, żeby myślały, że cię lubię albo że tanio cię kupiłam.

Tunde po wyjściu z klatki jest cały zdrętwiały i kiedy ruszają leśną ścieżką, musi iść powoli, powłócząc nogami. Mija cały wiek, zanim znikną z pola widzenia kobiet, i kolejny, zanim przestaną słyszeć głosy z obozu.

Tunde myśli: Jestem związany i jestem we władzy Roxanne Monke. Ona jest niebezpieczną kobietą nawet w normalnym układzie. A co, jeśli tylko ze mną pogrywa? Takie myśli, kiedy choć raz przemkną przez głowę, nie dają się odpędzić. Tunde milczy, aż parę kilometrów dalej Roxy mówi: „Już chyba odeszliśmy wystarczająco daleko”, a potem wyjmując z kieszeni scyzoryk i przecina jego więzy.

On pyta:

– Co masz zamiar ze mną zrobić?

– Pewnie cię uratuję i wyślę do domu – odpowiada Roxy. – W końcu jestem Roxy Monke, no nie? – Parska śmiechem. – Poza tym jesteś sławny. Ludzie chętnie zapłaciliby za to sporo kasy. Spacerunek po lesie z celebrytą.

To go rozśmiesza. A jego śmiech rozśmiesza ją. Po chwili stoją oboje wśród drzew, zanosząc się od śmiechu, z trudem chwytając powietrze. Coś się między nimi przełamuje. Robi się łatwiej.

– Dokąd idziemy? – pyta Tunde.

Roxy wzrusza ramionami.

– Od jakiegoś czasu staram się siedzieć cicho. Coś się popsło w mojej rodzinie. Ktoś... ktoś mnie zdradził. Jest OK, dopóki myślę, że nie żyję. Ale znajdę sposób, żeby odebrać, co mi zabrali.

– Ukrywałaś się w strefie działań wojennych? Czy to nie jest „chujowy pomysł”?

Roxy spogląda na niego ostro.

Tunde ryzykuje. Już czuje mrowienie w ramieniu, gdzie ona porazi go mocą, jeśli ją wkurzy. On może i jest celebrytą, ale ona jest Matką Chrzestną.

Tymczasem Roxy kopie kamień przy drodze i mówi:

– No, pewnie tak. Ale nie miałam wielkiego wyboru.

– Żadnego ładnego rancza w Ameryce Południowej, żeby się tam ewakuować? Myślałem, że w waszym fachu to standard.

Tunde musi się dowiedzieć, co może ją rozgniewać, gdzie jest granica – czuje to intuicyjnie. Jeżeli będzie chciała zrobić mu krzywdę, musi wiedzieć o tym z wyprzedzeniem. Jego ciało napina się w oczekiwaniu porażenia, ale nic się nie dzieje.

Roxy wpycha ręce do kieszeni.

– Tu jest w porządku – mówi. – Ludzie dużo nie gadają. Coś sobie zostawiłam na czarną godzinę, jakbyś chciał wiedzieć.

Tunde przypomina sobie plastikowy woreczek, który trzymała przed kobietami w obozie. No tak, jeśli wykorzystujesz niestabilną dyktaturę do produkowania i przemykania narkotyków, to pewnie masz kilka ukrytych magazynów na wszelki wypadek.

– Słuchaj – mówi Roxy. – Nie masz zamiaru o tym pisać, co?

– Zależy, czy wyjdę z tej historii żywy – odpowiada Tunde.

Ona znowu zaczyna się śmiać i znów oboje zataczają się ze śmiechu. Po chwili Roxy mówi:

– Mój brat, Darrell. Coś mi zabrał. Muszę się dobrze namyślić, jak to odzyskać. Pomogę ci wyjechać, ale zanim się zdecyduję na jakiś plan, spróbujemy się trochę schować, dobra?

– To znaczy?

– Musimy spędzić kilka dni w obozie dla uchodźców.

Znajdują bagniste pole z namiotami na dnie wąskiej doliny. Roxy idzie porozmawiać w sprawie miejsca dla nich; tylko na kilka dni, mówi. Chcą poznać ludzi, przydać się na coś.

Na dnie plecaka Tunde znajduje akredytację z jakiejś włoskiej agencji informacyjnej, od roku nieważną, ale to wystarczy, żeby zachęcić ludzi do rozmowy. Używa jej z umiarem, chodząc od namiotu do namiotu. Dowiaduje się, że walk było o wiele więcej, niż słyszał, i to całkiem niedawno. Że od trzech tygodni helikoptery nie lądują już w obozie, zrzucają tylko jedzenie, lekarstwa, ubrania i namioty dla powoli, ale stale napływających uciekinierów, przybywających przez las. UNESCO nie chce narażać swoich ludzi.

Roxy traktują tu z szacunkiem. Jest osobą, która wie, jak zdobyć potrzebne rzeczy, paliwo czy lekarstwa. Pomaga ludziom. A ponieważ Tunde jest z nią, ponieważ śpi na metalowym łóżku w jej namiocie, ma święty spokój. Po raz pierwszy od paru tygodni czuje się względnie bezpieczny. Ale to złudzenie. W przeciwieństwie do Roxy nie mógłby sobie pójść. Nawet gdyby nie złapały go wyznawczynie jakiegoś kultu, jest po prostu nielegalny.

Kilka osób w obozie powtarza tę samą historię: wyłapują mężczyzn bez odpowiednich dokumentów. Zabierają ich gdzieś „do pracy” i zabrani już nie wracają. Mówią o tym kobiety i mężczyźni. Piszą o tym zachodnie gazety, a telewizja nadaje zatroskane komentarze, które można obejrzeć w jedynym działającym czarno-białym odbiorniku w namiocie szpitalnym.

Teraz toczy się debata: ilu mężczyzn w ogóle potrzebujemy? Trzeba to przemyśleć. Mężczyźni stanowią zagrożenie. Są sprawcami większości przestępstw. Są mniej inteligentni, mniej pracowici, mniej obowiązkowi, myślą penisem. Częściej zapadają na różne choroby i stanowią obciążenie dla budżetu. Oczywiście potrzebujemy ich do płodzenia dzieci, ale ilu jest naprawdę niezbędnych w tym celu? Na pewno mniej niż kobiet. Dobrzy, porządni, posłuszni mężczyźni – oczywiście, dla nich zawsze znajdzie się miejsce. Jednak ilu takich jest? Może jeden na dziesięciu.

Nie żartujesz, Fiona, one naprawdę mówią takie rzeczy? Obawiam się, że tak, Matt. Fiona współczująco kładzie mu rękę na kolanie. Rzecz jasna, nie mają na myśli takich wspaniałych facetów jak ty, ale owszem, takie jest przesłanie niektórych ekstremistycznych ugrupowań. Dlatego trzeba dać większe uprawnienia dziewczętom z NorthStar, żeby broniły nas przed podobnymi ludźmi. Matt poważnie kiwa głową. Moim zdaniem to вина ruchów walczących o prawa mężczyzn – mają zbyt radykalne poglądy i sprowokowali taką reakcję. Ale musimy się bronić. Teraz już się uśmiecha. Po przerwie będę się uczył fajnych technik samoobrony, które możecie ćwiczyć w domu. Ale najpierw prognoza pogody.

Nawet w tym miejscu, nawet po tym, co widział, Tunde nadal nie może uwierzyć, że ten kraj próbuje wymordować większość mężczyzn. Ale wie, że takie rzeczy zdarzały się w przeszłości. Takie rzeczy zawsze się zdarzają. Na razie wydłuża się lista wykroczeń karanych śmiercią. Notatka w gazecie sprzed tygodnia informuje wyraźnie, że „odmowa wykonania trzech różnych poleceń” będzie karana zesłaniem „do pracy”. Tu w obozie na każdym ośmiu–dziesięciu mężczyzn przypada jedna opiekunka. Wszyscy tłoczą się wokół swojej opiekunki, rywalizując o jej uznanie, chcąc jej się przypodobać, przerażeni myślą, że mogłaby wycofać nazwisko z ich dokumentów. Roxy może opuścić obóz w dowolnej chwili, ale Tunde jest zdany na jej opiekę.

Trzeciej nocy Roxy budzi się parę sekund przed tym, nim pierwsza błyskawica i trzaskające wyładowania gaszą latarnie wzdłuż centralnej ścieżki obozu. Musiała coś usłyszeć. Albo poczuć. Powietrze przesycone jest mocą. Otwiera oczy i mruga. Dawne odruchy nadal jej towarzyszą; jeszcze ich nie straciła.

Kopie w łóżko Tundego.

– Zbudź się.

Tunde leży zaplątany w śpiwór. Kiedy odrzuca okrycie, pod spodem jest prawie nagi. Rozpraszający widok, nawet w tej sytuacji.

– Co? – pyta z nadzieją w głosie. – Helikopter?

– Chciałbyś – mówi Roxy. – Napadły nas.

Wtedy on od razu przytomnieje, szybko wciąga dzinsy i bluzę.

Na zewnątrz słychać odgłosy tłuczonego szkła i zgrzyt metalu.

– Pochyl się nisko – ciągnie Roxy – i jak dasz radę, biegnij do lasu i wejdź na drzewo.

Chwilę potem ktoś przykładą dłoń do centralnego agregatu, zbiera całą moc, jaką ma w ciele, i wysyła prosto w maszynę. Wszystkie żarówki w obozie wybuchają wśród iskier i odłamków szkła. Zapada całkowita ciemność.

Roxy rozrywa tylną ścianę namiotu, tam, gdzie przeciekał przez przegniłe szwy, i Tunde rusza do lasu. Powinna biec za nim. Zaraz to zrobi, za moment. Planuje trzymać się w cieniu i posuwać na północ; to najbezpieczniejszy kierunek ucieczki. Ale na razie wkłada ciemną bluzę z głębokim kapturem i obwiązuje twarz szalikiem. Chce zobaczyć, co tu się będzie działo. Tak jakby mogła coś zmienić.

Dokoła już rozlegają się krzyki. Ma szczęście, że jej namiot nie był na skraju. Niektóre z tych stojących z brzegu już się palą, zapewne z ludźmi w środku, w powietrzu unosi się słodkawy zapach benzyny. Minie jeszcze dobrych kilka chwil, zanim wszyscy w obozie zorientują się, co się dzieje, że to nie awaria i pożar agregatu. Między namiotami, na tle czerwonej ognistej poświaty, Roxy zauważa niską krępa kobietę podpalającą wszystko iskrami rzucanymi z dłoni. Któreś wyładowanie rozjaśnia jej twarz białym światłem. Roxy zna ten grymas, widywała go już wcześniej. O kimś z taką twarzą jej ojciec powiedziałby, że jest kiepski do interesów. Nigdy nie bierz kogoś, kto za bardzo lubi tę robotę. Na widok złego, głodnego, wyszczerzonego uśmiechu Roxy od razu wie, że

napastniczki nie przyszły tu szukać łupów. Nie są zainteresowane niczym, co ktoś mógłby im dać.

Zaczynają od szukania młodych mężczyzn. Idą od namiotu do namiotu, rozdzierając ściany i podpalając, więc ludzie w środku muszą albo wybiec na zewnątrz, albo spłonąć. Nie są przy tym dokładne ani systematyczne. Szukają w miarę dobrze wyglądających młodych facetów. Roxy słusznie zrobiła, wysyłając Tundego do lasu. Jakaś żona albo siostra próbuje przeszkodzić im w zgarnięciu bladego mężczyzny z kręconymi włosami, który spał z nią w namiocie. Poraża dwie agresorki precyzyjnymi i dobrze wymierzonymi uderzeniami mocy, w podbródek i skroń. Ale zaraz ją obezwładniają i wyjątkowo brutalnie zabijają. Jedna łapie ją za włosy, a druga razi w oczy. Przyciska palce do jej gałek ocznych, które ścinają się i robią całkiem białe. Nawet Roxy odwraca wzrok.

Wycofuje się do lasu i wspina na drzewo rosnące na skraju, pomagając sobie kawałkiem liny. Kiedy dociera do rozgałęzienia konarów, kobiety zabierają się za bladego mężczyznę.

On ciągle krzyczy. Kolejne dwie kobiety łapią go za gardło i paraliżują. Potem jedna siada na nim i ściąga mu spodnie. Mężczyzna nie stracił przytomności. Oczy mu lśnią, szeroko otwarte. Ledwo łapie oddech. Jakiś inny mężczyzna rusza mu na pomoc, ale tylko dostaje uderzenie mocą w skroń.

Kobieta siedząca na chłopaku bierze w dłoń jego genitalia. Mówi coś i zaczyna się śmiać. Pozostałe też się śmieją. Ona łaskocze go w jądra czubkiem palca, coś do niego śpiewnie zagaduje, jakby chciała mu sprawić przyjemność. On nie może mówić, gardło ma zablokowane. Zapewne złamały mu chrząstkę tchawicy. Kobieta przekrzywia głowę i robi szyderczo smutną minę. Ten komunikat można zrozumieć bez słów: „Co jest? Nie staje?”. On usiłuje wyrwać się spod niej, odpychając się od ziemi piętami, ale na to już za późno.

Roxy bardzo by chciała, żeby to się wcale nie działo. Gdyby tylko mogła, zeskoczyłaby na ziemię z tej kryjówki i pozabijała je. Najpierw te dwie koło drzewa – byłoby po nich, zanim ktokolwiek by się zorientował. Potem podeszłyby te trzy z nożami, ale Roxy skoczyłaby między tamte dwa dęby, więc musiałby się zbliżyć pojedynczo. Potem miałaby już nóż. Łatwizna. Ale nie może tego zrobić. I wszystko się dzieje. Jej życzenia nic nie zmieniają. Więc patrzy. Żeby potem dać świadectwo.

Tymczasem kobieta przykładła rękę do genitaliów mężczyzny. Najpierw puszcza tylko iskry. On ciągle wydaje stłumione okrzyki, próbuje się wyrwać. Pewnie nie boli jeszcze zbyt mocno. Roxy też robiła facetom takie rzeczy w ramach wspólnej zabawy. Jego penis podnosi się i wypręża, jakby salutował, jak to się zawsze dzieje. Jak zdrajca. Jak dureń.

Kobieta uśmiecha się krzywym uśmieszkiem. Podnosi brwi. Jakby mówiła: Widzisz? Trzeba było tylko trochę zachęty, co? Łapie go za jądra, pociąga raz i drugi, jakby się bawiła, a potem razi go gwałtownie, z całej siły, prosto w krocze. To musi być uczucie, jakby ktoś wbił mu w ciało wielką szklaną drzazgę, rozszarpującą wnętrzności. Mężczyzna krzyczy i cały się wygina. A ona rozpina rozporek, zsuwa swoje wojskowe spodnie i siada na jego penisie.

Jej koleżanki śmieją się, a ona śmieje się z nimi, podskakując na mężczyźnie. Jedną rękę trzyma mu na brzuchu i poraża za każdym razem, kiedy ze ściśniętymi udami podnosi pośladki. Jedna z kobiet wyciąga smartfona i robi jej zdjęcia, siedzącej okrakiem na mężczyźnie. On próbuje zasłonić się ramieniem, ale odciągają mu rękę. No nie. Chcą mieć fajną pamiątkę.

Koleżanki dopingują. Ona zaczyna masować się w kroczu, rusza się szybciej, rzuca biodrami do przodu. Teraz naprawdę mocno go razi, bez finezji, nie po to, żeby zadawać ból na interesujące sposoby, ale po prostu brutalnie. Łatwo o coś takiego, kiedy ktoś jest podniecony. Roxy też się zdarzyło, wystraszyła jednego czy dwóch facetów. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby wzięła brokat. Kobieta trzyma dłoń na piersi mężczyzny i przy każdym ruchu do przodu wbija w niego błyskawicę. On usiłuje odepchnąć jej rękę, krzyczy, wyciąga błagalnie dłoń do głosu, jęczy coś niewyraźnie w języku, którego Roxy nie rozumie, tylko że „Na pomoc, Boże, pomocy” brzmi tak samo we wszystkich językach.

Kiedy ona ma orgazm, koleżanki ryczą triumfalnie. Kobieta odrzuca głowę do tyłu, wypina klatkę piersiową i rzuca potężne wyładowanie prosto w środek ciała mężczyzny. Potem podnosi się, uśmiechnięta, a inne klepią ją po plecach. Ona śmieje się cały czas, otrząsa jak pies i tak jak u psa na jej twarz znowu powraca głód. Kobiety zaczynają skandować, te same cztery czy pięć słów wykrzykiwanych rytmicznie, mierzwią jej włosy i przybijają sobie piątki. Błady mężczyzna o kręconych włosach wreszcie leży nieruchomo, zabity ostatnim wyładowaniem. Jego oczy patrzą w pustkę. Na ciele wiją się czerwone linie, na piersi i gardle. Penis jeszcze przez jakiś czas zostanie podniesiony, ale reszta



ciała już się zatrzymała. Żadnych drgawek, nawet drżenia. Krew już zaczyna zbierać się na dole, w jego grzbiecie, w pośladkach, w piętach. Kobieta przyłożyła mu dłoń do serca i zatrzymała wszystko.

Słysząc szmer, całkowicie różny od krzyku rozpacz. Rozpacz woła, zawodzi z głębi serca, rzuca w niebo krzyk jak płacz dziecka wzywającego matkę. Rozpacz ma w sobie nadzieję. Wierzy, że wszystko można naprawić, że może nadejść pomoc. Ten szmer jest inny. Dzieci zbyt długo pozostawione w samotności przestają płakać. Leżą cicho i nieruchomo. Wiedzą, że nikt nie przyjdzie.

Wiele oczu wpatrywało się w tę scenę w ciemnościach, ale nie słysząc krzyku. Nie ma wściekłości. Mężczyźni milczą. Z drugiej strony obozu kobiety nadal walczą, próbując odeprzeć napastniczki, mężczyźni ciągle rzucają kamieniami i czym popadnie. Jednak tutaj ci, którzy widzieli, stoją w ciszy.

Dwie inne żołnierki parę razy szturchają butami ciało martwego mężczyzny i kopniakami rzucają na niego piach, co może świadczy o jakimś wstydzie czy opamiętaniu, ale zaraz zostawiają go tak, brudnego, zakrwawionego, posiniaczonego, opuchniętego i poznaczonego szramami. I idą rozejrzeć się za łupem dla siebie.

Ten napad, wszystko, co się dzieje, nie ma żadnego celu ani sensu. Nie ma tu terenu do opanowania, żadnej konkretnej krzywdy do pomszczenia, żadnych wrogów do zlikwidowania. Kobiety zabijają starszych mężczyzn na oczach młodszych, przykładając im dłonie do twarzy albo do gardła, a jedna z nich popisuje się szczególnym talentem, palcami rysując na ciałach czerwone wzory. Inne wybierają sobie młodszych i gwałcą albo po prostu dręczą dla zabawy. Jednemu proponują wybór między zachowaniem rąk albo nóg, a kiedy wybiera nogi, i tak nie dotrzymują słowa. Wiedzą, że nikogo nie obchodzi, co się tutaj dzieje. Nikt nie broni tych ludzi i nikt się nimi nie przejmuje. Ich ciała mogą leżeć w lesie przez kolejne dziesięć lat i nikt ich nie znajdzie. Te kobiety robią to, bo mogą; bo nic nie stanie im na przeszkodzie.

Tuż przed świtem są zmęczone, ale moc krążąca w ich ciałach, narkotyki i dokonane zbrodnie nie dają im zasnąć. Roxy nie poruszyła się od paru godzin. Bolą ją ręce, nogi i żebra, a blizna ciągle dokucza. Czuje się wyczerpana tym, co widziała, jakby samo patrzenie było fizycznym wysiłkiem.

Gdy ktoś cicho woła jej imię, podskakuje nerwowo i prawie spada z drzewa,

tak bardzo jest oszołomiona. Odkąd zdarzyła się tamta rzecz, czasem zapomina, kim jest. Potrzebuje kogoś, kto jej przypomni. Rozgląda się i kawałek dalej widzi Tundego, który właśnie zaczyna odwiązywać się od drzewa. Czuje się, jakby zobaczyła dom, i on czuje się tak samo. W tym chaosie są dla siebie czymś znajomym, bezpiecznym.

Tunde wspina się trochę wyżej, gdzie gałęzie drzew stykają się ze sobą, i powoli przesuwa się w jej stronę. Dociera w końcu do jej kryjówki na grubym konarze, na którym starczy miejsca dla nich dwojga, przytulonych do siebie. Roxy widzi, że coś mu się stało, coś ma uszkodzone w ramieniu. On wyciąga do niej dłoń, splata palce z jej palcami, żeby nie drżały. Oboje się boją. Roxy ma wrażenie, że Tunde pachnie czymś świeżym, zielonym i liściastym.

On mówi:

– Myślałem, że zginęłaś.

Ona odpowiada:

– Spoko. Ciągle jeszcze mam duże szanse.

On bierze nieco głośniejszy wdech, zamiast parsknięcia śmiechem. Szepcze:

– I to miejsce jest jednym z mrocznych zakątków ziemi.<sup>[6]</sup>

Przez kilka minut siedzą nieruchomo, w milczeniu wpatrując się przed siebie, jakby zasnęli. Powinni uciekać, ale bliskość znanego ciała jest zbyt wielkim pocieszeniem, by z niej rezygnować.

Kiedy zaczynają znowu mrugać oczami, na tym samym drzewie pod nimi ktoś jest. Kobieta w zielonym mundurze. Wspina się do góry, woła coś do innej kobiety, stojącej na dole. Iskrami oświetla sobie drogę i podpala liście. Jest jeszcze na tyle ciemno, że niewiele widać.

Roxy przypomina sobie, jak kiedyś z dziewczynami usłyszały, że na ulicy jakaś babka bije swojego chłopaka. Trzeba było to ukrócić; na własnym terenie nie toleruje się takich rzeczy. Gdy dotarły na miejsce, została już tylko ona, pijana, zataczająca się po chodniku, przeklinająca na cały głos. Chłopaka znalazły ukrytego w schowku pod schodami i chociaż starały się być dla niego miłe, Roxy myślała sobie: Dlaczego jej nie oddałeś? Dlaczego nie próbowałeś walczyć? Mogłeś złapać patelnię i jej przywalić. Mogłeś chwycić szpadel. Co niby miało wyniknąć z tego chowania? A teraz sama jest tu, gdzie jest. Sama się chowa. Jak mężczyzna. I nie jest pewna, czym się właściwie stała.

Tunde opiera się o nią. Ma szeroko otwarte oczy, jest spięty. Też zauważył żołnierkę pod nimi, podpalającą niższe gałęzie. Na szczęście gałęzie tylko się tlą, bo niedawno padało. Jedna z koleżanek rzuca jej długi metalowy pręt, którym zabawiały się wcześniej, wtykając w ciała i puszczając przez niego prąd. Kobieta zaczyna machać prętem w gałęziach sąsiedniego drzewa. Żadna kryjówka nie jest doskonała.

Kobieta znowu robi zamach, zbyt blisko Roxy i Tundego, o wiele za blisko. Koniec pręta znajduje się przez chwilę na wyciągnięcie ramienia od twarzy Tundego. Kiedy żołnierka podnosi rękę, Roxy czuje jej zapach. Żółty zapach potu, kwaśny zapach przetrawionego brokatu i pieprzo-chrzanowy zapach ludzkiej elektryczności. Mieszanka, którą zna na pamięć. Kobieta z rozbujaną mocą, nad którą nie ma kontroli.

Tunde szepcze:

– Poraż ją, tylko raz. To przewodzi w obie strony. Jak znowu machnie tym kijem, to złap i poraż z całej siły. Spadnie na ziemię, a inne będą musiały się nią zająć. Wtedy uciekniemy.

Ale Roxy potrząsa głową, w oczach ma łzy, a Tunde nagle czuje, jakby jego serce się otworzyło, jakby opadły pętające go metalowe sieci.

Coś mu zaczyna świtać. Przypomina sobie bliznę pod obojczykami, którą widział i na którą Roxy tak uważa. I jak targowała się, groziła, przekonywała, a przy tym wszystkim... czy chociaż raz widział, żeby... czy poraziła kogokolwiek od chwili, gdy znalazła go w klatce? Dlaczego właściwie ukrywała się w lesie, ona, Roxy Monke, najsilniejsza? W ogóle nie zastanawiał się nad wytłumaczeniem. Od lat nie wyobrażał sobie kobiety bez zwoju, że w ogóle można jej to usunąć.

Żołnierka znowu macha prętem. Końcówka uderza Roxy, wbijając jej w ramię ból jak gwóźdź, ale Roxy nie reaguje.

Tunde zaczyna się rozglądać. Pod ich drzewem jest tylko kawałek bagnistego gruntu, a dalej pozostałości rozwalonych namiotów i trzy kobiety, które zabawiają się z młodym mężczyzną, będącym już u kresu sił. Z prawej strony stoi spalony agregat, a kawałek dalej, przesłonięta gałęziami stara beczka po benzynie, używana jako zbiornik deszczówki. Jeżeli jest pełna, na nic im się nie przyda. Ale może być pusta.

Kobieta woła coś do koleżanek. Dopingują ją do wysiłku; obok wejścia do obozu znaleźli ludzi schowanych na drzewach i teraz szukają kolejnych. Tunde ostrożnie zmienia pozycję. Jeżeli żołnierka zauważy ruch, będzie po nich. Muszą odwrócić uwagę kobiet na kilka minut, tyle wystarczy, żeby uciec. Tunde sięga do plecaka, zanurza dłoń w wewnętrznej kieszeni i wyciąga trzy rolki filmu w pojemnikach. Roxy przygląda się, oddychając cichutko. Podążając za jego wzrokiem, zgaduje, co chce zrobić. Tunde opuszcza prawe ramię, bezwładnie, nieznacznie, jak pnącze opadające z gałęzi. Waży w dłoni rolkę i rzuca w kierunku beczki.

Nic. Za blisko. Rolka spada na miękką ziemię z martwym pacnięciem. Kobieta wspina się wyżej i wymachuje prętem coraz mocniej. Tunde bierze następny pojemnik; jest cięższy niż poprzedni i Tunde przez chwilę zastanawia się dlaczego. Aż sobie przypomina – zamiast rolki z filmem włożył do niego amerykańskie drobniaki. Jakby miał kiedykolwiek użyć tych centów. Prawie zaczyna się śmiać. Ale pojemnik jest dobry, ciężki. Lepiej poleci. Przez moment ma wielką ochotę przycisnąć go do ust, jak to robił wujek z kuponem bukmacherskim, gdy jego koń gnał łeb w łeb z innym, a on ledwie wytrzymał napięcie przed telewizorem. Dawaj, pojemniczku. Leć dla mnie.

Znowu opuszcza rękę i rozhuśtuje ramię, raz, dwa, trzy razy. Już. Leć. Trzymaj się.

Kiedy rozlega się brzęk, jest o wiele głośniejszy, niż Tunde się spodziewał. Pojemnik uderzył w sam rant beczki i wibrujący dźwięk oznacza, że jest pusta. Brzęknięcie jest potężne, metal rezonuje i ten odgłos brzmi jak gong, jakby ktoś chciał zaanonsować swoje przyjście. W obozie odwracają się głowy. Teraz szybko, musi to powtórzyć. Kolejny pojemnik, tym razem wypełniony zapalnikami, ukrytymi tam dla ochrony przed wilgocią. Wystarczająco ciężki. Kolejny gong. Teraz wydaje się oczywiste, że ktoś tam jest, ktoś chce coś oznajmić. Jakaś idiotka, która chce ściągnąć sobie na głowę huragan.

Schodzą się szybko z różnych stron. Roxy zdąży jeszcze odłamać kawałek spróchniałej gałęzi i rzucić w beczkę, wywołując nowy hałas, zanim kobiety są na tyle blisko, żeby zobaczyć, co się dzieje. Żołnierka, która prawie ich dosięgła, pospiesznie złazi po pniu, żeby jako pierwsza uderzyć na wariatkę, która ośmiela się stanąć przeciwko nim.

Ciało Tundego jest całe obolałe i nie ma żadnej różnicy między źródłami

bólu, między skurczem mięśnia a pękniętą kością. Są z Roxy tak blisko siebie, że gdy spogląda na nią, widzi jej poszarpaną bliznę i przejmuje go takie cierpienie, jakby to jego własne ciało zostało rozcięte. Skaczą na ziemię, mając nadzieję, że nikt z obozu ich nie zauważy.

Kiedy biegną po bagnistym gruncie, Tunde rzuca za siebie jedno spojrzenie, a Roxy podąża za jego wzrokiem – żeby zobaczyć, czy żołnierki znudziły się już pustą beczką i ruszyły za nimi w pogoń.

Nie znudziły się. Beczka nie była pusta. Kobiety kopią ją, śmieją się i sięgają do środka, żeby wyjąć to, co jest tam schowane. Jak w świetle lampy błyskowej Tunde widzi i Roxy widzi, co znalazły. Dwoje dzieci chowało się w beczce. Teraz je wyciągają. Dzieci mają może pięć, sześć lat. Płaczą, z ciałkami ciągle zwiniętymi najmocniej, jak się da. Małe miękkie zwierzątka, które próbują się chronić. Niebieskie spodenki z wystrzępionymi nogawkami. Bose nóżki. Sukienka w kwiatki.

Gdyby Roxy miała swoją moc, wróciłyby teraz i spaliła te wszystkie kobiety na popiół. Ale jest, jak jest, i Tunde łapie ją za rękę; biegną dalej. Te dzieci i tak by nie przeżyły. Mogły przeżyć. I tak by zginęły, z zimna i głodu. Mogły nie zginąć.

Jest chłodny poranek, a oni biegną, trzymając się za ręce, nie chcąc się puścić.

Ona zna te okolice i bezpieczne drogi, a on umie znaleźć dobrą kryjówkę. Biegną, dopóki mogą, a potem idą, kilometr za kilometrem, w milczeniu, z dłonią w dłoni. Kiedy zapada zmierzch, Tunde dostrzega jedną z opuszczonych stacji kolejowych zbudowanych w tym rejonie; czekały na radzieckie pociągi, które nigdy nie nadjechały, a teraz dają schronienie ptakom. Tunde wybija okno i wchodzi do środka. Na drewnianych ławkach znajdują kilka spleśniałych poduszek, a w szafce – jeden suchy wełniany koc. Boją się rozpalić ogień, więc przykrywają się tym kocem, razem, w kącie sali.

On mówi: „Zrobiłem coś strasznego”, a ona mówi: „Uratowałeś mi życie”.

Ona mówi: „Stary, nie uwierzyłybyś w niektóre rzeczy, jakie ja robiłam. Złe, złe rzeczy”, a on mówi: „Uratowałaś mi życie”.

W ciemnościach opowiada jej o Ninie, jak wydaje jego książkę z jego zdjęciami pod swoim nazwiskiem. I jak zrozumiał, że od początku czekała, aż

będzie mogła mu wszystko zabrać. A ona opowiada o Darrellu i o tym, co jej zabrał, więc on już wszystko pojmuje: jej ostrożność, dlaczego się ukrywała, dlaczego myśli, że nie może wrócić do domu i dlaczego od razu nie odpłaciła bratu z dziką furją, jak przystało na Roxanne Monke. Prawie zapomniała, jak się nazywa, dopóki Tunde jej nie przypomniał.

Jedno z nich pyta:

– Dlaczego to zrobili, Nina i Darrell?

A drugie odpowiada:

– Bo tak. Bo mogli.

I nie ma lepszej odpowiedzi.

Ona obejmuje dłonią jego nadgarstek, a on się nie boi. Ona przesuwa kciukiem po wnętrzu jego dłoni.

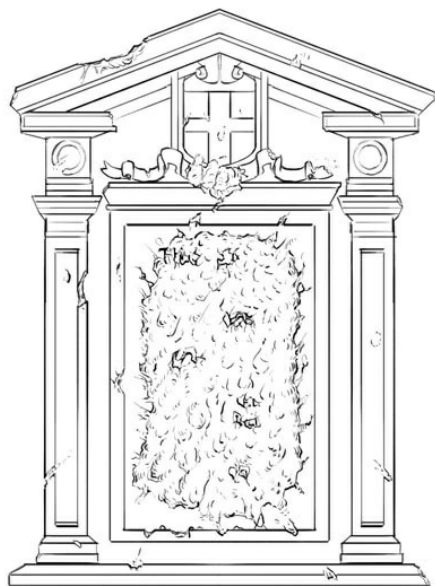
Mówi:

– W zasadzie jestem nieżywa, ty też. Jak może się tu rozerwać dwójka umarłaków?

Oboje są poranieni, cierpiący. Tunde podejrzewa, że ma złamany obojczyk. Przy każdym ruchu przenika go ból. W teorii jest teraz silniejszy od niej, ale ta myśl tylko ich rozśmiesza. Ona po ojcu jest niska i krępa, z szerokim karkiem, biła się znacznie częściej niż on, zna się na tym. Kiedy Tunde dla zabawy udaje, że przydusza ją do ziemi, ona w zabawie przykłada mu palec do miejsca, skąd promieniuje ból, tam, gdzie ramię łączy się z szyją. Naciska tylko odrobinę, a jemu gwiazdy stają przed oczami. Zaczynają się śmiać, jak dzieci, do utraty tchu, w samym środku szalejącej burzy. Ciało mają odmienione cierpieniem. Nie ma w nich miejsca na agresję. W tej chwili nie umieliby określić, które ma być kim. Są gotowi na nowy początek.

Poruszają się powoli. Prawie nie zdejmują ubrań. Ona przesuwa palcem po starej szramie na jego brzuchu; to było w Delhi, kiedy pierwszy raz poznał strach. On dotyka ustami czerwonej blizny wzdłuż jej obojczyków. Leżą blisko siebie. Po wszystkim, co widzieli, nie chcą niczego pospiesznego ani mocnego. Dotykają się nawzajem delikatnie, wyczuwając miejsca, gdzie są podobni, a gdzie się różnią. Wreszcie on pokazuje jej, że jest gotowy, i ona też jest gotowa. Łączą się prostym ruchem, klucz w zamku. „Och”, mówi on. „Tak”, mówi ona. Tak jest dobrze: ona wokół niego, on wewnątrz. Pasują do siebie.

Poruszają się wolno i łagodnie, uważając na bolesne miejsca, uśmiechając się, senni i zmęczeni, na chwilę wyzwoleni od strachu. Przeżywają rozkosz z cichymi, zwierzęcymi stęknieniami, dysząc sobie wzajemnie w szyję, a potem zasypiają tak, ze spletanymi nogami, pod znalezionym kocem, w samym środku wojny.



*Wyjątkowo dobrze zachowana rzeźba z czasów Kataklyzmu, datowana na około 5000 lat. Odkryta na zachodzie Wielkiej Brytanii. Tego rodzaju rzeźby są często znajdowane w podobnym stanie, z elementem usuniętym z części centralnej. Nie można jednak dociec, co właściwie zostało usunięte. Istnieją różne hipotezy: że były to portrety z kamiennym obramowaniem, tablice z rozporządzeniami miejscowych władz lub dzieła sztuki. Wykucie fragmentu centralnego niewątpliwie stanowiło protest przeciwko czemuś, co było – lub nie było! – przez ten fragment przedstawione.*

*Nadchodzi*



Takie rzeczy dzieją się naraz. Są częściami jednej całości. Nieuniknioną konsekwencją wszystkiego, co działo się wcześniej. Moc szuka sobie ujścia. Takie rzeczy zdarzały się w przeszłości i będą wydarzać się dalej. One zawsze się wydarzają.

Niebo, które przedtem wydawało się jasne i błękitne, zaciąga się chmurami, szarymi, czarnymi. Nadchodzi burza. Od dawna się szykowała, piach jest suchy, gleba woła o wielkie potoki ciemnej wody. Bo ziemia wypełniła się przemocą i żyjące istoty się zagubiły. Na północy, na południu, na wschodzie i na zachodzie na brzegach nieba gromadzą się ulewy.

Na południu Jocelyn Cleary podnosi dach swojego jeepa, kiedy zjeżdża na szutrową drogę, która wygląda obiecująco. Na północy Olatunde Edo i Roxanne Monke budzą się, słysząc deszcz bębniący w blaszany dach stacji. A na zachodzie Matka Ewa, która kiedyś nazywała się Allie, patrzy na zbierające się chmury i pyta siebie: Czy już czas? A jej własny głos odpowiada: No raczej.

Na północy dzieją się okropne rzeczy. Pogłoski i sprawdzone wiadomości docierają ze zbyt wielu stron, żeby można je ignorować. Przystępstw dopuszczają się wojska Tatiany, oszołomione władzą, niemające co robić i dowiadujące się z rozkazów, że każdy mężczyzna jest podejrzany, każdy jest potencjalnym zdrajcą. A może Tatiana nigdy nad nimi nie panowała? Może zawsze była szalona, mimo pomocy Matki Ewy?

Roxy zniknęła. Wojsko wymyka się Tatianie spod kontroli. Jeśli nic się nie zmieni, zaraz nastąpi zamach stanu. A wtedy wkroczy Mołdawia Północna i zajmie kraj, a z nim składy broni chemicznej w południowych miastach.

Allie siedzi w swoim gabinecie i patrzy przez okno na nadciągającą burzę. Oblicza koszty.

Głos mówi: Zawsze ci powtarzałam, że jesteś przeznaczona do wielkich rzeczy.

Allie odpowiada: Tak, wiem.

Głos ciągnie: Wzbudzasz respekt nie tylko tutaj, ale wszędzie. Jeżeli to państwo będzie twoje, kobiety z całego świata zaczną tu przyjeżdżać.

Allie odpowiada: Tak, mówiłam już, wiem.

Głos pyta: Więc na co czekasz?

Allie mówi: Świat próbuje wrócić do dawnego kształtu. To, co zostało zrobione, nie wystarcza. Bogaci i wpływowi mężczyźni ciągle ustawiają wszystko według własnej woli. Nawet jeżeli wygramy z Północą. Co my tutaj robimy?

Głos odpowiada: Chciałabyś wywrócić świat do góry nogami.

Allie mówi: Tak.

Głos stwierdza: Rozumiem cię, ale nie wiem, jak to jaśniej wytłumaczyć. Nie możesz tego osiągnąć z obecnego punktu wyjścia. Musiałabyś zacząć wszystko od nowa. Budować wszystko od początku.

Allie pyta w sercu: Wielki potop?

Głos odpowiada: To jest wyjście. Ale nie jedyne. Masz wybór. Rozejrzyj się. Pomyśl. Jak już załatwisz to, co trzeba.

Jest późna noc. Tatiana Moskalew siedzi przy biurku i pisze. Musi podpisać rozkazy dla generałek. Planuje ofensywę przeciwko Północy i to będzie kłęska.

Matka Ewa staje z tyłu i kładzie jej dłoń na karku. Robiła tak już wiele razy. Tatianie przynosi to ukojenie, chociaż nie umiałaby dokładnie powiedzieć dlaczego.

Pyta:

– Robię to, co trzeba, prawda?

Allie mówi:

– Bóg zawsze będzie po twojej stronie.

W gabinecie są ukryte kamery. Jeden z wymysłów paranoi Tatiany.

Zegar zaczyna wybijać godzinę. Raz, dwa, trzy. No tak, już czas.

Allie wyteża swój specjalny zmysł i wycisza wszystkie nerwy w szyi, głowie i ramionach Tatiany. Tatiana zamyka oczy. Głowa jej opada.

A potem, jakby z własnej woli, jakby w ogóle nie była częścią ciała Tatiany, jej ręka zaczyna przesuwac się po biurku w stronę ostrego noża do papieru, leżącego na stercie dokumentów.

Allie czuje opór mięśni i nerwów, ale już nawykły do jej wpływu, a ona dobrze je poznała. Osłabić reakcję tutaj, wzmocnić tam. Nie poszłoby jej tak

dobrze, gdyby Tatiana tyle nie wypła i nie wzięła proszku przygotowanego przez Allie, wyprodukowanego dla niej przez Roxy w fabrycznym laboratorium. Zresztą teraz też nie jest łatwo. Jednak da się zrobić. Allie sięga umysłem do dłoni Tatiany trzymającej nóż.

Nagle w pokoju roznosi się zapach. Jakby gnijących owoców. Ale kamery nie nagrywają zapachów.

Jednym szybkim ruchem, zbyt szybkim, by Matka Ewa mogła coś zrobić – czy mogła się spodziewać? – Tatiana Moskalew, wytrącona z równowagi upadkiem swojej potęgi, dźga sama siebie, podcina sobie gardło małym ostrym nożem.

Matka Ewa odskakuje przerażona, z krzykiem, wołając pomocy.

Tatiana Moskalew wykrwawia się wprost na leżące na biurku dokumenty, a jej prawa ręka ciągle drży, jakby żyła własnym życiem.

## *Darrell*

– Przysłali mnie z biura – mówi ociężała Irina. – Na ścieżce jest jakaś żołnierka.

Cholera.

Patrzą przez kamery monitoringu. Do fabryki dojeżdża się trzynaście kilometrów szosą odchodzącą od głównej drogi, a zjazd jest zamaskowany żywopłotem i drzewami. Trzeba wiedzieć, czego się szuka. Ale żołnierka tam jest – tylko jedna, nie widać nikogo więcej – koło ogrodzenia. To jeszcze półtora kilometra od samej fabryki, nawet nie może jej stamtąd widzieć. Ale kręci się, chodzi koło płotu i robi zdjęcia telefonem.

Kobiety w biurze spoglądają na Darrella.

Wszystkie myślą: co zrobiłaby Roxy? Darrell widzi to wyraźnie, jakby wypisały sobie pytanie na czole.

Czuje, jak zwój w jego piersi zaczyna pulsować i kurczyć się. Już od jakiegoś czasu trochę ćwicz. Ma w sobie część Roxy i ta część wie, co robić. Jest silny. Mocniejszy od najmocniejszych. Nie wolno mu pokazywać żadnej z tych dziewczyn, co potrafi – Bernie był tu bardzo stanowczy – bo na razie wszystko ma pozostać tajemnicą. Do chwili, kiedy będzie można go zaprezentować poważnym graczom w Londynie, jako próbkę tego, co mogą zrobić... nie wolno mu nic zdradzić.

Ale zwój przynagła. To tylko jedna żołnierka. Wyjdź tam i postrasż ją.

Moc wie, co robić. Ma swoją logikę.

Darrell mówi:

– Wy wszystkie, popatrzcie na mnie. Idę do niej.

Przemawia do swojego zwoju, kiedy rusza piaszczystą drogą i otwiera bramę.

Mówi: Nie zawieź mnie teraz. Zapłaciłem za ciebie porządną kasę. Możemy działać razem, ty i ja.

Zwój, już posłuszny, ułożony wzdłuż obojczyków Darrella tak jak kiedyś

w ciele Roxy, zaczyna szumieć i syczeć. To dobre uczucie; Darrell spodziewał się takiej reakcji, ale na razie nie miał okazji jej sprawdzić. Trochę jakby był pijany, ale w przyjemny sposób, dający siłę. Jak wtedy, gdy człowiek się upije i wydaje mu się, że poradzi sobie z każdym – tylko że tym razem to prawda.

Zwój odpowiada.

Mówi: Jestem gotowy.

Mówi: Dawaj, stary.

Mówi: Mówisz – masz.

Moc nie dba o to, kto jej używa. Zwój się nie buntuje, nie wie, że Darrell nie jest jego prawdziwą panią. Mówi po prostu: OK. Dam radę. W porządku. Załatwione.

Darrell robi mały łuk między palcem wskazującym a kciukiem. Jeszcze nie przywykł do tego uczucia. Na skórze trochę nieprzyjemnie piecze, ale w piersi rezonuje siłą. Powinien tylko spłoszyć tę żołnierkę, ale może ją zlikwidować, bez problemu. Pokaże im.

Kiedy się ogląda, widzi, że kobiety patrzą na niego zgromadzone przy oknach. Kilka wyszło za nim na drogę. Szepczą coś do siebie, zasłaniając usta. Jedna przepuszcza długi jasny łuk między dłońmi.

Te wredne suki wyglądają naprawdę groźnie, kiedy tak chodzą razem. Roxy za wiele im pozwalała przez te wszystkie lata – na jakieś cudaczne ceremonie i wciąganie brokatu po godzinach. O zachodzie słońca wychodzą do lasu i wracają dopiero rano, a on nie może nawet nic powiedzieć, bo przychodzą do pracy punktualnie i robią, co trzeba. Ale dobrze wie, że coś knują, już po samym zapachu, jaki te zdziwy wydzielają. Wymyśliły sobie tutaj jakąś piżdzielską kulturę i Darrell wie, że rozmawiają o nim, że go tu nie chcą.

Schyla się, żeby żołnierka nie widziała, jak się zbliża.

Za jego plecami gromadzi się coraz więcej kobiet.

Rano, kiedy są już ubrani, Roxy mówi:

– Mogę cię wywieźć za granicę.

Tunde zdążył zapomnieć, że istnieje jakaś zagranica, dokąd można uciec.

Rzeczywistość tutaj wydaje mu się bardziej realna, oczywista i nieunikniona niż wszystko, co było wcześniej.

Zatrzymuje się w pół ruchu, wciągając skarpetkę. Zostawił je, żeby wyschły przez noc, ale i tak śmierdzą, są szorstkie i sztywne.

– W jaki sposób? – pyta.

Roxy wzrusza ramieniem i uśmiecha się.

– Jestem Roxy Monke. Znam paru ludzi. Chcesz wyjechać?

Tak, chce. Chce.

Pyta:

– A co z tobą?

– Muszę odzyskać, co Darrell mi zabrał – odpowiada Roxy. – A potem cię poszukam.

Już całkiem sporo odzyskała. Wydaje się, jakby urosła.

Tunde chyba ją lubi, ale nie wie na pewno. Na razie zbyt wiele od niej zależy, żeby mógł się rozeznać w tym, co czuje.

Gdy ruszają w dalszą drogę, Roxy wyjaśnia mu, jak ją znaleźć. Wiadomości z pewnego formularza kontaktowego trafią do niej, chociaż to będzie strona warsztatu samochodowego. Ta i tamta osoba zawsze będą miały z nią kontakt.

Powtarza kilka razy: „Uratowałeś mi życie”. Tunde rozumie, co ma na myśli.

Na skrzyżowaniu dwóch większych dróg, obok przystanku autobusu kursującego dwa razy w tygodniu, Roxy dzwoni z automatu telefonicznego pod numer, który zna na pamięć.

Potem tłumaczy mu, co będzie dalej: blondynka w czapce linii lotniczych przyjedzie po niego wieczorem i przewiezie go przez granicę.

Będzie go wiozła w bagażniku, sorry, ale tak jest najbezpieczniej. Jakies osiem godzin.

– Ruszaj stopami – radzi Roxy – bo inaczej zdrętwiejesz albo złapie cię skurcz. To boli, a nie będziesz mógł wysiąść.

– A co z tobą?

Roxy się śmieje.

– Ja do żadnego bagażnika wchodzić nie będę.

– Więc co chcesz robić?

– Nie martw się o mnie.

Rozstają się tuż po północy na rogatek małego miasteczka, którego nazwy Roxy nie umie wymówić.

Całuje go lekko, tylko jeden raz, w usta. Mówi:

– Wszystko będzie dobrze.

Tunde pyta:

– Nie zostaniesz ze mną?

Ale wie, jak to jest; życie go nauczyło, jaka jest odpowiedź. Jeżeli ktoś zobaczy, że jej zależy, ludzie z jej świata pomyślą, że jest miękka. Tunde znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli ktoś zgadnie, że jest dla niej ważny. A tak może być zwykłym ładunkiem do przewiezienia.

Tunde mówi:

– Idź i odbierz mu to. Każdy, kogo warto znać, będzie szanował cię za to, że przeżyłaś.

Już wypowiadając te słowa, wie, że nie są prawdziwe. Jego nikt nie będzie szanował za to, że przeżył bez mocy.

– Jak nie spróbuję – odpowiada Roxy – to i tak nie będę już sobą.

A potem rusza przed siebie drogą prowadzącą na południe. Tunde wciska rękę do kieszeni, opuszcza głowę i wchodzi do miasteczka, starając się wyglądać jak mężczyzna, który ma coś konkretnego do załatwienia i wszelkie prawo, by być na ulicy.

Znajduje umówione miejsce – ciąg trzech zamkniętych sklepów. W oknach na górze jest ciemno, ale Tundemu wydaje się, że w jednym porusza się firanka. Mówi sobie, że to złudzenie. Przecież nikt tu na niego nie czeka i nikt go nie ściga. Od kiedy zrobił się taki nerwowy? Sam sobie odpowiada – dobrze wie od kiedy. Wcale nie od czasu ostatnich wydarzeń. Ten strach w nim narastał. Zamieszkał w jego duszy lata temu i z każdym miesiącem i tygodniem zapuszczał korzenie coraz głębiej.

Łatwiej go znieść, jeśli wyobrażona groza pasuje do realnej. Nie bał się wcale tak bardzo, gdy był zamknięty w klatce ani gdy siedział na drzewie, przyglądając się okropnościom wojny. Strach jest najgorszy w cichych ulicach albo przed świtem, w pokoju hotelowym. Już od dawna spacer po zmroku nie

jest przyjemnością.

Sprawdza godzinę. Jeszcze dziesięć minut. W plecaku ma wypchaną kopertę: wszystkie rolki filmów ze zdjęciami zrobionymi po drodze i notatniki. Tę kopertę przygotował już na samym początku, ponaklejał znaczki. Myślał, że w razie czego wyśle materiały do Niny, ale oczywiście teraz niczego już nie będzie do niej wysyłał. Jak ją spotka, wydrapie jej oczy. Ma więc kopertę. Ma pisak. A po drugiej stronie ulicy widzi skrzynkę na listy.

Czy poczta jeszcze w ogóle działa? W obozie mówili, że tylko w większych miejscowościach i w miastach. W górach, przy granicy, wszystko się posypało, ale to miasteczko jest dość daleko od gór. Skrzynka wygląda na używaną. Na tabliczce wypisane są terminy wyjmowania listów.

Tunde czeka. Zastanawia się. Może nie przyjedzie żaden samochód. Może samochód przyjedzie, ale zamiast blondynki w czapce będą w nim trzy kobiety, które wciągną go na tylne siedzenie. Może już nie wyjdzie z niego żywy i skończy jako zmalretowane zwłoki porzucone gdzieś na poboczu. Może i zjawi się blondynka w czapce, która zainkasuje pieniądze, a potem powie, że przejechali już granicę. Wypuści go i pokaże kierunek, w którym powinien iść, ale tam nie będzie nic, tylko las i pościg, i koniec w piachu.

Powierzenie życia Roxanne Monke wydaje mu się nagle koszmarną pomyłką.

Nadjeżdża samochód. Tunde widzi go z daleka, światła rozjaśniają zakurzony asfalt. Ma wystarczająco dużo czasu, żeby napisać na kopercie nazwisko i adres. Nie Niny, oczywiście. Ani Temi czy rodziców; nie chce, żeby to była ostatnia wiadomość od niego, jeżeli może zginąć. Ma inny pomysł. Okropny, ale bezpieczny. Jeśli się z tego nie wygrzebie, jest jedno nazwisko i adres, które może wypisać na kopercie, dzięki któremu te obrazy i zapiski zostaną rozesłane po całym świecie. Ludzie muszą się dowiedzieć, mówi sobie, co się tutaj wydarzyło. Pierwszym zadaniem jest dać świadectwo.

Zdąży. Pisze szybko, bez zastanawiania się. Biegnie do skrzynki, wrzuca kopertę do środka i zatrzaskuje klapkę. Jest z powrotem na miejscu, kiedy samochód zatrzymuje się przy krawężniku.

Za kierownicą siedzi blondynka. Na głowie ma czapkę z daszkiem z napisem „JetLife”, nasuniętą nisko na oczy.

Uśmiecha się i odzywa z silnym akcentem. Mówi:



– Przysłała mnie Roxy Monke. Będziemy na miejscu przed świtem.

Otwiera bagażnik. To sedan, jest sporo miejsca, ale trzeba będzie leżeć z kolanami pod brodą. Osiem godzin.

Pomaga mu wejść do środka. Traktuje go delikatnie; wsuwa mu zwinięty sweter za głowę, żeby nie uderzył się o metalowy występ karoserii. W bagażniku jest czysto, dobre i to. Leżąc z nosem przy wykładzinie, Tunde czuje jedynie chemiczny aromat środka piorącego. Kobieta podaje mu dużą butelkę wody.

– Jak skończysz, możesz sikać do środka.

Uśmiecha się do niej. Bardzo by chciał, żeby go lubiła, żeby myślała o nim jak o człowieku, nie towarze.

Mówi:

– Te dalekobieżne autokary, co? Z roku na rok coraz mniej miejsca na nogi.

Ale nie wie, czy zrozumiała żart.

Kiedy poprawia się ostatni raz, kobieta klepie go po udzie.

– Możesz mi ufać – mówi i zatrząskuje klapę bagażnika.

Z tego miejsca na ścieżce, tuż za kurtyną drzew, Jocelyn widzi podłużny budynek z oknami tylko na pierwszym piętrze. Sam narożnik. Wchodzi na kamień i robi kilka zdjęć. Niewiele na nich widać. Powinna podejść bliżej, ale to niemądry pomysł. Bądź rozsądna, Jos. Zgłoś, co widziałaś, i jutro ściągnij tu oddział. Coś na pewno tu jest i ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby to ukryć. Z drugiej strony może to nic takiego; co będzie, jeśli w bazie wyśmieją jej nadgorliwość? Robi jeszcze kilka ujęć.

Jest tym bardzo zajęta.

Nie zauważa mężczyzny aż do chwili, kiedy jest tuż obok.

– A ty, kurwa, czego szukasz? – mówi mężczyzna po angielsku.

Jocelyn ma przy sobie służbową broń. Zmienia pozycję, żeby kabura przesunęła jej się na biodrze do przodu.

– Och, przepraszam – odpowiada. – Zabłądziłam. Szukam głównej drogi.

Stara się mówić spokojnym, równym głosem i bezwiednie podkreśla

amerykański akcent. Suzy Doe, zagubiona turystka. Ale to nie najlepszy pomysł. Jest w mundurze. Udawanie niewiniątka może tylko wzbudzić podejrzenia.

Darrell czuje, jak zwój pulsuje mu w piersi. Zawsze odczuwa go mocniej, kiedy jest przestraszony.

– Co w ogóle robisz na mojej ziemi, do cholery? – pyta. – Kto cię przysłał?

Wie, że stojące za jego plecami kobiety obserwują wszystko uważnie zimnymi, ciemnymi oczami. Po tym już nie będą miały co do niego wątpliwości, nie będą pytać, kim on właściwie jest; dowiedzą się, kiedy zobaczą go w akcji. Nie jest mężczyzną w kobiecej roli. Jest jednym z nich, tak samo silnym, z takim samym potencjałem.

Jocelyn próbuje uśmiechu.

– Nikt mnie nie przysłał, proszę pana. Jestem na przepustce. Wybrałam się na zwiedzanie. Zaraz odjeżdżam.

Widzi, że on spogląda na jej mapy. Jeżeli się przyjrzy, zorientuje się, że szukała właśnie tego miejsca, żadnego innego.

– Dobrze – mówi Darrell. – W porządku, odprowadzę cię na drogę.

Wcale nie chce jej pomóc, podchodzi zbyt blisko. Powinna to zameldować. Przesuwa dłoń w stronę radia.

Darrell wyciąga prawą rękę i trzema palcami szybkim wyładowaniem przepala instalację w nadajniku. Jocelyn patrzy na niego, mrugając oczami. Widzi go przez chwilę takim, jaki jest: potworem.

Próbuje wyciągnąć broń, ale on jest szybszy. Chwyta za lufę i uderza ją w podbródek, a Jocelyn traci równowagę. Potem rzuca pistolet na trawę i rusza w kierunku Jocelyn, strzelając iskrami z palców.

Mogłaby uciekać. W głowie słyszy głos ojca mówiący: Uważaj na siebie, kochanie. I głos matki, która mówi: Jesteś bohaterką, zachowaj się jak bohaterce przystało. To tylko jeden facet koło fabryki, w środku lasu – chyba nie powinnaś mieć z nim problemu? A co by powiedziały dziewczyny z bazy? Akurat ty chyba wiesz, jak postępować z facetem, który ma zwój, co, Jocelyn? Przecież to twoje małe hobby, Jocelyn? Jocelyn chce coś udowodnić. Darrell tak samo. Mogą zaczynać.

Okrażają się, mierząc się nawzajem wzrokiem, wypatrując słabych punktów.

Darrell próbował już swojej mocy – parę razy poparzył i poraził chirurgów, którzy robili mu przeszczep, tak tylko, żeby zobaczyć, czy zwój w ogóle działa. Ćwiczył też sam. Ale nigdy nie używał mocy w walce. Jest podekscytowany.

Orientuje się, że wie, jak wiele mocy mu zostało. Cała masa. Nawet więcej. Rzuca się w kierunku Jocelyn, chybia, wysyła wyładowanie w ziemię, i nadal ma pełno mocy. Nic dziwnego, że ta cholerna Roxy była z siebie taka zadowolona. Miała to w sobie cały czas. On też by się czuł zadowolony na jej miejscu. Jest zadowolony.

Jocelyn czuje, jak jej zwój drży. Dlatego że jest pobudzona. Odkąd Matka Ewa ją wyleczyła, pracuje lepiej niż kiedykolwiek przedtem i teraz Jocelyn rozumie, dlaczego to się stało, po co Bóg zrobiła dla niej ten cud. Właśnie dla tej chwili. Żeby uratować ją przed złym mężczyzną, który próbuje ją zabić.

Napina mięśnie brzucha i rzuca się na niego, udając, że chce zaatakować z lewej strony, w kolano, a w ostatniej chwili, kiedy on się schyla, żeby się przed nią obronić, sięga w prawo i razi go w skroń. Przychodzi jej to łatwo, czuje w piersi równe buczenie. Darrell razi ją w lewe udo i ból jest koszmarny, jakby zardzewiałe ostrze jechało po kości; mięśnie kurczą się i noga odmawia posłuszeństwa. Jocelyn staje na prawej nodze, ciągnąc tę porażoną za sobą. Mężczyzna ma dużo mocy, czuje to po samym dotyku jego skóry. Wyładowania są mocne i twarde jak stal, nie takie jak Ryana. Ani kogokolwiek, z kim do tej pory walczyła.

Przypomina sobie szkolenie z walki z silniejszym przeciwnikiem, z kimś, kto ma większe zasoby. Będzie musiała go zwodzić, odsłaniać te części ciała, które są najbardziej odporne. On ma więcej mocy, ale jeżeli uda jej się zastawić pułapkę, żeby zrobił duże wyładowanie w ziemię, jeżeli będzie przy tym szybsza i zwinniejsza, może go pokonać.

Wycofuje się, udając, że lewą nogę ma bardziej bezwładną niż naprawdę. Do tego specjalnie się potyka. Chwyta się za biodro. Obserwuje, jak on na nią patrzy. Wyciąga przed siebie rękę, jakby się zasłaniała, i pada na kolana. Darrell rzuca się na nią jak wilk, ale Jocelyn reaguje szybko, przekręca się, żeby jego błyskawica trafiła w piach. On ryczy z wściekłości, a Jocelyn z całej siły kopie go sprawną nogą w głowę.

Sięga, by złapać go za kolano od tyłu. Tak zaplanowała, tak ją uczyli. Ściągnij do parteru, łap za kolana i kostki. Ma wystarczająco dużo mocy. Teraz

jedno solidne wyładowanie w staw, gdzie ścięgna trzymają się kości, i facet leży.

Chwyta go przez spodnie i czuje pod dłonią jego ciało. To właściwe miejsce, żeby porazić. Ale nic się nie dzieje. Jej moc zniknęła. Jak silnik, który nagle zgasł. Jak zbiornik, z którego wyciekła woda. Nie ma nic.

Musi ją mieć.

Matka Ewa przywróciła jej moc. Musi tam być.

Jocelyn próbuje znowu, koncentruje się, myśli o płynącym strumieniu, tak jak ją uczyli na zajęciach, o tym, jak woda naturalnie przepływa z miejsca na miejsce, jeśli tylko jej na to pozwolić. Mogłaby odnaleźć moc, gdyby tylko miała chwilę.

Darrell kopie ją piętą w brodę. On też czekał na porażenie, które nie nastąpiło. I nie marnuje szansy. Jocelyn opada na czworaki, łapiąc oddech, a Darrell kopie ją w bok, raz, dwa, trzy razy.

Czuje zapach gorzkich pomarańczy, nagle, i zapach jakby palących się włosów.

Wnętrzem dłoni przyciska głowę Jocelyn, rażąc ją w podstawę czaszki. Nie da się walczyć po takim porażeniu; wie to dobrze, bo kiedyś dawno temu nocą w parku ktoś mu to zrobił. Człowiekowi miesza się w głowie, ciało wiotczeje, nic nie można poradzić. Razi ją cały czas. Żołnierka opada na ziemię, twarzą w piach. Darrell czeka, aż jej ciało przestanie drgać. Ciężko oddycha. Ma jeszcze wystarczająco dużo mocy, żeby zrobić to samo znowu i znowu. Dobre uczucie. Już po niej.

Podnosi wzrok z uśmiechem, jakby oczekiwał, że drzewa będą mu klaskać.

Słyszy, jak kawałek dalej kobiety zaczynają śpiewać. Melodię, którą często wcześniej śpiewały, ale nie chciały mu powiedzieć, co oznacza.

Widzi ciemne oczy kobiet patrzących na niego z fabryki. I wtedy pojmuje. Dociera do niego fakt, który powinien być oczywisty od samego początku, gdyby tylko nie odpychał od siebie prawdy: nie podoba im się to, co zrobił, ani że w ogóle mógł to zrobić. Te wredne suki wpatrują się w niego; usta mają zaciśnięte jak gładka ziemia, oczy puste jak morze. Jedna za drugą idą w jego stronę. Darrell wydaje z siebie krzyk przerażenia i zaczyna biec. Kobiety ruszają za nim.

Biegnie w stronę szosy; to tylko kilka kilometrów. Na drodze zatrzyma jakiś samochód i ucieknie tym zwariowanym dziwkom. Nawet w tak beznadziejnym kraju ktoś na pewno mu pomoże. Biegnie bezładnie przez otwartą przestrzeń pomiędzy dwoma zagajnikami, odpychając stopami ziemię, jakby chciał stać się ptakiem, strumieniem, drzewem. Wie, że kobiety go widzą, ale nie słyszy żadnych głosów, więc może – myśli – może zawróciły, może sobie poszły. Odwraca się. Biegnie za nim kilkadziesiąt kobiet, ich ciche słowa brzmią jak morze, zbliżają się coraz bardziej, a jego stopa nagle traci oparcie, skręca się dziwnie i Darrell pada.

Zna je wszystkie po imieniu. Irina i sprytna Magda, Weronika i jasna Jewgienija, i ciemna Jewgienija; ostrożna Nastia, wesoła Marinela i młoda Elena. Wszystkie tu są, kobiety, z którymi pracował od miesiący, a nawet lat, które zatrudniał i dobrze traktował – jak na panujące warunki – a teraz ich twarze mają wyraz, którego nie umie odczytać.

– Dajcie spokój, dziewczyny – woła do nich. – Załatwiłem dla was tę żołnierkę! Dajcie spokój. Jewgienija, widziałaś to? Załatwiłem ją jedną błyskawicą! Widziałyście?

Odpycha się od ziemi zdrową nogą, jakby mógł pojechać na pośladkach i ukryć się gdzieś w lesie czy na wzgórzach.

Wie, że one wiedzą, co zrobił.

Kobiety wołają do siebie nawzajem. Nie słyszy dobrze, co mówią. Brzmi to jak ciągi samogłosek, gardłowe okrzyki: eoi, jeoui, euoi.

– Dziewczyny – mówi Darrell, kiedy podbiegają bliżej i bliżej. – Nie wiem, co wam się wydaje, że widziałyście, ale ja ją tylko uderzyłem w kark. Zwyczajnie ją walnąłem. Nic więcej.

Mówi do nich, ale na ich twarzach nie widać żadnej reakcji.

– Przepraszam – mówi Darrell. – Przepraszam. Nie chciałem.

Kobiety zaczynają cicho śpiewać.

– Nie – prosi Darrell. – Proszę, nie.

Dopadają go. Ich dłonie znajdują gołą skórę, czuje ich palce, chwytające, ciągnące, na brzuchu, na grzbiecie, na bokach, pod pachami, na udach. Próbuje je porazić, łapać, gryźć. Pozwalają, żeby je raził, i nic ich nie odstrasza. Magda, Marinela, Weronika i Irina chwytają go za ręce i nogi, puszczają błyskawice po

jego skórze, naznaczając ją czerwonymi szramami, wbijają palce w jego ciało, rozdzierają stawy.

Nastia przykłada mu palce do gardła i zmusza, żeby przemówił. To nie są jego słowa. Jego usta się poruszają i wydobywa się z nich głos, ale to nie on mówi, na pewno nie on.

Z jego zdradzieckiego gardła wydobywa się: „Dziękuję”.

Irina zapiera się stopą o jego pachę i ciągnie za prawe ramię, rażąc prądem do poparzenia. Ciało Darrella zaczyna rozrywać się w stawach. Magda jej pomaga i razem odrywają rękę. Inne kobiety ciągną za nogi, za drugie ramię, głowę, rozszarpują klatkę piersiową. Jak wiatr ogałający drzewo z liści, gwałtowny i niepowstrzymany. Z wciąż oddychającej piersi wyrywają mu zwój, sprężysty i kurczący się, a zaraz po tym odrywają mu głowę. W końcu leży spokojnie, a ich palce są ciemne od krwi.

Telefon w sprawie Tundego to oczywiście początek. Roxy Monke powraca.

– Mój brat – mówi do słuchawki. – Ten skurwiel, mój brat, zdradził mnie i próbował zabić.

Głos po drugiej stronie jest podekscytowany.

– Wiedziałałam, że łże. A to śmieć. Wiedziałałam. Dziewczyny z fabryki mówiły, że powiedział, że przysyłasz mu polecenia przez telefon, a ja od razu pomyślałam, że skurwysyn łże.

– Zbierałam trochę siły – mówi Roxy – i robiłam plany, a teraz idę odebrać, co mi zabrał.

Musi obrócić to w czyn.

Organizuje sobie kilka dziewczyn jako wsparcie. W fabryce nikt nie odbiera telefonu, więc coś tam się stało. Wyobraża sobie, że Darrell musi mieć jakichś ludzi, nawet jeśli sądzi, że ona nie żyje; musiałby być kompletnym ćwokiem, żeby wierzyć, że nikt nie będzie chciał mu zabrać fabryki.

Spodziewa się, że trzeba będzie podjąć próbę ataku, ale brama jest otwarta.

Jej pracownice siedzą na trawniku. Witają ją dzikimi radosnymi okrzykami, jakby echo niosło głos nad stawem, powtarzając te same wołania z różnych stron.

Jak mogła myśleć, że nie będą jej tutaj chcieli, nawet takiej okaleczonej? Jak mogła wyobrażać sobie, że nie może wrócić?

Jej nadejście to prawdziwe święto. Kobiety mówią:

– Wiedziałyśmy, że wrócisz, na pewno. Czekałyśmy na ciebie.

Tłoczą się dookoła, chwytają za ręce, pytają, gdzie była i czy znalazła nowe miejsce na fabrykę, bo wojna się zbliża i wojsko zaczyna się nimi interesować.

Wojsko?

– Żołnierki z ONZ – mówią. – Musiałyśmy je zmylić parę razy.

– Serio? – pyta Roxy. – I dałyście radę bez Darrella, co?

Kobiety spoglądają po sobie z tajemniczymi minami. Irina obejmuje ją ramieniem. Roxy czuje od niej jakiś dziwny zapach, trochę jak pot, ale bardziej zwierzęcy, z nutą rozkładu, jak krew menstruacyjna. Biorą tutaj brokat; Roxy o tym wie i nigdy im nie zabraniała. Chodzą do lasu i biorą go w weekendy; później ich pot śmierdzi zgnilizną. Pod paznokciami mają niebieski barwnik.

Irina przyciska ją mocno do siebie. Roxy myśli, że zaraz ją podniesie. Magda chwyta jej rękę i ciągnie do chłodni, tam, gdzie trzymają odczynniki. Otwierają drzwi. W środku na półce leży sterta mięsa, krwawe surowe kawałki. Przez chwilę Roxy nie rozumie, dlaczego jej to pokazują. A potem do niej dociera.

– Co wyście zrobili? – mówi. – Kurwa, kurwa, co wyście zrobili?

Znajduje go tam, między ochłapami. Jej własną duszę, jej bijące serce, tę najważniejszą część, która dawała energię wszystkim pozostałym. Cienki gnijący skrawek chrząstki. Z kawałkiem prążkowanego czerwono-fioletowego mięśnia.

Był taki moment, trzy dni po tym, jak Darrell odebrał jej zwój, kiedy zdała sobie sprawę, że nie umrze. Skurcze w jej klatce piersiowej ustały. Czerwone i żółte błyski zniknęły przed oczu. Wcześniej zabandażowała ranę i dowlokła się do szalasu w lesie, żeby czekać na śmierć, ale trzeciego dnia zrozumiała, że śmierć nie nadejdzie.

Pomyślała wtedy: To dlatego, że moje serce nadal żyje. Poza moim ciałem, w jego ciele, ale żyje. Pomyślała: Poczulałabym od razu, gdyby umarło.

Ale nie poczuła.

Przykłada dłoń do obojczyków.

Czeka, aż coś poczuje.

Matka Ewa czeka na Roxanne Monke na stacji kolejowej w Basarabesce, mieście na południu. Mogłaby poczekać w pałacu, ale chciała zobaczyć Roxy jak najszybciej. Roxy schudła, wygląda na zmęczoną. Matka Ewa przytula ją mocno, zapominając na chwilę o swoim specjalnym zmyśle. Czuje zapach przyjaciółki, taki jak zawsze, sosnowe igły i słodkie migdały. Czuje bliskość jej ciała.

Roxy odrywa się od niej skrepowana. Coś jest nie tak. Podczas jazdy do pałacu milczy prawie przez cały czas.

– Więc jesteś teraz prezydentką?

Allie uśmiecha się.

– Nie można było dłużej czekać.

Klepie ją po ręce, ale Roxy zabiera dłoń.

– Teraz, kiedy wróciłaś, musimy pogadać, co dalej – mówi Allie.

W odpowiedzi Roxy uśmiecha się niewyraźnie, z zaciśniętymi ustami.

W apartamentach Matki Ewy, gdy zamykają się ostatnie drzwi i ostatnia osoba wychodzi, Allie przygląda się przyjaciółce zachłannie.

– Myślałam, że nie żyjesz – mówi.

– Prawie – odpowiada Roxy.

– Ale wróciłaś do życia. Ta, którą zapowiedział głos. Jesteś znakiem z nieba – mówi Allie. – Jesteś dla mnie znakiem, zawsze byłaś. Bóg daje nam swoją łaskę.

– No nie wiem – stwierdza Roxy.

Rozpina trzy górne guziki bluzki, żeby pokazać, co jest do pokazania.

Allie widzi.

I dociera do niej, że znak, który miał wskazywać w spodziewanym kierunku, pokazuje coś zupełnie innego.

Po tym, jak Bóg ostatnim razem zniszczyła ziemię, umieściła na niebie



symbol. Polizała kciuk i przeciągnęła łuk przez całe niebo, wypełniając go kolorami i pieczętując obietnicę, że już nigdy nie ześle potopu i nie zaleje ludzkich siedzib.

Allie patrzy na krzywy, odwrócony do góry nogami łuk blizny na piersi Roxy. Delikatnie przesuwa po nim palcami. Chociaż Roxy ucieka wzrokiem, pozwala przyjaciółce dotknąć blizny. Odwrócona tęcza.

– Byłaś najsilniejsza z najsilniejszych – mówi Allie – i nawet ty zostałam obalona.

– Chciałam, żebyś znała prawdę.

– Miałaś rację. Wiem, co to znaczy.

Nigdy więcej – obietnica wypisana na chmurach. To się nie może wydarzyć nigdy więcej.

– Słuchaj – mówi Roxy. – Musimy porozmawiać o Północy. O wojnie. Masz teraz władzę. – Uśmiecha się swoim półuśmiechem. – Zawsze miałaś wielkie plany. Ale tam się dzieją koszmarnie rzeczy. Może razem jakoś to zatrzymamy.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to zatrzymać – mówi spokojnie Matka Ewa.

– Myślę... Sama nie wiem... Mogłybyśmy coś wykombinować. Mogłabym się pokazać w telewizji. Opowiedzieć, co widziałam, co mi się stało.

– Tak. Dobrze. Możesz pokazać bliznę. Opowiedzieć, co ci zrobił brat. Wtedy wybuchnie prawdziwa wściekłość. Wojna zacznie się na dobre.

– Nie, nie o to mi chodzi. Nie. Ewa, słuchaj. Nie rozumiesz. Tam odchodzi prawdziwe kurewstwo. Popierdolone, najebane świruski z religijnymi odpałami latają po okolicy i zabijają dzieciaki.

Ewa mówi:

– Jest tylko jeden sposób, żeby to zatrzymać. Wojna musi się zacząć naprawdę. Wojna wszystkich ze wszystkimi.

Gog i Magog, szepcze głos. Bardzo dobrze.

Roxy się odsuwa, poprawia na krześle. Opowiada Matce Ewie całą historię, wszystko, co widziała, co jej zrobiono i co musiała robić.

– Trzeba zatrzymać tę wojnę – tłumaczy. – Wiesz, nadal potrafię zorganizować to i tamto. Tak się zastanawiałam. Daj mi dowództwo wojska na północy. Zrobię tam porządek, będziemy pilnować granicy – prawdziwej

granicy, jak w prawdziwym państwie – i spróbujemy pogadać z twoimi przyjaciółmi w Stanach. Oni wcale nie chcą tu żadnego armagedonu. Kto wie, jaką broń ma ten pojeb Awadi-Atif.

Matka Ewa mówi:

– Chcesz zawrzeć pokój.

– No.

– Ty chcesz zawrzeć pokój? Ty chcesz dowodzić wojskiem na północy?

– No, tak.

Głowa Matki Ewy zaczyna się kręcić, jakby ktoś inny kręcił nią wbrew jej woli.

Ręką wskazuje na bliznę na piersi Roxy.

– Dlaczego ktoś miałby cię teraz słuchać?

Roxy gwałtownie się prostuje.

Patrzy na Matkę Ewę, mrugając oczami. Mówi:

– Ty chcesz zacząć ten armagedon.

Matka Ewa odpowiada:

– To jedyne wyjście. Tylko tak możemy wygrać.

– Ale wiesz, czym to się skończy – mówi Roxy. – Spuścimy na nich bombę, oni spuszczą na nas bombę i to zaczną się rozszerzać coraz dalej i dalej, aż zaangażuje się Ameryka, potem Rosja, potem Bliski Wschód... Ewka, kobiety będą cierpieć tak samo jak mężczyźni. Zginie tyle samo kobiet co mężczyzn. Wylądujemy z powrotem w czasach kamienia łupanego.

– Więc będziemy żyć w czasach kamienia.

– Aha. Jasne.

– A potem nastąpi pięć tysięcy lat odbudowy, pięć tysięcy lat, kiedy będzie się liczyło tylko jedno: czy jesteś silniejsza, jak wiele możesz zniszczyć, jak wielki wzbudzasz strach.

– No i?

– I kobiety wygrają.

Milczenie rozlewa się po pokoju i przenika Roxy do kości, do szpiku. Zimny, płynny bezruch.

– Ja pierdolę – odzywa się Roxy. – Wiesz co, tylu ludzi mówiło mi, że jesteś porąbana, a ja nigdy w to nie wierzyłam.

Matka Ewa patrzy na nią z wielkim spokojem.

Roxy ciągnie:

– Zawsze mówiłam: „Nie no, jakbyś ją poznała, tobyś od razu zobaczyła, że jest mądra, fakt, dużo przeszła, ale wcale nie jest walnięta”.

Wzdycha i spogląda na swoje dłonie, grzbiety i wnętrza.

– Poszukałam informacji na twój temat już dawno. Rozumiesz, musiałam wiedzieć.

Matka Ewa patrzy na nią jakby z bardzo, bardzo daleka.

– Łatwo sprawdzić, kim byłaś wcześniej. W necie jest sporo rzeczy. Alison Montgomery-Taylor. – Roxy mówi naprawdę powoli.

– Wiem – odzywa się Matka Ewa. – Wiem, że dzięki tobie wszystko zniknęło. I jestem ci wdzięczna. Jeśli chcesz wiedzieć, nadal jestem wdzięczna.

Ale Roxy marszczy brwi, jakby nie wiedziała, o co chodzi, i Allie pojmuję, że gdzieś po drodze zrobiła błąd, coś przeoczyła, zaniedbała.

Roxy mówi:

– Ja wszystko rozumiem. Jeżeli go zabiłaś, to pewnie zasłużył. Ale wiesz co, powinnaś sprawdzić, co robi teraz jego żona. Zmieniła nazwisko na Williams. Wyszła za mąż za Lyle’a Williamsa. Ciągle mieszka w Jacksonville. Sprawdź.

Wstaje.

– Nie dopuść do tego – mówi. – Proszę, nie rób tego.

Matka Ewa odpowiada:

– Zawsze będę cię kochać.

– Mhm. Wiem.

– To jedyne wyjście. Jeśli ja tego nie zrobię, oni to zrobią.

Roxy mówi:

– Jak naprawdę chcesz, żeby kobiety wygrały, jedź do Stanów i sprawdź Lyle’a Williamsa z Jacksonville. I jego żonę.

W klasztorze, w cichym pokoju o kamiennych ścianach, z oknami

wychodzącymi na jezioro, Allie zapala papierosa. Zapala dawnym sposobem, iskrą skrzesaną w palcach. Bibułka trzeszczy, czernieje i rozjarza się. Allie zaciąga się głęboko, jakby była dawną sobą. Nie paliła od lat. Kręci jej się w głowie.

Nie jest trudno znaleźć panią Montgomery-Taylor. Jedno, dwa, trzy słowa wpisane w wyszukiwarce i proszę, od razu jest. Prowadzi teraz dom dziecka, pod auspicjami i z błogosławieństwem Nowego Kościoła. Była jedną z pierwszych wiernych w Jacksonville. Na fotografii ze strony internetowej sierocińca mąż stoi za jej plecami. Bardzo podobny do pana Montgomery'ego-Taylora. Może trochę wyższy. Nieco bardziej szczeciniaste wąsy, pełniejsze policzki. Inna karnacja i inne usta, ale ogólnie ten sam typ: słabeusz, który nawet przed Zmianą robiłby, co mu się każe. Albo może myli go z panem Montgomerym-Taylor. Wyglądają tak podobnie, że Allie bezwiednie pociera szczękę w miejscu, gdzie po raz ostatni uderzył ją pan Montgomery-Taylor, jakby ten cios padł przed chwilą. Lyle Williams i jego żona, Eve Williams. Razem zajmują się dziećmi. Co jest możliwe dzięki Kościołowi założonemu przez Allie. Pani Montgomery-Taylor zawsze umiała wykorzystać system do swoich celów. Opisy na stronie sierocińca mówią o „opiekuńczej dyscyplinie” i „troskliwym szacunku”.

Mogła to sprawdzić już dawno. Nie rozumie, dlaczego nie otworzyła tych starych drzwi.

Głos ciągle się odzywa. Mówi: Nie rób tego. Mówi: Ewa, zawróć. Mówi: Odejdź od drzewa z rękami do góry.

Allie nie słucha.

Wybiera numer. Gdzieś daleko, w holu, na stoliku przykrytym koronkową serwetką, dzwoni telefon.

– Halo? – mówi pani Montgomery-Taylor.

– Halo – mówi Allie.

– Och, Alison – mówi pani Montgomery-Taylor. – Miałam nadzieję, że zadzwonisz.

Allie mówi:

– Co ty zrobiłaś?

– Tylko to, co nakazała mi Bóg – odpowiada pani Montgomery-Taylor.

Bo wie, co Allie ma na myśli. W głębi serca, choć jest pokrętnie i wynaturzone, doskonale wie. Zawsze wiedziała.

W tej chwili Allie rozumie, że obietnica „wszystko zniknie” była tylko fantazją, pięknym snem. Przeszłość nie zniknie, nie znikną ślady cierpienia na ludzkim ciele, nic nigdy nie zniknie. Kiedy Allie była zajęta swoim życiem, pani Montgomery-Taylor także działała, z każdą minutą stając się coraz większym potworem.

Tymczasem pani Montgomery-Taylor gawędzi ze swadą. To dla niej taki zaszczyt, telefon od Matki Ewy, chociaż od dawna się spodziewała; doskonale rozumie, co kryje się za imieniem, które Alison przyjęła – że to właśnie ona jest jej prawdziwą matką, jej duchową matką, a czy sama Matka Ewa nie mówiła tyle razy, że matka jest ważniejsza, potężniejsza niż dziecko? Ona rozumie, co to znaczy, oczywiście, że matka wie najlepiej. Jest naprawdę uszczęśliwiona, zachwycona, bo Allie wreszcie pojęła, że wszystko, co robili z Clyde'em, robili dla jej dobra. Allie ogarniają mdłości.

– Byłaś młodą dziewczyną, taką dziką – szczebiocze pani Montgomery-Taylor. – Nie wiedzieliśmy, jak sobie radzić. Widziałam, że diabeł w tobie siedzi.

Allie przypomina sobie wszystko, czego od tak wielu lat nie wspominała. Wyciąga to gdzieś z tyłu głowy. Zdmuchuje kurz z tej sterty szmat i kości. Rozgarnia je czubkiem palca. Przywieziono ją do domu państwa Montgomery-Taylor, nerwowe dziecko z rozbieganymi oczami, płochliwe jak ptak, nieoswojone. Jej oczy widziały wszystko naraz, jej ręce chciały wszystkiego dotykać. To pani Montgomery-Taylor ją przywiozła, to pani Montgomery-Taylor ją wybrała, to ona dawała jej klapsy za wkładanie rąk do słoja z rodzynekami. To ona chwytala ją za ramię, rzucała na kolana i kazała się modlić, żeby Pan wybaczył jej grzechy. Znowu i znowu, na kolana.

– Musieliśmy wypędzić z ciebie tego diabła, teraz sama rozumiesz, prawda? – mówi pani Montgomery-Taylor, obecnie Williams.

I Allie rozumie. Widzi to tak jasno, jakby patrzyła przez okna salonu przybranych rodziców. Pani Montgomery-Taylor próbowała wygonić z niej diabła modlitwą, potem biciem, a potem wpadła na kolejny pomysł.

– Wszystko, co robiliśmy – ciągnie pani Montgomery-Taylor – robiliśmy z miłości do ciebie. Naprawdę trzeba było nauczyć cię dyscypliny.

Allie przypomina sobie wieczory, kiedy pani Montgomery-Taylor nastawiała głośno polkę w radiu. A potem pan Montgomery-Taylor wchodził po schodach na górę, żeby wypędzać z niej diabła. Przypomina sobie z wielką jasnością, jaka była kolejność: najpierw polka, później kroki na schodach.

Za każdą historią jest inna historia. Za każdą ręką jest inna ręka – czy Allie sama się o tym nie przekonała? Za każdym ciosem jest inny cios.

Ton pani Montgomery-Taylor jest przebiegły, konfidencjonalny.

– Matko, byłam pierwszą członkinią twojego Nowego Kościoła w Jacksonville. Kiedy zobaczyłam cię w telewizji, od razu wiedziałam, że Bóg zesłała mi ciebie jako znak. Zrozumiałam, że wypełniałam Jej wolę, gdy cię przygarnełam, i że Ona wie, że zrobiłam to wszystko na Jej chwałę. To ja załatwiłam zniknięcie wszystkich dokumentów na policji. Troszczyłam się o ciebie przez te wszystkie lata, kochanie.

Allie przypomina sobie rzeczy, które działy się w domu państwa Montgomery-Taylor.

Nie potrafi ich porozdzielać, nigdy nie przyglądała się każdemu wydarzeniu z osobna. Teraz przypomnianie sobie jest niczym błyskawica rzucająca jaskrawe światło na scenę krwawego wypadku. Oderwane członki, metalowe części i dźwięk, który narasta od cienkiego krzyku do ryku wydobywającego się z głębi gardła; potem tylko szum i prawie cisza.

– Rozumiesz – mówi pani Montgomery-Taylor – że sama Bóg nami kierowała. Wszystko, co robiliśmy, Clyde i ja, robiliśmy po to, żebyś osiągnęła to, co osiągnęłaś.

To jej dotyk czuła Allie za każdym razem, kiedy pan Montgomery-Taylor przygniatał ją swoim ciałem.

Ujęła w dłonie błyskawicę. I przykazała jej uderzyć.

Allie mówi:

– To ty mu kazałaś, żeby robił mi krzywdę.

A pani Montgomery-Taylor, obecnie Williams, odpowiada:

– Złotko, naprawdę nie wiedzieliśmy już, co z tobą robić. W ogóle nie chciałaś nas słuchać.

– I robicie teraz to samo z innymi dziećmi? W waszym sierocińcu?

Ale pani Montgomery-Taylor, obecnie Williams, zawsze była sprytna, nawet w największym szaleństwie.

– Każde dziecko potrzebuje innego rodzaju miłości – odpowiada. – Robimy wszystko, czego im trzeba.

Dzieci rodzą się takie małe. Nieważne, chłopcy czy dziewczynki. Rodzą się takie słabe i bezbronne.

Allie poddaje się rozpaczom bardzo spokojnie. Wszelka gwałtowność już dawno ją opuściła. Więc teraz jest spokojna, unosi się nad burzą i patrzy z góry na szalejące morze.

Składa razem fragmenty całej historii, raz ten kawałek, raz tamten. Ile trzeba by poświęcić, żeby to wszystko naprawić? Dochodzenia, konferencje prasowe, zeznania. Jeżeli coś takiego może robić pani Montgomery-Taylor, robią to także inni ludzie z Kościoła Matki Ewy. Zapewne więcej, niż sobie wyobraża. Ucierpiałaby jej własna reputacja. Wszystko wyszłoby na jaw: jej przeszłość, jej historia, kłamstwa, półprawdy i przemilczenia. Mogłaby dyskretnie przenieść panią Montgomery-Taylor gdzie indziej, mogłaby nawet kazać ją zabić, ale gdyby ją zdemaskowała, oznaczałoby to zniszczenie wszystkiego, czego dokonała. Jeżeli zaczniesz wykorzeniać to zło, wykorzeni też siebie. Bo jej własne korzenie od początku są przegniłe.

Kiedy to wszystko pojmuje, zatracą się. Jej umysł odłącza się od samego siebie i na jakiś czas odpływa gdzieś daleko. Głos próbuje coś mówić, ale wicher wiejący w jej głowie jest zbyt głośny, odzywają się także inne głosy, zbyt wiele naraz. Przez chwilę w jej umyśle toczy się wojna wszystkich ze wszystkimi. Nie może przynieść nic dobrego.

Po jakimś czasie Allie zwraca się do głosu: Czy tak to jest być tobą?

A głos odpowiada: Odpierdol się, mówiłam ci, żebyś tego nie robiła. Po cholere się zaprzyjaźniałaś z tą Monke. Mówiłam ci, a ty nie słuchałaś. To była tylko wojowniczką. Nie mogłaś wytrzymać bez przyjaciółki? Przecież miałaś mnie, zawsze byłam obok ciebie.

Allie mówi: Nigdy niczego nie miałam.

Głos zżyma się: I co dalej, jak jesteś taka mądra?

Allie mówi: Od dawna chciałam spytać. Kim ty jesteś? Już od jakiegoś czasu

się zastanawiam. Czy jesteś wężem?

Głos odpowiada: Aha, wyobrażasz sobie, że jak przeklinam i mówię ci, żebyś robiła różne rzeczy, to muszę być diabłem?

Przyszło mi to do głowy. I proszę. Skąd mam teraz wiedzieć, która strona jest dobra, a która zła?

Głos bierze głęboki wdech. Allie nigdy nie słyszała, żeby to robił.

Słuchaj – mówi – to jest nieciekawym moment, przyznaję. Zdarzyły się różne rzeczy, których miałaś nie oglądać, a poszłaś i zobaczyłaś. Moim jedynym celem było uprościć ci pewne sprawy, rozumiesz? Tego potrzebowałaś. Proste znaczy bezpieczne. Pewność daje poczucie bezpieczeństwa. Nie wiem, czy jesteś tego świadoma, ale leżysz teraz na podłodze swojego gabinetu z telefonem pod prawym uchem, wsłuchując się w sygnał, i cała się trzęsiesz. W końcu ktoś wejdzie i cię zobaczy. Jesteś osobą, która ma wielką władzę. Jak się zaraz nie ogarniesz, będzie kiepsko. Więc podpowiem ci parę rzeczy na szybko. Albo zrozumiesz, albo nie. Twoje pytanie jest pomyłką. Kto jest wężem, a kto Boską Matką? Kto jest zły, a kto dobry? Kto kogo namówił do zjedzenia jabłka? Kto ma siłę, a kto jej nie ma? Te pytania nie mają sensu. Kochanie, rzeczy są bardziej skomplikowane. Zawsze o wiele bardziej, niż sobie wyobrażasz. Nie ma dróg na skróty, jeśli idzie o pojmowanie i o wiedzę. Nie da się nikogo łatwo sklasyfikować. Nawet zwykły kamień różni się od innych kamieni, więc naprawdę nie rozumiem, skąd u was ta skłonność do szufladkowania ludzi za pomocą prostych określeń, i przekonanie, że wiecie wszystko, co trzeba. Mówi się, że tylko wyjątkowi ludzie potrafią przekraczać granice. A prawda jest inna – każdy to potrafi, w każdym jest potencjał. Ale tylko wyjątkowi ludzie umieją spojrzeć prawdzie w oczy. Słuchaj, ja nawet nie jestem prawdziwa. Przynajmniej w potocznym sensie. Jestem tu, żeby mówić to, co chcesz usłyszeć. Ale niektóre rzeczy, jakich chcą ludzie... Nie masz pojęcia. Dawno temu przyszedł do mnie inny prorok i powiedział, że jedno plemię, z którym się zaprzyjaźniłam, chce króla. Wytłumaczyłam im więc, co będzie robił król. Z ich synów zrobi żołnierzy, a z córek – służące (o ile będą miały szczęście, rozumiesz). Opodatkuje ich dochody: zbiory, wino, stada. Oni nie mieli ajfonów ani kart kredytowych, czaisz – zboże, winogrona i krowy to były ich bogactwa. Powiedziałam im: Ludzie, król zrobi z was niewolników, nie przychodźcie potem do mnie z zażaleniami. Bo tak właśnie postępują królowie.



I jak myślisz, co się stało? Witaj w ludzkim świecie. Wy lubicie udawać, że rzeczy są proste, nawet jeśli drogo was to kosztuje. Oni nadal chcieli króla.

Allie pyta: Chcesz mi powiedzieć, że nie ma dobrego wyboru?

Głos odpowiada: Nigdy nie było dobrego wyboru, kochanie. Pierwszym błędem jest założenie, że są dwie możliwości i trzeba między nimi wybierać.

Allie mówi: Więc co mam teraz zrobić?

Głos stwierdza: Słuchaj, będę z tobą szczerą – osłabł mój optymizm co do rodzaju ludzkiego. Przykro mi, że już nie mogę dawać ci prostych odpowiedzi.

Allie mówi: Robi się ciemno.

Głos potwierdza: Jak cholera.

Allie odpowiada: No dobra. Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Dzięki za współpracę.

Głos mówi: Z wzajemnością. Do zobaczenia po drugiej stronie.

Matka Ewa otwiera oczy. Głosy w jej głowie zamilkły. Wie, co ma robić.



*Cierpiący Syn, figura jednego z pomniejszych obiektów kultu, pochodząca w przybliżeniu z tego samego okresu co wizerunki Boskiej Matki na stronie 48.*

Na biurku asystentki Margot dzwoni telefon.

Margot jest na spotkaniu. Asystentka informuje rozmówcę, że nie może poprosić senatorki Cleary do telefonu, ale może przekazać wiadomość.

Senatorka Cleary przebywa na spotkaniu z przedstawicielami syndykatu NorthStar Industries i departamentu obrony. Chcą zasięgnąć jej opinii. Jest teraz w państwie ważną osobą, z bezpośrednim dostępem do prezydenta. Nie wolno jej przeszkadzać.

Głos w słuchawce mówi jeszcze kilka słów.

Sadzają Margot na sofie w kolorze kremowym, w jej własnym biurze.

Mówią:

– Pani senatorko, mamy złe wiadomości.

– Skontaktowało się z nami ONZ. Została znaleziona w lesie. Jeszcze żyje. Ale stan jest krytyczny. Obrażenia są... rozległe. Nie wiadomo, czy jest nadzieja.

– Sprawa wygląda na wyjaśnioną. Mężczyzna już nie żyje.

– Bardzo nam przykro, pani senatorko. To straszna tragedia.

Margot zapada się.

Jej córka. Ta, która kiedyś przyłożyła palce do jej dłoni i przekazała błyskawicę. Która objęła jej kciuk rączką i trzymała tak mocno, że Margot po raz pierwszy poczuła swoją siłę. Teraz i zawsze miała własnym ciałem zasłaniać tę kruszynkę przed wszelkim złem. To było jej zadanie.

Kiedyś, gdy Jocelyn miała trzy latka, chodziły razem po sadzie w gospodarstwie dziadków – mama i mała córeczka, oglądające świat z powolną intensywnością, z jaką trzylatki przyglądają się liściom, patykom, kamieniom. Nastąpiła jesień i opadłe owoce zaczynały gnić w trawie. W pewnej chwili Jos pochyliła się i odwróciła zbrązowiałe jabłko, a spod niego wyfrunęła chmara os. Margot zawsze bała się os, od dzieciństwa. Porwała Jos na ręce, otoczyła ramionami i przyciskając z całej siły, pobiegła do domu. Jos nic się nie stało, ani zadraśnięcia. Za to Margot, kiedy już siedziały bezpiecznie na kanapie, zobaczyła na swoim prawym ramieniu siedem uządleń. Nic nawet nie

poczuła. To było jej zadanie.

Orientuje się, że opowiada im tę historię. Bełkocząc, z jękiem. Nie potrafi przestać, jakby dzięki temu mogła chociaż na chwilę cofnąć się w czasie i własnym ciałem zasłonić Jocelyn przed nadchodzącym złem.

Mówi:

– Jak możemy temu zaradzić?

Tłumaczą jej, że wszystko już się stało.

Margot potrząsa głową.

– Nie, jak możemy sprawić, żeby to się znowu nie zdarzyło?

W głowie Margot odzywa się głos. Mówi: Nie możesz tego osiągnąć z tego punktu wyjścia.

Margot widzi wyraźnie, w jednej chwili: kształt drzewa siły. Drzewa mocy. Drzewa władzy. Od korzeni po wierzchołek, pień rozwidlający się w konary i gałęzie. Stare drzewo nadal stoi. Jest tylko jeden sposób – trzeba je zniszczyć, rozwalić na kawałki.

W skrytce pocztowej gdzieś w Idaho od trzydziestu sześciu godzin leży paczka. To żółta bąbelkowa koperta, która mogłaby pomieścić mniej więcej trzy średnie książki, chociaż przy potrząsaniu w środku coś grzechocze. Mężczyzna, który został wysłany po pocztę, obmacuje ją podejrzliwie. Nie ma adresu nadawcy – podejrzane. Ale przynajmniej wewnątrz nie czuć nic twardego i ciężkiego, co mogłoby być bombą domowej produkcji. Rozcina kopertę scyzorykiem, tak dla pewności. Na dłoń wypada mu osiem niewywołanych klisz, jedna za drugą. Sprawdza, co zostało w środku: notatniki i pendrive'y.

Przygląda się, mrugając oczami. Nie jest mądry, ale jest cwany. Waha się przez chwilę, rozważając, czy to nie kolejne śmiecie przesłane na adres grupy przez kolejnych wariatów. Już im się zdarzało tracić czas na przeglądanie bzdurnych materiałów, które rzekomo miały ogromne znaczenie. Sam został zwymyślany przez UrbanDoxa za przynoszenie paczek zawierających urządzenia podsłuchowe w domowych mufinkach albo dziwaczne podarunki w postaci pary bokserów i lubrykantu. Mężczyzna wyciąga jeden z notesów, otwiera na przypadkowej stronie i czyta zapisane równym pismem zdanie.

„Dzisiaj po raz pierwszy w tej podróży naprawdę się bałem”.

Siedzi w furgonetce i myśli. Były już przesyłki, które wyrzucał bez zastanowienia, i takie, o których od razu wiedział, że musi je dostarczyć.

W końcu przychodzi mu do głowy, że na kliszach i pendrive'ach mogą być jakieś rozbierane zdjęcia. W sumie można by sprawdzić, co tam jest.

Wrzuca rolki i notes z powrotem do koperty. W sumie czemu nie.

Matka Ewa mówi:

– Kiedy rzesze ludzi przemawiają jednym głosem, to jest siła i to jest moc.

Ryk tłumu wyraża zgodę.

– Mówimy teraz jednym głosem – ciągnie. – Myślimy to samo. I wzywamy Amerykę, by stanęła po naszej stronie w walce z Północą!

Podnosi ręce, żeby nakazać milczenie, odsłaniając oczy wytatuowane we wnętrzach dłoni.

– Czy najpotężniejszy naród na świecie, kraj, w którym się urodziłam i wychowałam, może przyglądać się beczynnemu, jak mordowane są niewinne kobiety, jak niszczy się wolność? Czy będzie patrzeć w milczeniu, jak płoniemy? Jeżeli zostawią nas własnemu losowi, to kogo nie zostawią? Wzywam kobiety ze wszystkich stron świata, by zaświadczyły, co się tu dzieje. Patrzcie i dowiedzcie się, co was czeka. Jeżeli w waszych rządach są kobiety, każcie im protestować, żądajcie, by zaczęły działać.

Klasztorne mury są grube, a zakonnice – mądre. Matka Ewa ostrzega je, że nadciąga apokalipsa i tylko sprawiedliwe zostaną zbawione. Potem może już wzywać świat na wojnę o nowy porządek.

Nadchodzi kres istnienia wszystkich ludzi, bo ziemia pełna jest nieprawości. Wy zaś zbudujcie arkę.<sup>[7]</sup>

To nie będzie trudne. Niczego więcej nie pragną.

Dni mijają jeden za drugim; dni, kiedy Jocelyn dochodzi do siebie, kiedy okazuje się, że nigdy już nie będzie sprawna, kiedy serce Margot kamienieje.

Pojawia się w telewizji, żeby opowiedzieć, co spotkało jej córkę.

Mówi:

– Terroryzm może uderzyć wszędzie, w kraju i za granicą.

Mówi:

– Najważniejsze, by nasi wrogowie, tu i na świecie, dowiedzieli się, że jesteśmy silni i że odpowiemy atakiem na każdy atak przeciwko nam.

Spogląda wprost w kamerę i powtarza:

– Kimkolwiek jesteście, spodziewajcie się odwetu.

Nie może wyglądać na słabą, nie w tych okolicznościach.

Niedługo potem dzwoni telefon. W sprawie gróźb ze strony jednej z męskich grup ekstremistycznych. Trafiły do nich, nie wiadomo skąd, zdjęcia zrobione w Bessaparze, Republice Kobiet. Wrzucili je do internetu z informacją, że zrobił je dziennikarz, który podobno od paru tygodni nie żyje. Koszmarne zdjęcia. Pewnie z fotoszopa, nie mogą być prawdziwe. Mężczyźni niczego się nawet nie domagają, wyrażają tylko strach, gniew i zapowiadają ataki, o ile... – mój Boże, nie wiem, Margot – o ile coś nie zostanie zrobione, jak sądzę. Mołdawia Północna już grozi Bessaparze ostrzałem raketowym.

Margot odpowiada:

– Powinniśmy zareagować.

Prezydent mówi:

– Nie wiem. Wydaje mi się, że właściwszy byłby apel o pokój.

Margot stwierdza:

– Proszę mi wierzyć, w takiej chwili trzeba sprawiać wrażenie silniejszego niż kiedykolwiek. Silnego przywódcy. Jeżeli ludzie z Mołdawii wspierali i podjudzali terrorystów w naszym kraju, musimy przesłać im zdecydowany komunikat. Cały świat musi się przekonać, że Stany Zjednoczone nie boją się eskalacji konfliktu. Jeżeli wy porazicie nas raz, my porazimy was dwa razy.

Prezydent odpowiada:

– Trudno mi wyrazić, Margot, jak bardzo cię szanuję za twoją pracę, zwłaszcza po tym, co cię spotkało.

Margot mówi:

– Kraj jest dla mnie zawsze na pierwszym miejscu. Potrzebujemy silnego przywództwa.

W jej kontrakcie z NorthStar zapisana jest premia, jeżeli w tym roku syndykat oddeleguje do służby zagranicznej więcej niż pięćdziesiąt tysięcy kobiet. Za tę premię Margot może sobie kupić prywatną wyspę.

Prezydent mówi:

– Słyszałaś te pogłoski, że mają składy poradzieckiej broni chemicznej?

A Margot myśli w sercu: Spalić to wszystko.

W tamtych dniach pojawia się myśl, że pięć tysięcy lat to nie jest specjalnie długo. Coś się teraz rozpoczęło i musi dojrzeć do rozwiązania. Jeżeli człowiek się pomyli, wybierze złą drogę, to przecież powinien zawrócić, czyż to nie rozsądne? W końcu już raz przez to przeszliśmy. Możemy przejść jeszcze raz. I potem postępować inaczej, lepiej. Rozebrać stary dom i zbudować nowy.

Kiedy historyczki dyskutują o takiej chwili, mówią o „napięciach” i „społecznej destabilizacji na skalę globalną”. Rozprawiają o „nieutrwalności dawnych struktur” i „skostnieniu wzorców i wartości”. Moc ma swoje sposoby. Siła działa na ludzi, a oni działają pod jej dyktando.

Kiedy istnieje moc? Tylko wtedy, gdy jest używana. Kobiecie posiadającej zwój wszystko wydaje się walką.

UrbanDox mówi: Zróbcie to.

Margot mówi: Zróbcie to.

Awadi-Atif mówi: Zróbcie to.

Matka Ewa mówi: Zróbcie to.

Czy można przywołać błyskawicę z powrotem? Czy powróci do dłoni, która ją wypuściła?

Roxy siedzi z ojcem na tarasie i patrzy na ocean. Dobrze jest pomyśleć, że cokolwiek się wydarzy, morze zostanie.

– No, tato – mówi – nieźle to spieprzyłeś, co?

Bernie spogląda na swoje dłonie, wewnątrz i grzbiet. Roxy pamięta, jak te ręce wydawały jej się najstraszniejsze na świecie.

– Chyba tak – mówi Bernie. – Na to wygląda.

Roxy mówi z uśmiechem w głosie:

– Ale dostałeś nauczkę, co? Następnym razem rozegrasz wszystko inaczej?

I oboje zaczynają się śmiać, Bernie z głową odrzuconą do tyłu, pokazując plomby w pożółkłych od nikotyny zębach.

– Powinnam cię zabić, słowo daję – mówi Roxy.

– No. Powinnaś. Nie można być miękkim, córca.

– Tak mówią. Może ja też dostałam nauczkę. Trochę to trwało.

Na horyzoncie zapala się rozbłysk i poziomą linią przecina niebo. Różowobrazowe światło, chociaż jest prawie północ.

– Miłe wiadomości – mówi Roxy. – Chyba poznałam kogoś.

– Serio?

– Na razie to tylko początek i sprawa jest skomplikowana. Ale może. Lubię go, on też mnie lubi. – Śmieje się swoim dawnym, gardłowym, chropowatym śmiechem. – Wyciągnęłam go z kraju pełnego pierdolniętych bab, które próbowały go zabić, a poza tym mam podziemny schron, więc chyba jasne, że mu się podobam.

– Wnuki? – pyta Bernie z nadzieją w głosie.

Darrella i Terry'ego już nie ma. Na Ricky'ego w tej sprawie nie można liczyć.

Roxy wzrusza ramionami.

– Czemu nie. Ktoś musi przeżyć to wszystko, no nie?

Coś jej przychodzi do głowy. Uśmiecha się.

– Jak będę miała córkę, na pewno będzie silna jak skurwysyn.

Wypijają jeszcze jednego drinka, zanim zejdą na dół.

## *Apokryf usunięty z Księgi Ewy*

Odkryty w jaskini w Kapadocji, sprzed około tysiąca pięciuset lat.

Kształt mocy jest zawsze taki sam: nieskończony, splątany, wiecznie rozgałęziający się. Moc żyje niczym drzewo i ciągle rośnie; zamyka się w swoich granicach, lecz jest wielością. Nieodgadnione są jej kierunki; przestrzega tylko swoich własnych praw. Nikt, kto widzi żołądź, nie może przewidzieć rysunku żyłek na liściach w koronie dorosłego dębu. Im bliżej się przyglądamy, tym bardziej jest zróżnicowana. Będzie zawsze bardziej skomplikowana niż najśmielsze wyobrażenia. Jest niepowstrzymana i na nic nie zważa, jak rzeka płynąca do oceanu, jak uderzająca błyskawica.

Ludzie powstają nie ze swojej własnej woli, ale w toku tego samego organicznego, niepojętego, nieprzewidywalnego, wymykającego się wszelkiej kontroli procesu, który wiosną rozwija młode liście, wyciąga pędy z ziemi i rozpościera korzenie splątaną gęstwiną.

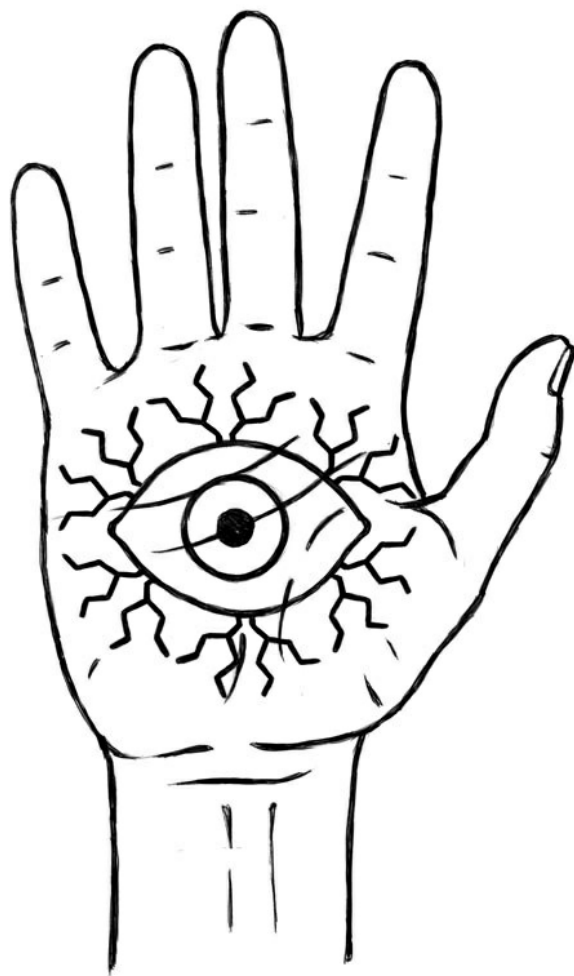
Nawet kamień różni się od innych kamieni.

Wszystko ma tylko swój własny kształt, nie ma innego.

Każda nazwa, jaką sobie nadajemy, jest nieprawdziwa.

Nasze sny są bardziej prawdziwe niż nasza jawa.





Drogi Neilu,

No proszę! Od razu powiem, że strasznie mi się podoba twoja akrobatyczna Matka Ewa! Widziałam takie sztuczki w cyrku Metro i zrobiły na mnie wielkie wrażenie – jedna z babek pomachała moją ręką do całej sali i nawet Selim nie chciał mi wierzyć, że nie zrobiłam tego sama. Podejrzewam, że to wyjaśnia wiele rzeczy opisanych w dawnych księgach. I od razu zwróciłam uwagę na los Tundego – na pewno coś takiego spotykało tysiące mężczyzn w przeszłości. Niewłaściwa atrybucja dzieł, anonimowe utwory automatycznie przypisywane kobietom, zawsze pomijani mężczyźni, którzy pomagali żonom, siostronom albo matkom, no i zwykła kradzież, oczywiście.

Mam kilka pytań. Ci żołnierze na początku książki. Wiem, że zaraz powiesz, że archeologia odkryła wiele figurek i innych wyobrażeń męskich wojowników. Ale wiesz, to dla mnie chyba największy problem. Czy możemy być pewne, że to nie były jakieś odosobnione cywilizacje? Jedna czy dwie wśród tysięcy? Uczyłyśmy się w szkole

o kobietach, które urządały walki mężczyzn dla rozrywki, i myślę, że wiele czytelniczek przypomni to sobie przy scenach, gdzie mężczyźni są żołnierzami w Indiach czy Arabii. Albo ci bojowi mężczyźni, którzy chcą wywołać wojnę! Albo męskie gangi trzymające kobiety w niewoli, do seksu... Niektóre z nas miewają takie fantazje! (Czy mogę ci wyznać, że kiedy sobie to wyobrażam, to... nie, nie, może lepiej nie). W każdym razie, kochany, to nie tylko moje skrzywienie. Obawiam się, że oddział mężczyzn ubranych w wojskowe albo policyjne mundury naprawdę u wielu ludzi wywoła jednoznaczne seksualne skojarzenia!

Uczono nas tych samych rzeczy. Że Katastrofa nastąpiła, bo kilka poróżnionych obozów nie umiało się dogadać, a każda z przywódczyń głupio myślała, że uda jej się wygrać światową wojnę. O tym piszesz. Wspominasz też o broni jądrowej i chemicznej. I oczywiście wiemy o utracie wszystkich danych na skutek wyładowań elektromagnetycznych.

Czy jednak historia dostarcza dowodów na to, że kobiety przed Katastrofą nie miały zwojów? Jasne, słyszałam o paru posągach z tamtych czasów, na których nie są widoczne u kobiet, ale to może być tylko kreacja artystyczna. Przecież pogląd, że kobieca agresja doprowadziła do wojny, wydaje się sensowny. Instynktownie czuję – i mam nadzieję, że ty także – że świat rządony przez mężczyzn byłby łagodniejszy, spokojniejszy, byłoby w nim więcej miłości i troskliwości. Wzięłeś pod uwagę perspektywę psychologii ewolucyjnej? W toku ewolucji mężczyźni rozwinęli się jako wydajni pracownicy, dbający o utrzymanie domowego ogniska, a kobiety stały się agresywne i skłonne do przemocy, bo przecież muszą chronić potomstwo. Nieliczne kultury patriarchalne, które istniały w ludzkiej historii, były bardzo pokojowe.

Wiem, że zaraz mi powiesz, że przecież tkanki miękkie się nie zachowują, więc nie możemy szukać śladów zwojów w ludzkich szczątkach sprzed pięciu tysięcy lat. Ale czy to właśnie nie powinno dać ci do myślenia? Czy twoja wizja udziela jakichś odpowiedzi, których nie daje powszechnie przyjęta wersja naszej historii? Chcę powiedzieć, że twoja koncepcja jest oczywiście szalenie ciekawa. I już choćby z tego powodu warta rozważenia – jako interesujące ćwiczenie z wyobraźni. Ale obawiam się, że twierdzenia, których nie da się poprzeć dowodami, nikogo do tej wizji nie przekonają. Możesz oczywiście powiedzieć, że praca historyczna ani powieść nie są po to, żeby lansować wizje. No nie, teraz zaczynam dyskutować sama ze sobą. Poczekam na twoją odpowiedź. Chciałabym po prostu zakwestionować twój sposób myślenia, zanim zrobią to krytycy!

Serdecznie pozdrawiam

Naomi

Kochana Naomi,

przede wszystkim dziękuję Ci bardzo, że poświęciłaś czas i energię na przeczytanie mojego rękopisu. Bałem się, że jest zupełnie niespójny – chyba całkiem już w niego wątpiłem.

Muszę powiedzieć, że... nie mam specjalnie wysokiego mniemania o psychologii ewolucyjnej, przynajmniej w odniesieniu do płci. Czy mężczyźni są z natury bardziej łagodni i opiekuńczy niż kobiety – no cóż, czytelniczka będzie musiała sama zdecydować. Ale zastanów się: czy kultury patriarchalne są pokojowe, bo mężczyźni są mniej agresywni? Czy może bardziej pokojowe społeczności pozwalają mężczyznom obejmować władzę, bo ich członkinie mniej sobie cenią skłonność do przemocy? Tak tylko rzucam pytanie.

O co jeszcze pytałaś... Aha, wojownicy. Mógłbym Ci przysłać dosłownie setki zdjęć gorzej lub lepiej zachowanych posągów żołnierzy – odkryto je na całym świecie. A wiadomo, jak wiele energii poświęcono w przeszłości na likwidowanie wszelkich pamiątek po minionych czasach; zajmowały się tym tysiące ruchów społecznych. Ciągłe odkrywamy rozbite pomniki, rzeźby i tablice. Gdyby nie były niszczone, mielibyśmy do dyspozycji mnóstwo wizerunków żołnierzy i wojowników. Możemy interpretować je, jak chcemy, ale nie ulega wątpliwości, że około pięciu tysięcy lat temu na ziemi było bardzo wielu walczących mężczyzn. Ludzie w to nie wierzą, bo nie pasuje do ich obecnych przekonań.

Jeśli chodzi o wiarygodność mężczyzn wojowników albo o erotyczne fantazje z oddziałami facetów w mundurach... Naomi, za to już nie mogę odpowiadać! Rozumiem Twój punkt widzenia. Być może znajdą się czytelniczki, które zobaczą w pewnych fragmentach tanią pornografię. Zawsze jest takie ryzyko, gdy się opisuje sceny gwałtu. Ale jestem pewien, że poważni ludzie zobaczą więcej.

Pytasz jeszcze, czy istnieją historyczne dowody na to, że kobiety przed Katastrofą nie miały zwojów. Odpowiedź brzmi: tak. Jak najbardziej. Gdyby nie chcieć przyjąć tego faktu do wiadomości, należałoby zignorować naprawdę sporo materiałów archeologicznych. Pisałem na ten temat w poprzednich książkach, historycznych, ale jak wiesz, nie cieszyły się powodzeniem.

Wiem, że nie chciałaś, żeby to wypadło lekceważąco, ale ta koncepcja nie jest dla mnie „interesującym ćwiczeniem”. Sposób, w jaki rozumiemy przeszłość, wpływa na nasze poglądy w teraźniejszości, na to, co uważamy za możliwe. Jeżeli będziemy powtarzać utarte opinie na temat przeszłości, podczas gdy istnieją wyraźne dowody, że kiedyś cywilizacje mogły funkcjonować na innych fundamentach... odbieramy sobie możliwość dokonania zmian.

Sam już nie wiem. Teraz, kiedy to wszystko napisałem, ogarnęły mnie jeszcze większe wątpliwości. Czytałaś jakieś rzeczy, które przeczyłyby moim wywodom? Może jeszcze mógłbym coś pozmieniać.

Ściskam Cię serdecznie. I jeszcze raz dzięki za przeczytanie książki. Naprawdę

jestem Ci wdzięczny. Kiedy wyjdzie Twoja – kolejne arcydzieło, jestem przekonany! – będę Ci winien szczegółową analizę każdego rozdziału!

Uściski

Neil

Neil,

oczywiście pisząc „interesujące ćwiczenie”, nie miałam wcale na myśli „błaha” czy głupie. Mam nadzieję, że wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie pomyślała o twojej pracy. Darzę cię wielkim szacunkiem, od zawsze.

Ale jeśli pytasz... OK, dla mnie ta wątpliwość jest oczywista. To, co napisałeś, przeczy podręcznikom i historycznym książkom, które czytałyśmy w dzieciństwie, a one przecież oparte są na relacjach sprzed setek, jeśli nie tysięcy lat. Jak możesz to wytłumaczyć? Naprawdę chcesz powiedzieć, że wszyscy kłamali na tak wielką skalę, mówiąc o przeszłości?

Serdecznie

Naomi

Droga Naomi,

dzięki za szybką odpowiedź! Co do Twojego pytania: nie wiem, czy kwestia polega na tym, że wszyscy kłamali.

Po pierwsze, nie mamy żadnych oryginalnych tekstów starszych niż tysiąc lat. Książki sprzed Katastrofy były setki razy przepisywane. To stwarza wiele okazji do zaistnienia błędów. I nie tylko błędów. Kopistki miały własne poglądy. Przez co najmniej dwa tysiące lat przepisywaniem zajmowały się zakonnice w klasztorach. Nie sądzę, żeby nadużyciem było stwierdzenie, że wybierały do kopiowania przede wszystkim takie teksty, które potwierdzały ich światopogląd, a reszcie pozwalały spleśnić w kącie. Rozumiesz – dlaczego miałyby przepisywać opowieści, w których mężczyźni byli silniejsi, a kobiety słabsze? To byłaby herezja, za którą zostałyby potępione.

Takie są pułapki zajmowania się historią. Nie możemy zobaczyć tego, czego nie ma. Możemy oczywiście zauważyć puste miejsca i dojść do wniosku, że czegoś brakuje, ale nie dowiemy się, co to było. Ja tylko próbuję... wypełnić takie puste miejsca. To nie jest żaden atak.

Pozdrowienia

Neil

Mój kochany Neilu,

wcale nie uważam, że to atak. Tylko trudno mi przyjąć niektóre obrazy kobiet w twojej książce. Wiele razy o tym rozmawialiśmy, jak dalece „bycie kobietą” wiąże się z siłą i mniejszą wrażliwością na ból czy strach. Jestem ci wdzięczna za szczerą wymianę myśli. Wiem, że związki z kobietami bywają dla ciebie problemem i rozumiem dlaczego. I bardzo się cieszę, że pozostaliśmy w przyjaźni. Bardzo było dla mnie ważne, kiedy słuchałeś rzeczy, których nigdy nie powiedziałabym Selimowi czy dzieciom. Strasznie trudno było czytać scenę usuwania zwoju.

Pozdrawiam

Naomi

Droga Naomi,

dziękuję Ci za te słowa. Wiem, że się starasz. Należysz do tych dobrych.

Naprawdę chciałbym, żeby ta książka zmieniła coś na lepsze. Wierzę, że możemy żyć lepiej niż teraz. Układ, w którym tkwimy, nie jest wcale „naturalny”, przecież wiesz. Niektóre najgorsze prześladowania mężczyzn nigdy – przynajmniej tak mi się wydaje – nie miały miejsca w stosunku do kobiet przed Katastrofą. Trzy albo cztery tysiące lat temu za normalne uważano zabijanie dziewięciu na dziesięć męskich noworodków. Cholera, do dzisiaj są miejsca, w których rutynowo dokonuje się aborcji męskich płodów, a chłopcom „karbuje” siusiaki. Nikt nie robił takich rzeczy kobietom w dawnych czasach. Wspominaliśmy o psychologii ewolucyjnej – pozbywanie się żeńskich niemowląt na wielką skalę albo okaleczanie ich organów rozrodczych nie miałyby żadnego ewolucyjnego sensu! Więc to, jak żyjemy, nie jest wcale „naturalne”. Nie może być. Nie wierzę w to. Możemy dokonać innego wyboru.

Świat jest dzisiaj taki, jaki jest, z powodu pięciu tysięcy lat rozwoju struktur władzy biorących początek w dawnych czasach, kiedy rządziła przemoc i jedynym znaczącym kryterium było: czy ty i twoja rodzina możecie porazić mocniej. Ale teraz już nie musimy się na tym opierać. Możemy wszystko rozważyć, a kiedy zrozumiemy, skąd pochodzą nasze przekonania, możemy wymyślić nasze społeczeństwa na nowo.

Płec to pusta skorupa. Czym jest mężczyzna? Tym, czym nie jest kobieta.

A kobieta? Tym, czym nie jest mężczyzna. Postukaj w tę skorupę i okaże się, że jest pusta. Zajrzyj do środka – nic tam nie ma.

xx

Neil

Neil,

zastanawiałam się przez cały weekend. Wiele jest do przedyskutowania i przemyślenia i najlepiej będzie, jak się spotkamy. Obawiam się, że mogłabym napisać coś, co zrozumiesz w niewłaściwy sposób, a tego bym nie chciała. Wiem, że dla ciebie to wrażliwy temat. Poproszę asystenta, żeby zgrał nam jakiś termin na lunch.

Nie chcę wcale powiedzieć, że jestem przeciwko twojej książce. Ani trochę. Chciałabym tylko, żeby dotarła do jak najszerszej publiczności.

Mam jeszcze tylko jedną sugestię. Wytłumaczyłeś mi kiedyś, jak wszystko, co robisz, jest ograniczone twoją płcią i jakie to ograniczenie jest bezsensowne, a jednocześnie nieuniknione. Każda twoja książka zostaje uznana za „literaturę męską”. Moja sugestia odnosi się do tego, do niczego więcej. Od dawna już wielu mężczyzn znajdowało sposób, żeby uniknąć takiego szufladkowania. Byłbyś w dobrym towarzystwie. Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że to może brzmieć koszmarnie, ale rozważałeś może wydanie tej książki pod kobiecym nazwiskiem?

Ucałowania

Naomi

## *Podziękowania*

Podziękowania większe, niż umiem wyrazić, należą się Margaret Atwood, która uwierzyła w moją książkę, kiedy miałam dopiero iskierkę pomysłu, a gdy w trakcie pracy zwątpiłam w jej sens, przekonała mnie, że ta historia nadal żyje. Za inspirujące rozmowy dziękuję Karen Joy Fowler i Ursuli Le Guin.

Dziękuję Jill Morrison z firmy Rolex i Allegrze McIlroy z BBC za umożliwienie mi tych rozmów i spotkań.

Dziękuję Arts Council England i Rolex Mentor and Protégé Arts Initiative za wsparcie finansowe przy pisaniu książki. Dziękuję Mary Mount, mojej redaktorce z wydawnictwa Penguin, i mojej agentce Veronique Baxter. Dziękuję też Asyi Muchnick, redaktorce z amerykańskiego oddziału wydawnictwa Little, Brown.

Dziękuję zaprzyjaźnionemu sabatowi czarownic, które uratowały tę książkę pewnej zimy: Samancie Ellis, Francesce Segal i Mathildzie Gregory. I dziękuję Rebecce Levene, która wie, jak powinno się układać historie, i sprawiła, że w mojej opowieści pojawiły się różne ciekawe rzeczy. Dziękuję Claire Berliner i Oliverowi Meekowi za pomoc przy ponownym zabraniu się do pracy. Dziękuję czytelnikom i recenzentom, którzy dodali mi otuchy, zwłaszcza Gillian Stern, Bim Adewunmi, Andrei Phillips i Sarah Perry.

Za rozmowy o męskości podziękowania otrzymują: Bill Thompson, Ekw Eshun, Mark Brown, dr Benjamin Ellis, Alex Macmillan, Marsh Davies. Za dyskusje na wczesnym etapie dziękuję też Sebowi Eminie i Adrianowi Honowi, który widzi przyszłość tak, jak ja kiedyś widziałam Boga: jako świetlistą i immanentną.

Dziękuję Peterowi Wattswi za wprowadzenie w tajniki oceanografii i podpowiedź, gdzie umieścić ludzkie narządy elektryczne. Dziękuję też pracownikom działu naukowego BBC, zwłaszcza Deborah Cohen, Alowi Mansfieldowi i Annie Buckley, za bardziej niż wystarczające zaspokojenie mojej ciekawości dotyczącej węgorzy elektrycznych.

Dziękuję moim rodzicom, Esther i Russellowi Donoffom, Danielli, Benjyemu i Zarze.

Ilustracje wykonał Marsh Davies. Dwie z nich, *Królowa kapłanka* i *Służący chłopiec*, zostały zainspirowane przez prawdziwe znaleziska archeologiczne z osady Mohendžo Daro w dolinie Indusu (oczywiście nie były ozdobione iPadami). Niewiele wiadomo o kulturze z Mohendžo Daro, chociaż niektóre znaleziska wskazują, że mogła w niej istnieć interesująca równość społeczna. Jednak mimo braku kontekstu archeologowie, którzy odkryli osadę, nadali męskiej głowie wyrzeźbionej w steatycie i przedstawionej na stronie 254 nazwę *Król kapłan*, a brązowemu posążkowi kobiety ze strony 253 – nazwę *Tancerka*. Nazw tych używa się do dzisiaj. Czasami myślę, że cała treść mojej książki zawiera się w tej informacji i dwóch obrazkach.



## Przypisy

[1] Cytat według *Biblii Tysiąclecia*.

[2] Cytat według *Biblii Tysiąclecia*.

[3] Cytat z księgi X *Preludium* Williama Wordswortha w przekładzie Stanisława Kryńskiego (wg antologii *Angielscy „poeci jezior”*. W. Wordsworth, S.T. Coleridge, R. Southey, wybrał, przełożył, wstępem i objaśnieniami opatrzył Stanisław Kryński, Wrocław 1963, s. 219).

[4] Nieznacznie zmieniony cytat z *Biblii warszawskiej*.

[5] Cytat według *Biblii Tysiąclecia*.

[6] Cytat z *Jądra ciemności* Josepha Conrada w przekładzie Anieli Zagórskiej (nieznacznie zmieniony).

[7] Nieznacznie zmieniony cytat z *Biblii warszawskiej*.